

MARCIN CISZEWSKI

OCALIĆ PREZYDENTA



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

**MARCIN
CISZEWSKI**

OCALIĆ PREZYDENTA



Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Od Zelenkiego dzieliły ich ostatnie drzwi.

FAZA 1. ÓSMA RANO – ÓSMA WIECZOREM. 23 LUTEGO 2022

Etap 1

Etap 2

Etap 3

Etap 4

Etap 5

Etap 6

Etap 7

Etap 8

Etap 9

Etap 10

Etap 11

Etap 12

Etap 13

FAZA 2. ÓSMA WIECZOREM – SZÓSTA RANO. 23/24 LUTEGO 2022

Etap 1

Etap 2

Etap 3

Etap 4

Etap 5

Etap 6

FAZA 3. SZÓSTA RANO – DWUNASTA W POŁUDNIE. 24 LUTEGO 2022

Etap 1

FAZA 4. 26 LUTEGO 2022

Posłowie

Przypisy

Redakcja
Rafał Bielski

Korekta
Jan Nowak

Skład i łamanie
Marcin Labus

Projekt okładki
Dark Crayon

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Marcin Ciszewski, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83292-95-3



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

„Siódmego maja 2000 roku Rosja stała się republiką bananową. Władzę w kraju przejęła pewna korporacja, wystawiając na urząd własnego prezydenta. Jednak w przeciwieństwie do klasycznego wzorca korporacja ta nie specjalizuje się w owocach. Nosi nazwę Federalnej Służby Bezpieczeństwa Rosji. Władimir Putin, który od sierpnia 1999 pełnił stanowisko dyrektora korporacji FSB i którego 26 marca 2000 roku wybrano na prezydenta kraju, zaczął sprawować rządy w Rosji w imieniu korporacji”.

Jurij Felsztyński
Władimir Pribyłowski
Korporacja zabójców. Rosja, KGB i Władimir Putin

Od Zeleńskiego dzieliły ich ostatnie drzwi.

Dotarcie do tego miejsca opłacili śmiercią połowy wyjściowego składu zespołu. Pozostało ich siedmiu, w tym jeden ranny. Odkąd zgłosili się na ochotnika do udziału w misji, liczyli się z faktem, że mogą wkrótce dołączyć do poległych towarzyszy. Dowództwo okazało się na tyle uczciwe, by jasno postawić kwestię ryzyka. A mimo to żaden się nie wycofał; byli najlepszymi z najlepszych, najgorętszymi patriotami, umotywowanymi, pozbawionymi skrupułów, zdolnymi do poświęcenia życia dla wielkiej, wspaniałej, kochanej ojczyzny w potrzebie.

Poza tym mieli ze sobą talizman. Majora. Dowódcę. Ojczulka. Jemu zawsze się udawało. Wyprowadzał swoich ludzi z największych oparów. W ogień by za nim skoczyli.

Fomin obejrzał się. Sasza Krupski miał papierową twarz człowieka, z którego uchodzi życie. Oczy jednak pozostały takie jak dawniej. Wyrażały upór. Sasza był nie do zdarcia. W pewnym sensie był niezastąpiony. Miał największe doświadczenie saperskie. Teraz, na końcu drogi, Fomin bardzo na niego liczył.

– Działajcie – powiedział major. Wydawało mu się, że zza drzwi słyszy ciężkie, chrapliwe oddechy. Złudzenie? Nieważne. Cel znajdował się w zasięgu ręki. Tamtych było trzech. Może czterech. Plus Zeleński, ten pieprzony pokurcz, nieudały aktorzyna, komediant za trzy grosze. Wyniesiony zbyt wysoko przez ogłupionych ludzi, którym wydawało się, że człowiek spoza układów cokolwiek zmieni. Co za brednie. Fomin dobrze wiedział, jakie pieniądze stały za wyborem. I skąd pochodziły. Pajac został wybrany i miał zostać pajacem. Nie było mowy o rojeniach na temat samodzielności, nie było mowy o parciu na Zachód, o prawdziwej demokracji i słuchaniu Amerykanów, pouczających cały świat nieznośnie mentorskim tonem.

Tak czy inaczej, usunięcie aktorzyny z drogi spowoduje, że cel zostanie osiągnięty i ta śmieszna skorumpowana struktura, zwana Ukrainą, z jej sennymi marzeniami o dołączeniu do Zachodu, rozpadnie się jak domek z kart. Trzech czy

czterech pozostałych przy życiu ochroniarzy nie stanowiło dla siedmiu (wliczając jego samego, a przecież on był nie gorzej wyszkolony niż podwładni) ludzi majora Fomina żadnej istotnej przeszkody.

Sasza zręcznie zakładał ładunki, reszta przezornie cofnęła się za załom muru. Ostatnie drzwi nie były tak masywne jak poprzednie – ot, sześć centymetrów zwykłej stali pancerniej. Ukry sędziły, że ewentualnych dywersantów zatrzyma to, co wcześniej – potężne odrzwia, pół metra kompozytu i tuzin długich na pół metra rygli. Głupcy! Każdą przeszkodę można sforsować, gdy się wie jak. Wszystko zostało zaplanowane.

Fomin usłyszał dochodzący od strony głównego wejścia stłumiony przez grubą stal huk wystrzałów. Na zewnątrz zamkniętego na głucho bunkra trwała zażarta walka. Ukraińcy wściekle kontratakowali, zespół osłony bronił się desperacko, próbując nie pozwolić odsieczy dostać się do środka. W końcu zostanie pokonany, kupi jednak czas – krótki, ale wystarczający.

Zdążą.

– Gotowe, szefie – oświadczył Sasza.

– Kryć się – zarządził Fomin.

Cofnęli się za załom muru. Mocniej uchwycili rękojeści automatów. Tłumiki odkręcili wcześniej, przywracając broni nominalną siłę ognia. Hałas nie miał już znaczenia. Nie musieli się dłużej ukrywać.

Sasza nacisnął spust detonatora. Huknęło potężnie, ale ochronniki słuchu zadziałały jak trzeba. Nie czekając aż opadnie dym i pył, rzucili się w przód. Pogłos dudnił jeszcze przez chwilę w zakamarkach tuneli, ale nie zwracali na to uwagi.

Droga do prezydenta stała otworem.

Zaczęli strzelać bez komendy, gęsto i celnie.

FAZA 1

**Ósma rano – ósma wieczorem
23 lutego 2022**

Etap 1

Przez lata uprawiania fachu Ludwik Ferenc nauczył się cierpliwości.

Niektórzy znajomi twierdzili, że jest pozbawiony układu nerwowego, co nie miało wiele wspólnego z prawdą. Układ nerwowy oczywiście posiadał, ale nauczył się po prostu dobrze udawać spokój. Czasem nawet przed samym sobą. Na przykład w dwa tysiące ósmym, w Tbilisi. Kraj buzował, na granicy zbierały się rosyjskie brygady pancerne, lont skwierczał, a on siedział na beczce prochu. Miał jednak masę pracy i działał pod presją czasu; wtedy rzeczywiście nie myślał o niebezpieczeństwie.

To jednak było dawno. Teraz nawet nie próbował się oszukiwać. Czuł mrowienie w żołądku, gardło wyschło na wiór, przełknięcie śliny graniczyło z cudem. Ogarniało go przemożne uczucie, że nieszczęście zbliża się szybkimi krokami. Czuł się równie źle jak trzy lata wcześniej w Mińsku, gdy zapadł mu się grunt pod nogami. Potem obawy i poczucie nieszczęścia stały się zresztą nieważne: pochłonął go fizyczny ból, trwające w nieskończoność godziny niewyobrażalnego cierpienia...

– Dwójka, zgłoś się – wyrwał go z zamyślenia dochodzący ze słuchawki damski, melodyjny głos.

– Tu Dwójka, zgłaszam się – odpowiedział, bez zainteresowania obserwując wąty obłoczek pary wydobywający się z ust. Kijów raczył mieszkańców i gości ciepłą, jak na koniec lutego, aurą, było jednak najwyżej sześć stopni powyżej zera i para miała prawo lecieć, fizyki nie oszukasz.

– Status?

– Bez zmian – mruknął, po czym po chwili dodał: – Mamy spóźnienie.

– Tylko kilka minut – padła odpowiedź. – Czekamy.

Wzruszył ramionami. Człowiek, który miał pojawić się na spotkaniu, dwukrotnie upewniał się, czy rozpocznie się ono punktualnie, a teraz sam nawalał, co nigdy dobrze nie wróżyło. Ferenc nie uznał jednak za stosowne mówić o tym

przez radio. Zespół liczył trzy osoby, choć powinien dwa razy tyle, co najmniej. Akcja miała charakter improwizacji, jak wszystko ostatnio. Brak ludzi, od dawna sygnalizowany przez szefa placówki, zdawał się w Warszawie nikogo nie interesować. Nadchodząca wielkimi krokami wojna zresztą również – przynajmniej tak to wyglądało z jego perspektywy. Dlatego musieli pracować z tymi, których mieli pod ręką, ryzykując wpadką. Ferenc przy tym wszystkim nie był pewien, czy kogokolwiek poza nimi obchodzi, co tutaj robią.

Jakiś ciemno ubrany człowiek wszedł do klatki schodowej. On? Nie on?

– Przyszedł – usłyszał po chwili. – Uważaj, Dwójka.

Dzięki za radę, sam by na to nie wpadł. Zaklął bezgłośnie i spojrzął w tylne lusterko. Uliczka była cicha, żadnych furgonetek z przyciemnionymi szybami, żadnych poruszających się firanek w oknach czy kręcących się w kółko, nijako wyglądających kobiet i mężczyzn. Co oczywiście nie musiało o niczym świadczyć. GRU czy FSB nigdy nie grzeszyły finezją, ale teraz Ruscy starali się bardziej niż zwykle. Dochodziły sygnały, że obie te, na co dzień konkurujące na śmierć i życie organizacje, przysłały do Kijowa najlepszych ludzi i nawet nie próbują się nawzajem pozabijać.

– Jest kontakt – zameldowała kobieta po kolejnej, wypełnionej ponurymi myślami, minucie.

A więc jednak. Gdyby nie lekka obsuwa czasowa, szłoby zgodnie z planem. Spotkanie doszło do skutku i na razie nic nie zwiastowało kłopotów. Do tej pory obieg informacji był szczelny, lokalu nigdy wcześniej nie używano, Ferenc sam wybrał mieszkanie zaledwie trzy dni wcześniej, piętro niżej wynajął maleńki pokój z kuchnią dla ubezpieczenia (stamtąd właśnie nadawała kobieta), dokładnie sprawdził okolicę i ewentualne drogi ewakuacji...

W lusterku zauważył ruch. Żołądek zacisnął się jeszcze mocniej.

Drzwi uchyliły się bezgłośnie.

Mężczyzna wszedł do pokoju. Sportowa bluza z popularnej sieciówki, rozpięta kurtka narciarska, mająca najlepsze lata za sobą, dzinsy, nijakie buty – sztukę nierzucania się w oczy gość miał opanowaną do perfekcji. Filip Wajman widział faceta na żywo po raz pierwszy w życiu, doskonale jednak zdawał sobie sprawę,

z kim ma do czynienia – pułkownik Siergiej Moskalewicz, zastępca szefa Departamentu Analiz, Prognoz i Planowania Strategicznego FSB, przez wiele lat był jego przeciwnikiem: przebiegłym, dobrze wyszkolonym i bezwzględny.

– Nie miałem ogona – oznajmił przybyły bez wstępów. Jego ruszczyzna była płynna, zrozumiała, wręcz śpiewna. Nie pytał o personalia gospodarza. Nie musiał. Obaj byli przygotowani do spotkania.

– Nie miał pan – zgodził się Wajman. – Pilnowaliśmy.

– Oby pan miał rację.

– Jest pan dla nas zbyt ważny, żeby to odpuścić. – Wajman starał się brzmieć rzeczowo.

Rosjanin nie sprawiał wrażenia, jakby słuchał. Przeszedł szybkim krokiem do salonu. Obrzucił spojrzeniem wnętrze, odrobinę dłużej zawieszając wzrok na opuszczonych żaluzjach.

– Na początek parę zasad – odezwał się, zmieniając ton. Był spokojny, ale oczy pozostały czujne. Miał pięćdziesiąt kilka lat, lekko szpakowate włosy, sprężystą sylwetkę i surową, ogorzałą twarz. Wyglądał na człowieka aktywnie spędzającego czas na świeżym powietrzu. – Spotykamy się tylko na moje wezwanie. Ty nie inicjujesz kontaktu. Rozmawiam tylko z tobą, z nikim więcej. Miejsce wyznaczasz ty, ale ja je akceptuję.

– Dlaczego? – zapytał Wajman.

– Dlaczego co?

– Chcesz puszczać informacje na drugą stronę.

– Motywacja to moja sprawa.

– Posłuchaj. – Major uśmiechnął się. – Gramy w tę grę od jakiegoś czasu. Obaj wiemy, co i jak. Na razie tego nie kupuję.

– Kupisz, gdy usłyszysz, co mam do powiedzenia.

– Raczej nie.

– Mam wiarygodną informację o planowanym zamachu na prezydenta. Dokładniej mówiąc, na wszystkich trzech, waszego, Litwina i Ukra. Dziś.

Wajman zeszywniał. To jednak była nowość. O planowanym zamachu lub uprowadzeniu ukraińskiej głowy państwa plotki krążyły już od dłuższego czasu. Nie tylko plotki zresztą. SBU po starej znajomości dała mu do zrozumienia (nie

wdając się w szczegóły), że udaremniła co najmniej dwie konkretne próby ataku. To było logiczne. Rosyjska doktryna wojenna zakładała wzbudzenie maksymalnego chaosu w szeregach przeciwnika w podprogowej fazie przygotowawczej. Pozbawienie przywództwa państwa, które ma być celem podboju, idealnie się w to założenie wpisywało.

Major natomiast nic nie słyszał o Polaku i Litwinie. Ciekawe, że żaden z dotychczasowych codziennych raportów wywiadowczych o tym nie informował. Co jeszcze bardziej zagadkowe, nie wspomniał o tym szef departamentu wschodniego SWW, zwykle doskonale poinformowany pułkownik Maliszewski, podczas wczorajszej wideoodprawy.

– Jakież szczegóły? – zapytał.

Gość po raz pierwszy sprawiał wrażenie niezdecydowanego.

– Kupujesz moje zasady? – chciał wiedzieć.

– Powiem ci, jak podasz więcej konkretów.

– Będą działały dwie niezależne grupy, według odrębnych scenariuszy. Jedna podejdzie blisko, druga przeprowadzi atak na odległość.

– Wszystkich trzech chcą zlikwidować za jednym zamachem?

– Takie jest założenie.

– To bardzo ciekawe.

– Wiedziałem, że cię temat zainteresuje.

– Równie dobrze możesz mnie wpuszczać na minę.

– Poczekaj parę godzin. Przekonasz się.

Wajman usiadł na krześle. Moskalewicz stał nadal.

– Chcecie zaatakować dwóch prezydentów krajów NATO.

– Wszystkie dowody będą wskazywać na to, że zamachu dokonali ukraińscy pravicowi ekstremiści.

– Bez sensu. Nawet ekstrema tutaj rozumie, że Ukraina potrzebuje pomocy Zachodu. Nikt tego nie kupi.

– Polska i Litwa w opinii Zachodu są Zachodem tylko retorycznie, i to też nie zawsze. Zachód pomaga tylko wtedy, jeśli jest to przypadkiem zbieżne z jego interesami. A na ogół nie jest. Jeśli wybuchnie wojna, pomoc Ukrainie będzie na przykład bardzo nie na rękę Niemcom.

Wajman musiał mu przyznać rację. Rozdźwięk w postrzeganiu rosyjskiego zagrożenia – i bardziej ogólnie, rosyjskich celów i metod działania – między starym Zachodem a państwami wschodniej flanki był fundamentalny i nie do przewyciężenia.

– Zacznie się burdel na całego – ciągnął Rosjanin. – W Kijowie wybuchną zamieszki. Jacyś ludzie krzyczący po polsku podpalą rosyjską ambasadę. Wszyscy zaczną strzelać do wszystkich. A my po prostu przekroczymy granicę pod hasłem obrony naszych interesów.

Wajman znów musiał się zgodzić. Scenariusz dokładnie odpowiadał symulacjom dokonywanym w jego macierzystej firmie. Nawet dziś, osiem lat po aneksji Krymu i ustanowieniu marionetkowych republik ludowych w Doniecku i Ługańsku, Rosjanie mieli na Ukrainie sporo zwolenników, w samym Kijowie również.

– Dobra – powiedział. – Podaj lokalizację obu grup dywersyjnych.

Moskalewicz otworzył usta, ale nie zdążył powiedzieć niczego więcej. Trzech mężczyzn wpadło do mieszkania tak cicho, że Wajman zauważył ich dopiero wtedy, gdy otworzyli ogień.

Trzeba przyznać, że Moskalewicz zareagował znacznie szybciej od majora. Może w odróżnieniu od polskiego kolegi po fachu nie stracił cennej sekundy na zastanawianie się, w jaki, do ciężkiej cholery, sposób trzech napastników dostało się do mieszkania niezauważenie.

A może spodziewał się ataku (słusznie; Wajman też powinien zachować czujność). W każdym razie, gdy pierwsza kula opuściła przedłużoną o tłumik lufę, Rosjanin, mając już w ręku broń, był właśnie w trakcie wykonywanego z kocią szybkością uniku. Dlatego napastnik chybił, a w dodatku sam został trafiony. Pocisk wystrzelony z pistoletu Moskalewicza ugodził go w szyję i rzucił na ziemię. Kolejny z agresorów niestety nie spudłował: z ramienia pułkownika trysnęła krew. Mimo szoku i bólu Moskalewicz nadal prowadził ogień, co najprawdopodobniej uratowało mu życie, a być może im obu; intruz dostał w oko i przestał stanowić zagrożenie.

Trzeci z mężczyzn, trzymający w ręku niewielki pistolet maszynowy z fabrycznym tłumikiem, rzucił się w bok, schodząc Moskalewiczowi z widoku.

W tym czasie Wajman na szczęście zdołał już wydobyć się ze stuporu. Broń pojawiła się w dłoni bez udziału świadomości.

Glock podskoczył, pocisk poszedł za wysoko, Wajman wzmocnił chwyt; dwukrotnie trafił w automat, uszkodzając broń i raniąc przy okazji napastnika. Facet krzyknął głośno, co major w gruncie rzeczy słyszał jak przez mgłę, bo najpierw strzały Moskalewicza, a potem własne ogłuszyły go. Poprawił, kule weszły w gardło i usta; wszystko nagle zamarło w bezruchu.

Moskalewicz, krwawiąc obficie, osunął się na ziemię.

Środkiem ulicy nadjeżdżał samochód. Poruszał się niespiesznie, jakby z wahaniem: być może kierowca szukał konkretnego adresu, a nie znał zbyt dobrze miasta. Zwalniał i przyspieszał, wszystko w żółtym, ospałym tempie.

W końcu zrównał się z wysłużonym mondeo Ferenc'a i wtedy zwolnił jeszcze bardziej.

Ludwik zauważył, że prowadzący nie patrzy na niego, tylko wpatruje się w coś, co trzyma na kolanach, może plan miasta, a może komórkę z nawigacją. Kątem oka dostrzegł, że na tylnym siedzeniu coś się rusza.

Ciemny, podłużny kształt.

Usłyszał stłumione syknięcie, mgnienie oka później boczna szyba mondeo rozpadła się na milion kawałków, obsypując Ludwika kryształowym, połyskującym w porannym słońcu deszczem. Poczul ciepło na twarzy, pocisk musiał minąć skroń o włos. Zanurkował, rozpaczliwie próbując wyciągnąć pistolet. Drugą ręką na oślep wymacał klamkę. Pociągnął ją mocno, napierając jednocześnie ramieniem na drzwi, które otwarły się na całą szerokość. Usłyszał kolejne wyciszone przez tłumik dwa, może trzy kłaśnięcia. Jedna z kul uderzyła z hukiem w blok kierownicy. Najwyraźniej zabójca opuścił lufę, by strzelać przez karoserię i w ten sposób dosięgnąć ofiarę.

Ferenc wyturlał się na zewnątrz. Uderzył policzkiem o lodowatą płytę chodnika, zamroczyło go na sekundę, ale instynkt i wyszkolenie kazały działać, bo każda sekunda zwłoki mogła zakończyć się tragicznie. Przetoczył się o jeden, dwa, trzy obroty. Miał już wtedy w dłoni broń i znajdował się dwa metry dalej, zasłonięty kolejnym autem parkującym przed mondeo. Samochód z napastnikami ruszył do

przodu. Ferenc wychylił się i strzelił z niewygodnej pozycji, celując w znajdującego się na tylnym siedzeniu zabójcę. Huk odbił się echem po całej ulicy i spłoszył obsiadające dachy gołębie. Chybił, ale zmusił tamtego do schylenia głowy. Poprawił dwukrotnie, niżej, notując, jak głośno dudni palba odbijająca się od murów dziewiętnastowiecznych kamienic. Spokój uliczki został bezpowrotnie zburzony, a akcja spalona. Działali w całkowitej tajemnicy, w zasadzie nielegalnie, bez aprobaty, a nawet wiedzy SBU. Na razie o tym nie myślał. Konsekwencjami zajmie się później – o ile przeżyje.

Do gry włączył się kierowca.

Ferenc usłyszał złowieszcze terkotanie karabinka szturmowego. AKS w krótkiej wersji, pomyślał, jakby miało jakieś znaczenie, z jakiej broni chcą go zabić. Seria wybiła równym ściegiem szereg dziur w elewacji znajdującego się za plecami Ludwika budynku. Przepelzył na drugi koniec samochodu, za którym się schronił, wychylił się, auto zdążyło się już nieco oddalić. Złożył się. Powoli, delikatnie, jak na ćwiczeniach ściął spust: Glock szarpnął jak narowisty koń, raz, drugi, trzeci. Zauważył, że mężczyzna z wytłumionym pistoletem szarpnął się w tył. Ferenc przeniósł ogień na kierowcę, ale spudłował, bo tamten sekundę wcześniej zorientował się, że ofiara zamieniła się w drapieżcę i kąsa. Samochód ryknął silnikiem i zaczął się gwałtownie oddalać. Ludwik wyskoczył na środek ulicy, przelotnie widząc w jednym z okien pobladałą, przestraszoną kobietą twarz. Uniósł broń i strzelił czterokrotnie. Przednia szyba pokryła się pajęczyną pęknięć, samochód jednak oddalał się szybko i Ludwik nie potrafił stwierdzić, czy trafił kierowcę. Jeśli nawet, rana okazała się na tyle niegroźna, że facet mógł nadal prowadzić, całkiem zresztą wprawnie. Samochód, nadal poruszając się tyłem, skręcił na najbliższym skrzyżowaniu i zniknął Ferencowi z oczu.

Odetchnął głęboko, po czym zaczął biec. Zdyszany niczym maratończyk w połowie dystansu, z wielkim dzwonieniem w uszach wpadł na klatkę schodową kamienicy, w której znajdował się lokal konspiracyjny. Zdołał pokonać ledwie kilka schodów, gdy jak zza grubej ściany usłyszał zduszony krzyk. A potem, na dalszym planie, kilka szybkich pistoletowych strzałów.

– Jedyńka, tu Dwójka – rzucił do mikrofonu. Kobieta zajmowała stanowisko piętro pod lokalem konspiracyjnym. Nie chciał zarobić kulki od współpracownicy. – Idę do ciebie.

Cisza.

W nozdrza uderzył go dziwny zapach – ni to potu, ni to wilgotnego ubrania. Miał już kiedyś z takimi do czynienia. Czasami tak pachnieli żołnierze albo policjanci. Spojrzał w górę. Żadnego ruchu. Zmienił magazynek, wyciągnął broń przed siebie, kilkoma susami pokonał schody i znalazł się na półpiętrze.

Serce waliło w oszalałym tempie, ręce pozostały jednak pewne. Rozejrzał się. Drzwi lokalu ubezpieczenia były lekko uchylone. Wydawało mu się, że coś słyszy. Szuranie. Może jęk.

Jęk.

Ostrożnie otworzył drzwi.

Ciężki, chrapliwy oddech osoby walczącej o życie dochodził z pokoju znajdującego się na wprost.

Korytarzyk pokonał w kilku cichych krokach.

Kobieta leżała na plecach, przygnieciona ciałem napastnika. Ostrze sporych rozmiarów noża bojowego znajdowało się kilka centymetrów od jej lewego oka. Obie dłonie zacisnęła na nadgarstku mężczyzny. Próbowwała kolaniem zadawać ciosy w żebra, agresor umiał jednak walczyć w parterze. Uderzenia osłabiał odpowiednim ułożeniem ciała, całą uwagę skupiając na przełamaniu obrony kobiety.

Wyglądało na to, że nie zostało jej wiele czasu.

Ferenc skoczył; atakujący mężczyzna zbyt późno zorientował się, że grozi mu niebezpieczeństwo, próbował się odturlać w bok, ale Ferenc był już przy nim. Z rozmachem zadał cios lufą Glocka. Chrupnęła złamana kość policzkowa, napastnik kwiknął i próbował dźgnąć na wprost, co się nie udało, ponieważ w tej samej chwili kobieta uderzyła go łokciem w głowę. Cios nie miał odpowiedniej siły, ale doszedł celu i zdekoncentrował nożownika. Ferenc zamachnął się ponownie. Tym razem lufa trafiła w skroń. Oczy mężczyzny pokryły się mgiełką. Słabł. Ferenc kopnął go w twarz.

Napastnik znieruchomiał.

Ferenc schylił się, wyjął z jego dłoni nóż, z kabury na biodrze pistolet i przeciągnął bezwładne ciało pod kaloryfer. Dwoma parami jednorazowych kajdanek przykuł do rury i po raz pierwszy dokładnie mu się przyjrzał. Facet był dobrze zbudowany, ale miał nijaką, trudną do zapamiętania twarz.

Ferenc odwrócił się.

W tym czasie Lena zdążyła się już podnieść. Tak naprawdę nazywała się Dorota Mokrzycka, jednak bardzo niewielu ludzi znało jej prawdziwe personalia. Do Kijowa przyjechała zaledwie przed tygodniem, ale Ferenc dobrze poznał ją wcześniej i naprawdę lubił z nią pracować. Inteligentna i bystra, miała sześćoletnie doświadczenie w terenie i fenomenalną zdolność wcielania się w różne postaci. Potrafiła przekonująco wyglądać w wieczorowej sukni i szpilkach, jak i w lachmanach żebraczki. Z równą łatwością przeobrażała się w piękność o klasycznych rysach i wielkich, wyrazistych oczach, co w odrażającą, brudną narkomankę ze złamanym nosem, sprzedającą zrujnowane ciało za działkę heroiny.

Mówiła po rosyjsku, ukraińsku i białorusku bez obcego akcentu i przez lata służby wyrobiła sobie masę przydatnych kontaktów. Oficjalnie została przysłana jako oficer łącznikowy afiliowany przy komendzie głównej ukraińskiej policji. Jej prawdziwe zadanie znał tylko Wajman. Ferenc zresztą nie bardzo się tym interesował. Miał wystarczająco dużo własnych kłopotów. Żona chciała rozwodu i zapowiadała, że zapamięta go do końca życia. A tu miał robotę, której nie życzyłby najgorszemu wrogowi.

– Żyjesz? – zapytał.

Lena masowała gardło.

– Zaskoczył mnie, skurwiel – mruknęła, a coś na kształt zawstydzenia mignęło w jej oczach. Schyliła się i podniosła z podłogi swój pistolet, z którego nie zdążyła wystrzelić. – Idziemy.

Wyszli z mieszkania. Niedawno odnowiona klatka schodowa pachniała farbą i była nadal pusta. Starając się zachowywać jak najciszej, minęli kolejne piętro.

Huk wstrząsnął kamienicą. Jeden, drugi, trzeci.

Zaraz potem kolejna seria strzałów, inna, wyższa, jakby bardziej nerwowa.

I odpowiedź pierwszej broni, dubeltowa. A potem jeszcze kilka strzałów, o innym brzmieniu, bardziej stłumionym.

Lebiediew, wcześniej Udaw, na końcu Glock, skonstatował Ferenc. Jego umiejętność rozpoznawania rodzaju broni po dźwięku wydawanym przy wystrzale zawsze wydawała mu się sztuką dla sztuki, niepotrzebną wiedzą zajmującą pamięć.

Teraz jednak informacja coś mu powiedziała. Wajman używał Glocka. Lebediewa i Udawa lubiły rosyjskie siły specjalne. Rosjanie strzelali najpierw, Glock jako ostatni.

Co nie musiało dawać prawdziwego obrazu sytuacji.

Cisza aż dzwoniła w uszach. Uniósł broń na wysokość oczu, dłonie zacisnął na rękojeści. Szedł na lekko ugiętych nogach, a serce waliło tak mocno, że słyszał je, jakby wyskoczyło na zewnątrz. Lena trzymała się z tyłu; kryła mu plecy. Deska zaskrzypiała pod stopą.

Ferenc starał się uspokoić oddech. Ostrożnie, na raty, wychylając się za każdym razem odrobinę bardziej (instruktorzy z kursu taktycznego poświęcili całą osobną grupę ćwiczeń na wbijanie kursantom do głów, jak powinno wyglądać prawidłowe wejście do pomieszczenia, w którym może znajdować się uzbrojony przeciwnik), zajrzał w głąb korytarza.

Nikogo.

Wydawało się, że słyszy szmer. Jednocześnie poczuł wibrującą w kieszeni na udzie komórkę. Zignorował ją. Lufa Glocka dziobała przestrzeń.

Z lokalu kontaktowego wyszło dwóch ludzi. Wajman podtrzymywał Moskalewicza. Mimo zaciśniętej powyżej łokcia stazy taktycznej, z nisko opuszczonej dłoni Rosjanina kapłała krew. Był blady, ale najwyraźniej zachował przytomność.

– Trzech – powiedział Wajman.

– Na dole jeden – odparł Ferenc. – Na ulicy dwóch.

Klasyka operacji sił specjalnych. Do akcji została wysłana sześćoosobowa sekcja.

Zza okna dochodził narastający jęk policyjnej syreny. Czas wyraźnie im się kończył.

– Jak tu, kurwa, wleźli? – chciała wiedzieć Lena. Najwyraźniej czuła się winna, że nie zneutralizowała niebezpieczeństwa.

– Później. Wycofujemy się – zarządził Wajman.

Pospiesznie zeszli na pierwsze piętro. Na klatce panowała martwa cisza. To miało się wkrótce zmienić. Wszystko działo się zbyt szybko. Ferenc z doświadczenia wiedział, że improwizacje często źle się kończą, a wydarzenia

ostatniego kwadransa tylko to potwierdzały. Drzwi mieszkania, w którym wcześniej trzymała straż Lena, były lekko przymknięte, tak jak je zostawili.

– Idźcie – powiedział. – Spotkamy się później.

– Zaraz tu będzie policja – zaproponował Wajman.

– Gość żyje. Zadam mu parę pytań i dogonię was.

Nie czekając na protesty, starając się nie myśleć o nadciągających zewsząd, zwabionych strzelaniną w centrum miasta patrolach policji i grupie interwencyjnej SBU, wszedł do mieszkania. Zamknął drzwi na zasuwę. Napastnik odzyskał już przytomność i starał się uwolnić z więzów. Miał czarne włosy i oczy, a na pokrwawionej, obłej twarzy wypisaną zaciekłość. Trzypaskowy dres nadawał mu wygląd małomiasteczkowego bandyty pośledniego szczebla z lat dziewięćdziesiątych.

Ferenc podszedł bliżej. Zza okna dochodził rumor samochodowych silników, policyjnych syren i wielu, zbyt wielu, ludzkich głosów. Jeśli miał szanse niepostrzeżonego wymknięcia się, to teraz, wracając do tego mieszkania, prawdopodobnie je pogrzebał. Po raz kolejny poczuł wibracje telefonu i po raz kolejny je zignorował.

Klęknął przy jego przytroczonych do kaloryfera dłoniach, zachowując bezpieczny dystans od nieskrępowanych nóg. Gość wyglądał na takiego, co potrafi przykopać.

Darował sobie poszukiwania portfela czy dokumentów. Wiedział, że ich nie znajdzie. Szukał komórki. Zamiast niej natknął się na niewielką krótkofalówkę. Dobre i to.

– Komu podlegasz? – zapytał po rosyjsku.

Mężczyzna splunął.

Zapowiadała się dłuższa rozmowa. Ferenc zatkał napastnikowi usta znalezione w kuchni brudną szmatą, a potem wziął do ręki nóż, którym facet próbował zabić Lenę. Poczul przelotny dreszcz obrzydzenia do samego siebie. Na własnej skórze doświadczył tego, co chciał zrobić Rosjaninowi.

Nie miał jednak innego wyjścia.

Pięć minut później przywiązany do kaloryfera mężczyzna ociekał krwią, ale patrzył hardo na swojego oprawcę. W jego wzroku błyszczała czysta, skondensowana nienawiść. Był twardy, zdradził tyle co nic. Wydobyć z niego

konkretnej, przydatnej wiedzy zajęłoby czas i środki (na przykład chemiczne). Ferenc nie miał ani jednego, ani drugiego. Na schodach dudniły kroki policjantów i funkcjonariuszy SBU. W każdej chwili mogli zapukać do drzwi.

Ferenc westchnął. Nie znosił tej części swojej pracy. Ludzie na ogół mówili chętnie, Ludwik nie miał specjalnych problemów z motywowaniem ich do dzielenia się informacjami. Typek pod kaloryferem stanowił jednak odrębną kategorię. Ferenc mógłby go ciąć w paski, a i tak facet opierałby się ze wszystkich sił, by zdradzić cokolwiek wartościowego. Latami szkolono go jak manipulować śledczym, nawet w sytuacjach ekstremalnych.

GRU. Tyle się dowiedział. Grup było więcej, dużo, dużo więcej. Facet chciał mu zaimponować, pokazać jaja, może zastraszyć. Pytany o źródło wiedzy o spotkaniu, tylko spluwał. O zadaniu nie chciał mówić.

I wtedy telefon zawibrował po raz kolejny. Ferenc zawahał się. Ktoś był bardzo uparty. Uparci często oznaczali kłopoty. Wyjął aparat z kieszeni. Gdy zerknął na wyświetlacz, zdziwił się, ale tylko trochę. Dzień przywitał go spaloną akcją i strzelaniną, dalej pewnie będzie tylko gorzej.

– Dzień dobry, panie ambasadorze.

– Gdzie, do cholery, pan się podziewa? – Warknięcie raczej niż ludzki głos. – I pański szef? Szukałem was przez cały rano. Pan też odebrał dopiero za piątym razem.

– Jesteśmy w terenie.

– Za kwadrans zaczynamy odprawę przed przyjazdem prezydenta, gdyby to panu umknęło – kontynuował rozeźlony dyplomata, jakby rozmówca w ogóle się nie odezwał. Ferenc zerknął na więźnia. Facet nawet się nie krył z tym, że słucha. – Jesteście członkami zespołu zabezpieczającego. Macie natychmiast zjawić się na odprawie, jasne?

Ferenc nie miał kłopotu ze zrozumieniem słów. Zastanawiał się raczej nad ich sensem.

– Tak.

– Teraz, panie Ferenc. – Głos dyplomaty nabrał zasadniczych tonów.

– Oczywiście, panie ambasadorze.

– Czekam. – I trzask odkładanej słuchawki. Konkretny człowiek, bez dwóch zdań.

Ferenc schował komórkę.

Wyjął z kieszeni tłumik i starannie nakręcił go na lufę. Typ patrzył na niego gniewnie. Strachu w nim nie było. Dwa strzały później opadł na podłogę, z wyciągniętymi ku górze rękoma. Ferenc nie dotykał go więcej. Czuł mdłości. Zabił bandytę, mordercę, wroga, który pozbawiłby go życia bez chwili wahania. Co nie zmieniało faktu, że czuł się z tym bardzo źle. Jego szef, pułkownik Maliszewski, twierdził, że powody do niepokoju pojawiają się wtedy, gdy nie czuje się nic. Chyba jednak tak by wolał.

Zabrał nóż, sprawdził, czy nie ma na podszewkach plam krwi. Omiótł lokal uważnym spojrzeniem. Sam raczej żadnych śladów nie zostawił. Używał rękawiczek. Miał szczerą nadzieję, że Lena zachowywała się równie profesjonalnie.

Pewnie tak było.

Musiał wyjść niezauważenie, bo obecność polskiego dyplomaty (miał odpowiedni paszport, a jakże) w miejscu strzelaniny z całą pewnością nie spodoba się gospodarzom miasta. Już samo pozostawione na ulicy podziurawione jak rzeszoto mondeo przyprawi ich o ból głowy. A Rosjanin z GRU ze śladami tortur na ciele i kulami w czaszce (a także trzech martwych gości piętro wyżej) wywoła wściekłość. A także masę niepotrzebnych, a nawet niebezpiecznych pytań. Nie mówiąc o tym, że Chołyczenko, jego kontakt w SBU, dostanie szału i już nigdy mu nie zaufa. Budowana latami nić zaufania zostanie bezpowrotnie zerwana.

Na klatce schodowej panowała cisza, zakłócana tylko od czasu do czasu odgłosami szurania piętro wyżej. Śledczy najprawdopodobniej badali każdy centymetr lokalu na górze. Musiał się stąd wynosić. Mógł już nie trafić na lepszą okazję.

Wyjął z kieszeni klucz i wyjrzał na korytarz. Nikogo. Zamknął drzwi na zamek, a potem pomału, starając się nie wywoływać hałasu, zszedł na parter. Przez szybę drzwi wejściowych dostrzegł dwóch policjantów. Patrzyli w inną stronę. Ruszył dalej w dół. Schody do piwnicy pokonał w kilku susach. Pachniało wilgocią i starymi szmatami. Nie zapalał światła. Wzrok po chwili przystosował się do półmroku. Stał na progu długiego, ceglanego korytarza, z klatkami piwnic po obu stronach. Korytarz kończył się stalowymi wrotami, zamkniętymi na rygiel i kłódkę. Ferenc wyjął z kieszeni kolejny klucz. Zamek kłódky odskoczył z cichym

trzaskiem. Rygiel (nasmarowany trzy dni temu) puścił jeszcze łatwiej. Odrzwia otworzyły się bezszelestnie.

Piwnica sąsiedniego budynku stała przed nim otworem.

Samochód oczywiście porzucił. Kamienica, z której, nie zwróciwszy niczyjej uwagi, wyszedł, znajdowała się w odległości dwudziestu pięciu minut marszu od ambasady. Akurat tyle czasu, by zadać sobie kilka pytań.

Na przykład takie: skąd GRU wiedziało o spotkaniu ze źródłem? Moskalewicz przywłókł za sobą ogon. A przecież akcji nadano najwyższy stopień niejawności. Nikt w ambasadzie teoretycznie o niej nie wiedział, nikt nie miał nawet świadomości istnienia kogoś takiego jak Moskalewicz. Wajman prowadził pertraktacje osobiście i nikt, poza nim, aż do dziś nie znał tożsamości kontaktu, nawet Ferenc, w końcu najstarszy stażem i najbardziej doświadczony oficer placówki. W Warszawie były raptem dwie poinformowane osoby, wiedziały jednak tylko o źródle, a nie o terminie i miejscu spotkania. Tymczasem Rosjanie mieli precyzyjną wiedzę zarówno o jednym, jak i o drugim. W dodatku i on, i Lena zostali zaatakowani. Skąd komando miało wiedzę o zabezpieczeniach?

Dwie możliwości: pierwsza – akcja była ustawką Rosjan, mającą na celu wyeliminowanie całej komórki polskiego wywiadu w Kijowie. Przeciw temu wariantowi przemawiał jednak fakt, że Moskalewicz był z FSB, a komando z GRU. Ferenc potrafił wyobrazić sobie współpracę tych dwóch agencji, ale codzienna praktyka i doświadczenie podpowiadało raczej, że jest to niezwykle mało prawdopodobne. Każda organizacja grała o inne cele, niejednokrotnie sprzeczne zresztą z celami i zadaniami konkurentów.

Druga możliwość – przeciek we własnych szeregach.

Spojrzał na zegarek i przyspieszył kroku. Komórka ponownie zawibrowała. Zaszyfrowana wiadomość od Wajmana. Dwukrotnie uważnie ją przeczytał i za pomocą specjalnego programu natychmiast skasował. Po czym zaklął pod nosem: wcześniejsze przeczucia go nie myliły, nadchodził piekielny dzień.

Na razie musiał jak najszybciej skontaktować się z szefem wydziału, narażając się na gniew ambasadora, który będzie musiał rozpocząć naradę bez jakiegokolwiek przedstawiciela wywiadu, co było niezgodne z procedurą, a na pewno stało w sprzeczności z wymogami napiętej sytuacji. Ale Ferenc widywał faceta jedynie przy oficjalnych okazjach, rozmawiał – zdawkowo – dwukrotnie.

Podlegał mu tylko formalnie, jako szefowi placówki. Miał swoich przełożonych, którzy stawiali mu konkretne zadania.

Swoją robotę robił niespiesznie, systematycznie, bez wzlotów i upadków.

Gdy stanął przed mało urodziwym budynkiem ambasady, nadal nie wiedział, czego się spodziewać. Ulica była pusta; o ósmej rano nie stanowiło to jakiegoś nadzwyczajnego widoku. Machnął legitymacją strażnikowi. W holu uderzyła go fala gorąca, miał wrażenie, że regulacji ogrzewania używa się w celu rozkręcenia jej do maksimum. Rozpiął kurtkę i szybkim krokiem zbiegł na poziom minus jeden, odprowadzany sceptycznym wzrokiem ochroniarza, który zdawał się krytycznie oceniać jego spóźnienie. Gabinet znajdował się w podziemiach, w oddzielonej pancernymi drzwiami części budynku zajmowanej przez służby. W teorii (w którą Ferenc nie do końca wierzył) był zabezpieczony przed podsłuchami i namierzaniem.

Wkroczył do królestwa wywiadu. Na miejscu czuwała już pani Barbara, zwana pieśczośliwie Ciocią z racji życzliwego nastawienia do świata, umiarkowanej skłonności do gderania i przyjemnej, nieco rubensowskiej sylwetki. Pani Basia związana była z firmą od zawsze i cieszyła się powszechnym szacunkiem. Wajman bardzo cenił jej pragmatyzm i inteligencję, często nieformalnie zasięgał opinii na temat bieżących operacji. Pani Basia pracowała jako sekretarka, ale jej faktyczny udział w życiu placówki dalece wykraczał poza tę skromną i w gruncie rzeczy pomocniczą funkcję.

– Dzień dobry, pani Basiu – bąknął Ferenc.

– Witaj, Ludwiku – powitała go ciepło. – Kawy?

– Może później. Jestem spóźniony do ambasadora, a muszę przedtem pogadać z pułkownikiem.

– Spokojnie. Ambasador nie ucieknie.

Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością i poszedł do siebie. Przeciągnął kartą magnetyczną przez czytnik, wbił kod, pchnął drzwi, usiadł za biurkiem i uruchomił szyfrowane wideopłączenie. Maliszewski pojawił się po piętnastu sekundach. Szef wydziału miał obwisłą, podłużną twarz z widocznym nalotem znużenia.

– Melduję się, panie pułkowniku – powiedział.

– Cześć, Ludwik – odparł szef departamentu. – Kłopoty?

Nie pytał, skąd tamten wie. Z czasem człowiek parający się fachem nabywa nie tylko doświadczenia, ale i czegoś w rodzaju psiego węchu. Wiedział to po sobie: coraz lepiej czytał między wierszami, a nie miał nawet połowy stażu szefa, który zresztą, oprócz szóstego zmysłu czy instynktu, najpewniej dysponował jeszcze swoimi kanałami informacji i agenturą w terenie, o której Ferenc nie miał pojęcia.

– Do kontaktu operacyjnego doszło zgodnie z planem. W czasie spotkania zostaliśmy zaatakowani – oświadczył. – Udało się zlikwidować czterech, dwóch uciekło, jeden najprawdopodobniej ranny. Przed likwidacją przesłuchałem jednego. GRU. Tylko tyle powiedział.

– Jesteście cali? – Twarz Maliszewskiego wydłużyła się jeszcze bardziej. To on był jedną z dwóch osób w Warszawie poinformowanych o operacji; przede wszystkim jednak miał świadomość ryzyka scenariusza, w którym coś idzie niezgodnie z planem.

– My tak. Źródło oberwało, ale żyje.

– Miał ogon?

– Nie zauważyliśmy.

– Podaj szczegóły.

Ferenc mówił przez pięć minut. Nie ukrywał niczego, operował wyłącznie konkretami. Miał zdolność klarownego syntetyzowania faktów, co zawsze podobało się Maliszewskiemu. Tylko mimochodem bąknął, że było ich zbyt mało, by zabezpieczyć spotkanie tej rangi. Pułkownika akurat nie trzeba było przekonywać, że kijowska placówka powinna zostać wzmocniona kadrowo, sprzętowo i organizacyjnie i że ogromnie ryzykowali, pracując tymi zasobami, które mieli do dyspozycji. Maliszewski podobno interweniował na ministerialnym szczeblu, niczego szczególnego jednak nie osiągając.

W gruncie rzeczy mieli dziś masę szczęścia.

Ferenc zamilkł. Pułkownik zastanawiał się przez moment.

– Źródło jest bezpieczne? – chciał wiedzieć.

– Mamy przygotowane dwa lokale. Major i Lena pilnują tematu osobiście.

– Powiedziałeś, że jest ranny.

– Widziałem postrzał w ramię. Lena jest ratownikiem medycznym. Poradzą sobie.

- Miejmy nadzieję. Weryfikacja się jeszcze nie zakończyła, pamiętajcie o tym.
- Wiem. Major pewnie sam się skontaktuje. Ja widziałem źródło przez dziesięć sekund.

Maliszewski zamyślił się.

- To wygląda jak celowa operacja – orzekł po chwili.
- Może. Jest jedno ale.
- No?

Ferenc odtworzył słowo w słowo wiadomość przesłaną przez Wajmana. Maliszewski sposepniał jeszcze bardziej.

- Podał dokładne lokalizacje?
- Z adresami i detalami.
- Skład? Uzbrojenie?
- W dużym przybliżeniu. Uważam, że powinniśmy dać cynk Chołycence.
- Spalisz źródło.
- Niekoniecznie.
- On nie jest głupi. Już wie, że prowadzimy temat za jego plecami.

Ferenc zamknął oczy. Maliszewski miał oczywiście rację. Pułkownik Wadim Chołyczenko, zastępca szefa wydziału antyterrorystycznego SBU był w porządku, ale mimo wszystko grał w innej orkiestrze i miał swoich szefów. Po operacji nawiązania kontaktu ze źródłem zostały cztery trupy i masa innych śladów, które Ukraińcom dały sporo do myślenia. Ferenc znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, że w kontaktach z tym człowiekiem najbardziej opłaca się być szczerym.

- Zaraz do niego zadzwonię.
- Lepiej się spotkaj osobiście.
- Może major...
- Ty. Wajman niech pilnuje źródła. W razie czego powiedz, że to moje polecenie. Gdybyś miał kłopoty, daj znać. Pogadam z Wadimem.
- Nie przewiduję kłopotów.
- Tego nigdy nie wiadomo.
- Oczywiście.

– Ja też mam coś dla ciebie – oświadczył Maliszewski po chwili ciężkiej ciszy. Ferenc miał dotkliwą świadomość przeciekającego przez palce czasu. – Do Kijowa przyjechał niejaki pułkownik Tolak z SKW. Zastępca szefa.

– Coś mi się obilo o uszy.

– Formalnie ma za zadanie kierować ochroną wizyty prezydenta, który nie dał sobie wytłumaczyć, żeby nie jechać... – W oczach Maliszewskiego pojawiło się zniechęcenie.

– Ile wie?

– Nie mam pojęcia. Nikt nie lubi dzielić się informacjami.

Ferenc sporo mógł o tym powiedzieć. Maliszewski zawsze naciskał, by dawać innym agencjom tylko tyle, ile naprawdę konieczne, a nawet mniej, jeśli się da. Między służbami obowiązywała mentalność Kalego, w zasadzie podniesiona do rangi oficjalnej procedury.

– Co mam powiedzieć Tolakowi?

– Współpracuj. Nic więcej.

– Naprawdę? Mam nie mówić o groźbie?

– Jeśli już, to w cztery oczy – odparł Maliszewski po chwili namysłu.

Bardzo ciekawe. Szef wydziału dał wyraźnie do zrozumienia, że nie ufa funkcjonariuszom służb specjalnych afiliowanych przy ambasadzie.

Ferenc powstrzymał się od komentarza.

– Przy okazji – ciągnął pułkownik – uważaj na niego.

– Coś konkretnego?

Maliszewski znów wyraźnie się zawahał.

– To specyficzny człowiek – oznajmił w końcu. – Bardzo wysoko umocowany politycznie. Był w odstawce, teraz jest mocny. Gra trochę pod prąd.

– To znaczy?

– To znaczy, że ochrona wizyty prezydenta nie jest jego jedynym zadaniem.

– A coś więcej?

– Po prostu uważaj. Niewykluczone, że nadchodzi czas weryfikacji kadr.

Ferenc zamknął oczy. Wydarzenia sprzed trzech lat stanęły mu przed oczyma jak żywe. Ciąg katastrof, których powodem była jego lekkomyślność i które udało

się naprawić tylko dlatego, że obecny rozmówca uznał za zasadne mu pomóc. Nie spodziewał się spłacić zobowiązania do końca służby. Czy Tolak mógł być tego świadom? Maliszewski zapewniał go, że o mińskiej wpadce wiedzą tylko oni dwaj, a w papierach nie ma żadnego śladu. Ferenc bardzo chciał w to wierzyć.

– Rozumiem. Muszę iść.

– Idź.

Ekran pociemniał. Ferenc wstał, zatopiony w myślach. Współpracuj. Wykonuj polecenia. Nie wychylaj się. Uważaj na faceta. Jednocześnie rób swoje. Jakie to proste.

Niespiesznym krokiem wszedł na pierwsze piętro, minął kolejną bramkę z uzbrojonym strażnikiem, skinął głową jednej z asystentek szefa placówki, po czym wkroczył do sali konferencyjnej.

Atmosfera była gęsta od wiszącego w powietrzu napięcia.

Ambasador, zażywny facet po czterdziestce, stał u szczytu stołu. Na widok Ferencza zdobył się nawet na powitalne kiwnięcie głową, choć zakres ruchu można było mierzyć w mikronach. Resztę miejsc zajmowała grupa kilkunastu kobiet i mężczyzn stanowiących personel większości trzyliterowych polskich służb specjalnych. Ludwik znał wszystkich, z nikim się nie przyjaźnił. Każdy w gruncie rzeczy żył osobno.

Naprzeciwko ambasadora siedział lekko siwiejący na skroniach gość – tego akurat Ferenc widział po raz pierwszy w życiu. Mocno zbudowany, sprężysty, o wyrazistej twarzy, która wyglądała na nieskorą do rozciągania się w uśmiechu. Również człowiek służb, ale nietuzinkowy. Myślący w poprzek schematów. Aktywny i okrutny.

Ferenc aż się zaśmiał w duchu z tej pokracznej, naprędce skleconej analizy. Facet równie dobrze mógł być referentem podrzędnego wydziału ambasady, tyle że chodzącym na siłownię. A z ponurym wyrazem twarzy się urodził.

– Panie Ferenc, gdzie jest pan Wajman? – warknął ambasador. Ludwik starał się go rozumieć: praca najwyższego rangą dyplomaty w kraju zagrożonym wojną (będącego zarazem przedstawicielem państwa być może również zagrożonego wojną) musiała przypominać taniec na linie zawieszonyj nad przepaścią. Zabezpieczenie placówki na wypadek rosyjskiego ataku, ewakuacja rodzin, niszczenie dokumentów, gromadzenie zapasów paliwa, żywności, wody i leków...

Wiedział, że ambasador starał się nie zaniedbać przygotowań, w wielu uczestniczył osobiście, pracował grubo ponad etat. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Miał prawo być w złym nastroju.

Nie zazdrościł facetowi, delikatnie mówiąc. Jednak obaj zdawali sobie sprawę, że nie miał obowiązku się tłumaczyć.

– W terenie – rzucił krótko.

– Rozumiem, że szef komórki wywiadu ma ciekawsze rzeczy do roboty niż zabezpieczenie wizyty prezydenta Rzeczypospolitej. A pani Lena?

– Nie mam takiej wiedzy, panie ambasadorze – odparł, patrząc mu prosto w oczy.

Dyplomata skrzywił się z niesmakiem, ale Ferenc prawidłowo ocenił sytuację: faceta zaprzętały znacznie ważniejsze sprawy niż dociekanie przyczyn absencji części personelu. Prezydencka wizyta miała się zacząć za dwie godziny.

– Dobrze. Wróćmy do tematu. – Ambasador spojrzał ponownie na zebranych. – Wizyta rozpocznie się o godzinie jedenastej. Samolot z oboma prezydentami wylądaje o dziesiątej trzydzieści. Powitam ich razem z litewskim ambasadorem. Powitanie na lotnisku będzie miało roboczy charakter. Samochody podstawiają Ukraińcy. Zabezpieczeniem podróży zajmują się koledzy z SOP-u. Kolumna przyjedzie prosto na Bankową 11, do budynku Administracji Prezydenta Ukrainy. Seria spotkań przewidziana jest na maksymalnie cztery godziny, ale uprzedzono mnie, że to tylko orientacyjny harmonogram. Może się wydłużyć lub skrócić, zależnie od sytuacji. Obaj prezydenci zaraz potem opuszczą Kijów, drogą lotniczą lub, gdy uznamy, że niebezpieczeństwo ataku lotniczego wzrasta, pociągiem albo transportem samochodowym.

Zapadło milczenie.

Z Kijowa do Warszawy jest ponad osiemset kilometrów. Nigdy nie słyszał, żeby prezydent na takie odległości jeździł samochodem. Ferenc zastanawiał się, ile ten facet wie.

– Z mojej strony to tyle. Przedstawiam pułkownika Jana Tolaka ze Służby Kontrwywiadu Wojskowego. – Ambasador zerknął na milczącego do tej pory gościa. – Na podstawie pełnomocnictwa wystawionego przez prezesa Rady Ministrów, w związku z dzisiejszym przyjazdem pana prezydenta, pułkownik przejmuje dowodzenie nad zabezpieczeniem wizyty.

Ferenc pokręcił głową. Dopiero teraz miał okazję głębiej zastanowić się nad słowami Maliszewskiego. Ciekawe. Fizyczna ochrona wizyty leży w gestii SOP-u, zabezpieczenie kontrwywiadowcze organizuje miejscowy rezydent SKW, który koordynuje temat ze stroną ukraińską. Ferenc zerknął na Wiatrowicza, ale major milczał, ze zwykłym u niego wściekłym wyrazem twarzy. Ciekawe, czy poinformowano go wcześniej o przyjeździe gościa z centrali. Ferenc szczerze wątpił. Wczorajszą odprawę Wiatrowicz prowadził tak, jakby to on był za wszystko odpowiedzialny. Jednak temat będzie prowadził jego szef, co trudno uznać za dowód zaufania.

– Myślę, że dalsze kroki omówicie, panowie, w swoim gronie – ciągnął ambasador, myśląc już najwyraźniej o czymś innym. Wyglądał na coraz bardziej zdenerwowanego ciężącą na nim presją. Skinął zebranym na pożegnanie i wyszedł z sali konferencyjnej. Ludwik współczuł mu, ale jakoś tak półszczerze. Był zbyt pochłonięty własnymi problemami.

Tolak wstał.

– Przy prezydencie będzie ochrona SOP i dwie sekcje jednostki specjalnej GROM plus para snajperska. Naszym zadaniem jest zabezpieczenie zewnętrznego perymetru. Dostaliśmy od strony ukraińskiej zezwolenie na zajęcie narożnego mieszkania w kamienicy przy Bankowej 19 – oświadczył głębokim, nieco zgrzytliwym tonem. – Tam będzie mój punkt dowodzenia.

Ferenc zaczął się niecierpliwić. Musiał niezwłocznie pogadać z Chołyczenką.

– Przepraszam, panie pułkowniku – powiedział. – Chciałbym prosić o minutę rozmowy.

– Za kwadrans.

– Teraz, jeśli można. To ważne.

Tolak zatrzymał na nim spojrzenie. Ferenc nie opuścił wzroku.

– Proszę poczekać, zaraz wracam – nakazał zebranym gość.

Wyszli.

– Chce mi pan zameldować o porannej strzelaninie? – zapytał Tolak.

Ferenc zastygł.

– Skąd ten pomysł?

– Niech pan mi powie.

Ferenc mógłby również jemu wytłumaczyć, że nie musi się przed nim spowiadać. Mógłby powołać się na rozdział kompetencji służb, zaproponować, twierdząc że jego pełnomocnictwo ogranicza się tylko do zagadnień związanych z ochroną prezydenckiej wizyty. Mógłby. Zdecydował się jednak nie zaangażować sytuacji.

– Rutynowa sprawa – odparł neutralnym tonem.

– Słyszałem co innego.

Ponieważ gość nie zadał żadnego pytania, Ferenc zbył uwagę milczeniem. Musiał zachować ostrożność.

– Dziś w nocy się pożegnamy – oświadczył Tolak spokojnie. Patrzył mu prosto w oczy. – Ale do tej pory jest mi pan potrzebny.

– Ma pan rację – przyznał Ferenc. Słowa Maliszewskiego powinny brzmieć niczym alarmowy dzwonek. Powinny, ale jakoś nie brzmiały. Facet wyglądał na skurwysyna, ale uczciwego, nie jego wina, że kijowska placówka najprawdopodobniej miała przeciek i zaliczyła solidne potknięcie, być może największe od początku swego istnienia. – Powiem po prostu: mam wiarygodną informację o planowanym zamachu na ukraińskiego, polskiego i litewskiego prezydenta. Dziś, w Kijowie.

Udało mu się zaskoczyć tego faceta o kamiennej twarzy. W jego oczach zamigotał niepokój, nie pytał jednak o źródło informacji. Najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że i tak nie uzyskałby odpowiedzi.

– Jakież bliższe szczegóły? Rodzaj ataku? Miejsce? Czas?

– Nie znam ich. Mam natomiast zamiar na miejsce zgrupowania grupy dywersyjnej, która ma dokonać zamachu. Muszę niezwłocznie powiadomić Ukraińców, żeby zdążyć ich wygarnąć, zanim ruszą.

– Rozumiem. Gdzie jest major Wajman?

– Tak jak powiedziałem...

– Potrzebne mi są fakty, a nie wersja wydarzeń.

Ferenc otworzył usta, ale powstrzymał się od odpowiedzi. Podlegali pod jeden resort, jednak byli sobie tak odlegli, jak to tylko możliwe.

– Niech pan posłucha – powiedział Tolak, nie pozwalając ciszy na zbyt długie wybrzmiewanie. – Muszę być szczegółowo poinformowany o sytuacji. Rozumie pan? Szczegółowo. Bezpieczeństwo prezydenta podlega pod moje kompetencje.

– Proszę pogadać na ten temat z moim szefem, pułkownikiem Maliszewskim – rzucił Ferenc. Czas przyspieszył. – Naprawdę muszę lecieć.

Przez sekundę miał wrażenie, że Tolak powstrzyma go – siłą, jeśli nie będzie mógł inaczej – albo zacznie powoływać się na pełnomocnictwo premiera, nalegać, wrzeszczeć, awanturować się, w końcu zagrozi aresztowaniem...

Nic takiego się nie stało. Nieoczekiwanie Tolak cofnął się o krok.

– Niech pan idzie – powiedział. – W miarę możliwości proszę mnie informować. Powodzenia.

Zdumienie opuściło go dopiero na ulicy. Dziwne. Facet nie wyglądał na takiego, co odpuszcza. Jednak pozwolił mu odejść, w gruncie rzeczy ignorując informację o zamachu. Wsiadł do rozklekotanego suzuki (ostatniego sprawnego samochodu, jaki kijowska placówka Służby Wywiadu Wojskowego Rzeczypospolitej Polskiej miała do dyspozycji) i wybrał jeden z pierwszych numerów w książce telefonicznej.

– Wadim? – zapytał. – Musimy pilnie pogadać. Zanim przyjadę, sugeruję, żebyś postawił w stan gotowości dwie grupy taktyczne. Wzmocnione.

Etap 2

– Do wszystkich. Zdarzenie na Pardałówce. Ktoś w pobliżu? – zatrzeszczał w głośniku głos dyżurnego.

Krzeptowski podniósł mikrofon. Zdążył zapomnieć, że właśnie skończył służbę. W domu i tak miał niewiele do roboty.

– Zgłasza się dwa cztery. Jestem na Broniewskiego – powiedział. – Co jest?

– Dwa cztery, przecież ty już po...

– Mów.

– Awantura uliczna. Świadek mówi, że dwóch pijanych facetów bije kobietę.

Krzeptowski westchnął. W środku sezonu często musiał brudzić sobie ręce takimi sprawami. Pogodził się z tym. Zdziwienie, jak mało wysiłku go to kosztowało, już dawno mu przeszło. Chciał zostać podrzędnym gliną i został nim. Układ miał niezaprzeczone zalety.

– Podjadę – oświadczył. – Podaj lokalizację.

Dyżurny powoli wyrecytował adres.

– Tylko uważaj. Dwa cztery. – W głosie policjanta dało się wyczuć pewną rezerwę. – Niepotrzebne nam dodatkowe kłopoty.

– Bez odbioru.

Oczywiście facetowi nie chodziło o to, żeby Krzeptowski uważał na siebie. Bał się raczej o innych; sprawców czy nawet świadków. Znał dobrze możliwości swojego rozmówcy. Blisko dwumetrowy, ważący sto dwadzieścia kilogramów zakopiańczyk składał się w zasadzie wyłącznie z mięśni, ścięgien i zakapiorowatego charakteru. Jednak, używając na co dzień przemocy, w gruncie rzeczy brzydził się nią. Zbyt dużo jej oglądał, nie tylko we własnym wykonaniu zresztą. Szczególną nienawiścią (w dosłownym sensie) darzył facetów wykorzystujących przewagę fizyczną wobec kobiety.

Dodał gazu, przeciął skrzyżowanie z Antałówką, po chwili skręcił w prawo, w Pardałówkę. Domy jak spod sztancy, nowe, banalne, ale przynajmniej zadbane. Zaparkował na chodniku, wysiadł. Cisza. Kilkuosobowa rodzina ceprów po drugiej stronie wchodząca do sklepu. Kilka zaparkowanych samochodów, większość na zagranicznych tablicach. Brudne hałdy odgarniętego śniegu na chodnikach. Brudne niebo zasnuwane wszechobecnym smogiem.

Usłyszał krzyk, krótki, ostry, groźny. Odpowiedział mu inny, wyższy, kobiecy, jakby błagalny. Nie rozróżniał słów, ale treść była jasna. Ruszył w tamtą stronę. Boczna uliczka okazała się krótka, sześć adresów.

W głębi, po prawej stronie parkował mercedes z rosyjską rejestracją. Tyłem do niego, niemal wciśnięta w drzwi, stała młoda kobieta w samej bieliźnie i boso. Miała potargane włosy, potężnego siniaka pod okiem i krwawiący nos. Naprzeciw osiłek o nalanej, czerwonej gębie właśnie podnosił pięść do kolejnego ciosu. Obok kolega, wyższy, jeszcze mocniej zbudowany (Krzepkowski zauważył to, ponieważ mimo mrozu obaj mężczyźni ubrani byli tylko w koszulki i bokserki) trzymał kobietę za ramię, praktycznie ją unieruchamiając i wystawiając koledze na strzał. Nie miała już siły walczyć. Jeśli miał ją uchronić przed długim i bolesnym pobytem w szpitalu, musiał zrobić to teraz.

– Ej! – zawołał, nie zwalniając kroku. – Chłopaki! Poczekajcie moment!

Zauważyli go dopiero teraz. Wyższy odwrócił się, ale chwytu nie złuzował. Niższy zastygł ze wzniesioną pięścią. Patrzyli na niego niczym wilki na owcę.

– Idi na chuj, durak – warknął ten, co trzymał dziewczynę.

Krzepkowski ledwo pamiętał rosyjski ze szkoły, ale komunikat był na tyle treściwy, że zrozumiał go bardzo dobrze. Przyjrzał się facetowi nieco dłużej i nagle zachciało mu się śmiać. Gość chciał być bardzo groźny, ale jasnoniebieskie klapki i fioletowe gatki powagi mu nie dodawały. Drugi wyglądał jeszcze śmieszniej: miał na nogach kroksy w kolorze wesołej zieleni i koszulkę pod kolor, z wielkim napisem YSL, żeby nikt nie miał wątpliwości co do jej proveniencji.

Krzepkowski polecenia nie posłuchał, przeciwnie, podszedł bliżej. Już z odległości kilku metrów poczuł odór alkoholu i wielodniowej imprezy. Faceci wyglądali na forsiastych wieśniaków z rosyjskiego zadupia, o ile coś takiego w ogóle było możliwe. Nie znał się na strukturze rosyjskiego społeczeństwa. Może

źle ich ocenił: może stanowili wzorcowe okazy rosyjskiej inteligencji pracującej, obecnie na wakacjach.

– Puść ją, już! – powiedział, mimowolnie obniżając głos. Ktoś kiedyś określił jego brzmienie jako dźwięk ochryplej, zardzewiałej piły łańcuchowej, wgryzającej się w poczerniały ze starości dąb. Nawet mu się to podobało.

Wyższy uwolnił kobietę tylko po to, by mieć do dyspozycji obie ręce. Zrobił krok do przodu. Krzeptowski nie odwrócił wzroku. Patrzyli sobie w oczy przez całą sekundę.

– Mamy dwa wyjścia do wyboru – oznajmił Krzeptowski. Czuł na biodrze ciężar służbowego pistoletu. Nie zamierzał go nawet dotykać. – Możecie ją puścić, zapakować się do samochodu i odjechać. Każdy rozejdzie się w swoją stronę. Jest też drugie rozwiązanie. Mogę was zawinąć na komendę. Posiedzicie, wytrzeźwiejecie, zrobi się weekend, a w weekend to wiecie, jak jest, wszystko na pół gwizdka, trzeba czekać na poniedziałek, dopiero wtedy przystąpimy do czynności. Więc jak będzie?

– My nie gawarim po polski, ty idiot! – warknął wyższy. – Ja skazał ciebie, idi na chuj ot siuda.

Kobieta, korzystając z faktu, że uwaga oprawców skupiła się na góralu, oderwała się od karoserii, schyliła, by uniknąć próby chwycenia jej i zaczęła uciekać w stronę Pardałówki. Biorąc pod uwagę, że była mocno poturbowana, biegła bardzo szybko.

Zakopiańczyk sięgnął do kieszeni i wyciągnął blachę. Podniósł ją na wysokość twarzy.

– Policja – oświadczył. – To rozumiesz? Policja. Po-lic-ja. Dwa kroki do tyłu, już!

Facet uderzył na wprost, dobrze mierzonym prawym. Musiał chyba kiedyś trenować boks, bo cios był zadany zgodnie z zasadami sztuki, ale alkohol i hulaszczy tryb życia pozbawiły Rosjanina szybkości i koniecznej siły, w związku z czym Krzeptowski nie miał najmniejszego kłopotu z wykonaniem uniku. Jego z kolei pięść wyprysnęła do przodu niczym na sprężynie. Uderzyła nisko, w splot słoneczny, z siłą końskiego kopnięcia.

Walka skończyła się. Facet stęknął głośno, postawił oczy w słup i opadł na kolana. Jego usta przypominały pysk karpia wyciągniętego z wody. Krzeptowski więcej się nim nie zajmował.

Drugim też nie musiał, bo chociaż facet chyba nie do końca rozumiał, co się stało, nie wykazywał agresywnych zamiarów, nie dawał znać, że chce pomścić upokorzenie kumpla, w ogóle się nie ruszał. Może uznał, że różnica wzrostu lub masy jest zbyt duża.

– Mieszkasz tu? – zapytał Krzeptowski.

Tamten kiwnął potakująco głową, jakby zapominając, że przecież nie mówi i nie rozumie po polsku.

– To kicaj po ubranie tej pani, ale już – nakazał góral. – Jak nie wrócisz za dwie minuty, więcęj kumpla i fury nie zobaczysz. A ciebie znajdę, tak czy inaczej.

Mężczyzna ochoczo wykonał polecenie. Krzeptowskiemu przyszło do głowy, że ryzykuje. Nie wiadomo, czy na kwaterze chłopcy nie trzymają jakiegoś sprzętu do robienia krzywdy drugiemu człowiekowi. Nawet do zaklejonego wódką mózgu mogło dotrzeć, że może jeszcze spróbować szczęścia, torując sobie drogę pistoletem.

Jednak nie.

Facet pojawił się nawet szybciej niż po dwóch minutach. Trzymał w objęciach kobiece ubranie i buty. Krzeptowski przerzucił je przez ramię. Facet na ziemi jęczał. Zakopiańczyk nie zaszczycił go spojrzeniem.

– Mogę was zamknąć za napaść na policjanta na służbie – oświadczył, darując sobie wyjaśnienie, że właściwie był po pracy. – U nas to poważna sprawa. Ale okazaliście się niegroźnymi pierdołami, więc po prostu wyjedziecie. Jeszcze dziś. Wieczorem tu wrócę i jak was znajdę, pogadamy na poważnie. Zrozumiałeś?

Kiwnięcie.

– To bierz kumpla i spierdalaj.

Odwrócił się i poszedł w stronę głównej ulicy. Nie uznał za stosowne sprawdzić, czy grozi mu jakieś niebezpieczeństwo.

Gdy wyszedł za róg, zatrzymał się.

Za jego samochodem zaparkował drugi wóz, znacznie kosztowniejszy, na warszawskich numerach. Opierał się o niego barczysty mężczyzna o twarzy jak wyciosanej z kamienia. Drzwi samochodu były otwarte. W środku siedziała kobieta, którą przed chwilą uchronił od dłuższego pobytu w szpitalu. Ramiona okrywała jej gruba, narciarska kurtka, stopy tkwiły w górskich butach. Pochylała

się nad nią druga kobieta, starsza, ale znacznie bardziej atrakcyjna, i mówiła coś cichym, kojącym głosem.

– Pułkownik Jan Tolak – powiedział Krzeptowski. Nie odczuwał zdziwienia, no, może odrobinę.

Oparty o samochód mężczyzna uśmiechnął się na powitanie.

– Nadkomisarz Stanisław Krzeptowski, postrach ruskich mafiozów – odpowiedział.

Krzeptowski podszedł bliżej.

– Jak oni byli z mafii, to ja jestem baletnica – zareplikował. – Zwykle ruskie wiejskie ciule.

– No, ale mogło być różnie. – Tolak uśmiechnął się jeszcze szerzej. – W Rosji jest coraz gorzej z odpowiednimi kadrami. Może sołncewscy zatrudniają głupków ze wsi. Klamkę mogli mieć.

– Mogli – zgodził się Krzeptowski, choć jego wyobraźnia nie była aż tak bogata, by rozwiązać problem mocowania broni do bokserek. Po czym spojrzał na pochylającą się nad ofiarą kobietę. – Cześć, Kika.

– Cześć, Staszek – odparła zagadnięta miękkim niskim altem. Powitalny pocałunek, co odczuł z satysfakcją, sprawił mu nielichą przyjemność. – Świetnie wyglądasz, naprawdę.

– Może dzisiaj. Natomiast ty jak milion dolarów wyglądasz zawsze.

Roześmiała się. Z Tolakiem przywitał się krótkim uściskiem dłoni.

– Widzę, że odzyskałeś formę, Stasiu – oznajmił pułkownik, krzywiąc się nieznacznie. Wyglądał na człowieka, który ma ochotę podmuchać na dłoń.

Krzeptowski uniósł kąciki ust.

– Widzę, że jakieś zaawansowane szkolenie z dobrych manier było, co? – zapytał. Podszedł do siedzącej w samochodzie kobiety. Wyglądała na zszokowaną i niezdającą sobie sprawy, co się wokół niej dzieje. Z bliska zauważył, że jest znacznie młodsza, niż ocenił przy pierwszym kontakcie. Miała najwyżej dwadzieścia lat.

Podał jej ubranie.

– To chyba twoje – powiedział celowo oschłym tonem. – Już nic ci nie grozi.

Spojrzała na niego niewidzącym wzrokiem. Nie słyszała go.

– Ja się tym zajmę – włączyła się Kika, przejmując od Krzeptowskiego garderobę kobiety. – Idźcie sobie gdzieś na boczek.

Niezły pomysł. Przeszli wraz z Tolakiem na drugą stronę ulicy.

– Może usiadziemy? – zapytał gość z Warszawy. – Tu jest kawiarnia.

Krzeptowski chętnie się zgodził. Miał ochotę na kawę, sądził ponadto, że czeka ich dłuższa rozmowa. Tolak osobiście pofatygował się ze stolicy z pewnością nie po to, by wymienili kilka uwag o pogodzie.

Weszli do środka, zamówili latte, usiedli w kącie. Krzeptowski widział przez okno, jak Kika pomaga dziewczynie się ubrać. Robiła to bardzo delikatnie i cały czas łagodnie do niej przemawiała. Z biegiem lat nie straciła wrodzonej empatii – jakże trudna sztuka w branży. Przeniósł wzrok na Tolaka. Facet wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy zakopiańczyk widział go po raz ostatni, poza tym, że ubrany był jak typowy ceper, w krzykliwe kurtkę, efektowne górskie buty i spodnie narciarskie. Niezły pomysł, w środku sezonu nie odróżniał się od reszty gości.

– Do czego ci jestem potrzebny?

– Szybko do konkretnego, co?

– Jak się taszczyłeś taki kawał, to pewnie czas cię goni. Chyba że wpadłeś do Zakopanego, bo ci się przypomniało, że Kasprowy to kawał porządnej góry. A na mnie natknąłeś się przypadkiem.

Tolak spoważniał.

– Jest robota.

– Domyślam się. Jaka?

– Podobna do tego, co robiłeś przedtem.

– Zły adres. Jestem małomiasteczkowym gliniarzem w wieku przedemerytalnym. Przeprowadzam staruszki przez ulicę. Wlepiam mandaty za złe parkowanie.

Tolak roześmiał się wesoło.

– Co ty powiesz. Zapomniałeś o pouczeniu turystów, żeby nie śmieć.

– Wybacz. Skleroza.

Pułkownik sięgnął do teczki. Wyciągnął z niej gruby na centymetr plik zbindowanych kartek, osłoniętych szarą okładką bez żadnego napisu.

Rzucił ją na stół.

– Bardzo ciekawa lektura. Tylko w ciągu ostatniego roku rozwiązałeś trzy sprawy o morderstwo. Szesnaście napadów, dwa z użyciem broni. Sprawcy siedzą. Porwanie syna biznesmena z pierwszej dziesiątki najbogatszych. Sprawcy aresztowani, czekają na sprawę. Dwa gwałty – sprawcy też siedzą, jeden najpierw przebywał pół roku w szpitalu, twierdzi, że potknął się na schodach. Mam wymieniać dalej?

Krzeptowski roześmiał się.

– Prawie w każdym amerykańskim filmie jest tak, że jakaś postać mówi bohaterowi, co wcześniej zrobił, jakby, do kurwy nędzy, sam tego nie wiedział – rzucił. Co nie zmieniało faktu, że Tolak należał do ludzi bardzo dobrze poinformowanych. Co prawda Krzeptowski nie robił z przeprowadzki ze stolicy kraju do stolicy Tatr żadnej tajemnicy, ale jego działalność zawodowa otoczona była tajemnicą służbową. – Po co mi to mówisz?

– Mam przed sobą faceta, który odzyskał chęć do życia. I chyba coś więcej.

– Poważnie?

– Nie obraż się, bardzo lubię Zakopane, ale te ramy są dla ciebie za ciasne, Stasiu. Wystarczyło popatrzeć, jak musiałeś się powstrzymać, żeby nie pozabijać tych durnych kacapów. Ciągnie wilka do lasu, co?

Krzeptowski zamyślił się.

Od pięciu lat żył spokojnie na ciepłej policyjnej posadce w rodzinnym mieście. Owszem, zdarzały się spektakularne akcje wymienione przez Tolaka, ale na co dzień łapał bandytów tak miernego kalibru, że kilka lat wcześniej wzbudziłiby tylko uśmiech politowania. Przynajmniej do czasu, aż przed wszystkim dochodził do siebie po stracie żony. W jakimś sensie mu się udało. Wrócił do formy fizycznej i dawnej wagi, zaczął na powrót dręczyć ciało treningami sztuk walk wszelakich, jeździł na nartach, zaczął się uśmiechać i normalnie rozmawiać z ludźmi. Czasami nawet znowu mówił gwarą, co zdarzało się tylko wtedy, gdy był w dobrym humorze.

Rana zabiłżniała się, choć znajomy psycholog orzekł, że do końca najprawdopodobniej nie zagoi się nigdy. Zgadzał się z tym: miał zbyt dobrą pamięć, by zapomnieć Jadwigę. Musiał po prostu nauczyć się żyć ze stratą i świadomością, że nic jej nie wypełni.

I gdy się już nauczył, uświadomił sobie jeszcze coś.

Dotarło do niego, że po prostu czeka. Pracuje, trenuje, wchodzi z ludźmi w zwykłe interakcje – a w gruncie rzeczy chce, by coś się stało, by jakieś dramatyczne wydarzenie zakłóciło codzienną, wygodną rutynę. Dawnego życia, z jego adrenaliną i pośpiechem, nie dało się ot, tak wyrzucić za siebie, jak niepotrzebnego sprzętu. Gdy więc zobaczył Tolaka, znajomego z dawnych czasów, poczuł dobrze znane napięcie, z którym nawet nie próbował walczyć. Ciało po prostu dało sygnał, że jest gotowe do działania.

– Co za robota?

– Konkrety, jak się zdeklarujesz. Na razie parę spraw bazowych.

– Mów.

– Jesteś na bieżąco z sytuacją?

– Zależy, o co pytasz.

– O to, co na wschód od nas.

– Wiem tyle, ile wyczytam w Internecie.

Tym razem uśmiechnął się Tolak.

– To zawsze mi się w tobie podobało. Ironiczny stosunek do rzeczywistości.

– Poważnie. Naprawdę żyję tym, co mam przed nosem. Biorę pensję, staram się nie wydawać za dużo i czekam na emeryturę.

– Dobra. Potrzebuję sprawdzonych ludzi na misję. Dwa tygodnie, może miesiąc.

– Masz swoich.

– Potrzebuję ekipy spoza firmy. Mojej, twojej, jakiegokolwiek.

Krzeptowski zrobił się ostrożniejszy. Nie pytał, dlaczego Tolak szuka poza oficjalnymi strukturami. Nie musiał. Kika weszła do kawiarni, przyciągając kilka męskich spojrzeń. Zamówiła kawę i usiadła naprzeciw Krzeptowskiego.

– W porządku? – zapytał Krzeptowski.

– Dziewczyna dojdzie do siebie. Nawet się zrobiła rozmowna pod koniec.

– Mewka?

– Na dorobku, zdaje się. Chyba zaczyna się zastanawiać, czy to na pewno dobry wybór. Umówili się z nią na balet, uzgodnili cenę, na miejscu nieco zmienili warunki i oczekiwania...

Krzeptowski nie musiał dalej słuchać. Takie historie zdarzały się codziennie. Perspektywa szybkiego zarobku skusiła niejedną młodą dziewczynę. Ta

przynajmniej pozbyła się złudzeń i zachowała zęby w całości.

Odwrócił się do Tolaka.

– Jakie zadanie?

– Ogólnie mówiąc, uniknięcie ruskich czołgów w Alejach Ujazdowskich.

– Bez jaj.

– Bez. Mówię zupełnie poważnie.

– Już się boję.

– Słusznie. Może dłużej pożyczesz.

Krzeptowski przyjrzał się rozmówcy. Facet, w odróżnieniu od Kiki, jednak się zmienił. Przybyło mu zmarszczek i siwych włosów na skroniach. Jego twarz nigdy nie należała do najbardziej przyjemnych, teraz stała się jak ciosana w kamieniu tępym dłutem.

– Warszawa?

– Kijów.

To już było więcej niż interesujące. Fachowcem od wywiadu się nie czuł, czytał tylko oficjalne doniesienia, ale potrafił sobie, na prywatne potrzeby, wytworzyć w miarę klarowny obraz sytuacji. Czuł w powietrzu wojnę. Nie jakieś tam hybrydowe uderzenie, działania SOF-u czy zielonych ludzików, tylko zwykłą, regularną wojnę, z uderzeniami sił pancernych, rajdami zmechu, atakami lotnictwa i nawałami artyleryjskimi. Rosjanie działali metodycznie, powoli, przygotowywali zapasy. Gdy będą gotowi, uderzą i samą masą zmiażdżą wszystko, co stanie im na drodze. Krzeptowski, jak wielu innych, nie miał złudzeń co do jakości obu armii. Może i Ukraińcy od ośmiu lat modernizowali swe siły zbrojne, może starali się wdrożyć zachodnie procedury dowódcze, korzystając zresztą przy tym z hojniejszej ostatnimi czasy pomocy Amerykanów. Może i tak. Jednak dysproporcja potencjału była zbyt oczywista. Gdy Rosjanie uderzą i zechcą zająć Kijów, zajmą go. A potem pójdą dalej, na zachód, ku granicy z Polską.

– Nigdy nie byłem w Kijowie. Nie znam ukraińskiego, ani Ukraińców, po rosyjsku dukam.

– Nie szkodzi. Znasz się na ważniejszych rzeczach niż znajomość miasta czy języka.

– Coś bliżej?

Tolak pokręcił głową. Miał rację. Krzeptowski na tym etapie nie powinien pytać o takie rzeczy.

– Ilu osób potrzebujesz?

– Jeśli wchodzisz, przy tym stoliku siedzi komplet.

Spojrzał na Kikę. Po raz ostatni widział tę dziewczynę pięć lat temu. Nie bardzo miał pojęcie, co przez ten czas robiła. Wiedział tyle, że po jego odejściu pozostała w cebeesiu, a kiedy raz czy drugi był służbowo w Warszawie, doszły go korytarzowe plotki głoszące, że ma na koncie spektakularne sukcesy. Nie dopytywał o szczegóły. Był na etapie kompletnego odcięcia się od przeszłego życia.

– Nikogo więcej?

– Kika i ty. Ja dowodzę całością. Mam umocowania i dla was, i dla siebie.

Tak czy inaczej, Tolak powiedział coś ważnego: akcja zapowiadała się nader dyskretnie, skoro do jej wykonania wystarczą trzy osoby.

– Miesiąc?

– Najwyżej.

Zastanowił się. Czekał na taką okazję. Jeśli się zgodzi, jutrzejszego dnia nie zacznie od kolejnej próby mediacji między Gałuszkami a Sabałami na Kościuszki 6. Spór o kawałek działki wielkości niecałych pięćdziesięciu metrów ciągnął się od wojny i nic nie zapowiadało szczęśliwego zakończenia. Sądy okazały się bezsilne, pozostała mediacja osób postronnych, a Krzeptowscy od zawsze z oboma rodami mieli dobre stosunki.

– Wchodzę.

– Podpisz kwit.

Krzeptowski bez dyskusji złożył podpis na krótkim piśmie zobowiązującym go do zachowania w całkowitej tajemnicy wszelkich informacji i działań, które staną się jego udziałem w ciągu najbliższych trzydziestu dni.

– Witaj na pokładzie – oświadczył Tolak, chowając oświadczenie do kieszeni. – Krótka. Amerykanie trochę zbyt późno się zorientowali, że Rosjanie chcą naprawdę uderzyć. I że odstraszenie w dawnym stylu nie działa. I nie zadziała. Trzeba ratować, co się da, za wszelką cenę.

Krzeptowski wzruszył ramionami. Stały mu przed oczyma straszno-śmieszne obrazki nieporadnej ewakuacji jankesów z Afganistanu. Nie trzeba było zbyt

wielkiej wyobraźni, by zgadnąć, jak odebrano tę rejteradę w Moskwie. Włodarze Kremla musieli się nieźle bawić przed telewizorami. Od tamtej pory przygotowania do wojny szły pełną parą.

– Wojna będzie, tak czy inaczej.

– Najprawdopodobniej. Nie o to chodzi. Amerykanie chcą przypilnować, żeby nie rozlała się dalej. Potrzebują precyzyjnych informacji. I potrzebują, żeby to, co krąży między nami, nie wyciekało na zewnątrz.

Dochodzili do sedna.

– I co ja mam z tym wspólnego?

– W naszej ambasadzie jest kret.

To już się robiło bardziej klarowne. Tolak dochrapał się posady zastępcy szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Krety to jego działka.

– Nasza ambasada to znowu nie taki siódmy cud świata – stwierdził Krzeptowski. – Co przeciek u nas może obchodzić Amerykanów?

– Plan jest taki, że jeśli zacznie się wojna, Polska będzie głównym hubem transportowym pomocy – odparł Tolak. – A ambasada znajdzie się na pierwszej linii frontu. Rosjanie staną na głowie, żeby mieć dostęp do harmonogramu i tras transportów.

– Amerykanie zamierzają pomagać?

– Na dużą skalę. My zresztą też. I parę innych państw. Jankesi zorientowali się, że dali dupy i nie byli dość stanowczy. Więc teraz przyciskają gaz.

– Ocknęli się.

– No, chłopcy tak mają. Ale ważne, że chcą działać.

Pocieszające, o ile można użyć takiego słowa w kontekście zagrożenia wojną. Krzeptowski obawiał się, że, znając niechęć Zachodu do postawienia się Rosji, rządy mocarstw ograniczą się do pogrożenia placem, wprowadzenia kilku symbolicznych sankcji ekonomicznych i przemienienia tych samych słów do zawsze. Jak w dwa tysiące czternastym po aneksji Krymu, jak w dwa tysiące ósmym po napaści na Gruzję. Prezydent Francji pojedzie do Moskwy pogadać, kanclerz Niemiec wygłosi kilka przemówień, w których pobrzmiwać będą nuty zatroskania stanem praworządności i liberalnych wartości w niektórych krajach europejskich (bez wymieniania, o które chodzi), po czym wszyscy wrócą do business as usual, na czele z pompowaniem gazu rurami biegnącymi pod dnie

Bałtyku. Wartości wartościami, a bezrobocie czy ceny prądu nie mogą wzrosnąć, czyż nie?

– W razie wojny wszystkie ambasady zostaną ewakuowane.

– Nie nasza. Plan jest taki, że część obsady zostanie. W tym ambasador i trzyliterówki.

Krzeptowski zastanowił się. Miał przemożne wrażenie, że Tolak nie mówi mu wszystkiego. Kika milczała z nieodgadnioną miną. Może od niej się czegoś dowie, później.

– Czyli musisz zlikwidować przeciek, żeby szło gładko.

– Musimy zlikwidować przeciek, żeby harmonogram dostaw pozostał niejawny. Żeby było jasne: nie chodzi tylko o możliwość zaatakowania jednego czy drugiego transportu.

– Tajne mają pozostać systemy zarządzania walką.

Tolak wyciągnął w jego stronę palec i przymknął oko, jakby chciał powiedzieć: „bingo”.

– Amerykanom bardzo na tym zależy – wtrąciła Kika.

– Więc u nas wszyscy natychmiast trzaskają obcasami – nie mógł powstrzymać się Krzeptowski.

– W tym wypadku mają rację.

– Dlaczego jankesi nie zrobią tego sami?

– Bo uważają, że to nasza sprawa. I przy okazji sprawdzają sojuszniczą orientację w temacie, sprawność służb i procedur.

Miało sens. Polska dopiero raczkowała w roli państwa frontowego, a miłość do Amerykanów była jednostronna – mocarstwo zza Atlantyku podchodziło do sprawy znacznie bardziej pragmatycznie, rozumiejąc przede wszystkim język interesu i korzyści. Polska była jankesom potrzebna wyłącznie jako instrument polityczny, żadnego sentymentu w tym nie było. Co z kolei niektórym decydom znanym z Wisły, pełnym wzniosłego oburzenia na takie ujmowanie polityki (którą nazywali transakcyjną), nie mieściło się w głowie.

– Twoją rolę rozumiem. Kika i ja jedziemy jako?

– Amerykanie wydadzą wam dokumenty, że jesteście oficjalnymi konsultantami Departamentu Stanu. Z immunitetem. To powinno otworzyć każde drzwi i nie

będziecie musieli odpowiadać na żadne pytania. W razie czego powołacie się na Josepha Bronna.

- Dlaczego nie jedziemy jako my?
- Ukraińcy szerzej otwierają drzwi Amerykanom niż nam.
- O ile pamiętam, Bronn pracuje w CIA.
- Z tej okazji przeszedł do innego resortu.

Jeszcze ciekawiej. Mieli pracować jako nielegalni pod parasolem ochrony dyplomatycznej obcego państwa, a alibi zapewniał im będzie wysoki urzędnik najpotężniejszej agencji wywiadowczej świata, pracujący pod przykrywką jako dyplomata.

- Broń?
- Jaka będzie potrzebna.
- Ukraińcy o nas nie wiedzą?
- Wiedzą o misji wysłanników Departamentu Stanu.
- A nasi?
- Minister. I mój szef. Oficjalnie jadę koordynować operację ochrony wizyty prezydenta.
- Prezydent wybiera się do Kijowa?
- Dwudziestego trzeciego.
- Ryzykownie.
- Wszyscy mu to mówią. Ale akurat dla nas dobrze, że jedzie.
- Jaka dokładnie będzie nasza rola?
- Dowiemy się na miejscu. Rozpoznanie. Praca operacyjna. Inwigilacja. Realizacje. Ogólnie: wykrycie kreta. Wszystko to, co robiłeś przez całe życie.

Krzeptowski westchnął. Nielegalna operacja, przy której z pewnością nie obejdzie się bez użycia przemocy. W obliczu wojny. Bez wiedzy i zgody Ukraińców. Z przykrywką Amerykanów, którzy w razie czego oczywiście wszystkiego się wyprą i palcem nie kiwną, żeby pomóc w razie wpadki.

Wstał. Kawiarnia zrobiła się zatłoczona do granic możliwości. Chciał stąd wyjść.

- Pogadasz z moim szefem?

Tolak wyraźnie się odprężył. Wstał również. Był niższy o pół głowy.

– Weź tylko szczoteczkę do zębów – powiedział. – Wszystko dostaniesz na miejscu. Zbiórka za godzinę.

To było tydzień temu, w środę, szesnastego lutego.

Przez ten czas nawet zdołał polubić swój nowy pseudonim: Orkan. Miał w sobie powiew mocy i przypominał mu góry. Szybko nauczył się nim posługiwać. Dlaczego nie? Robił już w życiu tyle rzeczy, że zaprzyjaźnił się ze zmianami, nieraz bardzo raptownymi. Dziś tu, jutro tam, dziś robi jedno, jutro drugie, wczoraj pilnuje porządku, dziś go narusza. Przyzwyczyił się. Resztę czasu poświęcił na opanowanie podstaw ukraińskiego. Kika, która była znacznie pracowitsza i wykazywała większe zdolności do nauki języków, mobilizowała go do wzmożonego wysiłku.

Podczas podróży pociągiem z Warszawy do Kijowa posłusznie wkuwał zwroty i słówka, ale też starał się poznać topografię miasta. Dlatego teraz, gdy siedząc w samochodzie na kijowskim parkingu usłyszał wezwanie, wiedział, gdzie jechać i zareagował bez wahania. Tolak nie skończył jeszcze mówić, gdy zawrócił i przycisnął gaz.

Prowadził pewnie i szybko, przepisy przekraczając jednak w rozsądnym wymiarze. Kijowska policja podobno na ogół dawała się ugłaskać niewielką łapówką, ale negocjacje spowodują zwłokę, na którą nie mógł sobie pozwolić.

Podczas tych kilku dni spędzonych nad Dnieprem parę razy złapał się na myśli, że w ogóle tu nie pasuje. Nie tylko nie znał miasta. Nigdy nie miał nic wspólnego z Ukraińcami ani Ukrainą, jego znajomość rzeczy sprowadzała się do jednej turystycznej wizyty we Lwowie, kilkanaście lat temu. Głównie wtedy jadł i pił, delektując się faktem, że jego nędzne dochody w tym akurat miejscu wystarczają, by żył jak król. Trudno to doświadczenie nazwać znajomością rzeczy.

Nie mówił tego Kice.

Szarpnął kierownicą, skręcił z piskiem opon i znalazł się na szerokim i jak zwykle zatłoczonym Chreszczatiku (nadal nie mógł zrozumieć nimbu niezwykłości tego miejsca. Rządził tu jakiś przedziwny miks socrealizmu z dziewiętnastowieczną secesją, którego nie znosił). Minął Majdan Niezależności i skręcił w prawo, w Horodeckiego.

Opony huczały na granitowej kostce, kwestią czasu było, aż wpadną w poślizg.

Nie wpadły. Policyjna blokada zamykała ulicę sto metrów dalej. Zwolnił i tocząc się w tempie piechura, podjechał do stojącego w poprzek radiowozu. Uchylił okno, wpuszczając haust lutowego powietrza przesiąkniętego spalinami.

– Mene zwaty Stan Borowy. Ona Kristina Bruks. My konsultanty dierzawnowo dapartamenta Es-esz-a – wydukał z pamięci wyuczony tekst, po czym wyjął zatopiony w plastiku identyfikator. Na zdjęciu wyglądał młodziej, choć z drugiej strony rogowe okulary dodawały mu powagi. – My dopomahajem ukraińskim spetsśłużbam. My powynni shwydko distatsya do mistsia podyi.^[1]

Policjant był młody i wyglądał na przejętego swoją rolą. Uważnie obejrzał oba dokumenty, bez żenady znacznie dokładnie przyglądając się Kice, a przy tym starając się nie pokazywać, że ma z czymś takim do czynienia po raz pierwszy w życiu. Porównał zdjęcia z oryginałami, nie znalazł różnic, spojrzał na starszego kolegę, który przyglądał się samochodowi i samemu Orkanowi bez specjalnego zainteresowania.

– Wy ozbrojeni?^[2]

– Tak. My majemo dozwil Ministerstwa Wnutrisznih Spraw.^[3]

– Bud' łaska, pokaži meni^[4]

Krzeptowski sięgnął za pazuchę i wyciągnął kolejny dokument. Autentyczne, z prawdziwymi podpisami i pieczęciami, zezwolenie na posiadanie broni. Policjant obejrzał je równie uważnie, co identyfikator, po czym oddał właścicielowi. Starszy kiwnął głową. Młodszy odsunął stalową barierę i pokazał, że można jechać.

Nadkomisarz dyskretnie odetchnął z ulgą. Od przyjazdu do Kijowa legitymowano go trzykrotnie. Kamuflaż działał bezbłędnie, co zresztą skłoniło go do refleksji, że Rosjanie z pewnością są równie dobrze przygotowani i mogą równie swobodnie poruszać się po mieście.

Pokonał jeszcze dwieście metrów i zaparkował przy chodniku. Wymacał w kieszeni komórkę. Nacisnął przycisk połączenia.

– Melduje się Orkan – szepnął do mikrofonu.

– Mów.

– Jesteśmy na miejscu.

Nawet po tej stronie było wyraźnie słychać, że Tolak odetchnął z ulgą.

– Jest poważne zagrożenie. Zajmijcie stanowisko – zarządził, po czym rozłączył się.

Krzeptowski spojrzał na Kikę.

– Idziemy.

Wzięli z bagażnika dwa podłużne pakunki, po czym weszli do bramy jednej z pobliskich kamienic.

Może informacje ukraińskich kumpli Ferenca okażą się na tyle precyzyjne, że uda się namierzyć rosyjskie grupy dywersyjne. Może SBU zadziała na tyle szybko i skutecznie, że zneutralizuje je, nim uderzą. Może niebezpieczeństwo zostanie w ten sposób zażegnane, a dzisiejsza wizyta przebiegnie spokojnie.

Może. A może nie. Niewiadomych było tyle, że nie sposób przewidzieć wszystkiego. SBU mogło mieć fałszywe informacje albo po prostu się spóźnić. Nawet sukces nie gwarantował wygranej: grup mogło być więcej niż dwie. Z pewnością Rosjanie zorganizowali kilka wariantów postępowania, właśnie na wypadek, gdyby jeden czy drugi został wykryty.

Dlatego, między innymi, wciągnął do akcji swój nieoficjalny zespół, choć zapobiegnięcie zamachowi nie miało być ich zdaniem. I Kika, i Krzeptowski zgodzili się jednak pomóc bez wahania, wiedzieli bowiem, że działając poza legalnymi strukturami, mieli być może szansę dostrzec coś, co umknęłoby uwadze ludzi profesjonalnie zaangażowanych w ochronę wizyty. Tolak właśnie na to liczył. Oboje byli wytrawnymi śledczymi, psami z silnym instynktem łowieckim, darem obserwacji i trafnego wyciągania wniosków z niepasujących do siebie kawałków rzeczywistości.

Poza wszystkim, mając świadomość obecności kreta wśród personelu ambasady, wolał mieć odwód, o którym nikt nie wie. Wydawszy im polecenia, wrócił do swego oficjalnego zajęcia, szefa ochrony wizyty.

Mieszkanie mieściło się na piątym piętrze ładnie odnowionej kamienicy na Bankowej 19, liczyło cztery obszerne pokoje i było narożne, co stanowiło jego największą zaletę. Okna części pomieszczeń wychodziły na Bankową, zapewniając obserwację w głąb ulicy, gdzie za masywną bramą strzeżoną przez liczną ochronę mieścił się pochodzący jeszcze z sowieckich czasów budynek, w którym ukraiński

prezydent przyjmował zagraniczne delegacje. Reszta pokoi umożliwiała monitorowanie zachodniego odcinka Luterańskiej. Lokal udostępniło SBU i Tolak musiał przyznać, że został wybrany idealnie. Znajdował się na tyle blisko miejsca spotkania głów państwa, by umożliwić błyskawiczną interwencję, i na tyle daleko, by mieć stosunkowo szeroki obraz sytuacji. Resztę podejść do budynku Administracji Prezydenta na bliższym i dalszym perymetrze zabezpieczało SBU i ukraińskie SOF.

Tolak urządził centrum dowodzenia w środkowym pokoju, który za poprzedniego życia mieszkania pełnił zapewne rolę salonu. Obok siedziało przed ekranami dwóch operatorów dronów, śledzących obraz z kamer zawieszonych dwieście metrów nad ziemią bezzałogowych statków latających, zwanych popularnie dronami.

Przy każdym oknie zajmował stanowisko obserwator. Para snajperska przydzielona przez Biuro Operacji Antyterrorystycznych KG Policji siedziała na krzesłach pod oknem. Rozłożony i gotów do pracy karabin spoczywał na dwójnogu, tuż pod ręką, Tolak jednak nie spodziewał się, by został użyty. Zamach, jeśli nastąpi, odbędzie się w bardziej skomplikowany sposób niż poprzez atak samobójcy z granatnikiem albo szturm na bramę kilku zdesperowanych strzelców.

Myślał o informacji przekazanej przez Ferencą, który utrzymywał, że nie zna szczegółów taktycznych ewentualnego zamachu. Wiedział jednak, gdzie przebywali wykonawcy. Ciekawe. Musiał mieć bardzo dobrze poinformowane źródło, z samej góry FSB lub GRU. Czy to miało związek z poranną strzelaniną? Bardzo prawdopodobne. Czy miało związek z przeciekiem? Mniej prawdopodobne, choć możliwe. Rosjanie musieli dowiedzieć się o możliwym przecieku u siebie i próbowali go powstrzymać.

Przyjął założenie, że próba zamachu nastąpi, nawet jeśli Ferenc i Ukraińcy zlikwidują jedną grupę dywersyjną. Rosjanie uderzą, bo takich dobrze zakamuflowanych grup mają prawdopodobnie w mieście kilka i są przygotowani na ewentualność utraty jednej czy dwóch z nich.

Zanim Wiatrowicz pojechał na lotnisko, Tolak zdążył chwilę z nim pogadać.

– Jeśli rzeczywiście mają w planach zlikwidowanie wszystkich trzech, uderzą wtedy, gdy będą razem – orzekł Wiatrowicz zapytany, jak jego zdaniem mogłoby to wyglądać.

– W czasie spotkania.

– Nie. Tam nie mają dostępu. Przy powitaniu lub pożegnaniu. On zawsze wita gości na zewnątrz, chwilę gadają, dopiero potem wchodzi do środka. To samo robi przy zakończeniu wizyty. Będą odsłonięci.

– Krótki przedział czasowy.

– Mają to wliczone w koszty.

Tolak rozumiał implikacje takiego modelu. Zamachowiec (lub zamachowcy) musi dokładnie wiedzieć, co do sekundy, kiedy nastąpi powitanie obu prezydentów. Powodzenie operacji zależy od obserwatora umieszczonego wystarczająco blisko, by miał dokładny widok na dziedziniec budynku. Nieistotne, czy będzie to dron czy żywy człowiek. Liczył się efekt.

Tolak oczywiście wiedział, że ochrona ukraińskiego prezydenta (a co za tym idzie, dzisiejszego spotkania również) została ostatnimi czasy znacznie wzmocniona, wyposażona w broń nie tylko maszynową, ale i ciężką, a także wyrzutnie MANPADS. Kilka kręgów bezpieczeństwa tworzyli ludzie pewni, sprawdzeni, w większości posiadający doświadczenie bojowe. Okoliczne budynki obstawione były stacjami radiolokacyjnymi i operatorami, obserwację nieba prowadzono bez chwili przerwy w każdym sektorze.

Sęk w tym, że rosyjscy specjaliści doskonale o tym wszystkim wiedzieli. A do tego mieli świetnie rozbudowane systemy walki radioelektronicznej, potrafili się kryć i skutecznie prowadzić działania odwracające uwagę. Byli mistrzami skrytego podejścia.

– Wylądowali – usłyszał w słuchawce głos Wiatrowicza. Major przyjmował obie delegacje na lotnisku. – Ruszamy za pięć minut.

No to jazda, pomyślał. Droga nie zajmie więcej niż pół godziny. A potem się zacznie.

Wcześniej. Lub później. Ale się zacznie.

– Gotowość – zarządził na głos.

Etap 3

Chołyczenko był zły. Działał pod zbyt dużą presją, żeby zawracać sobie głowę ukrywaniem tego faktu.

– Miałeś mnie informować – warknął, po raz kolejny zresztą. Samochodem rzuciło na jakimś wyboju. Głowa Ferencza uderzyła o stalową burtę wozu. Ludwik ponownie pożałował, że mimo namów nie założył hełmu. – Wydawało mi się, że to rozumiecie. I ty, i Wajman.

Zgodnie z oczekiwaniami rozmowa z podpułkownikiem miała burzliwy przebieg. Znali się od trzech lat i nauczyli się ufać sobie wzajemnie. Chołyczenko był niegłupi i dobrze znał swój fach. Na miejscu porannej strzelaniny ludzie z wydziału śledczego znaleźli cztery trupy, masę krwi i łusek oraz szereg innych śladów świadczących o obecności jeszcze kilku osób. Tożsamość, a przynajmniej przynależność Rosjan stanowiła pewne wyzwanie, ale Ferenc nie miał wątpliwości, że tak wyspecjalizowana służba jak SBU poradzi sobie z tym w ciągu godziny lub dwóch. Po przesłuchaniu świadków (których z pewnością nie brakowało) odtworzy przebieg wydarzeń i dojdzie do wniosku, że ktoś na ich terenie prowadził nieautoryzowaną operację, gwałtownie przerwana przez GRU. Tożsamość Rosjan prędzej czy później (raczej prędzej) wypłynie na wierzch i wywoła alarm w środowiskach związanych z kręgami władzy, ale, co równie ważne, również z wielkim biznesem. Bardzo wiele osób poczuje się zagrożonych i zacznie gorączkowo szacować, czy aby stawianie na stronę rządową w nadchodzącym konflikcie jest na pewno rozsądnym rozwiązaniem. Środki finansowe nie będą grały roli. Rzetelna informacja stanie się najbardziej pożądanym towarem na rynku, wartym każdej ceny. Gigantyczne kapitały będą mogły odpłynąć z rynku w ciągu godzin. Krucha, chwiejna i słaba gospodarka Ukrainy zawali się. Opór okaże się bezcelowy.

Obaj to wiedzieli.

– Jeśli adresy, które mi podałeś, okażą się prawdziwe, będziesz musiał zdradzić, skąd je znasz – stwierdził Chołyczenko, gdy znajdowali się może kilometr od celu.

I tego również miał świadomość.

– Wadim, chcę tego samego co ty – odparł.

– Co ty powiesz.

– Oni planują zamach na wszystkich trzech prezydentów – stwierdził, jakby mówił o pogodzie. – Więc tym razem to jest tak samo moja sprawa jak twoja.

– Tak czy inaczej, są w moim mieście, nie w twoim. W twoim grałbym według twoich reguł.

Ferenc oczywiście wiedział, że to nieprawda, ale rozumiał go. Mimo wszelkich podobieństw mrap-y, ich położenie było zupełnie różne. Ludwik reprezentował państwo pozostające w najpotężniejszym sojuszu wojskowym świata. Chołyczenko próbował obronić kraj, który stał samotnie naprzeciw żądnego mordu niedźwiedzia. Gdy na Kijów spadną bomby, Warszawa będzie mogła żyć po staremu. Przynajmniej przez jakiś czas.

Z piskiem opon wjechali w Majakowskiego, jedną z głównych arterii Trojewszczyzny, owianej złą sławą lewobrzeżnej dzielnicy Kijowa. Dziesięcio- i ośmiopiętrowe bloki wybudowane w czasach sowieckich ciągnęły się po horyzont, podobne do siebie jak dwie krople wody, anonimowe, szare, doskonale dopełniając panującą wokół atmosferę beznadziei. Grupy młodzieży płci obojga zdawały się zalegać każdy skwer, przystanek komunikacji miejskiej czy parking przed sklepem, szukając okazji do bójki, draki, rozrób, czegokolwiek, co mogłoby choć na chwilę rozświetlić ich pozbawione perspektyw życie.

Dwa opancerzone MRAP-y kryły w swych wnętrzach szesnastu operatorów Alfy, elitarnej formacji antyterrorystycznej SBU, bezwzględnych, świetnie wyszkolonych wojowników, z których większość posiadała doświadczenie bojowe datujące się jeszcze z czasów operacji ATO w Donbasie w roku dwa tysiące piętnastym. Mieli do dyspozycji nowoczesną broń i elektronikę zachodniej produkcji i przeprowadzili wiele ćwiczeń wspólnie z amerykańską Delta, brytyjskim SAS-em i polskim GROM-em.

Nieco wcześniej Chołyczenko posłał w teren ośmiu ubranych po cywilnemu wywiadowców. Ich zadaniem było dokładne rozpoznanie usytuowania lokalu, w którym mogła przebywać grupa dywersyjna, zbadanie wszystkich podejść,

dyskretne wypytanie sąsiadów o szczegóły, które mogłyby być przydatne w planowaniu operacji.

Zaparkowali w cieniu opuszczonego magazynu dwa bloki dalej. Operatorzy sprawnie wysypali się z pojazdów. Szef wywiadowców wyrósł przed Chołyczenką, nim ten zdołał postawić obie stopy na chodniku.

– Mieszkanie na przedostatnim piętrze – zameldował. – Narożne. Ostatnie drzwi w korytarzu. Stalowa krata, korytarz zagracony.

Ferenc przysłuchiwał się meldunkowi. Na razie wszystko się zgadzało. Jeśli miałby planować ukrycie się w milionowym mieście, wybrałby dokładnie taki lokal, dokładnie w takiej dzielnicy.

– Ilu? – zapytał Chołyczenko.

– Sześciu. Przybyli pojedynczo, w ciągu ostatniego miesiąca. Spokojni, żadnej muzyki, śmiechów, chlania, nawet głośnych rozmów. Sąsiad właśnie na to zwrócił uwagę, że sześciu chłopa zachowuje się jak zgromadzenie pustelników. Wychodzi jeden, najwyżej dwóch, po zakupy, uprzejmi, mówią surżykiem. Oficjalnie szukają pracy na budowie. Sąsiad, sam, zdaje się, niezły chlor, chciał się z nimi napić, zaprzyjaźnić, faceci go spławili.

– Budowlańcy, którzy nie piją.

– No właśnie.

– Przedostatnie piętro?

– Siódme.

Chołyczenko spojrział na dowódcę grupy, który przez chwilę przyglądał się cyfrowej mapie okolicy.

– Umieszczę snajpera naprzeciwko. – Dziobnął palcem w punkt wskazujący blok stojący vis à vis.

– To co najmniej pięćset metrów – zauważył Chołyczenko.

– Nie szkodzi.

Ferenc nie dziwił się pewności dowódcy operatorów. Wielokrotnie słyszał opinie wychwalające snajperów Alfę. Zresztą przy dobrej pogodzie, w ciągu dnia, pięćset metrów nie jest zbyt wymagającym dystansem dla dobrego strzelca.

– Sześciu zjedzie na linach, z dachu. Druga sekcja wejdzie drzwiami.

– Chciałbym mieć tylu żywych, ilu można.

Dowódca grupy potraktował prośbę jak rozkaz.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Czas, którego para snajperska potrzebowała na zajęcie stanowiska, poświęcono na przygotowanie sprzętu. Chołyczenko połączył się z dowódcą drugiej grupy realizacyjnej znajdującej się po przeciwnej stronie miasta, w dzielnicy Czarna Hora, tym przedziwnym miejscu, w którym supernowoczesne apartamentowce budowane z myślą o wyższej klasie średniej sąsiadowały z zabudową jakby żywcem wyjętą z dziewiętnastego wieku. Po przejściu jednej z ulic jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknęły szerokie arterie, kolorowe sklepy i kosztowne samochody, a pojawiały się wąskie, krzywe uliczki wybrukowane kocimi łbami i małe chatki o wąskich fasadach, otoczone zaniedbanymi ogródkami i parkanami z dawno spróchniałych sztachet. W tej zagadkowej płataninie uliczek czas zatrzymał się dawno temu. Wedle informacji Moskalewicza w jednym z takich domków kryła się druga rosyjska grupa dywersyjna. Chołyczenko znał tę okolicę bardzo dobrze i lokalizację kryjówki oceniał w pewnym sensie na remis: zapewniała ona anonimowość i swobodę ruchów (a także kilka wariantów ewentualnej ucieczki), jednak skryte podejście sił antyterrorystycznych było znacznie łatwiejsze do ulokowanego wśród drzew drewnianego domu niż mieszkania na ostatnim piętrze otoczonego płaskim terenem bloku z wielkiej płyty.

Dowódca drugiej grupy zameldował, że jego ludzie są już na stanowiskach wyjściowych do szturm.

– Potrzebujemy dziesięciu minut. Poczekajcie na nas – rozkazał Chołyczenko.

– Rozkaz, panie pułkowniku.

Ferenc odszedł na bok. Nie chciał przeszkadzać. Zresztą reguły były jasne; miał prawo tu być, nawet nosić broń, ale pod żadnym pozorem nie mógł uczestniczyć w akcji. Pułkownik i tak wykonał gest, pozwalając mu przysłuchiwać się ustaleniom taktycznym. Była to swego rodzaju zapłata za informację. Dziś ja tobie, jutro ty mnie. Zdrowa zasada. Która w żadnym stopniu nie wykluczała ostrego konfliktu dotyczącego porannej strzelaniny. Przeciwnie, Ferenc był pewien, że Chołyczenko wróci do tematu w dogodniejszym momencie, na przykład wtedy, gdy będzie miał więcej dowodów czy choćby silnych poszlak wskazujących na udział Polaków. I wtedy przygwoździ jego jaja do ściany.

Otoczony kłębem śmierdzących spalin i warcząc potężnym dieslem pamiętającym bez wątpienia dni chwały Związku Sowieckiego, podjechał zdezelowany kamaz prowadzony przez jednego z funkcjonariuszy i zasłonił swoją masywną sylwetką oba MRAP-y. Chołyczenko doskonale wiedział, że najbardziej nierozgarnięty obserwator zauważy ośmiu specjalsów paradujących po parkingu przed blokiem, była natomiast szansa, że stara ciężarówka nie przyciągnie aż takiej uwagi.

Ferenc zapalił, przyglądając się przygotowaniom grupy. Operatorzy nie tracili czasu na gadanie. Pracowali w milczeniu, tysiąckrotnie ćwiczonymi ruchami przygotowywali broń i sprzęt, sprawdzali, czy oporządzenie (każdy z nich dźwigał co najmniej trzydzieści kilogramów) nie wydaje dźwięku przy poruszaniu. Byli zgraną grupą zawodowców, Ludwik nie dostrzegał w nich jednak choćby grama nadmiernej pewności siebie. Wiedzieli, z kim będą mieli do czynienia. Czekало ich starcie z przeciwnikiem równie dobrze wyszkolonym i wyposażonym, bezwzględny, sprytnym i zmotywowanym.

- Snajper i sekcja na dachu na pozycji – zameldował dowódca grupy.
- Jazda – zarządził Chołyczenko.

Operatorzy wdrapali się na pakę i zniknęli pod plandeką.

Kamaz zawarczał silnikiem. Miał do przejechania nieco ponad dwieście metrów. Przy MRAP-ach zostali tylko kierowcy. Ferenc odprowadził zabytkową ciężarówkę wzrokiem, czując rosnące napięcie. Nie mógł zdecydować, czy wolałby, aby cios trafił, czy raczej poszedł w próżnię. Gdyby akcja okazała się bezcelowa, sytuacja stałaby się prosta: Moskalewicz kłamie, jego przejście na polską stronę jest tylko kolejną prowokacją, koniec tematu. Jeśli jednak jego informacje okażą się prawdziwe...

Zyskają (być może) cenne, choć spalone po tamtej stronie (o czym świadczył poranny atak) źródło, ale będą mieli jasny dowód, że zamach został rzeczywiście zaplanowany, i nikt nie da gwarancji, że udało się zlikwidować wszystkie zagrożenia. Przy czym Ukraińcy dostaną szału: Chołyczenko i jego szefowie z pewnością nie zadowolą się wyjaśnieniami, które nie dotkną sedna tematu. Ponieważ ani Ferenc, ani Wajman nie zostali upoważnieni do przekazywania partnerom informacji tego kalibru, sprawa oprze się o Maliszewskiego. Jak Ferenc znał pułkownika, szef departamentu wschodniego bardzo uprzejmie pošle swojego ukraińskiego odpowiednika do diabła. Sprawa pójdzie wyżej, aż w końcu

dotrze do ministra, który zareaguje nerwowo, rozumiejąc konieczność trzymania pewnych sekretów przy orderach, ale zarazem nie chcąc narażać na szwank współpracy z zagrożonym agresją odwiecznym wrogiem sąsiadem. Politycy na razie zdawali się hołdować zasadzie, by dawać Ukraińcom wszystko, czego ci oczekują, nie targując się i nie oglądając na konsekwencje.

Odwrócił się. Po drugiej stronie ulicy stała grupka młodych ludzi. Gdy pojawiły się MRAP-y i ludzie Chołyczenki wysypali się na chodnik, przez chwilę przyglądali się przybyszom, po czym zaczęli gwizdać i krzyżeć. Ferenc znał ukraiński na tyle, by wiedzieć, co krzyżeć. Policja i w ogóle wszelkie służby porządkowe nie były tu lubiane, ogłędnie mówiąc. Po chwili jednak umilkli, wykazując przejawy zdrowego instynktu samozachowawczego: Alfa to nie była byle służba, z Alfą lepiej nie zadzierać, lepiej w ogóle nie wchodzić jej w drogę. Alfa miała swoje sprawy i nie obchodziły jej osiedlowe biznesy i osiedlowi watażkowie. Chyba że nadepnęło się Alfie na odcisk. Wtedy pozostała modlitwa, która zresztą na ogół nie pomagała. Alfę nienawidzono, ale Alfę się bano. Gwizdy i wyzwiska były więc krótkie i raczej formalne, ot tak, dla zaznaczenia swego stanowiska. Po chwili członkowie grupy wrócili do tego, co robili wcześniej: gadania, palenia papierosów, rzucania pustymi butelkami po piwie, zaczepiania przechodniów zmierzających na pobliski przystanek, ordynarnego rechotu i nieustannego ciągu bluzgów. Po tamtej stronie Majkowskiego wrócił dzień codzienny Trojeszczyzny.

Ferenc zeszywniał. W jego głowie zabrzmiał dzwonek alarmowy, niegłośny jeszcze, ale wyraźny, namacalny. Ludwik już dawno nauczył się mu ufać. Coś było nie tak. Coś było naprawdę nie tak. Coś odbiegało od normy.

Zachowanie trzeciego chłopaka od prawej.

Tego samego wzrostu co reszta, ubrany dokładnie tak samo, prezentujący dokładnie ten sam typ uczesania. Jako jedyny jednak nie brał udziału w życiu grupy (a wcześniej nie gwizdał ani nie miotał wyzwisk), a bardzo uważnie przyglądał się widowisku po drugiej stronie ulicy. Gdy operatorzy zapakowali się na ciężarówkę, podążył wzrokiem za kamazem, dokładnie tak jak Ferenc.

A potem wyjął telefon komórkowy.

Major spojrział na zegarek.

Moment rozpoczęcia akcji zbliżał się wielkimi krokami. Pomyślał, nie po raz pierwszy zresztą, że gdyby dana mu była boska moc i byłby władny zapanować nad jednym, jedynym aspektem ludzkiego życia (czy może szerzej: jednym prawem przyrody), wybrałby władzę nad czasem. Ach, gdyby mógł go zwalniać lub przyspieszać wedle potrzeby. Albo, jeszcze lepiej, cofać. Ileż możliwości zyskałby. Ileż ludzkich losów można by poprowadzić inaczej. A narodów? Państw? Ot, choćby teraz. Od niego, majora Federalnej Służby Bezpieczeństwa Jewgienija Fiodorowicza Fomina i jego gotowych na wszystko zuchów zależą losy sporej części (a może i całej) Europy. Można powiedzieć bez przesady: przyszłość świata. Jeśli im się powiedzie, międzynarodowy układ sił zmieni się na korzyść Rosji, która zajmie należne jej miejsce u szczytu stołu. I podyktuje swoje warunki. Odzyska moc i sprawczość. Zepchnie Amerykanów z samowolnie zajętego miejsca na najwyższym stopniu podium.

Wystarczyłby szybki skok w przyszłość, obejrzenie wykonania swego planu, cofnięcie się i wprowadzenie poprawek w razie ewentualnych błędów. Proste i skuteczne.

Ach, gdyby tylko władać czasem. Zadanie, które wykonają dziś w nocy, poszłoby bez najmniejszych trudności. Nie to, żeby nie wierzył w szczęśliwą realizację. Oczywiście, że wierzył. Plan był szczegółowy i uwzględniał najrozmaitsze przeszkody. Wielu, bardzo wielu ludzi od dawna pracowało (nie znając ani szczegółów, ani nawet celu) nad opracowaniem dziesiątków detali koniecznych do jego realizacji. Zostały przygotowane lokale i magazyny broni, zabezpieczono środki transportu i dokumenty, postarano się o pełne zalegalizowanie ludzi Fomina i stworzenie dla nich niemal niemożliwych do podważenia życiorysów. Uruchomiono uśpioną dotychczas agenturę wśród ukraińskich służb, którą postawiono do dyspozycji majora. Co najważniejsze, zdobyto dokładny rozkład i specyfikację techniczną pomieszczeń, w których rezydowała prezydencka administracja. Fomin ocenił, że jeszcze nigdy w swym trzydziestoletnim zawodowym życiu nie uczestniczył w operacji, która była tak szczegółowo i wszechstronnie zaplanowana.

– Idą, towarzyszu majorze – zameldował Sasza Krupski. – Druga sekcja.

Major uśmiechnął się w duchu. Uważał się za racjonalistę twardo stąpającego po ziemi, zimnego analityka, skutecznego profesjonalistę. Dlatego cieszyło go, że potrafił choć na chwilę oddać się marzeniom, wrócić do czasów szczęśliwego

dzieciństwa, kiedy swobodnie poruszał się po świecie fantazji i dokonywał w nim rzeczy niezwykłych.

Przeniósł wzrok na ekran laptopa. Pomysłowo zamontowana, mała kamera o wysokiej rozdzielczości miała w polu widzenia wejście do klatki schodowej. Ośmiu operatorów przemknęło jeden za drugim. Wcześniejsza grupa była mniejsza, liczyła sześciu ludzi. Pewnie już zajęła stanowiska.

– Ci pierwsi wejdą z dachu – mruknął Fomin. Nie czuł strachu ani satysfakcji. Wszystko zostało wcześniej starannie przemyślane i zaplanowane.

– Za dwie minuty – orzekł Krupski, uważnie wpatrując się ekran. Przełączył obraz. Tym razem widzieli kawałek korytarza przed mieszkaniem.

Major zgadzał się z tą oceną. Podniósł do ust radio.

– Dwie minuty – powiedział. – Przygotować się.

– Weszli jak w masło – orzekł Krupski.

– Są nieźle wyszkoleni – przyznał Fomin.

– Na nas nie starczy.

Fomin wyszczerzył zęby. Lubił tego chłopaka.

– Nie to, że ich lekceważę – ciągnął Sasza, wpatrując się w ekran, na którym kolejny kontrterrorysta wyprowadzał jeńca. – Ale to najemnicy, pracujący za pieniądze. My mamy jakiś cel, ważniejszy niż kasa.

– Masz rację, przyjacielu. – Wobec swoich ulubieńców Fomin pozwalał sobie czasami na familiarny ton. – Po prostu działamy na rzecz większego dobra. Matuszka może być z nas dumna.

– Ale tamtych szkoda. Znałem od nich jednego gościa, porządny chłopak...

– Wszyscy będziemy płakać po utraconych przyjaciółach.

Sasza spojrzał na dowódcę. Z jasnoniebieskich oczu bił chłód.

– Oni będą płakać bardziej – oświadczył.

Ferenc rzucił papierosa i rzucił się w przód. Biegł szybko, tylko mimochodem rejestrując wściekły pisk opon hamującego samochodu, któremu najwyraźniej wybiegł przed maskę. Nie zwracał na to uwagi. Wbił oczy w chłopaka i wyciągał nogi najszybciej, jak potrafił, zmuszając swój organizm do największego wysiłku, na jaki pozwalała obecna forma.

Chłopak może i był bystrym obserwatorem, ale nie opanował podstawowych technik przydatnych w fachu szpicla. Na przykład za bardzo wyróżniał się z tłumu, a także nie potrafił zwracać uwagi na kilka rzeczy jednocześnie. Pochłonięty obserwacją ciężarówki, przeoczył start Ferenc'a i dostrzegł go dopiero w momencie, gdy ten przebył przeszło połowę szerokości arterii. Przestraszony i zaskoczony, zmitrężył całą sekundę, nim zdecydował, co robić. Wrzucił komórkę do kieszeni dresu, odwrócił się i zaczął uciekać.

Z tym też nie było najlepiej. Biegł ciężko, źle stawiając stopy, lekko nawet kulejąc na prawą nogę. Młodość i niewątpliwa siła nie zastąpiły mu sprawności fizycznej. Ferenc doganiał go z każdym krokiem.

Przebiegł blisko grupy dresiarzy, nie zwracając uwagi na gwizdy i wulgarne zaczepki. Uciekinier wpadł pomiędzy zaparkowane rzędem samochody i zaczął kluczyć między nimi. Pomysł niezły, gorsze wykonanie. Na każdym zakręcie tracił dystans, by w końcu, podczas szczególnie gwałtownej zmiany kierunku, poślizgnąć się i upaść. Próbował szybko podnieść się, nie zwracając uwagi na oszołomienie towarzyszące upadkowi, ale był to już daremny trud. Ferenc dopadł go jednym skokiem. Palnął pięścią w bok głowy – niezbyt mocno, nie chciał robić krzywdy, a tylko ograniczyć protesty – i kolaniem przygwoździł do ziemi.

– Dawaj telefon – warknął, unieruchamiając go dodatkowo lewą ręką, a prawą sięgając do kieszeni.

Chłopak rzeczywiście był silny; wił się jak piskorz i próbował wyswobodzić rękę. Usta miał wolne, więc mu się nie zamykały.

– Widpusty, suka – warczał jak zły pies. – Hujło, skurwaj, pidar.

Miał zepsute zęby i stosowny do tego oddech. Ferenc nie miał czasu zajmować się odorem. Natrafił na płaski kawałek plastiku. Wyrwał dłoń z kieszeni. Prosty chiński aparat. Zabezpieczony hasłem.

– Podaj pin – nakazał.

– Spierdalaj.

Uderzył go w głowę. Chłopak łypał na niego z nienawiścią i szarpał się jeszcze mocniej. Ferenc uderzył go jeszcze raz, mocniej.

– Ej, ty! – usłyszał. – Puść go, ale już.

Podniósł głowę. Pięciu towarzyszy chłopaka stało blisko, gotowych do interwencji. To nadal nie przesądzało, że jest jednym z nich (Ferenc wątpił), ale nie tolerowali obcych rządzących się na swoim terenie. Proste. Ferenc zaklął. Nie zdejmując kolana z piersi chłopaka, sięgnął po pistolet. Na tubylcach nie zrobiło to wrażenia. Ferenc miał rozpaczliwą świadomość przeciekających przez palce sekund. Ekipa Chołyczenki pewnie już wchodziła na klatkę schodową.

Kap, kap, kap.

– Cofnąć się – powiedział, mając jakąś dziwną w tych okolicznościach świadomość kaleczenia ukraińskich słów. Może z powodu zaschniętego na wiór języka.

– Puść go, kurwa.

Podniósł broń i strzelił. Huk odbił się od pobliskich bloków, spłoszył gołębie, większego skutku jednak nie odniósł. Tamci drgnęli, ale nie odpuszczali.

Kap, kap, kap.

Skierował lufę w stronę tego, co gadał.

– Następny pójdzie w nogę.

– Pierdolisz.

– Chcesz sprawdzić?

Zła, okrutna twarz ściągnęła się w namyśle. Jej właściciel kombinował przez chwilę, w końcu doszedł do wniosku, że nie chce sprawdzać.

– Więcej się tu nie pokazuj – warknął, po czym kiwnął głową swoim, dając sygnał do odwrotu.

Ferenc nie skomentował.

– Pin albo strzelę ci w kolano – wydyszał prosto w twarz leżącego. Teraz już wiedział, że chłopak nie jest miejscowy. Gdyby było inaczej, tamci walczyliby jak lwy.

Kap, kap, kap.

Chłopak uwierzył. Całe szczęście. Ferenc nie bardzo wiedział, co zrobiłby, gdyby trwał w uporze. Być może przestraszył się broni albo przekonała go mina Ferenca

i łatwość, z jaką poradził sobie z dresiarzami.

Wydukał cztery liczby. Ferenc błyskawicznie wklepał je w klawiaturę. Ekran zajaśniał. Ostatnie połączenie miało miejsce trzy minuty temu (tylko trzy minuty? Ludwik głowę dałby, że upłynęły godziny) i trwało siedemnaście sekund. Z pamięci wybrał numer Chołyczenki (nikt oczywiście nie odebrał), po czym ze swojej komórki zadzwonił do pułkownika.

– Ten numer, który właśnie ci się wyświetlił – powiedział, gdy usłyszał głos szefa wydziału. – Sprawdź, z kim się przedtem połączył. Jeśli z kimś w tym bloku, wiedzą, że przyjdziecie.

– Miałeś się nie angażować.

– Sprawdź.

Wrzucił oba aparaty do kieszeni. Szarpnięciem postawił chłopaka na nogi, nie wypuszczając z ręki pistoletu, z pomocą plastikowej trytytki, unieruchomił mu ręce za plecami. Pchnął go mocno.

– Idziemy – nakazał.

Po drugiej stronie ulicy przekazał jeńca pilnującym MRAP-ów funkcjonariuszom, którzy oczywiście zauważyli jego pościg, ale posterunku przy wozach nie opuścili. W kilku zdaniach streścił im, co ustalił, zapytali, czy on strzelał, potwierdził. Bez ceregieli wrzucili pojmanego do samochodu. Wiedzieli, że jest płotką, nic nie znaczącym, zapewne wynajętym trybikiem w ogromnej maszynie. Zostanie jednak szczegółowo przesłuchany. Każda, nawet najbardziej błaha informacja mogła się przydać.

– Weszli? – zapytał.

– Za minutę wchodzą – odparł funkcjonariusz.

Czy Chołyczenko zdążył przekazać wiadomość i dostać odpowiedź? Czy Rosjanie przebywający w lokalu zostali uprzedzeni o podejściu grupy?

W roli komentatora rozterek Ferenc wystąpił potężny wybuch, który wstrząsnął okolicą. Na ziemię spadł deszcz szkła, fragmentów ścian i mebli. Huk odbił się gromowym echem od betonowych ścian bloków; ciężki, nieprzejrzysty dym zasnuł dwa ostatnie piętra budynku, stanowiącego cel ludzi Chołyczenki.

Ferenc zaczął biec.

Pułkownik Wadim Chołyczenko miał na sobie kamizelkę, hełm, gogle i nakolanniki, a także pistolet przy pasie, ale już dawno wyzbył się przekonania, że musi osobiście uczestniczyć w akcjach bojowych. Przeszłość w siłach specjalnych pchała go do działania; zajmowane stanowisko, doświadczenie i przezorność podpowiadały jednak, by walkę zostawić operatorom. Nie wtrącał się także do dowodzenia szturmem; od tego byli inni. Szedł po prostu na samym końcu grupy, kilka metrów za ostatnim funkcjonariuszem. Telefon od Ferenca mocno go zaniepokoił. Błyskawicznie przesłał otrzymany numer do sekcji zajmującej się monitorowaniem sieci komórkowej z poleceniem natychmiastowego sprawdzenia lokalizacji adresata.

Odpowiedź przyszła po czterdziestu sekundach i była pozytywna. Dresiarz-obszernik przed kilkoma minutami rozmawiał z kimś w tej części bloku. Chołyczenko podniósł do ust mikrofon radia, by ostrzec operatorów, ale nie zdążył niczego powiedzieć.

Potężny wybuch wstrząsnął klatką schodową.

Podmuchał ludzi na ziemię, huk ogłuszył, dym zdezorientował. Chołyczenko upadł również, ale nawet na chwilę nie stracił przytomności. Ładunek wybuchł gdzieś dalej, być może w mieszkaniu, które było ich celem. Z miejsca zorientował się, że eksplozja była wystarczająco mocna, by zdemolować mieszkanie, zbyt słaba jednak, by wyrządzić szkody grupie. Pułkownik wątpił, by stanowiła element jakiejś pułapki czy zapory.

Szybko okazało się, że członkowie grupy szturmowej również nie odnieśli szwanku. Założyli maski (dym nie pozwolił oddychać) i ruszyli dalej. Krata oddzielająca korytarz stawiała opór tylko przez chwilę. Drzwi lokalu zniknęły, wyrwane podmuchem. Dwa granaty hukowo-błyskowe poleciały do wnętrza. Dubeltowy łomot i błysk zaatakował zmysły. Operatorzy wpadli do środka. Jednocześnie przez wywalone wybuchem okna wjechało na linach czterech kolejnych.

Chołyczenko został na korytarzu.

– Na ziemię, rzuć broń, kurwa, rzuć broń, na ziemię, ręce w górę, kładź się, kurwa, gleba, gleba – zabrzmiała zwykła przy takich okazjach litania poleceń i pobożnych życzeń. Huknął strzał, potem jeszcze jeden, zawarczała seria z wytłumionego pistoletu maszynowego, coś upadło z łomotem, zakotłowało się,

jakby dwóch ludzi walczyło wręcz, powietrze pełne było dymu i przekleństw wygłaszanych po rosyjsku, ukraińsku i surżykiem.

Po chwili wszystko ucichło.

Z lokalu wyszedł dowódca sekcji. Chołyczenko nie widział ukrytego pod maską wyrazu twarzy, wyczuł jednak, że poszło dobrze.

– Mamy ich, szefie – oświadczył operator. – Trzech.

– Świetnie. Straty?

– Dwóch rannych, niegroźnie.

– A ten wybuch? Prezent powitalny?

Operator pokręcił głową.

– Amatorszczyzna, a nie prezent – odparł. – Jednego głupiego kacapa mniej.

Chołyczenko uśmiechnął się.

Biegł, wiedząc, że jest za późno na interwencję, że zło już się wydarzyło, a straty najprawdopodobniej są nieodwracalne. Chołyczenko – o ile przeżył – oskarży go o wprowadzenie w błąd wynikający z nie dość dokładnego zweryfikowania informacji. I będzie miał rację. Fakt, że wszyscy działali w pośpiechu, nie będzie miał znaczenia. Ferenc swoimi informacjami wprowadził szesnastu (a najpewniej dwa razy tyle, bo druga grupa mogła również zostać zaatakowana) doskonałych funkcjonariuszy w przygotowaną przez Rosjan pułapkę. Tylu ludzi, w sytuacji, gdy każdy dobrze wyszkolony operator sił specjalnych był na wagę złota.

Zdyszany dopadł wejścia do klatki schodowej. Spojrzał w górę. Dym powoli się rozwiewał. Na wysokości siódmego piętra ziała czarna dziura o okopconych obrzeżach. Wybuch był na tyle potężny, by nie tylko wyrwać wszystkie okna wraz z futrynami, ale i uszkodzić kawałek ściany.

Usłyszał za sobą kroki. Jeden z kierowców MRAP-a minął go bez słowa z bronią gotową do strzału. Ferenc podążył za nim, wyciągając pistolet. Weszli w chłód klatki schodowej. Gdzieś wyżej brzmiał szmer podnieconych głosów.

– Schody? – zapytał Ferenc.

– Winda – odrzekł operator. – Będzie szybciej.

Oświetlone umierającą żarówką pudło starej windy przypominało wymazany graffiti grób i jechało tak powoli, że Ferenc zastanawiał się, czy słusznie łamali zasady i nie poszli schodami. Ryzyko opłacało się; dojechali bez przeszkód.

Ferenc wyskoczył na zewnątrz tuż za operatorem. Słyszał, jak mocno i szybko bije mu serce. Z miejsca zaczął kaszleć – dym, wypełniający korytarz siódmego piętra, wprost wgryzał się w płuca.

Usłyszeli kroki i jak na komendę unieśli broń. Z burej mgły wynurzył się operator Alfy podtrzymujący rannego kolegę. Zaraz za nimi szedł Chołyczenko.

– Trafiony, zatopiony – powiedział. Dym zdawał się nie robić na nim wrażenia. Na brudnej, wymazanej sadzą i krwią twarzy malował się nieczęsty u tego człowieka wyraz zadowolenia. – Cała ekipa, sześciu. Trzech udało się żywych...

– Jesteś ranny?

– Nic mi nie jest. Kawalek ściany się odłupał, dostałem kawałkiem betonu... – Otarł ręką krew. Faktycznie, rana na policzku nie wyglądała na poważną.

– A ten wybuch?

Chołyczenko machnął ręką. Mijali ich właśnie operatorzy prowadzący jeńców.

– Jeden z nich składał ładunki zapalające. Pewnie miały im służyć jako dywersja odciągająca naszą uwagę w czasie samej operacji. Jak dostali cynk, zdenerwował się, ręka mu się omsknęła i zapalnik detonował. Wystarczyło, żeby wybił okna i nakopcił.

Ferenc poczuł obezwładniającą falę ulgi.

– Co teraz? – zapytał.

– Jedziemy do firmy – orzekł pułkownik. – Ty też. Oni na przesłuchanie...

Nie skończył. Nie musiał.

Etap 4

Moskalewicz siedział w fotelu. Obandażowane ramię oparł na poduszce. Lena twierdziła, że udało jej się oczyścić ranę na tyle, by nie wdało się zakażenie. Sprawę z pewnością ułatwiał fakt, że kula przeszła na wylot przez mięsień, nie uszkodzając kości. Postrzał musiał niewątpliwie sprawiać ból, ale nie stanowił zagrożenia życia.

Fachowo opatrzyła ranę, przebrała się, po czym bez słowa opuściła mieszkanie. Do jej zadań należało ubezpieczenie lokalu. Wołała to robić, kręcąc się po okolicy.

– Oni byli z GRU – stwierdził Wajman, gdy za Leną zamknęły się drzwi. – Skąd GRU wiedziało o tobie i miejscu spotkania?

– To raczej ja ciebie powinienem spytać. – Pułkownik próbował usadzić się wygodniej, krzywiąc się niemiłosiernie.

– Kto może mieć dostęp do twojej korespondencji?

– Nikt, kto nie chcę, żeby miał.

– Jesteś pewien?

– Sieć nie ma dla mnie tajemnic.

Wajman chciałby, żeby to było takie proste.

– Zgłosiłeś się do nas – odparł po chwili. – Wiesz, że musimy nabrać do ciebie zaufania.

– A w jakim celu dałem wam namiary na grupy dywersyjne?

Wajman uśmiechnął się w duchu. W dzisiejszym świecie wszystko mogło być teatrem. A współcześni Rosjanie, spadkobiercy carskiej Ochrony i bolszewickiej WCzK, mieli w konstruowaniu wiarygodnych przedstawień długą, bardzo długą tradycję, że wspomnieć choćby słynną operację „Trust” z początku lat dwudziestych ubiegłego wieku. Gdy ma się do pomocy sztuczną inteligencję i fachowców od efektów specjalnych, możliwości jest tak wiele, że nie sposób ich objąć wyobraźnią.

Jeszcze w samochodzie Lena sprawdziła go detektorem wykrywającym urządzenia podsłuchowe czy trackery GPS. Ani w ubraniu, ani na ciele niczego nie znalazła, co Wajmana nie zdziwiło. Jeśli to był teatr, to realistyczny, niczym nieróżniący się od prawdy.

– Zobaczmy – stwierdził. – Dlaczego zdecydowałeś się przejść?

Moskalewicz uśmiechnął się kącikami ust.

– Wiesz, jak o nas mówią? – zapytał.

– O FSB?

– O Rosji. Jesteśmy udającą państwo stacją benzynową zarządzaną przez mafię.

Wajman słyszał to określenie. Nie wydało mu się tak trafne, jak niektórym jego kolegom.

– To prawda – ciągnął pułkownik. Nie zwracał uwagi na gospodarza. Zdawał się wsłuchiwać wyłącznie we własne myśli. – Jest to udająca państwo stacja handlująca ropą i gazem. Niczego innego nie potrafi, za to chce, żeby wszyscy jej się bali.

– Nie zostałbyś szefem wydziału, gdybyś tak uważał – zauważył Wajman.

– Nie zostałem szefem wydziału, gdybym tak mówił – poprawił go Rosjanin. – Oficjalnie trzymałem się kursu.

Wajman pozostał sceptyczny. Na takim stanowisku trzymanie się kursu było dalece niewystarczające. By zarządzać liczącym setki funkcjonariuszy wydziałem, trzeba wykazać się gorliwością, okrucieństwem, bezwzględnością i inicjatywą. A także umieć odganiać się od wilków czyhających na twój stołek. Jest się stale obserwowanym i ocenianym. Reżim nie potrzebuje wahających się i niepewnych.

– I wszystko jest w porządku, dopóki są wysokie ceny na surowce i system działa – ciągnął Rosjanin. – Jeśli jednak ceny spadają, zaczyna brakować kasy. Jak zaczyna brakować kasy, frakcje zaczynają wzajemnie obwiniać się o powody deficytu. Każdy walczy o dostęp do koryta, a ponieważ pieniędzy jest mniej, dla wszystkich nie starczy. Kogoś trzeba wyciąć. Więc czeka cię walka: nie z wrogiem, nie z Amerykanami, NATO i tak dalej. Czeka cię walka ze swoimi i nie masz wyboru. Jak nie będziesz walczył, zginiesz. Musisz być silniejszy niż inni, żeby przeżyć, często w sensie dosłownym.

Wajman czekał cierpliwie. Moskalewicz oczywiście doskonale zdawał sobie sprawę, że karmi gospodarza ogólnikami, które niczego nie tłumaczą.

– Moja firma rządzi wszystkim – ciągnął. – Administracją, podatkami, polityką gospodarczą, zagraniczną, zbrojeniami. Na wszystkim się zna i we wszystkim ma ostatnie słowo. Łatwo się domyślić, że nie każdemu to się podoba, na przykład armia uważa, że wie lepiej, czego jej trzeba. Ja też tak uważam. Myślę, że każdy powinien robić to, w czym jest dobry, a dopóki jest lojalny wobec ojczyzny, nie trzeba się go czepiać, tylko oddać mu inicjatywę.

– To się nazywa merytokracja – zauważył Wajman. – Nie macie w tym tradycji, delikatnie mówiąc.

– Przyganiał kocioł garnkowi.

– To nie ja przechodzę na twoją stronę, tylko ty na moją.

– Dlatego, gdy ceny spadają, państwo przestaje działać – kontynuował gość, nie ciągnąc dalej dygresji. – Jesteśmy państwem sezonowym, zależnym od cen ropy na giełdach. Wystarczy, że Arabowie zwiększą wydobycie, i u nas nie ma pieniędzy na emerytury.

– Co się zmieni od twojej zmiany stron? – Wajman celowo nie użył słowa zdrada. Mimo wszystko liczył na jakąś formę współpracy, nawet gdyby się okazało, że facet jest podstawiony.

Moskalewicz westchnął.

– Takich jak ja jest więcej – oświadczył. – Nie podam ci szczegółów. Mamy plan przejęcia władzy i zrobienia z Rosji kraju znośnego do życia. Nie bój się, nie będę cię karmił frazesami o demokracji. Rosja nie była i nie będzie demokratyczna, nie pozwala na to geografia, tradycja, mentalność i parę innych rzeczy. Będziemy autorytarni, ale pragmatyczni. Każdy będzie mógł żyć po swojemu. Rosja jest wielkim krajem wielu ludów, nie potrzebujemy ani więcej ziemi, ani więcej narodów. Parcie na zachód nas nie interesuje. W samej Rosji jest tyle pracy, że starczy dla trzech pokoleń.

Rozsądne słowa. Wajman jakoś jednak niespecjalnie w nie wierzył.

– No i?

– Kreml chce wojny i wojna będzie. Jutro rano.

A więc jednak. Wajman poczuł dreszcz.

– Ty nie chcesz?

– Chcę. I chcę, żeby mój kraj przegrał. W tym celu muszę tę wojnę zlokalizować. Nie dopuścić, żeby stała się czymś innym niż tylko lokalnym konfliktem.

Wajman zrobił się czujny. Być może nareszcie nadchodził czas konkretów.

– To znaczy?

– To znaczy, że plan Kremla jest znacznie szerszy. I twój kraj ma wystąpić jako główny aktor. Oraz, obawiam się, główna ofiara.

Zadanie kolejnego pytania uniemożliwił Wajmanowi dzwonek telefonu.

– Cześć, szefie – powiedział Ferenc. – Oba namiary okazały się prawdziwe. Zneutralizowano łącznie dwunastu żołnierzy Specnazu, z czego siedmiu przeżyło, plus zatrzymano dwóch obserwatorów. Obie ekipy wysprzętowane jak na wojnę. Rzeczywiście, mieli zaatakować prezydentów, Zeleńskiego, naszego i litewskiego. Chołyczenko kazał ci podziękować.

Wajman zerknął na Moskalewicza. Pułkownik zdawał się być kompletnie niezainteresowany przebiegiem rozmowy, choć z pewnością domyślił się, kto dzwonił i co miał do przekazania. Pewność siebie albo mistrzowskie aktorstwo połączone z zimną krwią. Być może jedno i drugie. Informacja okazała się prawdziwa. Rosjanin zyskał poważny punkt na drodze do wiarygodności.

– Jest jeszcze coś – ciągnął Ferenc. – Paskudnego. Jedna z ekip miała uderzyć dronem-samobójcą. Naszym.

– Warmate?

– Niestety.

– Kurwa mać. Skąd go mieli?

– Przesłuchania dopiero się zaczną.

Wajman zaklął w duchu. Amunicja krążąca Warmate (zwana też niekiedy dronami samobójcami) była niezwykle zaawansowaną bronią, którą właśnie zaczęła pozyskiwać polska armia. Jej dostawy miały osłonę kontrwywiadowczą. Niewystarczającą, jak widać. Kilku decydentów w Warszawie dostanie dziś bólu głowy. A kilku polityków (zwłaszcza opozycji) poczuje krew.

Mimo wszystko nie jego zmartwienie.

– Powiedz Chołyczenko, że będę wdzięczny za informację, jak Specnaz wszedł w posiadanie Warmate`a.

– Oczywiście. Jak pacjent?

– Wąchamy się.

– Na razie mówi prawdę.

– Właśnie. Na razie. Oni będą chcieli wiedzieć, skąd wiedzieliśmy. Nie kupią żadnej ściemy.

– Wiem. Musisz być bardzo ostrożny.

– Ile im mogę powiedzieć?

– Tyle, żebyś wyszedł od nich żywy.

– Bardzo śmieszne.

Wajman rozłączył się i odłożył aparat.

– Trafili – stwierdził Moskalewicz.

– Owszem – przytaknął Wajman. – Udało się kilku nawet wziąć żywcem.

– Nie powiedzą niczego, czego sam ci nie powiem. Jedno zastrzeżenie: nic nie będzie z dalszego ciągu, jeśli sprzedacie mnie Ukrom.

– Nie mamy tego w planach.

– Pamiętaj o tym. Bo jest ważniejsza rzecz.

– Poczekaj. Zanim przejdziemy do ważniejszej. Przy jednej z grup znaleziono amunicję krążącą polskiej produkcji. Skąd ją wzięliście?

Moskalewicz skrzywił się. Może zaczynał się niecierpliwić, a może bolała go rana.

– Znałem miejsce i czas, szczegóły taktyczne każda grupa opracowywała we własnym zakresie.

– Pozyskanie zachodniego uzbrojenia nie jest szczegółem taktycznym. Wymaga kontaktów, wykonawców, kanału przerzutowego i osłony.

– Oni są z GRU, ja z FSB. Wiem o nich dużo, nie wszystko. Ja wiem, jak bym to zrobił. Oni załatwili temat po swojemu.

Wajman już wiedział, że Rosjanin, choć raczej ma coś do powiedzenia, więcej nie zdradzi. Nie chciał wyzbywać się wszystkich kart. W porządku, niech i tak będzie. Na razie.

– O co chodzi z tym wciągnięciem Zachodu do wojny? – zapytał. – W jakim sensie mój kraj ma być ofiarą?

Moskalewicz pochylił się, jakby chcąc nadać swym słowom większą wagę. Musiało go to kosztować sporo bólu.

– W obwodzie kaliningradzkim, pod pretekstem rutynowych, dorocznych ćwiczeń, wojska raketowe zostały postawione w stan gotowości bojowej. Jest

wprowadzany zgodnie z naszą sztuką wojenną: powoli i niejawnie, ale tak, żeby wasze systemy obserwacji to odnotowały. – Wajman miał kłopot z odszyfrowaniem, czy gość ironizuje czy mówi poważnie. Ale kaliningradzkie przygotowania były faktem; rano dostał raport na ten temat. – Ponieważ sytuacja będzie eskalować z minuty na minutę, określicie zagrożenie jako całkowicie realne. Jeszcze dziś. My postaramy się o wiarygodne przecieki do mediów, żeby zrobiło się naprawdę gorąco. Wszyscy zaczną trąbić o zagrożeniu i konieczności działania. Dokładnie w tym momencie liczne grupy dywersantów zaatakują nasze instalacje. Skutecznie. Będzie dużo ognia i trupów. Nasza telewizja pokaże kilku schwytanych dywersantów, co prawda bez oznaczeń, ale z polskimi dokumentami, polskim sprzętem i mówiących po polsku. My ogłosimy, że zostaliśmy bezprawnie zaatakowani i zgodnie z doktryną chcemy przeprowadzić uderzenie odwetowe. Uderzymy w Warszawę raketami Iskander wyposażonymi w głowice nuklearne, których oczywiście wasze lotnictwo nie sięgnie, bo te systemy są zamontowane na ruchomych wyrzutniach. Wasza stolica zniknie, Zachód dostanie ostrzeżenie, które potraktuje poważnie. Będzie się trzymał z dala od nas i Ukrainy. Zabicie ukraińskiego prezydenta załatwi temat na amen. Może uchowa się kilka zachodnich obwodów, taki kadłubek, całkowicie zależny od Zachodu, skorumpowany i upadły. Ukraina będzie nasza i nastąpi nowy układ sił.

Wajman poczuł, że robi mu się zimno.

– Zachód nie odpowie na uderzenie nuklearne na jednego z członków NATO?

– Według naszych estymacji nie.

– Nie wierzę.

– Mój drogi, to nie jest kwestia wiary, tylko kalkulacji ryzyka. Nie uderzamy w Berlin czy Paryż, tylko Warszawę. Nie obraż się, ale nie tylko my traktujemy was jako strefę buforową. Amerykanie też. O Niemcach nawet nie mówię. Niemcy chcą z nami handlować, czy będziecie istnieć jako państwo czy nie. Ukraina stanie się częścią Rosji i potem wszystko wróci do normy, tyle że już na nowych zasadach. Naszych.

Wajman przez chwilę to w sobie przetrawiał. Oczywiście, scenariusz ten nie był mu obcy. Rozważano go w kręgu wojskowych decydentów. Panowało jednak założenie, że Rosja nie posunie się do czegoś więcej niż groźby. Szantaż nuklearny pozostanie obietnicą zagrożenia, nie realnym zagrożeniem.

– FSB już wie, że uciekłeś. Musi zakładać, że ten plan jest nam znany.

– To nic nie zmienia. Przygotowania są zakończone. Wojna wybuchnie, tak czy inaczej. A wy niewiele możecie zrobić.

– Amerykanie mogą.

– Masz rację, mogą. Nie muszą. Oni przede wszystkim boją się wielkiej wojny. Zrobią wszystko, żeby do niej nie dopuścić, nawet waszym kosztem. Tak myśli Kreml.

Wajman westchnął.

– Masz jakiś dowód?

– Dowodem będzie najbliższa noc.

Etap 5

Wynajęta przez firmę Tolaka małeńka kawalerka, z ciemną kuchnią i prymitywnie urządzonej łazienką, znajdowała się na piątym piętrze starej, secesyjnej kamienicy bez windy. Wady rekompensowała doskonałą lokalizacją w prawobrzeżnej części Kijowa i widokiem na dachy kompleksu budynków należących do Administracji Prezydenta. Do celów Krzeptowskiego i Kiki nadawała się lepiej niż dobrze; żadne z nich nie zamierzało zresztą zostawać w tym miejscu dłużej, niż to potrzebne.

Weszli i przystąpili do działania. Działali jak dobrze zgrany zespół. Nie musieli używać słów, by wiedzieć, co robić.

Krzeptowski przesunął niewielki stolik spod ściany pod okno. Kika ułożyła na blacie zawartość jednego z pakunków. Małeńki dron, nie większy niż dwa pudełka zapalek, był wytworem myśli polskich inżynierów i stanowił prawdziwy cud technologii.

Tolak powiedział im, że istnieje tylko kilka egzemplarzy tego niezwykłego urządzenia: stosowne czynniki nadal analizowały, czy państwo polskie może i powinno kupić sprzęt od prywatnej firmy. Tolak nie miał tego typu obiekcji – jego zdaniem urządzenie, oficjalnie przekazane SWW do testowania, miało tak szeroką gamę zastosowań i podczas kilku akcji wykazało się taką sprawnością, że naprawdę nie należało się już nad tym zastanawiać.

Dron mógł utrzymywać się w powietrzu przez dwie godziny. Wykonany w układzie quadrokoptera był dzięki elektrycznym silniczkom niemal bezgłośny, wytwarzał znikomą sygnaturę cieplną, kadłub zbudowano z materiału nieodbijającego fal używanych przez radary. Był więc praktycznie niewykrywalny przez standardowe systemy obserwacji. Jego największy atut jednak, obok niewykrywalności i małych rozmiarów, stanowiła bardzo zaawansowana głowica optoelektroniczna, pracująca w niezwykle szerokim paśmie detekcji, od widzialnego po termiczne, mogąca służyć do obserwacji, identyfikacji albo określania współrzędnych celu w świetle widzialnym i podczerwieni.

Co jeszcze bardziej niezwykle, zamieszczona pod brzuchem maszyny głowica wirowała wokół własnej osi, pozwalając objąć obserwacją obszar w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni. Obraz był drogą radiową przesyłany do stacji bazowej obsługiwanej przez operatora i nagrywany na dysk, a następnie analizowany poklatkowo. W wyciąganiu właściwych wniosków pomagała sztuczna inteligencja. Tolak, wręczając im urządzenie wraz z oprogramowaniem i udzielając instrukcji dotyczących użytkowania, wyraził nadzieję, że system będzie potrafił namierzyć wroga zaawansowanego technicznie i potrafiącego oszukać standardowy system wykrywania przynależności, typu swój-obcy. Program potrafił wyodrębnić anormalne zachowanie pojedynczego człowieka, podwyższoną temperaturę ciała, nienaturalną gestykulację czy mimikę – nawet jeśli ów człowiek znajdował się w tłumie.

Kika przygotowywała przypominającego kosztowną zabawkę drona do lotu, a Krzeptowski w tym czasie rozłożył na podłodze polski karabin snajperski GROT i pięć magazynków amunicji. Celownik optyczny został skalibrowany wcześniej, podczas próbnych strzelań, jeszcze w Polsce. Karabin zachowywał się wspaniale, był świetnie wyważony, ergonomiczny, celny, niezawodny. Krzeptowski nie uważał się za strzelca wyborowego ani tym bardziej snajpera, strzelał jednak przyzwyczajenie i od razu polubił tę broń. Wątpił, by okazała się potrzebna, ale cieszył się, że ją miał. Czuł się pewniej.

Kika uchyliła okno, uruchomiła silniczki drona i wypuściła go w powietrze. Urządzenie szybko zniknęło im z oczu, ale od razu zaczęło nadawać. Obraz na ekranie komputera miał wysoką rozdzielczość. Program na razie pokazywał widok z przedniej półsfery aparatu. Widzieli dachy mijanych budynków, ruch samochodowy w wąwozach ulic poniżej, przechodniów, stragany, kioski z gazetami...

System z niewyobrażalną prędkością miał terabajty danych. Na razie nic nie odbiegało od normy.

– Kontynuujemy? – mruknęła Kika, nie odrywając wzroku od monitora.

– Jasne – potwierdził. Wyjął komórkę, wbił czternastoznakowe hasło, wszedł w program, wywołał dane zamieszczone w odrębnym, również zabezpieczonym hasłem katalogu. – Zostali nam koledzy z wywiadu.

Jeszcze przed wyjazdem Tolak przekazał im zdigitalizowane dane pracowników ambasady. W każdej wolnej chwili analizowali nazwisko po nazwisku, badali

każdy szczegół życiorysu, przebieg kariery, wpadki i osiągnięcia, nawet plotki współpracowników i wrogów (co zadziwiająco często było jednym i tym samym).

Została im tylko reprezentacja SWW.

– To od góry – zarządziła Kika.

– Filip Wajman. Major. Szef placówki. W służbie od dwa tysiące jedenastego. Wcześniej w Żandarmerii Wojskowej. Podlega bezpośrednio pułkownikowi Maliszewskiemu, szefowi departamentu wschodniego.

Czytał dalej. Kika kwitowała kolejne punkty życiorysu lekkimi ruchami głowy, nie odrywając wzroku od ekranu, gotowa zareagować na każde odstępstwo od normy, każdą, nawet drobną anomalię, Krzeptowski mógł się jednak założyć, że słucha równie uważnie, co obserwuje otoczenie. I zadawała konkretne pytania.

– Nie ma się do czego przyczepić – stwierdziła, gdy skończył. – Nawet jego małżeństwo jest udane.

Rzeczywiście, życiorys Wajmana mógłby stanowić wzorzec. Żadnych nałogów, chorób w rodzinie wymagających ekstraordynaryjnych wydatków, żadnej pornografii na kompie czy zamięłowania do małych dziewczynek. Rzetelny, inteligentny oficer wywiadu, któremu zależy, ma jakieś cele w życiu i nie zdążył jeszcze do szczytu scynicznąć.

– Dziwak – mruknął Krzeptowski. Kika uśmiechnęła się kącikami ust.

– Sama znam paru podobnych – odparła.

Odpowiedział nieokreślonym grymasem. Jeśli myślała o nim, raczej się myliła. Nie miał sprecyzowanego zdania na własny temat. Od śmierci Jadwigi sporo się zmieniło.

– Dalej.

– Porucznik Dorota Mokrzycka, alias Lena... ładna babka, nawiasem mówiąc. Dwanaście lat w zawodzie, głównie w terenie, za biurkiem nudzi się i frustruje. Już ją lubię. Zna natywnie rosyjski, białoruski i ukraiński, potrafi rozpoznawać regionalne akcenty, jej specjalnością jest przybieranie fałszywej tożsamości. Mówi też po angielsku i niemiecku. Najczęściej pracuje jako nielegalna. Bardzo łatwo nawiązuje kontakty. Operacje, w których brała udział; dwa tysiące dwunasty...

– Poczekaj – nakazała Kika.

Zamilkł, stanął jej za plecami i zaczął przypatrywać się ekranowi. Kamera wyłowiła z tłumu elegancko ubraną kobietę. Szła szybko w stronę bariery

policyjnej, ustawionej pięćset metrów przed pałacem prezydenckim i pilnowanej przez ośmiu funkcjonariuszy policji z długą bronią. Miała na ramieniu ortalionową, sportową torbę. Nawet Krzeptowski zauważył, że nie pasuje do jej kosztownego płaszcza i butów. Twarz kobiety skrywały duże, przeciwsłoneczne okulary. Tłum rzedł, a ona szła prosto na barierę.

– Tętno osiemdziesiąt pięć, temperatura ciała trzydzieści siedem, skóra pokryta potem, ruchy przyspieszone. – Kika odczytywała dane przekazywane przez sensory drona spokojnym tonem.

– Choroba?

– Raczej duże napięcie.

Krzeptowski ustawił karabin na dwójnogu, błyskawicznie złapał kobietę w oko celownika. Szła szybko, ale poruszała się jednostajnym ruchem, kąt był dość znaczny – musiał tylko delikatnie przesunąć lufę, by mieć ją na linii strzału.

Palec opadł na spust i zaczął go delikatnie ściągać.

Kobieta doszła do bariery i zatrzymała się przed jednym z policjantów. Podała mu jakiś dokument, który on przez chwilę uważnie studiował. Torba zaczęła zsuwać się z ramienia. Kobieta poprawiła ją niecierpliwym ruchem.

Palec pieścił spust.

Co ja robię, przemknęło mu przez głowę. Może babka jest po prostu chora. Mam ją zabić, bo ma temperaturę?

Policjant oddał kobiecie dokument, przesunął jedną z sekcji stalowej bariery i kiwnął przyzwalająco głową. Lufa śledziła oddalającą się sylwetkę.

– Mogła mieć takie same fejkowe dokumenty jak my – stwierdziła Kika bez specjalnego nacisku.

– Mogła – zgodził się Krzeptowski. Jeśli im udało się przejechać przez kontrolę, przyznając się na dodatek, że posiadają broń, kobiecie mogło udać się tak samo. Kwestia pewności siebie i dobrze przygotowanych papierów. Ukraińscy policjanci, mimo częściowej mobilizacji i nakazów zachowania czujności, pracowali jednak nadal w trybie pokojowym. Trudno by było inaczej. Wojna formalnie trwała przez cały czas, ale gdzieś daleko i właściwie tylko się tliła; wszyscy zdążyli się do niej przyzwyczaić. Kijów żył swoim życiem, pracował się, pił, bawił się, oddychał. Być może funkcjonariusze jeszcze nie nauczyli się, że elegancka kobieta ze sportową,

niepasującą do szykownego płaszcza torbą na ramieniu może stanowić takie samo zagrożenie, co sekcja Specnazu.

Krzeptowski również jeszcze się tego nie nauczył. Zdjął palec ze spustu i oderwał oko od celownika.

Kobieta zniknęła za rogiem.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytał Krzeptowski.

Kika przyglądała się okolicy przez wojskową lornetkę.

– Wiesz, jak jest – stwierdziła po chwili. – Dotychczasowa robota zrobiła się...

– Tak. – Przepracowali w jednej firmie zbyt wiele lat, by musiała mu tłumaczyć powody, dla których ma się dosyć.

– ... musiałam zmienić otoczenie.

– Tylko?

– Nie do końca.

Zamilkła, a on dalej nie pytał.

Niepozorny jak na rangę wizyty, złożony z zaledwie trzech osobowych samochodów, konwój znajdował się jeszcze pół kilometra od celu, gdy zadzwonił telefon. Tolak sięgnął po niego łapczywym ruchem, co tylko uświadomiło mu, w jakim napięciu czekał na jakąkolwiek wieść.

Ferenc.

– Obiecałem informację. Dwie grupy zlikwidowane – oświadczył bez wstępów oficer wywiadu. – Stanowiły realne niebezpieczeństwo. Jedna z grup miała naszego Warmate`a.

Tolak zaniemówił na moment.

– Jest pan pewien?

– Widziałem na własne oczy.

Pułkownik w jednej chwili zrozumiał, w jak poważnych kłopotach się znaleźli. Przeciek był nie tylko w ambasadzie, miał też miejsce w Polsce, i to na wysokim szczeblu, skoro udało się wyprowadzić z systemu objęty klauzulą niejawności

sprzęt tak, że nikt się nie zorientował, i wywieźć go za granicę. Implikacji było zresztą więcej, brakło czasu, by roztrząsać je w tej chwili.

– Coś jeszcze?

– Na razie tyle. Jest dwa do zera, ale nie wiem, czy ma pan czystą drogę.

– Zrozumiałem. Dzięki za informację.

Rozłączył się w momencie, gdy prezydencka kolumna podjechała pod potężne ogrodzenie strzegące dostępu do siedziby prezydenckiej administracji, gdzie z reguły ukraińska głowa państwa podejmowała zagraniczne delegacje. Szybko przejechała przez pilnowaną przez ośmiu ludzi bramę, która natychmiast potem została zamknięta na głucho. Wozy zwolniły, aż w końcu stanęły na wysokości głównego wejścia.

Wyszedł z nich prezydent Zeleński.

Tolak widział to wszystko przez okno, z odległości co najmniej dwustu metrów, nie dostrzegał więc wielu szczegółów. Nie musiał zresztą. Ich zadaniem nie była bezpośrednia ochrona polityków, tym zajmowała się obstawa, GROM, SOP, użyzony przez Francuzów GIGN, służba litewska i pewnie ze cztery ukraińskie, w bliższym czy dalszym perymetrze. Ludzie Tolaka mieli wnikliwie obserwować dalszą okolicę i wykryć ewentualne niebezpieczeństwa nadciągające z głębi miasta. Na monitorach przewijały się widoki otoczenia, centymetr po centymetrze skanowanego przez wiszące sto metrów nad ziemią drony.

Niebo jednak było czyste i bezchmurne. Politycy witali się serdecznie, otoczeni kręgiem ochroniarzy. W końcu weszli do środka.

Tolak odetchnął z ulgą. Jeśli coś się miało wydarzyć, powinno mieć miejsce przed wejściem. W środku prawdopodobieństwo zamachu spadało, choć oczywiście nie do zera. Nielojalny członek ochrony, ktoś z personelu, pistolet, nóż, ładunek wybuchowy... możliwości było wiele.

Połączył się z Wiatrowiczem, przekazał mu zwięzłą informację o zlikwidowanych grupach terrorystycznych, w zamian usłyszał komunikat, że na razie wszystko idzie zgodnie z planem.

– Mamy czas na kawę – powiedział na głos. – Dopóki nie wyjdą.

Może mu się wydawało, ale przez pomieszczenie przepłynęło westchnienie ulgi. Na razie swoją pracę wykonywali dobrze.

Czekało ich kilka godzin względnego spokoju.

Etap 6

Szef departamentu wschodniego Służby Wywiadu Wojskowego liczył sześćdziesiąt lat, z których połowę spędził w firmie. Znał się na swojej pracy, lubił ją i traktował poważnie. Mimo iż w dorosłość wchodził jeszcze w PRL-u, był już człowiekiem ukształtowanym w nowych czasach. W odróżnieniu od swoich kolegów i przełożonych, a także dużej części polityków, od zawsze uważał, że Rosja była, jest i pozostanie najważniejszym wrogiem Polski. Fakt, że w latach dziewięćdziesiątych popadła w okres smuty i nie stanowiła poważniejszego zagrożenia z racji rozpadu armii i wszechobecnej korupcji, tylko, zdaniem pułkownika, odsuwało zagrożenie w czasie. Absolutnie go nie likwidowało. Dojście do władzy Putina i wdrożone przez niego działania, zmierzające do odbudowy siły państwa, potraktował jako potwierdzenie swych przewidywań, czemu starał się dawać wyraz w raportach. Reforma armii rosyjskiej, jej modernizacja i zmiana modelu działania – na bliższy zachodniemu – wzbudziły głęboki niepokój pułkownika. Kreml nawet nie ukrywał agresywnych zamiarów. Armia miała być – jak zawsze w rosyjskiej przeszłości – narzędziem realizacji imperialnej polityki i zmuszenia Europy do przyznania, że Rosja ma nie tylko prawo zasiąść przy wspólnym stole, ale również chce mieć przy owym stole głos decydujący.

Miał wrażenie, że alarmistyczny ton jego raportów tylko denerwował tych na górze.

Mógł już przejść na emeryturę, jednak nawet o tym nie myślał. Mimo oporu materii zbyt poważnie traktował zadania, które stoją przed szefem kluczowego w obecnej sytuacji departamentu firmy.

Usłyszawszy zwięzły, ale nasycony szczegółami meldunek Wajmana, popadł w zadumę. Obie wiadomości, choć niejednolitej rangi, wzbudziły w nim głębokie zaniepokojenie.

Utrata Warmate`a wywoła burzę i nadszarpnie zaufanie rządzących, niechętnie nastawionych do prywatnych firm, do producenta sprzętu. Zaufanie z tak wielkim

trudem budowane przez ostatnie lata. Zacznie się śledztwo, a część polityków będzie domagała się natychmiastowego ukarania winnych.

Całe to zamieszanie, jakkolwiek bardzo poważne i niosące daleko idące konsekwencje, bladło w obliczu drugiej groźby, znacznie poważniejszej. Rosja ma długą tradycję prowokowania swych ofiar, by nadać agresji pozory legalności – żeby przywołać pierwszy z brzegu przykład napaści na Finlandię zimą tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku czy obie wojny czecheńskie. Zarysowany przez Moskalewicza plan wciągnięcia Polski do wojny, by odstraszyć NATO od interwencji przy zajmowaniu Ukrainy, wyglądał niezwykle realistycznie. Tak właśnie myśleli rosyjscy stratedzy. Uderzyć, zdusić ofiarę, ewentualnych sojuszników zastraszyć, podtrzymując jednocześnie na Zachodzie przekonanie o potędze rosyjskiej armii.

Czy to jest realne?

Tak. Armia rosyjska jest w stanie wykonać tego typu operację.

Czy prawdopodobne?

Tak. Rządzący Kremlem kagiebiści dobrze rozumieli język siły i potrafili się nim posługiwać; w zasadzie to jedyny język, którym potrafili się posługiwać na wysokim poziomie. Podjęcie decyzji o zabiciu dwóch milionów mieszkańców Warszawy będzie dla nich kwestią kalkulacji politycznej, a nie nakazów etyki, chrześcijańskiej czy jakiegokolwiek innej.

Maliszewski podniósł słuchawkę stacjonarnego telefonu.

– Szefie? – powiedział, gdy usłyszał zachrypnięty głos generała. – Myślę, że powinien pan przekonać ministra, żeby poświęcił nam godzinę. Najlepiej teraz.

Etap 7

Prezydenci zaczęli obrady. Bezpośrednie zagrożenie w jakimś stopniu się zmniejszyło, ale Krzeptowski pozostał na stanowisku, a Kika nadal pilnie skanowała otoczenie. Ruch uliczny nie odbiegał zbytnio od normy. Lakoniczny komunikat od Tolaka, informującego, że zlikwidowano dwie grupy Specnazu, tylko nieznacznie zmniejszył panujące w pokoju napięcie.

– Kontynuujemy? – zapytał Krzeptowski.

– Tak. Pomiń Lenę – odparła Kika. – Wygląda na prymuskę.

– To nic nie znaczy.

– Czuję, że to nie ona. Może potem do niej wrócimy. Omówmy tego trzeciego...

– Ferenc.

– Ferenc.

Krzeptowski nie miał pewności, czy to dobra metoda, ale nie protestował.

– Jak chcesz. Ludwik Ferenc, rocznik osiemdziesiąty pierwszy, absolwent anglistyki i stosunków międzynarodowych na Jagiellonce, dwa razy aplikował do jednostki GROM, bez efektu...

– Musiał być wcześniej w wojsku.

– Nie musiał. Było takie okno przez jakiś czas, że przyjmowali z ulicy. Sam miałem taki pomysł – wyznał po chwili, a Kika usłyszała w jego głosie rozbawienie pomieszane ze wstydem. Kijów był nadal spokojny, choć ona miała wrażenie, że miasto czeka na coś, co nieuchronne, niszczycielskie, groźne. A może to sobie wmawiała. Dla ludzi jej pokolenia wojna w tej części Europy stanowiła nadal czystą abstrakcję.

– I?

– Też się nie dostałem. Instruktor miał, zdaje się, kosę ze spadochroniarzami i mnie uwalili.

Kika spojrzała na niego z zainteresowaniem. Przy kilku towarzyskich okazach opowiadał, raczej w lekkim, anegdotycznym tonie, o swej wojskowej przeszłości, o służbie w Osiemnastym Batalionie Desantowo-Szturmowym, o Afganistanie...

O próbie dostania się do najbardziej elitarnej polskiej jednostki – nigdy. Rozumiała go. Był ambitny. Nie należał do ludzi lubiących roztrząsać publicznie swoje porażki.

– Potem załapał się do ABW, ale służył krótko, dwa lata. Do SWW zwerbował go sam szef departamentu wschodniego, pułkownik Maliszewski. Ferenc przeszedł szkolenie, zaliczył wszystkie kursy, na czele z językowymi, z celującymi wynikami, posiedział rok za biurkiem jako analityk, po czym dostał pierwsze zadanie operacyjne. Na dzień dobry zwerbował attaché kulturalnego białoruskiej ambasady...

– Nieźle.

– Maliszewski też tak uważał. Ferenc dostał awans i został posłany w teren.

– Ukraina?

– Białoruś. Tam poznał Mokrzycką, zresztą...

Krzepkowski zamilkł.

– No? Co jest?

– Posłuchaj. Facet odnosi same sukcesy – podjął w końcu. – Werbuje pułkownika ze Sztabu Generalnego i dwóch pracowników wysokiego szczebla ichniejszego Ministerstwa Obrony. Dostarcza wartościowych informacji, które w większości przechodzą pozytywną weryfikację. Razem z Mokrzycką wspiera Polonię, udaje im się nawet wyciągnąć z pudła dwóch dziennikarzy polskiego pochodzenia skazanych za nic. Za pomocą łapóweczki, zdaje się. I nagle, w środku tego pasma sukcesów, facet zostaje odwołany.

– Może został zdekonspirowany albo Białorusini zażądali wydalenia.

– Nie ma słowa na ten temat. A to szczegółowe akta.

– To jaki powód jest podany?

– „Z przyczyn operacyjnych”.

– Pojemny worek.

– Zawsze. Facet ląduje w Warszawie, dwa miesiące kibluje na zwolnieniu lekarskim, potem znów siedzi za biurkiem. Dopiero po roku przerwy przyjeżdża

do Kijowa. Tu sukcesów brak. Porażek zresztą też. Robi to, czego chce Wajman. Jakby się cofnął w rozwoju.

Przez chwilę milczeli. Powodów odwołania Ferenca z Mińska mogło być wiele, choćby choroba. Ale oboje czuli, że to jest w jakiś sposób ważne.

– Podali przyczynę zwolnienia lekarskiego? – zapytała Kika.

– Nie.

– Dwa miesiące to długo.

– Można wyleczyć poważną ranę.

– Fizycznie. Potem siedział za biurkiem. Czyli nadal dochodził do siebie. Leczył głowę.

– Trzeba pogrzebać głębiej.

Krzeptowski złapał za telefon. Tolak odezwał się po dwóch sygnałach.

– Macie coś?

– Pytanie. W drugiej sprawie.

Szybko zreferował, czego potrzebują. Tolak nie komentował; obiecał przyjrzeć się życiorysowi Ferenca dokładniej. Krzeptowskiemu przebiegła przez głowę myśl, że facet musi mieć nieliczne plecy, skoro posiada możliwość dotarcia do informacji, które ktoś – najprawdopodobniej szef Ferenca, pułkownik Maliszewski – zataił, z wyraźną intencją, by pozostały niejawne. Zmuszenie szefa departamentu ważnej rządowej służby do zdradzenia tajemnic innej służbie, której wywiad nie lubi (i vice versa), wymagało interwencji na szczeblu wyższym niż ministerialny. Znał Tolaka od dwunastu lat, a i tak w wielu kwestiach gość pozostawał dla niego enigmą.

Miał tylko nadzieję, że grają do jednej bramki.

Etap 8

Porucznik Dorota Mokrzycka, alias Lena, alias Tamara (dla Ukraińców), alias Katia (dla Białorusinów), alias Nadieżda (dla Rosjan) stała na rogu Chreszczatiku i Goredeckiego, paliła papierosa i czekała na pewnego człowieka. Kiedyś mu pomogła – szczerze mówiąc, uratowała życie, niezupełnym przypadkiem, ale dla niego liczył się goły fakt, że żył i nadal prowadził swoje rozliczne interesy dzięki jej interwencji – a teraz oczekiwała, że spłaci część długu. Nie krępowała się poprosić. Wtedy, gdy leżał w szpitalu i dochodził do siebie po postrzale i wielogodzinnej operacji wyjmowania dwóch kul z okolicy płuc, powiedział, że może prosić o dowolną rzecz, skoro już nie chce u niego pracować – a proponował jej bajeczne wynagrodzenie za jakieś całkowite fikcyjne stanowisko. Odmawiając pracy czy choćby przyjęcia dużej sumy pieniędzy tytułem wynagrodzenia za jej przytomność umysłu i zimną krew, zaimponowała mu po raz drugi – może nawet bardziej. Naprawdę był skłonny dużo dla niej zrobić.

Z daleka zauważyła niezbyt czystego, używanego SUV-a, najbardziej typowy samochód w tych rejonach ukraińskiej stolicy. Oboje rozumieli konieczność powstrzymania się od ostentacji. Przy oficjalnych okazjach facet jeździł opancerzonym bentleyem w towarzystwie dwóch samochodów ochrony. Dzisiejsze spotkanie było w pełnym tego słowa znaczeniu nieoficjalne. Auto zbliżyło się i stanęło przy krawężniku. Lena otworzyła tylne drzwi, po czym wsiadła. Samochód niezwłocznie włączył się do ruchu.

Mężczyzna na jej widok uśmiechnął się. Miał pięćdziesiąt lat, ale wyglądał młodziej, co zawdzięczał rozsądnemu trybowi życia i aktywności fizycznej. Niedawna rana przysporzyła mu zmarszczek i kilku nowych siwych włosów, ale wyglądu nie popsuła. Nadal prezentował się świetnie.

- Dzień dobry – powitał ją.
- Dzień dobry – odparła, przypinając się pasem.

Mężczyzna nacisnął guzik ukryty w uchwycie na drzwiach. Pancerna szyba oddzieliła ich od kierowcy i ochroniarza. Gospodarz zatrudniał w charakterze ochrony wyłącznie eks-operatorów SAS-u, którym narzucał trudne warunki pracy, ale oferował wynagrodzenie dwukrotnie wyższe od rynkowych stawek. Mógł sobie na to pozwolić. Należał do pierwszej trójki najbogatszych ukraińskich oligarchów. Posiadał własne media, liczną grupę posłów w parlamencie, wpływy w administracji prezydenckiej i gigantyczny konglomerat firm w sektorze, głównie, choć nie tylko, rolno-spożywczym. Był człowiekiem o naprawdę rozległych wpływach – już choćby z tej racji zaliczał się do ludzi bardzo dobrze poinformowanych.

– Świetnie pani wygląda, pani Tamaro.

– Pan również, panie Pawle.

– Na długo w naszym pięknym mieście?

– Tydzień. Może mniej. To zależy.

– Od czego?

– Nie od czego, a od kogo. Między innymi od pana.

Nadal był rozluźniony, zrelaksowany, przyjacielski. Ludzie zajmujący miejsce na samym szczycie piramidy społecznej mają przemożne poczucie wyższości. Z góry spoglądają na świat i zaludniających go mieszkańców. Żądania, pragnienia, prośby, zakusy innych traktowane są z lekkim przymrużeniem oka.

Dlatego stwierdzenie Leny nie zdziwiło go ani nie zaskoczyło. Po prostu czekał na dalszy ciąg.

– Dziś rano parę ulic stąd była strzelanina – stwierdziła. – Chcę wiedzieć, kto do kogo strzelał i z jakiego powodu.

Udało jej się go zaskoczyć. Nie pokazał tego po sobie, miał taką samą rozciągniętą w życzliwym grymasie twarz, ale wyczuła w nim napięcie. Niczego mu o sobie nie opowiadała. Do dzisiejszego dnia niczego od niego nie chciała. Może zakładał, że chce go poprosić o wsparcie finansowe. Albo z opóźnieniem zgodzić się na propozycję pracy.

– Sam nie znoszę, gdy ktoś odpowiada pytaniem na pytanie, ale jednak muszę wiedzieć: dlaczego to panią interesuje?

Patrzyła mu prosto w oczy. Spochmurniał. Był bardzo inteligentny. Być może kupił bajeczkę o całkowitym przypadku, jaki postawił ją na jego drodze akurat

wtedy, gdy najbardziej tego potrzebował. Postawił na jego drodze dobrze wykszoloną kobietę z pistoletem, która poradziła sobie z trzema zawodowymi zabójcami z wojskową przeszłością, którzy, pokonawszy z zaskoczenia ochronę, mieli już ofiarę na widelcu. Zdążyli dwukrotnie strzelić, nie zdążyli zabić. Bardziej prawdopodobne jednak, że owej bajeczki nie kupił. I na przykład uważał całą sprawę za ustawkę, inscenizację, mającą wymusić na nim ustępstwa w jednym z niezliczonych interesów prowadzonych na terenie całej Europy. Zadane przez kobietę, którą znał jako Tamarę, pytanie tylko częściowo potwierdzało to założenie. Świadczyło o tym, że rozmówczyni oceniała mężczyznę jako świetnie zorientowanego w znacznie szerszym zakresie, dalece wykraczającym poza interesy. Co było interesujące, bo oznaczało, że wiedziała o nim znacznie więcej, niż można było wyczytać w oficjalnych informacjach.

Wszystkiego tego Lena była świadoma. Odsłoniła się. Miała nadzieję, że ryzyko się opłaci.

– Bo to ważne dla ludzi, dla których pracuję – odparła.

– Ponawiam pytanie.

Lena zastanawiała się przez chwilę. Ten człowiek miał możliwość odkrycia tożsamości jej prawdziwych mocodawców. Gdyby naprawdę chciał, dowiedziałby się o niej wszystkiego, co ważne. Mimo iż na razie niczego od niego nie żądała, mógł to zrobić z ciekawości lub dla bezpieczeństwa.

– Powiedzmy, że są siły zainteresowane bezpieczeństwem Ukrainy – powiedziała ostrożnie. – Które są gotowe wiele zrobić, żeby Ukraina pozostała niepodległym państwem.

Nadal patrzył na nią z wyrazem lekkiej irytacji.

– I ty pracujesz dla tych sił.

Zaczął mówić jej po imieniu. Skracał dystans. Musiała mu na to pozwolić.

– Tak.

– Spełnię twoją prośbę, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie.

– Nie, nie uratowałam cię przez przypadek – stwierdziła, zanim je zadał. – Miałam za zadanie dyskretnie cię obserwować. Nadchodziły informacje o twoich wrogach. W końcu jeden z nich zaatakował cię fizycznie. Byłam blisko, miałam wsparcie.

– Prawie się spóźniłaś.

– Sprawa miała wyglądać możliwie jak najbardziej naturalnie.

– Tamten już nie żyje.

Zaskoczył ją. Człowiek, który stał za zamachem, należał do wierchuszki służb specjalnych. Miał pretensje do rozmówcy Leny, bo poczuł się oszukany przy jednym z interesów. Uważany był za nietykalnego. Jeśli jego udało się sięgnąć...

– Wiesz, że wcale nie muszę być zainteresowany niepodległością Ukrainy? – zapytał.

Odnutowała, że nie chciał wiedzieć, kim są jej mocodawcy.

– Masz w Rosji dwie fabryki.

– Nie tylko. Trzy czwarte interesów mam w Rosji albo prowadzę je z Rosjanami – wyjaśnił. – To dobrzy partnerzy, wiarygodni, wypłacalni. Wiesz, o czym mówię?

– Choćby o rozległej siatce kontaktów rozsianej po świecie, dostępie do decydentów przyznających koncesje, mających kanały dystrybucji i nieograniczony dostęp do Kremla.

Spojrzał na nią z uznaniem.

– Odrobiłaś lekcje.

– Zbyt cię szanuję, żeby nie odrobić.

– Więc pewnie wiesz, że obecna administracja wszczęła przeciwko moim firmom szereg postępowań skarbowych, a mnie samemu grozi sprawa karna.

– Co w takim razie robisz w Kijowie?

Pochylił głowę w uznaniu celności pytania. Większość z jego bogatych kolegów na Ukrainie prowadziła interesy, na stałe rezydowała natomiast w Szwajcarii, Izraelu, Francji, Wielkiej Brytanii. On mieszkał na dalekich przedmieściach stolicy w domu, w jakim inni oligarchowie trzymali służbę.

– Czekał – odparł z prostotą.

– Na co?

– Zobaczą, która ze stron wygra. Wtedy ją poprę.

– Nie wierzę.

Wzruszył ramionami. Spochmurniał znowu. Odzwyczył się od szczerości ludzi orbitujących w jego otoczeniu. Nikt nie miał interesu, by go drażnić.

– Zadzwoń za kilka godzin – powiedział. – Postaram się odpowiedzieć na twoje pytanie.

Samochód stanął. Lena wysiadła.
Mężczyzna nawet się nie obejrzał.

Etap 9

– Musimy iść – powiedział Chołyczenko.

– Daj mi chwilę.

Pułkownik niechętnie pokazał mu krzesło. Ferenc zajął miejsce przed wielkim oknem, dzielącym pomieszczenie od pokoju przesłuchań. Przykuty do krzesła mężczyzna został schwytany w grupie operującej z Czarnej Góry. Śledczy z SBU ocenili, że najprawdopodobniej był przywódcą. Przesłuchanie dopiero się rozpoczęło.

– Skąd masz broń? – padło pierwsze pytanie.

Cisza.

– Co było twoim zadaniem?

Cisza.

– Jak się nazywasz?

Cisza.

Więzień milczał ponuro, a Ferenc miał przemożne wrażenie *déjà vu*. Rano pytał dokładnie o to samo. I słyszał dokładnie te same odpowiedzi. Ci ludzie wydawali się jak spod jednej sztancy.

– W lokalu znaleźliśmy dwanaście sztuk broni, materiały wybuchowe, amunicję krążącą, fałszywe dokumenty, pieniądze. To podpada pod ustawę o terroryzmie. Dostaniesz dożywocie. A jak zaczniesz gadać, to może cię wymienimy i wrócisz do swoich.

Nic. Żadnej reakcji.

– Chodź – powiedział Chołyczenko. – To tutaj jeszcze potrwa.

Ferenc wstał bez protestu. Miał świadomość, że nie znajduje się w tym budynku po to, by śledzić przebieg przesłuchania. Dwa piętra wyżej weszli do sali konferencyjnej. Gospodarz prosił siadać, ale nie zaproponował niczego do picia. Po chwili boczne drzwi uchyliły się i do sali wkroczył pułkownik Balickij, szef

wydziału antyterrorystycznego, szef Chołyczenki i jedna z najważniejszych osobistości w firmie. Za nim pojawił się jeszcze jeden mężczyzna: wszechwładny generał major Siergiej Kowaluk, zastępca dowódcy SBU.

Mówiło się, że człowiek ten trzęsie połową ukraińskich polityków i jest po imieniu z większością oligarchów, a szef służby to tylko figurant, nominat prezydenta. Osobisty majątek Kowaluka szacowano na miliony, oficjalnie jednak generał żył tylko z państwowej pensji i poruszał się służbowym samochodem.

Ferenc Balickiego spodziewał się, widok Kowaluka mimo wszystko zaskoczył go. Wiedział, że Ukraińcy nie zadowolą się ogólnikami. Obecność funkcjonariusza tak wysokiej rangi świadczyła o tym, że sprawę traktują śmiertelnie poważnie.

Usiedli i wbili w niego ciężki, badawczy wzrok. Mimo iż stanowili zupełnie różne typy fizyczne – Chołyczenko był wysoki i przystojny, Balickij korpulentny i nalany, a uroda Kowaluka wskazywała na to, że jego przodkowie pochodzili z Kaukazu – ponury wyraz twarzy czynił ich w jakiś sposób podobnymi.

– Pańskie informacje okazały się prawdziwe – stwierdził Balickij. – Chcielibyśmy wiedzieć, skąd pan je miał.

– Myślałem, że usłyszę podziękowania.

Balickij skrzywił się jak po ugryzieniu cytryny.

– Panie kapitanie...

– Otrzymałem od swojego szefa – brnął dalej Ferenc.

– Bardzo zabawne. A on od kogo?

– Tego nie wiem.

Balickij westchnął z rezygnacją człowieka wiedzącego, że życie czasami bywa skomplikowane, sięgnął do kieszeni i rzucił przez stół fotografię. Rzut był tak zręczny, że zatrzymała się tuż przed Ferencem, na dodatek we właściwym położeniu. Kapitan na razie na nią nie patrzył. Domyślał się, co zobaczy.

– Pułkownik Chołyczenko działał w terenie, więc jeszcze o tym nie wie, ale jego chłopcy i koledzy ze śledczego wykonali kawał dobrej roboty – ciągnął Balickij. – Na miejscu porannej strzelaniny znaleźli między innymi kilku świadków. Dwóm udało się sfilmować kawałek zajścia. Zwłaszcza jeden film jest godny uwagi. Niech pan zerknie, panie Ferenc. To kadr z tego filmu.

Kapitan przyjrzał się fotografii. Nawet nieźle wyszedł. Ktoś filmował go z lewego, lepszego (zdaniem żony, z którą się właśnie rozwodził) profilu. Ale nie

tylko profil było widać, resztę sylwetki też. Na pierwszym planie szczyrzył zęby Glock, wycelowany w kogoś, kto znajdował się poza kadrem.

– Interesujące, prawda?

Ferenc milczał. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć.

– Trupy, strzelanina z broni maszynowej, masa odcisków palców i innych śladów.... panu się wydaje, że gra w amerykańskim filmie?

Mogli z nim zrobić wszystko i żaden immunitet na nic mu się nie przyda. Zacisnął usta w uporze.

Balickij pochylił się nad blatem. Jego okrągła twarz świeciła potem. Miał niezbyt świeży oddech. Wyglądał na skrajnie wyczerpanego. Same krążące po Kijowie plotki, dotyczące „pewnych” informacji o nadchodzącym ataku, mogły przyprawić o palpitację serca.

– Zginęło kilku ludzi. Udało się ich zidentyfikować. Byli żołnierzami Specnazu. Jeden nosił na ciele świeże ślady tortur. Ktoś chciał go zmusić do gadania. Co tam się stało, panie Ferenc?

Nie miał nic do powiedzenia.

– Gdzie jest major Wajman i porucznik Mokrzycka?

Nie miał nic do powiedzenia.

– Dlaczego was zaatakowano? Czy to wy atakowaliście?

Nie miał nic do powiedzenia.

– Panie Ferenc, wyjaśnijmy sobie jedno. Uważamy was za sojuszników i dlatego pozwalamy na niejedno. Albo przynajmniej przymykamy oczy. Wiele służb pracujących w naszym mieście chciałoby mieć połowę waszych przywilejów. Wiemy, że prowadzicie swoje gry i czasami ukrywacie przed nami różne rzeczy, bo uważacie, że nasze służby są nadal nieszczerne. Macie rację: są. Wytępiiliśmy masę zdrajców, oczyściliśmy szeregi, ale oczywiście nie usunęliśmy wszystkich grających przeciw nam. Praca trwa. W tym pokoju jednak znajdują się tylko osoby godne zaufania. Po tej stronie stołu.

Jasne postawienie sytuacji.

– Rozumiem.

– Na pewno, panie Ferenc? Więc dlaczego pan nic nie mówi? Po naszym mieście hulają rosyjskie siły specjalne, pan tymczasem odmawia współpracy.

Zaufanie do mnie może się szybko skończyć, pomyślał kapitan, ale powstrzymał się od wypowiedzenia tej konkluzji na głos. O ile w ogóle kiedykolwiek było jakieś.

Nadal nie przychodziło mu do głowy żadne wyjaśnienie. Siedzący naprzeciw mężczyźni nie naciskali, zamiast tego jak na komendę wyjęli papierosy. Nie częstując. Ciężki dym uderzył Ferenca w nozdrza.

– Mamy dowód, że uczestniczył pan w strzelaninie, w wyniku której zginęły cztery osoby – odezwał się w końcu Balickij. – Mogę się założyć, że broń ma pan przy sobie. Jeśli ją zbadamy, okaże się, że strzelał pan z niej, może nawet pociski znalezione w ciałach ofiar będą pochodzić z pańskiej broni. Proszę powiedzieć, z jakiego powodu nie miałbym pana aresztować?

Pułkownik miał rację, trudno w tej sytuacji wymyślić jakiś sensowny powód.

– Powtórzę pytanie: skąd mieliście informacje o rosyjskich grupach dywersyjnych.

Masz wyjść z tego żywy, przypomniał sobie instrukcję Wajmana.

– Mamy źródło – wydukał.

– Domyślam się, że nie wyczytaliście tego w „Ukraińskiej Prawdzie” – zauważył złośliwie Chołyczenko. Chyba był zły, że nie pogadał z gościem jako pierwszy, bez świadków. – Kim jest?

– FSB.

– Wysoko?

– Bardzo wysoko.

– Chce nadawać czy wybrał wolność?

– Może chciał nadawać jeszcze rano. Teraz nie ma wyjścia, musi wybrać wolność.

Właśnie przyznał, że strzelanina miał związek z operacją kontaktu ze źródłem.

– Motywacja? Chce kasy?

– Nie. Właśnie o to chodzi.

Siedzący naprzeciw Ferenca Ukraińcy popatrzyli po sobie. To było naprawdę ciekawe. Generalnie oficerowie wywiadu, niezależnie od przynależności organizacyjnej, mieli ograniczone zaufanie do ludzi, którzy podejmowali śmiertelne ryzyko – a tym była zdrada własnej organizacji, zwłaszcza takiej jak

FSB – z pobudek ideologicznych. Z doświadczenia wiedzieli, że lepiej pracuje się z ludźmi działającymi dla pieniędzy.

– Nie wiem, czy to dobrze – stwierdził Balickij.

– Przekonamy się.

– Wiesz, kim jest?

Ferenc pokręcił głową. Czas na odwrócenie porządku rozmowy.

– I tak wam dużo powiedziałem. On postawił warunki: pracuje dla nas i dla nikogo więcej. Ani dla was, ani nawet dla Amerykanów. Tyle mogę powiedzieć.

– Zobaczymy.

– Powtarzam: w innym wypadku możemy zapomnieć o jakiegokolwiek współpracy. Ja też coś od was chcę.

Balickij poruszył się.

– To bardzo ciekawe.

– Chcę wiarygodnej informacji, skąd Rosjanie mieli naszą amunicję krążącą.

– Targuje się pan?

– Chyba nie mam innego wyjścia.

Balickij zerknął na generała, ale z jego miny trudno było cokolwiek odczytać.

– Powiedzmy, że możemy podyskutować na ten temat – zadeklarował.

– Weźcie pod uwagę, że dzięki naszym informacjom udało się zapobiec dwóm zamachom. Wasz prezydent żyje.

– Wasz też. Działaliście we własnym interesie.

– Tak się złożyło, że to był wspólny interes.

– Tak – zgodził się nieoczekiwanie Balickij. – Dobrze. Nie będziemy naciskać na ujawnienie źródła, choć bardzo by nam ułatwiło sprawę, gdybyśmy mogli sami z nim pogadać. I drugie dobrze: gdy dowiemy się czegoś o waszym dronie, damy znać.

– Pasuje.

Balickij przyjrzał mu się uważnie.

– Uważamy, że nadal istnieje niebezpieczeństwo zamachu na naszego prezydenta. Rosjanie z pewnością przygotowali kilka scenariuszy takiego ataku. Chcemy wiedzieć o innych grupach dywersyjnych, niekoniecznie tylko na terenie

Kijowa. Chcemy wiedzieć o ewentualnych dalszych atakach na wysokich urzędników państwowych i infrastrukturę krytyczną. I oczywiście, w miarę możliwości, o rosyjskiej agenturze wśród nas.

Czyli chcecie wiedzieć wszystko o wszystkim, pomyślał Ferenc, niewiele dając w zamian. Tak Ukraińcy działali, przyzwyczaił się. Gdy on albo Wajman protestowali, Chołyczenko albo jego szef gasili sprzeciw argumentem, że gdy dojdzie co do czego, to oni, a nie Polacy będą płacili krwią za każdy popełniony błąd czy choćby niedostatek informacji. W obliczu miażdżącej przewagi gromadzącej się na granicach armii rosyjskiej trudno zresztą takiej argumentacji odmówić dozy racjonalności.

– Tak się możemy umówić – zadeklarował Ferenc. – Wszystko, czego się dowiemy, a co będzie dotyczyło was, niezwłocznie wyląduje na biurku pułkownika Chołyczenki.

Etap 10

– Szybko się uwinąłeś – powiedział Krzeptowski.

– Mam bezpośredni dostęp do informacji – odparł poważnie Tolak. Słabo go było słychać. W ciągu ostatnich godzin jakość sygnału telefonii komórkowej bardzo się pogorszyła. Głos zanikał i pojawiał się, coś trzeszczało, jakby ktoś sypał popcorn na rozgrzany olej. – Wydaje mi się, że możecie mieć rację.

– Bo?

– On był na zwolnieniu lekarskim z bardzo specyficznego powodu.

– Ciekaw jestem.

Tolak mówił przez kilka minut. Krzeptowski darował sobie notowanie. Nie o szczegóły chodziło, a o zestawienie faktów. Mogły stanowić silne poszlaki dowodzące winy Ferencza. Ale równie dobrze mogły nie świadczyć o niczym konkretnym. Stanowiły niezły punkt startu, ale wymagały sprawdzenia.

– Przyjrzymy się – zadeklarował. – Gdzie go znajdziemy?

– Gada z Ukraińcami. Pewnie go maglują w kwestii porannej strzelaniny. I źródła informacji o zamachu. Co pewnie jest jednym i tym samym.

– Siedziba SBU?

– Tam powinniście go znaleźć.

– Rozumiem.

– Prezydenci powinni zaraz kończyć. Jak pojedą, możecie ruszać.

– Przyjąłem. Będziemy potrzebowali sprzętu.

– Jakiego?

Powiedział mu.

– Żaden problem – usłyszał w odpowiedzi. – Masz to w magazynie.

Pobyty w Kijowie rozpoczęli od wizyty w jednej z firm, specjalizującej się w wynajmie niewielkich powierzchni magazynowych. Miała tę zaletę, że zapewniała bezpieczeństwo i o nic nie pytała. Tolak, występując jako

przedstawiciel polskiej firmy spożywczej, wynajął najmniejsze, czterometrowe pomieszczenie. Stworzono w nim magazyn sprzętu i wyposażenia potrzebnego do realizacji misji.

– W porządku.

Krzepkowski odłożył aparat i spojrzał na Kikę.

– Mamy temat do załatwienia.

Zreferował jej czego się dowiedział.

– Przynajmniej jest jakiś punkt startu – skomentowała. – Jedziemy do magazynu.

Pisnął sygnał przychodzącej wiadomości. Prezydenci zakończyli spotkanie.

Tolak w napięciu obserwował pożegnanie polityków. Było wyjątkowo serdeczne, znacznie wykraczające ponad dyplomatyczne standardy, jakby ci trzej mężczyźni stanowili grupę przyjaciół, którzy mieli się rozstać na długo. Samochody czekały cierpliwie, gotowe do podróży na lotnisko.

Jeśli coś miało się wydarzyć, wydarzy się teraz.

– Cisza? – zapytał Tolak.

– Cisza – potwierdził jeden z operatorów dronów.

Dzwonek telefonu. Wiatrowicz. Zastanawiał się, czy odebrać. Pożegnania polityków trwały i trwały. Byli widoczni jak mucha na ścianie. Jednak odebrał.

– Rosyjskie lotnictwo na Białorusi podobno grzeje silniki. Ukraińcy boją się jakiejś prowokacji w powietrzu. Albo po prostu ataku – powiedział Wiatrowicz. – SOP rekomenduje, żeby wracać samochodem.

– Rozsądnie – stwierdził Tolak bez wahania. Czytał na bieżąco spływające meldunki. Sytuacja zaostrzała się z każdą minutą. Rosyjska armia była gotowa do ataku. Piloci siedzieli w maszynach. Mimo wszystkich niebezpieczeństw, jakie niósł wariant samochodowego powrotu do Polski, Tolak już godzinę temu doszedł do wniosku, że ze wszystkich złych rozwiązań to jest najmniej złe. Pięćset pięćdziesiąt kilometrów, jakie dzieliło prezydencką kolumnę od Kijowa do granicy, można, przy wprawnej jeździe i mimo stanu ukraińskich dróg, pokonać w sześć, może pięć i pół godziny. – Litwini się zgadzają?

– Tak. Mają jechać razem.

Byle jak najszybciej wsiedli do samochodów i zniknęli stąd, pomyślał Tolak.

– Okej. Rekomenduję utworzenie dwóch kolumn. Jedna pojedzie trasą przez Korosteń, Sarny i Kowel, druga przez Żytomierz, Równe i Łuck. Nikt poza ochroną nie może wiedzieć, w której są prezydenci, jasne? Proszę powiedzieć, że to oficjalne zalecenie zastępcy szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

– Przekażę – przytaknął Wiatrowicz, po czym rozłączył się.

Politycy, jakby posłuchali błagań Tolaka, w końcu wsiedli do aut. Zeleński wrócił do pałacu, a kolumna ruszyła, przejechała przez kutą bramę, po czym szybko zniknęła za zakrętem.

– Dobra robota, dziękuję za współpracę – powiedział pułkownik głośno. – Zwijamy manatki.

Ludzie odetchnęli z wyraźną ulgą.

Burza chwilowo przeszła bokiem, choć nie miał złudzeń, że to tylko chwilowe roz pogodzenie. Od tego momentu ochrona polskiego prezydenta spadła wyłącznie na głowę funkcjonariuszy Służby Ochrony Państwa i tak czy inaczej, przestała być problemem Tolaka.

Mógł na powrót zająć się ustaleniem tożsamości kreta.

Etap 11

Siedziba SBU mieściła się przy ulicy Wołodymirskiej, w zachodniej części centrum miasta, w zabytkowym, trzypiętrowym budynku o długiej, blisko stumetrowej fasadzie. Po drugiej stronie stosunkowo wąskiej ulicy ciągnęły się efektowne, secesyjne kamienice. Mimo centralnej lokalizacji na tej sennej w gruncie rzeczy arterii panował niewielki ruch.

Pusto, mało ludzi, brak naturalnych osłon, wszędobylskie kamery. Fatalne miejsce do śledzenia kogokolwiek.

Ani Krzeptowski, ani Kika nie mieli nawet części umiejętności Leny przybierania różnych tożsamości na różne okazje, ale zasady inwigilacji znali wystarczająco dobrze, by pozostać niezauważonymi. Tym razem musieli być jednak wyjątkowo staranni i uważni: chodziło o śledzenie wyszkolonego oficera wywiadu, a ich było tylko dwoje.

Krzeptowski zaczął od tego, że spacerowym krokiem obszedł budynek dokoła, bez zdziwienia odnotowując fakt, że siedziba SBU ma kilka wejść oficjalnych oraz cały szereg mniejszych, umożliwiających dyskretny dostęp do budynku ludziom, którzy nie chcieli być widziani. Nikt mu się specjalnie nie przyglądał, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że kamery reagują na ruch i śledzą każdy jego krok. Zorientował się w topografii i skręcił w boczną uliczkę, nie chcąc figurować na nagraniach dłużej, niż to konieczne. Potem zmienił kurtkę i zdjął czapkę, a także pozbył się wielkich, rogowych okularów.

– Spokój? – szepnął do ukrytego pod kołnierzem kurtki mikrofonu.

– Na razie spokój – odparła Kika. Siedziała w zaparkowanym przy sąsiedniej ulicy samochodzie. Miała widok na główne wejście, ale nawet mu się nie przyglądała. Na ekranie rozłożonego na sąsiednim siedzeniu laptopa system wykrywał logowanie się komórki Ferenca. Nie mieli wystarczających uprawnień, by podsłuchiwać jego rozmowy (jeszcze nie; gdy zyskają jakieś dowody, to się zapewne zmieni), ale mogli ustalić lokalizację. To musiało na razie wystarczyć.

Póki co komórka była nieaktywna.

Fomin miał w Kijowie do dyspozycji kilka grup, wzajemnie o sobie niewiedzących.

Sasza Krupski spojrział na dowódcę. Czerwona kropka na ekranie laptopa pulsowała łagodnie. Tkwiła w jednym miejscu.

– Mamy go, towarzyszu majorze – powiedział.

– Jesteś pewien?

– Sto procent.

Fomin pokiwał głową z satysfakcją. Nagonka odnalazła trop. Czas wypuścić myśliwych. Nie udało się rano, musi udać się teraz. A potem już tylko główny cel – Zefeński.

– Powiedz Arkademu, żeby wziął swoich ludzi i załatwił tę sprawę raz na zawsze. A potem spotykamy się w punkcie zbornym.

Arkady Szatowicz, dowódca jednej z grup taktycznych, miał do dyspozycji dwa używane samochody terenowe, jakich w Kijowie tysiące. I siedmiu bardzo dobrze uzbrojonych ludzi.

– Tak jest, towarzyszu majorze. – Krupski wstał i wyszedł wykonać rozkaz.

Fomin spojrział na zegarek. Czas wielkich rozstrzygnięć nadchodził szybkimi krokami. Wyjął telefon i wybrał zapisany w pamięci numer.

– Dobry wieczór, Siergiej Iwanowiczu – powiedział serdecznie, zmieniając akcent.

– A to wy, Jewgieniju Fiodorowiczu – odparł męski, sympatyczny głos. – Dobry wieczór.

– Czy dziś wieczorem się widzimy na imieninach wujaszka?

– Niestety, mój drogi. Mam dyżur. Kończę dopiero jutro o ósmej. Ale dziś, około dziesiątej trzydzieści mam chwilę przerwy, wtedy zadzwonię do wuja złożyć mu życzenia.

Rozmówca właśnie dał majorowi do zrozumienia, że nie działa pod przymusem i może rozmawiać swobodnie.

– Wuj będzie niepokieszony.

– Cóż poradzić. Służba.

– Postaram się was wytłumaczyć. Dobranoc, Siergieju Iwanowiczu.

– Dobrej nocy, Jewgieniju Fiodorowiczu.

Fomin rozłączył się. Człowiek, od którego w dużej mierze zależało powodzenie planu, dał zielone światło do akcji. Zaczną niedługo, o dziesiątej trzydzieści. Siergiej Iwanowicz postara się, by mieli wolną drogę. Był prawdziwym ukraińskim patriotą, nieznoszącym Zachodu i widzącym przyszłość swej ojczyzny w ścisłym związku z Rosją. Umiejętności maskowania własnych poglądów i niemałemu sprytowi zawdzięczał wysokie stanowisko w prezydenckiej administracji. Miał nieograniczony dostęp do Zeleńskiego.

Major poczuł dreszcz podniecenia. Zapowiadała się wspaniała noc.

Ferenc opuścił gabinet Chołyczenki w gruncie rzeczy zdezorientowany. Przez pewien czas miał pewność, że nie wyjdzie z budynku, że Ukraińcy zdecydują się go aresztować, mimo immunitetu. Pod koniec spotkania uruchomił się generał Kowaluk: wygłosił coś w rodzaju przemówienia programowego, twierdząc nie bez racji, że gdy wybuchnie wojna, Ukraina będzie walczyć za całą Europę, starając się nie dopuścić, by ruskie tanki stały na polskiej granicy. Więc oczekuje od Polaków pełnej współpracy. Jeśli jeszcze raz powtórzy się sytuacja z dzisiejszego poranka, będzie wnioskował do prezydenta o wydalenie polskich służb z Kijowa. Po czym pozwolili mu opuścić budynek. Nie wierzył, że tak po prostu. Dostanie ogon, to na pewno. Ale co jeszcze? Ograniczenie swobody ruchów? Prośba o wydalenie? Dwa pierwsze punkty wydały mu się pewne, trzeci niekoniecznie; w gruncie rzeczy Chołyczenko był wdzięczny za przekazanie zamiaru na dywersantów. Podczas współpracy z Ferencem zdążył chyba przekonać się, że kapitan jest zaangażowany w robotę, nie znosi Rosjan i chce jak najbardziej ograniczyć ich wpływy. I dobrze życzy Ukrainie. Pewnie dlatego stanowisko zarówno jego samego, jak i jego szefów okazało się ostatecznie nie tak do końca pryncypialne.

Wyszedł na ulicę i ruszył w stronę stacji metra Teatralna. Ruch i świeże powietrze dobrze mu zrobiły. Przechodniów przybywało z każdą przecznicą. Jakaś kobieta potrąciła go i rozpląnęła się w skłębionym tłumie; widział jej twarz przez ułamek sekundy. Minał monumentalny gmach Opery Narodowej, skręcił

w Chmielnickiego. Kijów zdumiewał po raz kolejny – tętnił wielkomięjskim życiem, wszędzie przechadzały się starannie umalowane dziewczyny w ciuchach stanowiących ostatni krzyk mody, pędziły kosztowne samochody zapracowanych stołecznych biznesmenów – i nikt specjalnie nie przejmował się krążącymi w powietrzu wieściami o narastającym niebezpieczeństwie. Media spekulowały, że jeśli się zacznie, to w Donbasie; może celem będzie Charków albo orki przypuszczają atak z Krymu na Chersoń. W to, że Kijów może być celem ataku, chyba nikt nie wierzył. Ferenc widział co prawda przygotowane checkpointy tu i tam, gdzieś ciężarówki usypywały hałdy piachu koniecznego do wypełniania worków, w paru miejscach spawacze błyskali palnikami acetylenowo-tlenowymi, ale Ferenc miał wrażenie, że ma do czynienia raczej z działaniami na pokaz, zarządzonymi przez burmistrza Kliczkę, byłego bokerskiego mistrza świata i zaprzysięgłego wroga Zeleńskiego. Nadchodząca apokalipsa w żadnym stopniu nie osłabiła ognia świętej wojny pomiędzy konkurencyjnymi klanami ukraińskich elit.

Dotarł do wielkiego zielonego „M” oznaczającego wejście do podziemnej kolejki. Wrzucił do automatu plastikowy żeton i zjechał ruchomymi schodami głęboko w dół. Stacji Teatralna daleko było do olśniewającego przepychu Demijewskiej, Złotych Wrót czy Uniwersytetu, ale i tak jej marmurowe kolumny i łukowato wygięty, pokryty stiukami sufit oświetlony stylowymi lampami prezentowały się imponująco. W każdym razie Ferencowi się podobało. Lubił jeździć metrem. Słuchać rozmów. Oglądać ludzi.

Zerknął w bok. Przez niezbyt czyste szklane drzwi widział wnętrze drugiego wagonu. Czy to ta sama kobieta, która na niego wpadła? Stała oparta o słupek i czytała książkę. Ona? Nie ona? Nie mógł zdecydować.

Wysiadł na stacji Beresteiska. Nim wyszedł na powierzchnię, uważnie się rozejrzał. Nigdzie nie zauważył kobiety. Wzruszył ramionami. Chyba jednak sytuacja była bez znaczenia.

Ruszył przed siebie i po chwili zanurzył się w pozornie chaotycznej (i na swój sposób uroczej) plataninie gęsto porośniętych drzewami uliczek. Wszędzie stare, najwyżej trzypiętrowe, od dawna nieodnawiane domy, blaszane garaże, jakieś budy i śmietniki, samorzutnie stworzone parkingi. Aspirująca klasa średnia z pewnością w tej okolicy nie mieszkała. Jednak z punktu widzenia kijowskiej

komórki polskiego wywiadu miejsce zostało dobrane bardzo dobrze; na swój sposób anonimowe, zapewniało bezpieczną dyskrecję.

Po kilku minutach niespiesznego marszu stanął przed niewielkim blokiem. Szybę drzwi klatki schodowej i dolne rejony elewacji jakiś początkujący graffitiarz pokrył niedającymi się odczytać bazgrołami. Gdzieś uparcie szczekał pies. Ktoś przegazowywał silnik: ochrypli dźwięk to podnosił się, to opadał.

Niemal nad głową z hukiem i łomotem przeleciał wojskowy śmigłowiec.

Ferenc zatrzymał się, ukląkł i zaczął zawiązywać sznurowadło. Wokół nikogo. Wyglądało na to, że nie włókł za sobą ogona, choć takich rzeczy nigdy nie wie się na pewno.

Wszedł do klatki, przeskakując po dwa stopnie znalazł się na pierwszym piętrze. Zapukał. Wajman otworzył mu szybko.

– W porządku? – zapytał, zamykając starannie drzwi.

– Mniej więcej – odparł Ferenc.

Major dał mu znać, by na tym poprzestał. Bardziej szczegółowo pogadają bez obecności Rosjanina.

Moskalewicz spoczywał na kanapie w pozycji półleżącej. Wyglądał znacznie gorzej niż rano, gdy Ferenc widział go po raz ostatni. Był blady i wyraźnie cierpiał. Miał przymknięte oczy. Jego organizm, wsparty potężną dawką antybiotyków i leków przeciwzapalnych, próbował przezwyciężyć kryzys, ale na razie przegrywał.

Na niefachowe oko Ferenc faceta potrzebował szybko trafić do szpitala.

– Zostawiam cię – oświadczył Wajman. – Jadę do firmy, pogadać z szefem. Zorganizuję lekarza. W lodówce masz coś do jedzenia. Kluczyki do wozu na stole. Jak coś się nie będzie zgadzać, zawijasz się, jasne?

Ferenc przytaknął. Usiadł na fotelu. Miał na oku zarówno gościa, jak i drzwi wejściowe.

– Jasne. Lena gdzie?

– Powinna być niedługo. Lecę.

Drzwi trzasnęły. Ferenc został sam.

Porucznik Mokrzycka szła niespiesznie, nie zwracając uwagi na przenikające kurtkę podmuchy zimnego wiatru. Dzień miał się ku końcowi. Zignorowała zaczepki dwóch podpitych żuli, odwzajemniła uśmiech przystojnego faceta przejeżdżającego obok niezłym samochodem i życzliwym spojrzeniem obrzuciła młodą kobietę próbującą okiełznać rozwrzeszczanego trzylatka. Zachowanie Kiki było maską, w rzeczywistości koncentrowała się wyłącznie na zadaniu.

Sprawdziła teren, starając się wykryć każde możliwe niebezpieczeństwo. Na razie żadnego nie zidentyfikowała.

Minęła stację metra, skręciła za róg i weszła w dziurawą uliczkę dumnie nazwaną Artyleryjską. Od razu poczuła, że coś jest nie tak. Samochód zaparkowany na chodniku? Zwykły opel, nic nadzwyczajnego. Jednak kobieta siedząca za kierownicą patrzyła w bok i w dół, jakby na siedzeniu pasażera leżało coś szalenie interesującego. W jej twarz biła lekka, jasna poświata. Gdyby rzecz miała się dwie godziny wcześniej, w pełnym świetle dnia, Lena by jej nie dostrzegła. Mrok okazał się sojusznikiem.

Laptop.

Kobieta wpatrywała się w ekran leżącego obok laptopa. Dom, w którym mieścił się konspiracyjny lokal, znajdował się zaledwie sto metrów dalej. Co z tego? Ile osób w dzisiejszych czasach używa laptopa, bez względu na to, gdzie się znajduje?

Lena przeszła na drugą stronę ulicy i skryła się za blaszaną budą, jakich wiele stało w sąsiedztwie. W głębi ulicy panował spokój. Rozejrzała się jeszcze raz. Po niebie przemknął cień. Wyteżyła wzrok. Dron. Mały i cichy, żadna tam chińska zabawka za grosze. Babka sterowała dronem.

Wyciągnęła komórkę. Ferenc powinien już być na miejscu.

– Zwijaj się – powiedziała, gdy usłyszała jego głos. – Teraz!

Zielonkawy, nieco bajkowy obraz nocnej kamery quadrokoptera wiernie przekazywał dziejącą się sto metrów niżej rzeczywistość. Kika wyraźnie widziała wejście do budynku i najbliższe otoczenie. Dron w zasadzie wisiał nieruchomo w powietrzu, cichy i niewidoczny. W dole ekranu laptopa, w osobnym oknie, miała dokładną lokalizację Ferenc. To ona była kobietą, która potrafiła go po wyjściu z siedziby SBU. Wpięła mu wtedy w kołnierz płaszczka malutki lokalizator, nie

większy niż główka od szpilki. Wyszli z Krzeptowskim z założenia, że określanie położenia śledzonego obiektu na podstawie logowań komórki jest zbyt ryzykowne. Mieli rację: tuż po opuszczeniu budynku ukraińskiej bezpieki Ferenc wyłączył telefon i wyjął z niego kartę. Dzięki lokalizatorowi bez przeszkód dotarli jednak na Artyleryjską. Zakopiańczyk wysiadł wcześniej i zniknął w ciemności, Kika natomiast wjechała w uliczkę, zaparkowała samochód w pewnej odległości od budynku, do którego wszedł Ferenc, i uruchomiła drona. Miała dzięki temu bardzo szeroki podgląd okolicy. Co jeszcze ważniejsze, dzięki superczułemu mikrofonowi udało jej się po minucie zidentyfikować konkretne miejsce przebywania obiektu: lokal na pierwszym piętrze, z oknami od frontu.

Dźwięk, docierający przez szyby do mikrofonu i przekazywany drogą radiową do stacji odbiorczej, nie był zbyt wyraźny, ale specjalny program potrafił poprawić go na tyle, by dało się rozróżnić słowa.

– Głodny? – zapytał Ferenc po rosyjsku.

Ktoś musiał po prostu pokręcić głową, bo odpowiedź nie padła.

Minutę później ciszę przerwał dzwonek telefonu.

Krzeptowski stał w najgłębszym cieniu rzucanym przez obskurny garaż i obserwował wejście do budynku. Inwigilacja, ze swoim często ciągnącym się w nieskończoność tkwieniem w jednym miejscu, ze swoją nudą i monotonią (ta klasyczna policyjna czynność składała się przecież głównie z czekania) nie stanowiła, oględnie mówiąc, jego ulubionego zajęcia. Był na to zbyt niecierpliwy. Nauczył się zachowywać spokój, ale popędliwy charakter pchał go do działania.

W tym wypadku szczęście się do niego uśmiechnęło.

Po mniej więcej dwudziestu minutach stróżowania, gdy nie dążył jeszcze na dobre się znudzić ani nawet zmarznąć w przenikliwych podmuchach wiatru, w słuchawce zabrzmiał podekscytowany głos Kiki.

– Wychodzi – oznajmiła. – Nie sam.

– Przyjąłem – mruknął.

Po chwili w drzwiach klatki schodowej pojawiło się dwóch mężczyzn. Krzeptowski miał już w tym czasie w ręku aparat z niezwykle czułym

teleobiektywem. Światło wiszącej nad wejściem żarówki przez sekundę oświetliło twarze wychodzących.

Migawka zdążyła trzasnąć sześć razy, nim ponownie skryli się w mroku.

Krzeptowski zerknął na wyświetlacz. Obraz był wyraźny, rysy twarzy obu mężczyzn dobrze widoczne. Ferenc wyszedł jako pierwszy. Tego drugiego Krzeptowski nigdy nie widział na oczy.

Aparat miał połączenie bluetooth z komórką zakopiańczyka. Po kilku sekundach komplet zdjęć wylądował na telefonach Kiki oraz Tolaka. Po pół minucie dotarł do Warszawy i pojawił się na ekranie komputera wyposażonego w system rozpoznawania twarzy, używanego przez analityka pracującego dla pułkownika.

Mężczyźni tymczasem, chwiejąc się nieco (ten drugi musiał być osłabiony, chory lub ranny) doszli do zaparkowanego na poboczu samochodu. Krzeptowski, gdy ujrzał ich w plamie światła rzucanego przez latarnię, miał wrażenie, że facet idzie z zamkniętymi oczami. Znajdowali się nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od wielkiego górala. Zgrzytnął centralny zamek. Ferenc pomógł mężczyźnie wsiąść. Robił to delikatnie, jakby nie chcąc sprawić bólu bliskiej osobie. Zamknął drzwi pasażera i zaczął obchodzić samochód, rozglądając się przy tym bacznie.

– Ten drugi to pułkownik FSB – zatrzeszczał w słuchawce podniecony głos Kiki.
– Siergiej Moskalewicz, zastępca szefa Departamentu Analiz, Prognoz i Planowania Strategicznego.

Krzeptowski spodziewał się czegoś w tym stylu, niemniej poczuł się zaskoczony aż tak wysoką rangą (a właściwie funkcją) Rosjanina. W drodze do Kijowa czytał syntetyczny materiał na temat FSB. Departament Analiz, Prognoz i Planowania Strategicznego był jednym z najważniejszych. To tu rodziły się koncepcje wojen i podbojów. To tu wykuwały się kadry przyszłych zarządców Europy. Połową rosyjskich spółek państwowych zarządzali ludzie mający taką czy inną styczność z departamentem, którym faktycznie zarządzał (nominalny szef jest na ogół figurantem z politycznego nadania) znajdujący się na wyciągnięcie ręki mężczyzna. Z którym właśnie spotkał się Ferenc.

Wszystko złożyło się w całość.

– Zawijam ich – oznajmił Krzeptowski.

– Poczekaj – odparła Kika. – Nie mamy autoryzacji. Moskalewicz na pewno ma immunitet, będzie chryja na całego.

– Zawinę tylko Ferencą. Oni zaraz odjadą.

– Ferenc ma lokalizator. Pojedziemy za nimi.

– Jak się zorientują, zwieją i tyle ich będziemy widzieli.

Ferenc wsiadł. Warknął silnik samochodu. Krzeptowski dosłownie słyszał, jak Kika się zastanawia.

– Nie mamy prawa go aresztować – orzekła w końcu. – Ani nawet przesłuchiwać. Musimy zgłosić temat Tolakowi. Odpuść.

– Oni odjeżdżają.

– Pojedziemy za nimi.

Krzeptowski walczył ze sobą. Argumentacja Kiki nie była pozbawiona sensu: rzeczywiście nie mieli uprawnień operacyjnych. Działali poza prawem i wiedzą gospodarzy miasta.

Z drugiej strony miał na widelcu Ferencą i jawny dowód jego zdrady. Tolak przydzielił im lokal, w którym żaden sąsiad się nimi nie zainteresuje. Krzeptowski wiedział z autopsji, że prowadzone przez niego przesłuchania najczęściej kończyły się pełną współpracą przesłuchiwanego. Udowodnią Ferencowi winę, reszta będzie zmartwieniem Tolaka. Przeciek zostanie zlikwidowany.

Gdy tamci odjadą, drugiej okazji może nie być.

– Idę. Potem będziemy się martwić konsekwencjami...

– Staszek...

Wyjął z kabury pistolet, nakręcił tłumik i schował broń za plecami. W czasie ostatniej wymiany zdań zdążył już pokonać połowę dystansu dzielącego go od auta. Ferenc włączył jedynkę i nacisnął gaz.

Sekundę później wydarzyło się kilka rzeczy naraz.

Gdzieś z tyłu ryknął silnik. Jego dźwięk narastał od kilku sekund, ale Krzeptowski początkowo nie zwrócił na niego uwagi – ot, zwykły wieczorny szum wielkiego miasta. Teraz jednak wątpliwości nie było; ktoś zbliżał się z bardzo dużą prędkością. Krzeptowski obrócił się i zobaczył duży, ciemny samochód nadjeżdżający wąską wyboistą uliczką. Co więcej, od drugiej strony pędziło kolejne auto. Minęło samochód Kiki i pognało dalej.

Krzeptowski już wiedział, że popełnili błąd. Śledzili Ferenca, sami jednak nie zabezpieczyli się przed inwigilacją. Bo to oni przywlekli tu nieproszonych gości, zakopiańczyk nie miał co do tego wątpliwości.

Oba samochody gwałtownie hamując, zatrzymały się przy wozie Ferenca, całkowicie blokując mu drogę ucieczki.

Lena wyjęła Glocka i zaczęła biec. Dostrzegła, że babka siedząca w zaparkowanym na poboczu aucie gwałtownie zamyka laptopa, sięga głęboko pod kurtkę i łapie za klamkę. Kiedy Lena dopadła samochodu i z rozmachem kopnęła w uchylone drzwi, kobieta krzyknęła zaskoczona.

– Ani, kurwa, drgnij – wycodziła po rosyjsku Mokrzycka, celując z pistoletu wprost między oczy. Babka znieruchomiała. Ale, ku zaskoczeniu Leny, patrzyła na nią bez specjalnych emocji.

– Opuść broń, Lena – powiedziała czystą polszczyzną. – Jesteśmy po tej samej stronie. Tak mi się przynajmniej wydaje. – Uśmiechnęła się lekko. – Nazywam się Kika – ciągnęła. – I to takie samo imię jak twoje.

Mokrzycka nie opuściła broni.

– Kim jesteś i co tu robisz?

– Nadkomisarz Kaczkowska, CBS.

– Nie wyglądasz na policjantkę.

– Ty nie wyglądasz na oficera wywiadu.

Ryk silnika pojawił się znikąd. Lena instynktownie skoczyła w bok. Ciemny SUV przemknął tuż obok niej. Prawdopodobnie kierowca nawet jej nie zauważył. Nie ona była celem.

Gdy sto metrów dalej wóz zaczął gwałtownie hamować, gdy z naprzeciwka nadszedło drugie, identyczne auto i z piskiem zatrzymało się w tym samym miejscu, wiedziała, o co chodzi. O zlikwidowanie Moskalewicza. I, zapewne przy okazji, Ferenca. To, co nie udało się rano, najwyraźniej miało się udać wieczorem.

Podobnie jak Krzeptowski na drugim końcu uliczki, Lena musiała podjąć błyskawiczną decyzję. A do wyboru wyłącznie złe rozwiązania. Może chwilowe zaufanie tej kobiecie było tym najmniej złym?

– Zostań tu – zawołała, zrywając się do biegu. Gdzieś na drugim planie kołatała myśl, że nowa znajoma jest jednak kimś innym, że właśnie podnosi pistolet, by wpakować jej kulę w plecy... Jednak przede wszystkim skupiła się na celu, cel bowiem, w postaci siedzących w SUV-ach mężczyzn, stanowił bezpośrednie zagrożenie życia Ferenca i Moskalewicza, o zniweczeniu samej akcji wywiezienia agenta nie wspominając.

Usłyszała za sobą przyspieszony oddech. Nie odwracała się. Najwyraźniej rzekoma (albo i nie rzekoma) policjantka postanowiła dotrzymać jej towarzystwa. Niech i tak będzie. Nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

Zagrzmiały wytłumione serie, podobne do jakiegoś upiornego, maszynowego kaszlu.

Samochód Ferenca rozpadał się na kawałki.

Gwałtowny rajd obu samochodów zastał Krzeptowskiego dwadzieścia metrów od dobrze oświetlonego blaskiem latarni wozu Ferenca. Zakopiańczyk, same pozostając w cieniu, widział więc wszystko dokładnie. Musiał przyznać, że Ferenc szybko zidentyfikował zagrożenie, wyciągnął właściwe wnioski i wykazał się nieliczym refleksem. Jedynekę zamienił na wsteczny i z rykiem silnika zaczął się cofać.

Jednak okna obu samochodów były już w tym czasie otwarte. Ukazały się w nich lufy karabinków szturmowych przedłużonych o tłumiki dźwięku.

Poczwórna salwa ochrypłych, stłumionych kaszlnięć przeszła powietrze. Kule zagrzechotały o karoserię nadal poruszającego się tyłem wozu Ferenca. Pękła przestrzelona przednia szyba, po chwili huknęła przebita opona, później druga, zadymił wielokrotnie trafiony silnik. Sekundę później poleciały w to miejsce kolejne serie.

Strzelcy mogli sobie darować. Już po pierwszej salwie silnik umarł. Ucieczka zakończyła się, nim na dobre wystartowała. Otoczony kłębem pary z przebitego przewodu chłodniczego, z rozdartą rurą przepustnicy samochód zatoczył się jak ciężko ranny słoń i uderzył tylnym zderzakiem w latarnię. Strzały umilkły.

W odróżnieniu od poprzednich, pełnych przemocy sekund, niejako prawem kontrastu, wszystko zamarło w nienaturalnym bezruchu.

Strzelcy zmieniali magazynki. Nadal nie widzieli Krzeptowskiego, w którego głowie kłębił się huragan sprzecznych myśli. Jeśli Ferenc był zdrajcą, a zarazem celem napastników, wyeliminowanie go zlikwiduje problem przecieku, na dodatek cudzymi rękoma. Czyimi – będzie można odkryć później. Krzeptowski po prostu się oddali i wróci do Zakopanego, do swoich spraw. Kijów był ziemią obcą, a nadchodząca wojna niewiele go obchodziła.

Jeśli jednak sprawy mają się inaczej?

Na przykład tak, że celem jest Moskalewicz, a Ferenc tylko przypadkowym uczestnikiem zdarzeń? Wroga frakcja w FSB postanowiła pozbyć się pułkownika w jednej z niezliczonych gier wewnątrz tej krwawej organizacji, gier o władzę i dostęp do ucha władcy Kremla? Wariant drugi: celem są obaj, bo ktoś podejrzewa Moskalewicza o zdradę, a Ferenc jest świadkiem egzekucji?

To wszystko przemknęło przez głowę zakopiańczyka w jakimś upiornym skompresowaniu, w ułamku sekundy. Pytania doczekały się odpowiedzi. Odpowiedzi przeistoczyły się we wnioski.

Wiedział, co ma robić, nim jeszcze umilkło echo wystrzałów. Zakopane musiało poczekać.

Wyciągnął przed siebie broń. Lufa celowała wprost w głowę kierowcy bliższego z wozów. Dwukrotnie nacisnął spust. Pistolet zakaszłał, znacznie ciszej od broni napastników. Zadźwięczała przebita szyba, kierowca podskoczył i opadł czołem na kierownicę. Strzelec przesunął lufę w lewo i wpakował kilkanaście kolejnych kul w okolice tylnego siedzenia.

Trafił. Zakotłowało się tam. Krzyk bólu rozciął powietrze.

Ekipa z drugiego auta zareagowała szybko. Otworzyły się tylne drzwi i grad pocisków poleciał w stronę zakopiańczyka. Krzeptowski oczywiście nie czekał: sekundę wcześniej rzucił się w bok. Upadł na ziemię, przyturlał się kilka razy, boleśnie uderzając o krawężnik. Syknął z bólu, cel jednak osiągnął – zszedł tamtym z linii ognia.

Zmienił magazynek i ponownie uniósł broń.

Od strony samochodu Ferenc huknęły strzały. Ktoś, może sam Ferenc, a może Moskalewicz albo jeszcze ktoś inny, darował sobie używanie tłumika. A może po prostu go nie miał.

Mniejsza z tym. Wielki góral otworzył ogień.

Kapitan Ludwik Ferenc popełniał różne głupstwa w życiu, miał także wiele słabości, ale panikowanie w obliczu zagrożenia do nich nie należało. Umiał zachować zimną krew, trzęsąc się ze strachu; paradoks, ale tylko pozorny. Z jakąś dziwną (masochistyczną?) satysfakcją odnotował, że po raz drugi tego dnia stał się obiektem polowania. Owszem, od razu zrozumiał, że ludzie siedzący w terenowych samochodach – które pojawiły się jednocześnie z obu stron, zablokowały go, a z ich wnętrza pluł grad pocisków – nie przyjechali po niego. Celem, tak jak rano, był siedzący obok Moskalewicz. Ale Ferenc przecież również znalazł się na linii ognia. Mógł oberwać przypadkiem albo, co prawdopodobne, komando zabójców miało w swoim harmonogramie również likwidację świadka zamieszania.

Toteż zmusił samochód do najwyższego wysiłku i zaczął się cofać, znajdując lukę w blokadzie, przez którą, jak sądził, uda mu się prześliznąć. Odwłókł wyrok o całą sekundę, nieubłagane kule i tak unieruchomiły auto, tyle że kilkanaście metrów dalej. Ale nie trafiły w niego bezpośrednio. Gwałtowny odwrót uratował mu życie.

W tym czasie miał już w ręku broń. Głowa Moskalewicza opierała się o słupek między drzwiami. Z dwóch ran na piersi buchała krew. Ferenc otworzył drzwi pasażera w momencie, gdy do samochodu z łomotem wpadła kolejna porcja pocisków, zamieniając wnętrze w rumowisko. Na oślep odpiął pas Rosjanina i wypchnął go na zewnątrz. Ciało upadło bezwładnie na ziemię. Ferenc nie był pewien, czy ma to w ogóle sens, pułkownik, co bardzo prawdopodobne, nie żył już i próby ratowania go nie miały żadnego znaczenia. Działł jednak w gorączkowym pośpiechu, mając przeraźliwą świadomość, że samochód, jakkolwiek w pierwszej chwili uratował mu życie, teraz stanowi śmiertelną pułapkę. Kule gwizdały tuż obok, nad głową, wszędzie. Skulony szukał jakiegokolwiek osłony, nawet nie myśląc, by odpowiedzieć ogniem.

Zrobił to za niego ktoś inny.

Kątem oka dostrzegł jakiś ogromny cień, może dwadzieścia metrów dalej. Na tle wielkiej ludzkiej sylwetki błysnęła seria ogników. Ferenc nic nie słyszał – ogłuszony hukami pękających szyb, rykiem silnika i łomotem zderzenia z latarnią

– jednak pochodzenie owych ogników było dla niego jasne. Jasne było również, że nie on jest celem.

Na polu walki pojawił się nieoczekiwany sojusznik. Ogień prowadzony z jednego z samochodów umilkł.

Ferenc wystawił lufę Glocka ponad zmasakrowaną maskę samochodu i włączył się do akcji. Niewytłumione strzały huknęły gromko. Spudłował. I musiał natychmiast nurkować; kolejna seria przeleciała tuż obok głowy, niemal parząc. Przeciwnik jednak został zmuszony do podzielenia ognia – strzelał już do niego tylko jeden karabin szturmowy, nie dwa. Począł, aż strzelcowi skończy się amunicja, wychylił głowę i w ciągu trzech sekund opróżnił magazynek do końca. Kątem oka widział, jak w budynkach dookoła gasną światła w mieszkaniach. Ludzie instynktownie czuli, że blask żarówek może przyciągać niebezpieczeństwo.

Zmienił magazynek i ostrożnie wyrzął.

W dalszym z samochodów panował bezruch – ogień tajemniczego sojusznika najwyraźniej okazał się celny. Z tego bliższego, ku zdziwieniu Ferenca, zaprzestano ostrzału.

Precyzyjniej rzecz ujmując: zaprzestano ostrzału w jego stronę.

Na polu bitwy pojawił bowiem ktoś jeszcze; w pierwszej z sylwetek Ferenc rozpoznał Lenę, w drugiej, ku swojemu zdumieniu, kobietę, która potrafiła go na ulicy, niedaleko siedziby SBU. Obie miały w ręku broń, obie zatrzymały się jak na komendę i jak na komendę jednocześnie otworzyły ogień. Z SUV-a odpowiedziano, ale była to szybka, nerwowa, niezbyt celna seria. Funkcję jednak spełniła: obie kobiety skryły się za pobliskim śmietnikiem.

Ekipa siedząca w SUV-ie nie czekała dalszego ciągu. Samochód warknął silnikiem i zaczął się wycofywać, wprost na Ferenca i kryjące się gdzieś za jego plecami kobiety. Kapitan otworzył ogień do przejeżdżającego auta. Zaczął strzelać również skryty w mroku olbrzym.

SUV sygnął rozbitymi szybami, ale biegu nie zwolnił, przeciwnie, kierowca coraz mocniej przyciskał pedał gazu. Glock Ferenca szczęknął iglicą uderzającą w pustkę, zamek został w tylnym położeniu. Przestała strzelać także pozostała trójka.

Samochód zniknął za zakrętem.

Zapadła upiorna cisza, spotęgowana panującym dookoła mrokiem.

Etap 12

Pułkownik Wadim Chołyczenko wpatrywał się ponuro w swojego szefa. Obaj mieli świadomość przeciekającego przez palce czasu. Noc zaglądała przez okna. Dym papierosowy niemal dusił, ale im to nie przeszkadzało. Nikotyna pomagała w koncentracji.

– Skończył się dzień – mruknął Balickij. – I nic.

Chołyczenko wygiął usta w sceptycznym grymasie.

Rosjanie kochają symbole, są od nich wręcz psychicznie uzależnieni. Jak oddajemy do użytku fabrykę, to koniecznie w dniu urodzin drogiego Władimira Władymirowicza. Jeśli szykujemy jakąś akcję (na przykład wysadzamy w powietrze NATO-wską fabrykę amunicji na terenie Czech czy Bułgarii), to w rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Jeśli zaczynamy wojnę, to...

No właśnie. Dwudziesty trzeci lutego obchodzony jest w Rosji z wielką pompą i licznymi uroczystościami honorującymi kombatantów, jako dzień Obrońcy Ojczyzny, tradycja mająca korzenie w głębokich czasach sowieckich. To bardzo ważna rocznica dla prawomyślnych Rosjan. Uderzenie na zbuntowaną Ukrainę miałoby tego dnia sens moralny, pokazałoby światu, jak poważnie traktuje Matuszka Rosja (poprzez mózgi swoich kremlofskich przedstawicieli, a mięśnie ludu) zagrożenie płynące z zachodu. Wszak o obronę ojczyzny chodzi, prawda?

Tymczasem dzień miał się ku końcowi i w tak symbolicznym dniu nic się nie wydarzyło. Wojna nie rozpoczęła się. Nie licząc wielu prowokacji, do których wszyscy w zasadzie zdążyli się przez osiem lat wojny przyzwyczaić, i udanej akcji zneutralizowania dwóch rosyjskich grup dywersyjnych, panował spokój. Część analityków uznała, że jeśli tego dnia Rosjanie nie zaatakowali, zagrożenie minęło. Ich zdaniem niedawne oficjalne uznanie przez Putina Donieckiej Republiki Ludowej i Ługańskiej Republiki Ludowej zamknęło sprawę przynajmniej na jakiś czas, bo Rosja poczuła się usatysfakcjonowana.

Oczywiście inna część specjalistów, opierając się na przeciekach od Amerykanów, twardo utrzymywała, że ataki wkrótce nastąpią, ale będą miały miejsce w Donbasie, Charkowie, może gdzieś na południu, w Melitopolu – ale na pewno nie w Kijowie. Chołyczenko, uważający, że Kijów będzie celem, znajdował się w zdecydowanej mniejszości.

– Co nie zmienia faktu, że gotuje się coraz bardziej – ciągnął szef. – Liczba incydentów, zwłaszcza w Donbasie, wzrosła w ciągu ostatnich dwóch dni, ale mędrzy ze Sztabu Generalnego są zdania, że to tylko podkręcanie napięcia albo zamiar sprowokowania nas do jakiegoś głupiego ruchu...

– Jedno drugiego nie wyklucza – mruknął Chołyczenko. Marzył o kilku godzinach snu. Próżne nadzieje. Czekala go pracowita noc.

– To samo im powiedziałem. Nie słuchali. Prezydent w ogóle uważa, że wojny nie będzie.

– Polityk – wydał usta pułkownik.

– Aktor.

– Raczej komediant.

Balickij machnął ręką. Wszyscy widzieli filmiki z fragmentami rosyjskich programów telewizyjnych sprzed kilku lat z udziałem Zeleńskiego. Obecny prezydent miał nawet na koncie występ w noworocznym show, którego prowadzącym był rekin kremłowskiej propagandy Władimir Sołowiow, a podczas którego dzisiejsza głowa ukraińskiego państwa mówiła i śpiewała po rosyjsku, wyglądając przy tym na szczerze ubawioną.

Pukanie przerwało ciężką ciszę. Do gabinetu zajrzał szef zespołu śledczego przesłuchującego pojmanyh rosyjskich dywersantów. Na widok Balickiego zawahał się.

– Chodź, chodź. – Szef zaprosił go gestem do środka. – Masz coś?

– Dwóch się rozpruło – stwierdził, zbyt zmęczony, by okazywać zadowolenie. Ciężko usiadł na krześle. – Właściwie pełna współpraca. Obaj mówili w zasadzie to samo. Reszta też coś tam zeznała, w sumie udało się z fragmentów złożyć spójny obrazek. Zwerbowano ich do akcji dwa miesiące temu, przeszli krótkie przeszkolenie z zasad konspiracji, dostali dokładne instrukcje, jak mają się zachowywać, odbyli krótki trening strzelecki. Żaden z nich nie znał wcześniej pozostałych członków grupy, poznali się dopiero podczas szkolenia. Do Kijowa

przyjechali pojedynczo, pociągiem, dwa – trzy tygodnie temu. Nigdzie nie wychodzili, czekali na rozkaz. W lokalu czekała broń i materiały wybuchowe. O zadaniu dowiedzieli się dziś rano.

– Moment, moment – uniósł dłoń Chołyczenko. Śledczy miał duże doświadczenie, wiedział, o co pytać. Tym dziwniejsza była jego opowieść. – Co to znaczy, że przeszli krótkie przeszkolenie?

– Nas to też zdziwiło. Żaden z nich nie ma doświadczenia w siłach specjalnych. Dwóch eks-spadochroniarzy, jeden żandarm, jeden policjant kryminalny, saper i artylerzysta. Generalnie rezerwiści bez żadnych osiągnięć.

Balickij i Chołyczenko wymienili spojrzenia.

– Kto organizował? – zapytał pułkownik.

– FSB.

– FSB zatrudniło do takiej operacji leszczy bez doświadczenia?

– Na to wygląda.

– Sami opracowali plan?

– Nie. Dziś rano przyszedł łącznik z gotowym planem, rozpisany minuta po minucie.

– Do obu grup ten sam plan?

– Ten sam plan i człowiek.

– Mówiłeś, że kiedy przyjechali do lokalu, broń już czekała.

– Tak.

– Warmate też?

– Nie. Dron wraz z oprzyrządowaniem dostarczył dziś rano operator, który miał nim sterować.

– Przeżył?

– Tak. Jest ranny, ale przytomny.

– Mówi?

– Najmniej... Pracujemy nad nim.

Chołyczenko zapalił kolejnego papierosa.

– To bardzo ważne, żeby mówił.

– Wiem. Szczerze mówiąc, z obu grup on jeden wygląda na zawodowca. Wyznażyłem dwóch chłopaków, żeby nad nim pracowali bez przerwy. Zmęczy się i zacznie gadać.

– Coś jeszcze?

– Na razie tyle.

– Dobra robota. Melduj, gdyby coś.

– Tak jest.

Śledczy opuścił gabinet. Chołyczenko podszedł do ekspresu, zaparzył dwie czarne jak smoła kawy, jedną filiżankę postawił przed Balickim.

– Mamy problem – oznajmił szef.

– Wiem – odparł Chołyczenko, po czym złapał za telefon komórkowy.

– Borys? – zapytał, gdy usłyszał w słuchawce głos dowódcy prezydenckiej ochrony. – Obudziłem?

– Jest siódma wieczorem, przyjacielu – zaśmiał się rozmówca. – Wy tam w SBU śpicie o każdej porze, tutaj się pracuje na okrągło. Co za zbieg okoliczności, właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– Jak zwykle byłem szybszy. Mam sprawę – oznajmił Chołyczenko, poważniejąc. – Nie na telefon.

– Chcesz pogadać o strzelaninie na mieście?

– Tej porannej?

– Sprzed kwadransa. Ponoć kilka trupów.

Chołyczenko zazgrzytał zębami. Czasami obieg informacji okazywał się skandalicznie powolny. Doprowadzało go to do szału. Nic nie wiedział o żadnej strzelaninie. Do czego oczywiście nie mógł się przyznać.

– O tym też – powiedział spokojnie. – Ale mam coś innego.

– Okej. Przyjeźdź. Właściwie powinienem powiedzieć: przyjeźdźcie.

– My?

– Ty i Polacy. Wajman, Ferenc i piękna pani Tamara.

– Bo?

– Szef chce widzieć was wszystkich. Podziękować osobiście za akcję wygarnięcia z nory orkowskiej swołoczy.

Chołyczenko nawet nie pytał, skąd Borys Karpiuk wie o udziale Ferenca i reszty.

– Poważnie?

– Widziałeś mnie kiedyś żartującego? – Śmiech. – Tylko nie teraz. Za jakieś dwie godziny, okej?

– Może być. – Chołyczenko intensywnie myślał. W ciągu dwóch godzin nic się nie powinno wydarzyć, a on przynajmniej dowie się czegoś na temat wspomnianej strzelaniny. – Miej oczy dookoła głowy.

– Coś konkretnie?

– Nie. Przeczucie.

– Kochany, my tu wszyscy opieramy się na przeczuciu i dlatego mamy oczy dookoła głowy.

– Tego się trzymaj – zakończył rozmowę pułkownik.

Spojrzał na szefa.

– Znowu coś się dzieje na mieście.

– Słyszę. Zajmij się tym.

– Oczywiście. Zeleński chce widzieć mnie i Polaków – oznajmił. – Pragnie pogratulować sukcesu.

Balickij skrzywił się, jakby wypił szklanę octu.

– Za bardzo jego zasług nie podnoś, rozumiesz? To my, SBU, panujemy nad wszystkim.

– Jura, ile my się znamy? Widziałeś kiedyś, żebym chwalił kogoś obcego?

Etap 13

Zwykle cichy i opanowany Zachar Matwiejczuk kłął jak szewc.

Miał powody do irytacji. Po pierwsze nie mógł dodzwonić się do Uljany. Nie było zasięgu i już. Próbował raz za razem, wychodził na pierwsze piętro budynku, wgramolił się nawet na dach, ryzykując złamanie karku na rozchwierutanej drabinie – i nic. Zero kresek. Może Ruscy zagłuszali. Albo swoi. Diabli wiedzą, co planuje SBU. Plotki chodziły, że jak się zacznie, połowa okaże się ruskimi agentami. A może i więcej niż połowa.

Na razie nic go to nie obchodziło. Wojna miała zacząć się sto razy i póki co się nie zaczęła (choć prywatnie, w głębi ducha uważał, że jednak wybuchnie, i to raczej niedługo), a on musiał porozmawiać z żoną. Nie słyszał jej od wczoraj, a Uljana przecież na koniec krótkiego połączenia wyraźnie powiedziała, że ma zadzwonić dziś, najpóźniej do siódmej, żeby choć telefonicznie ucałować dziewczynki, zanim pójdą do szkoły. Nie widziały ojca od dwóch tygodni i codziennie o niego pytały. Zachar oczywiście przyrzekł, że zadzwoni – i co? Brak zasięgu rano, brak zasięgu teraz, późnym popołudniem. Uljana da mu popalić, gdy w końcu się z nią połączy. Jego stanowcza żona nie uważała kłopotów technicznych za wystarczającą przeszkodę w wywiązywaniu się z roli ojca. „Taszcze te małe gnojki dziewięć miesięcy w brzuchu, rzygam, plecy mnie bołą, porodu nie życzę najgorszemu wrogowi, więc ty też musisz się wykazać. Masz się zachowywać jak ojciec” – mawiała, gdy czymś podpadł. Bał się jej i podziwiał, a w pewnym aspekcie nie rozumiał. Nie miał na przykład pojęcia, jakim cudem wykształcona, atrakcyjna, zgrabna, szykowna dama – ubierająca się zupełnie odmiennie od innych kobiet w mieście, we własnym, bardzo indywidualnym stylu – zgodziła się wyjść za mąż za Zachara Matwiejczuka, absolwenta zawodówki, kierownika skupu płodów rolnych w Sobkiwce, milczka i skorego do zmartwień wątrobiarza, o urodzie, dla odróżnienia od żony, więcej niż kontrowersyjnej.

Kłął więc jakby na przekór swojemu spokojnemu usposobieniu, bo tkwił na tym idiotycznym dachu z przestarzałym aparatem komórkowym w dłoni, marzył na

lutowym wietrze i po raz kolejny słyszał monotony głos operatora, twierdzącego, że „połączenie nie może zostać zrealizowane”. Nie może, bliat i już. A Uljana o tej porze przypuszczalnie pojawiła się już w domu, pilnowała dziewczynek, by odrabiały lekcje, zaraz zapewne zagoni je go kąpiel i położy spać. A męża – ani widu, ani słyhu. Ech. Da mu popalić jego piękna żona, jak już się do niej dodzwoni, da, bez dwóch zdań.

Miał też drugi powód złego humoru.

W końcu, po kilku tygodniach bałaganu i zamieszania spowodowanego pospieszną mobilizacją (Zachar wołał nie myśleć, co się stanie, gdy zacznie się wojna. Jeśli mobilizacja w czasie pokoju wygląda w ten sposób, co będzie, kiedy zaczną latać bomby i rakiety?) przydzielono mu obsługę. Mój Boże miłociwy, obsługę. Trzech gamoni tak wielkich, że trudno sobie wyobrazić większych. Dwóch siłą oderwanych od biurka spasionych dekowników po pięćdziesiątce i jeden, dla odmiany chudy jak tyczka, eks-student – jąkała Walery, pryszczaty, śliniący się i wiecznie poprawiający niedopasowane okulary. Kierowca niby. Z papierów wynikało, że przeszedł krótkie przeszkolenie rok temu, ponoć potrafił jeździć armatohaubicą 2S3 Akacja („a jak trzeba, to i innym ustrojstwem na gaśienicach, ja to pojętny jestem, panie sierżancie, he, he”) i zdawał się niczym nie przejmować. Dwaj pozostali, celowniczy i ładowniczy, odbyli zasadniczą służbę wojskową na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy Ukraina stawiała dopiero pierwsze, chwiejne kroki samodzielnego bytu. Powiedzieć, że służyli w innej armii niż dziś, to niczego nie powiedzieć. Przepaść i tyle. Zresztą i tak zdążyli już wszystko zapomnieć, z czym się nawet specjalnie nie kryli. „Panie sierżancie, Ruskie nie takie złe, po co mieliby na nas napadać, my bracia przecież, nie? Posiedzimy tu te dwa tygodnie ćwiczeń cichutko, w oczy nikomu leźć nie będziemy, jakoś czas zleci, a i flaszkę się znajdzie”).

Takich właśnie obrońców ojczyzny los przydzielił sierżantowi rezerwy artylerii, Zacharowi Matwiejczukowi, w cywilu kierownikowi skupu płodów rolnych i mężowi Uljany, człowiekowi rzeczowemu, obowiązkowemu i spokojnemu.

Ale każdy spokój można zburzyć i każdego flegmatyka zdenerwować, czego obecny nastrój Zachara stanowił najlepszy dowód.

Westchnął głęboko, wrzucił telefon do kieszeni i opuścił dach. Gdy wyszedł przed odrapany budynek dawnej szkoły, który który dowództwo przydzieliło dywizjonowi jako kwaterę, natknął się na dowódcę plutonu, lejtnanta Krawczenkę.

– O, Zachar – ucieszył się oficer, jakby na widok niewidzianego od stu lat przyjaciela, co Matwiejczuka, nie wiedzieć czemu, jeszcze bardziej zirytowało. Nawet Uljana nie zalażała mu tak za skórę, jak ta nieszczęsna służba, uosabiana przez lejtnanta Krawczenkę. – Zbieraj załogę. Za pięć minut odprawa ze Starym.

Zachar skrzywił się. Dowódca dywizjonu, major Melnik, zwany odkrywco Starym, codziennie zwoływał odprawy. Problem w tym, że nic z nich nie wynikało.

– Może powie o sprzęcie – mruknął sierżant.

Krawczenko klepnął go w ramię.

– Sprzętem się nie martw – rzucił. – Nie ma sprzętu, nie ma wojny.

Stwierdzenie, wypowiedane przy każdej możliwej okazji, stanowiło credo lejtnanta. Jak nie mamy z czego strzelać, to nas do walki nie rzucają, nie? Więc lepiej jest tylko u Pana Boga za piecem, a zaraz potem jesteśmy my, rezerwowy dywizjon artylerii Czwartej Brygady Szybkiego Reagowania Gwardii Narodowej, któremu jakiś miłośnik kiepskich powieści historycznych nadał nazwę Czarne Kruki.

Zachar martwił się, i to wcale nie głupią nazwą. Pewnie, że się martwił. Wiedział, gdzie stacjonują i jakie mają zadania. Wiedział, że, gdy się zacznie, mogą znaleźć się na pierwszej linii frontu. Rozumiał to, dziwiąc się, jak inni mogą tego nie rozumieć. A sprzętu jak nie było, tak nie ma nadal i nic nie zapowiadało zmian w dającej się przewidzieć przyszłości. Co gorsza, nie widział wokół siebie ludzi chcących poprawić ten stan rzeczy.

Czarne Kruki. Cóż za bojowy kryptonim. Szkoda, że strzelać nie ma z czego.

W głowie się to wszystko nie mieściło.

Westchnął po raz kolejny i ociężałym krokiem poszedł za lejtnantem Krawczenką na odprawę, która przebiegła dokładnie według przewidywań sierżanta Zachara Matwiejczuka.

Stary prezentował urzędowy optymizm. Mówił krótko, węzłowato, beztreściwie i ściśle według wytycznych z góry. Stanowił typowy okaz starej szkoły. Studia wojskowe kończył jeszcze w czasach Gorbaczowa, gdy Związek Radziecki chylił się ku upadkowi, ale nadal istniał w najlepsze. Mimo tego retorycznie był mocno prozachodni, chwalił się przy każdej okazji uczestnictwem w kursie organizowanym przez Amerykanów, choć Zachar miał wrażenie, że nauki z niego zbyt wiele nie wyniósł, a gadanie o nowych standardach jest tylko gadaniem i zasłoną dymną dla starych, dobrych, sprawdzonych w niejednym położonym na

zadupiu garnizonie nawyków. Struktura dowodzenia jest pionowa; zawsze tak było i tak powinno pozostać. Wielu oficerów ukraińskiej armii nie widziało powodu, by cokolwiek zmieniać, wedle prostej zasady: jeśli w sztabie lub wyższym dowództwie siedzą mądre głowy i przydzielają zadanie, po co kłopotać się wymyślaniem własnych? A nuż nie wyjdzie? Kto wtedy poniesie odpowiedzialność?

Więc oczywiście ze słów majora wiele nie wynikało. Haubice przyjdą, a jakże, już wkrótce. Po remoncie świeżo, jeszcze pachnące farbą. I wozy dowodzenia, i amunicyjne, i nowe radary artyleryjskie, i w ogóle wszystko, co trzeba, a czego nie można się doprosić. Zachar nie wychylał się z opinią, ale swoje wiedział. Przyjdą, akurat. Byli jednostką rezerwową Gwardii Narodowej, rezerwą rezerwy. Wszystko dostawali w ostatniej kolejności. Głupich butów w mniejszych rozmiarach nie mogli się doprosić. Dostali prawie nowe karabinki AK 74, ale amunicja do nich przyszła, wstyd powiedzieć, kalibru jak do AK 47. Komuś w logistyce czwórka z siódmką się poprzestawiała. Po tygodniu awantur tamtą amunicję zabrali i dali prawidłową, ale klęli przy tym jak szewcy i wyglądali na ciężko obrażonych. Ot, takie dowództwo miało priorytety. Inni się z tego śmiali, ale Zacharowi jakoś do śmiechu nie było. Czuł w kościach to samo co wtedy, osiem lat temu, w innej części kraju, pod Debalcewem. Wtedy skończyło się źle i teraz też, miał obawy, może skończyć się nie najlepiej. Różnica taka, że Debalcewe daleko, w Donbasie, osiemset kilometrów stąd. A oni teraz tuż koło Kijowa, na przedmieściach niemal. Bez Debalcewa i w ogóle całego Donbasu Ukraina – z trudem, bo z trudem i zgrzytając zębami – utrzymać się może. A bez stolicy? Bez mózgu państwa? Kto zagwarantuje, że wojsko zechce walczyć, gdy głowa odpadnie od ciała? No właśnie. Zachar co do swoich motywacji wątpliwości nie miał, ale co do innych nie był już taki pewien.

Gdy major w końcu zezwolił na rozejście się, Zachar wymaszerował przed hotel, na zimny lutowy wiatr, zapalił papierosa i spojrzął na północ. Ryk startującego samolotu dobiegł go aż tu, stojącego trzy kilometry dalej i pobudził szyby do głośnego dzwonienia. Lotnisko Antonowa żyło przez całą dobę. Kilka razy na godzinę startowały i lądowały ciężkie, wojskowe samoloty. Amerykanie i Brytyjczycy ponoć ożywili się z dostawami sprzętu. Plotki chodziły, że Javeliny i NLAW-y, gdy przyjdzie co do czego, piękną robotę zrobią. Zachar wierzył na

słowo, ale w ogóle nie miał ochoty się przekonywać. Wolałby, żeby wojny nie było. Chciał wrócić do Uljany i dziewczynek.

Obejrzał się. Czyste równe uliczki, czyste ładne domy. Wypielęgnowane ogródki. Bucza stała cicha i senna. Ludzie w większości wrócili już z pracy, z Kijowa, a dzieci odebrali ze szkół. Ładne miejsce. Ładniejsze niż Sobkiwka w każdym razie. Całe willowe osiedla miały prywatną ochronę, często gęsto złożoną z weteranów sił specjalnych, ponurych typów, z którymi nawet nie pogadasz. Z punktu widzenia Zachara mieszkali tu sami bogacze.

Szyby zadzwoniły ponownie. Na hostomelskim lotnisku wylądował kolejny samolot.

Zdusił niedopalek, odrzucił go precz, po czym poszedł na kwaterę.

Obsługa grała w karty. Na stoliku wesoło szczerzyła zęby na wpół opróżniona flaszka wódki. Z komórki spiętej z głośnikiem leciał zespół Boombox, którego wokalista chciał wysłać emaila do dziewczyny i zbierał się do tego przez całą piosenkę. Walery wystukiwał rytm stopą. Artylerzyści, czerwoni na twarzach, śmiali się na cały głos. Panowała atmosfera niemal wakacyjnej bez troski.

Zachar poczuł, że robi mu się ciemno przed oczyma.

– Kurwa mać! – ryknął, wkładając w krzyk wszystkie tłumione obawy i frustracje. Nigdy nie czuł takiej wściekłości. Sam nie do końca rozumiał, co się z nim działo. – Niedojdy, suki, pidary, chujoluby! Jakby Ruscy przyszli, to by was wygarnęli jak niemowlaki, zasrańcy! Amatorzy, cywil-banda, nieudaczniki! Wypierdalać mi stąd, ale już! Za dziesięć sekund zbiórka przed kwaterą!

W Walerego i zażywnych pięćdziesięciolatków jakby piorun trzasnął. Najpierw zastygli w pełnym przerażenia bezruchu, a potem jak jeden mąż zerwali się i wypadli na zewnątrz, przewracając stół. Głośnik potoczył się po betonie, ale niezrażony wokalista Boomboxa śpiewał dalej. Zachar podążył za załogą nieco wolniejszym krokiem. Jeszcze się gotował, ale krzyk pomógł rozładować największą złość. Ach, żeby Uljana go teraz zobaczyła. Spojrzałyby na niego innym wzrokiem. Dostrzegłyby innego człowieka.

– Pięćdziesiąt pompek – wrzasnął.

Opadli na ziemię. Zaczęli pompować, nierówno, po amatorsku, jak banda emerytów.

Zachar zapalił papierosa. Złość odeszła tak gwałtownie, jak się pojawiła. Dla odmiany zachciało mu się śmiać.

Ryk silników pojawił się bez ostrzeżenia, znikąd, ogłuszający, potężny, przerażający. W Hostomelu wylądował C-5 Galaxy, największy samolot transportowy, jakim dysponowały Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych.

Jego przylot ukrył nerwowy rechot sierżanta.

FAZA 2

**Ósma wieczorem – szósta rano
23/24 lutego 2022**

Etap 1

Od początku spotkania Maliszewski miał nieodparte wrażenie, że wsiadł do rollercoastera.

Z taką szybkością podejmowania decyzji przez zwykle nadmiernie asekuranckich polityków jeszcze się nie spotkał. Minister pozwolił mu mówić ledwie przez kilka minut, po czym podniósł słuchawkę telefonu i zażądał połączenia z premierem. A szef rady ministrów zgodził się na spotkanie, mimo bardzo napiętego grafiku i bardzo napiętych stosunków z ministrem. Po półgodzinie Maliszewski wraz ze swoim szefem i ministrem wylądowali w tajnej kancelarii premiera, gdzie już czekali szef sztabu generalnego, dowódcy rodzajów wojsk i minister spraw wewnętrznych. W dodatku przebywający w Kijowie prezydent miał się z nimi połączyć online. Skład gremium wyraźnie wskazywał na to, że minister potraktował jego słowa śmiertelnie poważnie. Ci ludzie mieli taką władzę, że mogli natychmiast podjąć każdą możliwą decyzję niewymagającą akceptacji parlamentu.

Nim Maliszewski został poproszony o szczegółowe zreferowanie rewelacji pochodzących od Wajmana, głos zabrał minister obrony narodowej. I od razu dał do zrozumienia, co najbardziej zaprzęta jego myśli.

– Panie pułkowniku, z pańskiego pierwszego raportu, dotyczącego likwidacji grup dywersyjnych w Kijowie, wynika jedna bardzo niepokojąca rzecz – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Szef departamentu wschodniego siedział nieruchomo. Dokładnie wiedział, co za chwilę usłyszy. Zastanawiał się nad odpowiedzią – na tyle uprzejmą, by nie wyrzucono go za drzwi.

– Jedna z tych rosyjskich grup miała naszego drona Warmate. Zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji tego faktu?

– Oczywiście, panie ministrze – odparł Maliszewski.

– Na pewno? – minister zmrużył oczy. – Upewnię się: dron zaprojektowała i produkuje prywatna firma. Do współpracy w tak strategicznym sektorze potrzeba bezwzględnego zaufania. To zaufanie zostało podważone, zdaje pan sobie z tego sprawę?

– Myślę, że warto poczekać na wyniki dochodzenia – odparł spokojnie pułkownik, darując sobie uwagę, że Służba Wywiadu Wojskowego nie była w najmniejszym stopniu zaangażowana w ochronę zarówno sprzętu, jak i łańcucha dostaw do armii. Jednak minister już od dawna dawał do zrozumienia, że woli zamawiać sprzęt w państwowych firmach i teraz czuł, że trafił mu do rąk argument popierający jego punkt widzenia. – Jak słyszę, żandarmeria już się tym zajęła.

– Niech pan się nie zachowuje jak dziecko, panie Maliszewski. W tej firmie doszło do karygodnego zaniedbania. System bezpieczeństwa okazał się nieskuteczny. Firma nie tylko dała sobie wykraść sprzęt zaklasyfikowany jako w najwyższym stopniu tajny, ale nawet tego nie zauważyła. Gdyby nie przytomność ukraińskich służb, doszłoby do ataku z użyciem polskiego drona. Pan wie, co pomyśleliby o nas Amerykanie?

Najważniejsza sprawa – ocena Wielkiego Brata. Maliszewski zbierał się do odpowiedzi, chcąc wyjaśnić, że wspomnianą przytomność ukraińskie służby zawdzięczają wyłącznie ludziom Wajmana, a tematem spotkania ma być jednak coś znacznie poważniejszego niż Warmate, ale uprzedził go szef. Domyślał się treści riposty, wiedział, że cierpliwość pułkownika nie należała do niewyczerpanych. Owca

– Panie ministrze, naprawdę myślę, że warto poczekać – powiedział. – Nie tylko żandarmeria pracuje nad tą kwestią. Koledzy z kontrwywiadu również.

Cios okazał się celny. Minister miał ciągle kłopoty z kontrwywiadem. Tak przynajmniej twierdził. Służbie szefował nominat prezydenta. A kontrwywiad wyraźnie w tej sprawie dopuścił się zaniedbania – o ile nie czegoś więcej.

– Panie ministrze, myślę, że tę sprawę możemy odłożyć na później – wtrącił się do rozmowy premier, poniekąd przychodząc w sukurs ludziom z wywiadu. – O ile zrozumiałem informację panów z SWW, mamy chyba problem większego kalibru. Proponuję się na nim skupić.

Nikt, poza ministrem, nie miał nic przeciw temu. Rollercoaster zaczął przyspieszać.

– Panie pułkowniku?

– Tak, dziękuję. Postaram się streszczać, muszę jednak parę rzeczy naświetlić nieco bardziej szczegółowo. Punktem pierwszym rosyjskich przygotowań do operacji był rozkaz nakazujący podwyższenie gotowości jednostek raketowych w obwodzie kaliningradzkim – zaczął Maliszewski, gdy uznał, że wszyscy są w stanie skupić się na nowym temacie. Przed każdym uczestnikiem spotkania stał laptop podpięty do bezpiecznego łącza oraz przygotowany naprędce raport, zawierający najważniejsze informacje. Na jednej ze ścian wisiało kilka wielkoformatowych ekranów, na których niemo przebiegały materiały prezentowane przez wszystkie polskie i kilka najważniejszych światowych kanałów informacyjnych. – Wykonano go wczoraj. Dziś rano wyrzutnie przemieszczono na zamaskowane stanowiska bojowe. Dzięki pomocy Amerykanów wiemy, że dwa dywizjony Iskanderów są gotowe do użycia. Istnieją przesłanki, by sądzić, że przynajmniej jeden działon dysponuje rakieta z głowicą nuklearną. Nie wiemy konkretnie który, ale oceniamy zagrożenie jako całkowicie realne.

Przerwał dla zebrania myśli. Chyba nigdy w swoim zawodowym życiu nie miał tak uważnie słuchającego grona tak wysoko postawionych polityków i żołnierzy. Za oknem przejechał na sygnale radiowóz. Dźwięk syreny został szybko przykryty przez gwar ulicy. W pomieszczeniu panowała cisza absolutna.

– Punktem drugim, według naszego źródła, ma być przeciek do mediów, a właściwie cała seria kontrolowanych przecieków wyglądających na informacje wprost z Ministerstwa Obrony Narodowej. Bardzo wiarygodne informacje. To niestety również ma miejsce.

– Tak? – zapytał premier. Siedział tyłem do ekranów. Wcześniej nie miał czasu oglądać telewizji.

– Proszę zobaczyć. – Maliszewski pogłośnił pilotem dźwięk jednego z telewizorów. Na ekranie zaaferowana reporterka stała na tle płotu otaczającego jedną z warszawskich jednostek wojskowych. Premier odwrócił się.

– ...sytuacja staje się naprawdę dramatyczna. Podczas gdy prezydent przebywa z wizytą w Kijowie, Rosjanie rozpoczęli przygotowania do wojny. Ich jednostki

lotnicze i raketowe są gotowe do ataku. Z informacji, do których udało nam się dotrzeć, wynika, że celem obok Ukrainy będzie również Polska. W obwodzie kaliningradzkim stacjonuje potężne ugrupowanie wojsk rosyjskich. W tym momencie chcę państwu przypomnieć wyniki niedawnej gry wojennej, jaką rozegrali polscy wojskowi dowódcy w obecności ministra obrony narodowej. Ta gra zakończyła się całkowitą klęską polskich wojsk, a Rosjanie już czwartego dnia wojny okrążyli Warszawę. Czy ten scenariusz jest realny? Czy grozi nam wojna? Dlaczego władze w żaden sposób nie reagują na zaostrzający się kryzys? Posłuchajmy lidera opozycji...

Przyciszył głos. Inne stacje raptownie kończyły bieżące programy i oddawały głos identycznie podnieconym reporterom. Żółte paski zamieniły się w czerwone. Fakty podawano mniej więcej takie same, za to ich interpretacje różniły się diametralnie i miały oczywiście ścisły związek z sympatiami politycznymi właściciela danego medium. Światy równoległe funkcjonowały na pełnych obrotach, co było tym groźniejsze, że Polsce naprawdę groziło niebezpieczeństwo.

– Na razie wszystko idzie dokładnie według scenariusza przedstawionego przez wasze źródło – stwierdził premier. Już nie patrzył w telewizor. Siedział pochylony nad blatem, zgarbiony, bez marynarki i krawata. Wyglądał na sfrustrowanego.

– Niestety. Dochodzimy do momentu krytycznego. – Maliszewski starał się być rzeczowy. – Ponieważ wszystkie dotychczasowe informacje okazują się prawdziwe, mamy prawo zakładać, że kolejny punkt rosyjskiego planu, czyli prowokacja polegająca na ataku na rosyjskie instalacje wojskowe przez ludzi ucharakteryzowanych na polskie siły specjalne, jest realny i zostanie zrealizowany. Realne wydaje się także późniejsze przedstawienie medialne, które posłuży Rosjanom jako grunt do politycznego usprawiedliwienia ataku na Warszawę. Pojawia się pytanie, jak powinniśmy zareagować.

– Pańskie zdanie? – chciał wiedzieć premier.

– Wybór środków nie należy do mnie. Niemniej uważam, że niczego nie uzyskamy powstrzymując się od działania. Oni wtedy przeprowadzą tę akcję według swojego scenariusza.

Po raz pierwszy odezwał się minister spraw wewnętrznych. Mówił cicho i niezbyt wyraźnie.

– Pan uważa to za prawdopodobne?

– Owszem. Rosjanie zręcznie posługują się prowokacją. To w ich stylu.

– Uderzenie jądrowe na stolicę państwa należącego do NATO jest igraniem z ogniem – wtrącił szef sztabu generalnego.

Maliszewski darował sobie przytaczanie gorzkich słów Moskalewicza, które zacytował mu Wajman. Warszawa to nie Paryż czy Berlin. Stawka gry przedstawia się inaczej. Politycy poczuli się urażeni. Wybuchłaby dyskusja, która tylko zajęłaby czas, a i tak do niczego by nie doprowadziła.

– Możemy powiadomić Amerykanów – podsunął minister obrony.

– Oni wiedzą. Pozostajemy w stałym kontakcie. Oczywiście bezpośrednia rozmowa na szczeblu politycznym może tylko pomóc. Dostaliśmy zapewnienie, że Rosjanie otrzymają ostrzeżenie o skutkach ataku nuklearnego.

– Jakiego typu ostrzeżenie? – chciał wiedzieć premier.

– Atak spotka się z adekwatną reakcją.

– Czyli kontruderzeniem jądrowym.

Maliszewski zawahał się. Wyręczył go szef.

– Raczej nie. Odpowiedzią będzie zmasowane uderzenie środkami konwencjonalnymi na jeden lub kilka wybranych obiektów wojskowych.

– Bzdury – zaperzył się minister obrony. – Odpowiedź musi być proporcjonalna. Cios za cios. Dostałem w tej kwestii osobiste zapewnienie sekretarza obrony.

Maliszewski zaśmiał się w duchu. Nie brali udziału w programie państwowej telewizji. Na tej sali życzenia nie zastąpią rzeczywistości.

– Niestety nie, panie ministrze, z całym szacunkiem – odparł szef Służby Wywiadu Wojskowego. Miał, podobnie jak Maliszewski, nielubianą przez polityków cechę: nie bał się mówić prawdy. Było zagadką, jakim sposobem zarówno on, jak i jego podwładny utrzymali się na stanowisku tak długo. – Amerykanie oczywiście nie chcą ustąpić Rosjanom, ale przede wszystkim boją się eskalacji konfliktu. To stanowi ich główne założenie strategiczne. Odpowiedzą silnym kontruderzeniem, ale tak skalibrowanym, żeby Rosjanie mogli się wycofać, ogłaszając na użytek wewnętrzny osiągnięcie swoich celów. Efektem ubocznym będzie stos promieniotwórczych gruzów w miejscu Warszawy.

Premier poczerwieniał. Nie był politycznym nowicjuszem, miał międzynarodowe obycie, ale w obliczu zagrożenia odrabiał w przyspieszonym tempie lekcję prawdziwej Realpolitik. Marginesu błędu nie przewidziano.

– Wróćmy do planu Rosjan. O ile pamiętam, kolejny punkt to atak na własne obiekty wojskowe, tak? – warknął, wbijając wzrok w Maliszewskiego.

– Zgadza się. W najbliższych godzinach liczne grupy dywersantów zaatakują rosyjskie obiekty wojskowe. Skutecznie – powtórzył Maliszewski, starając się jak najwierniej oddać istotę informacji pozyskanej od Moskalewicza. – Zostawią dużo ognia i trupów. Rosyjska telewizja pokaże kilku schwytanych dywersantów, przy jednym znajdą polskie dokumenty, przy innym polski sprzęt, a jeszcze inny będzie mówił tylko po polsku. Putin ogłosi, że Rosja została zaatakowana. Następnie...

– Moment. – Premier uniósł dłoń. – Czyli pretekstem do zaatakowania nas ma być akcja w stylu prowokacji gliwickiej?

– Tak sobie to wyobrażają.

– Liczą, że ktoś w to uwierzy?

– Już w tej chwili panuje szum informacyjny. A my mamy na Zachodzie opinię narwanych rusofobów. Część opinii publicznej uwierzy. Tam od wielu lat pracuje liczna agentura wpływu, zwłaszcza w Niemczech. Poza tym to gra na rosyjski użytek wewnętrzny.

– Amerykanie nie uwierzą. A to od nich zależy reakcja.

– Politycy amerykańscy bardzo liczą się z opinią publiczną. A duża część Amerykanów jest przeciwna zbyt mocnemu zaangażowaniu na wschodzie Europy, a Polski nie potrafi nawet pokazać na mapie. Krótko mówiąc, ma nas, za przeproszeniem, gdzieś.

Premier zamyślił się.

– Jeżeli nie będzie prowokacji, zniknie powód do ataku – powiedział w końcu.

– Myśli pan o zneutralizowaniu dywersantów, zanim uderzą? – zapytał szef sztabu generalnego.

– Czy to jest wykonalne?

Szef sztabu zerknął na dowódcę wojsk specjalnych.

– Teoretycznie tak – potwierdził wywołany do odpowiedzi generał. – Pod kilkoma warunkami. Po pierwsze musielibyśmy znać dokładną lokalizację ześrodkowania tych grup. Krótko mówiąc, wiedzieć, gdzie są. Pomijam kwestię wywiadowczego potwierdzenia, że to na pewno ci ludzie. Powiedzmy, że wiemy na sto procent, że to oni i znamy miejsce ich koncentracji. Po drugie musielibyśmy mieć czas na zaplanowanie operacji, z uwzględnieniem tras podejścia, warunków

terenowych, pogody, ochrony, zabezpieczeń, jednostek policji czy wojska stacjonujących w okolicy. I tak dalej. To niełatwe, biorąc pod uwagę presję okoliczności. Po trzecie musielibyśmy się tam dostać szybko, samolotem lub śmigłowcami. W stosownej ochronie, oczywiście. To jeszcze poważniejsza sprawa. Akcja na wrogim terenie, nasyconym środkami OPL i jednostkami wojskowymi...

– Większość regularnych oddziałów przeczucili na kierunek ukraiński – zauważył szef sztabu.

– To, co zostało, wystarczy, żeby narobić nam kłopotów.

– Ile pan potrzebuje, żeby zaplanować taką operację?

– To zależy. Minimum sześć godzin od momentu uzyskania informacji o miejscu przebywania tych grup lub grupy.

– Sześć godzin – powtórzył premier.

– Za późno. – Minister obrony narodowej zerknął na zegarek. – Zdążą przeprowadzić prowokację.

– Musimy uderzyć teraz, w ciągu najbliższych dwóch, trzech godzin.

– Panie premierze, zwracam uwagę, że w tym momencie nie znamy lokalizacji tych grup – włączył się do rozmowy szef Maliszewskiego. – Już uruchomiliśmy nasze źródła osobowe w terenie, ale mamy do czynienia z operacją, która wymaga czasu i cierpliwości. Takie grupy z pewnością są dobrze ukryte, zamaskowane, na pewno występują pod fałszywymi tożsamościami, na przykład udają jednostkę straży pożarnej albo policji. Albo w ogóle niczego nie udają, tylko siedzą zaszyte w jakiejś jednostce wojskowej, nie wychodzą na zewnątrz i czekają na sygnał.

– Uważam bezpośredni atak naszego SOF-u za zbyt ryzykowny – wtrącił Maliszewski.

Premier spojrzał na niego złym wzrokiem.

– Na pewno nie będę siedział i czekał, aż rakieta z ładunkiem jądrowym uderzy w Pałac Kultury – powiedział stanowczo.

– Oczywiście. Nie namawiam do tego.

– Więc co pan proponuje?

Maliszewski musiał rozwiązać kilka złudzeń. Westchnął. Nie czuł żadnej satysfakcji.

– Zanim przejdziemy do propozycji, dwa słowa wyjaśnienia – zaczął. – Uważam bezpośredni atak naszych sił specjalnych na siedzibę dywersantów na terenie obwodu kaliningradzkiego za nie do przyjęcia z dwóch powodów. Po pierwsze stanowi niewiadomą. Brak nam wiedzy, z jak silnym przeciwnikiem mamy do czynienia, bo nie zdążymy przeprowadzić dokładnego rozpoznania. Trzeba jednak założyć, że liczy kilka sekcji po sześciu ludzi. Czyli trzydziestu – co najmniej. To nie wszystko. Prawdopodobnie oddział rzeczywiście rezyduje na terenie jakiejś jednostki wojskowej i nawet zakładając, że Rosjanie przerzucili na Ukrainę większość sił, może liczyć na wsparcie dwudziestu czy trzydziestu dodatkowych żołnierzy. To całkowicie wystarczy, żeby skomplikować nam życie, zwłaszcza że Rosjanie odpieraliby nasz atak w miejscu, które dobrze znają. W przeciwieństwie do naszych operatorów.

Zauważył lekki ruch głowy dowódcy wojsk specjalnych. Specjals go popierał. Maliszewski miał to gdzieś. I bez tego wiedział, że ma rację. Pomysł bezpośredniego ataku był niewykonalny jeszcze z jednego powodu, którego jednak zebrany Maliszewski nie mógł zdradzić, nie chcąc spalić źródła. Rosjanie już wiedzieli o zdradzie Moskalewicza. Musieli zakładać, że ich plan poznali zarówno Polacy, jak i Amerykanie. Z pewnością spodziewają się przeciwdziałania. I przygotowują do jego odparcia.

– Po drugie – ciągnął pułkownik – najprawdopodobniej nie dostaniemy na taką operację zgody Amerykanów. Dokładnie z tych powodów, o których rozmawialiśmy: ryzyka eskalacji. Nie uwierzyli nam specjalnie, gdy przekazywaliśmy informacje. Powiedzieli oczywiście, że zajmą się sprawą i że dadzą znać. Mówią tak wtedy, kiedy chcą, żebyśmy się odczepili. Być może uwierzyliby, gdybyśmy im zdradzili źródło, ale to nie wchodzi w grę. Nasi wielcy sojusznicy nie wiedzą o naszym źródle i się nie dowiedzą.

– Bzdury – warknął minister obrony. To stawało się jego ulubione słowo. – Przekazanie im tego waszego źródła stanowi niewielką cenę za ich pomoc.

Maliszewski gładko przełknął mocne zaakcentowanie słowa „waszego”. Jakby nie jechali na jednym wózku. Może nie jechali.

– Z całym szacunkiem: nie. Jesteśmy zagrożeni atakiem. Żeby skutecznie się bronić, potrzebujemy maksymalnie wiarygodnych informacji. Źródło nam je zapewni.

Minister nabrał powietrza w płuca, ale premier przeciął dyskusję.

– Poproszę prezydenta, żeby zadzwonił do Białego Domu – powiedział.

– Nacisk na szczeblu politycznym może pomóc – zgodził się Maliszewski. Szef rzucił mu złe spojrzenie. Niczego się od tych ludzi nie uzyska, będąc wobec nich protekcyjnym. – Ale mamy bardzo mało czasu. Obawiam się, że musimy działać samodzielnie.

Zapadła cisza. Ci ludzie postawili na Amerykanów, oparli na nich całą strategię obronną państwa: kupowali gigantyczne ilości sprzętu, sprowadzali zza Atlantyku instruktorów, urgowali, by jak najwięcej amerykańskich żołnierzy stacjonowało na polskim terytorium, pytali o zdanie niemal w każdej sprawie. A teraz mieli zrobić coś bez ich wiedzy i zgody, wręcz wbrew nim.

– Co pan ma na myśli? – zapytał premier. Był wyraźnie sfrustrowany i zmęczony, ale z obecnych na sali polityków wyglądał na najbardziej zainteresowanego działaniem. – Przed chwilą oznajmił pan, że na samodzielną akcję nie uzyskamy zgody Amerykanów.

Maliszewski zerknął na przełożonego. Nie zdążyli obgadać szczegółów, tyle co w samochodzie podczas jazdy. Szef miał do niego zaufanie, ale jego stanowisko również zależało od nominatów suwerena. Kiwnął głową. Maliszewski między innymi za to go cenił; facet naprawdę nie był asekurantem.

– Rzeczywiście. Powiedziałem też, że bezpośredni atak na siedzibę grupy dywersyjnej stanowi zbyt duże ryzyko – zaczął, po czym sięgnął do teczki. Położył na stole duże zdjęcie, przedstawiające cyfrowo wyostrzony fragment jakiegoś obiektu wojskowego, widziany w pionowym skrócie. Kilka budynków i równy rząd samochodów. Cysterny. Rampa kolejowa. – Z drugiej strony pan premier ma rację: nie możemy pozwolić, żeby wydarzenia biegły swoim torem. Grupę dywersyjną należy zlokalizować i zniszczyć.

– To obiekt, w którym się ukrywają? – zapytał minister. Wyglądał na zafascynowanego. Zdawał się nie pamiętać o niedawnym sporze.

– Nie – pokręcił głową Maliszewski. – Pracujemy nad tym, ale dokładnej lokalizacji nie znamy jeszcze. Mam nadzieję, że to kwestia najbliższych godzin. To zdjęcie pochodzi ze zwiadu satelitarnego i zostało nam udostępnione przez Amerykanów. Przedstawia bazę jednego z dywizjonów artylerii rakietowej 244 Brygady Artylerii, wyposażonego w wyrzutnie BM-27 Uragan.

Z zewnątrz znów dobiegł dźwięk policyjnych syren. Warszawa stawała się coraz bardziej nerwowa. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Maliszewski przełknął ślinę. Miał kompletnie suche gardło.

– Proponujemy pobicie Rosjan ich własną bronią, również w sensie dosłownym – kontynuował. – Oni kochają operacje pod fałszywą flagą. Odwdzięczmy się tym samym.

– Co pan konkretnie ma na myśli?

– Ta jednostka znajduje się w małej miejscowości blisko wybrzeża, niespełna dwanaście kilometrów. Mała grupa naszych sił specjalnych dotrze do celu nie samolotem czy śmigłowcem, tylko wodą, za pomocą szybkich łodzi. Opanuje na kwadrans bazę albo przynajmniej jej część. Oceniamy to jako całkowicie wykonalne. Dywizjon pojechał na granicę ukraińską, a na zdjęciu widzimy rezerwy, sprzęt uszkodzony bądź niesprawny. Ochrona obiektu jest minimalna. Uważamy, że istnieje szansa uruchomienia jednej z wyrzutni i ostrzelania miejsca koncentracji grupy dywersyjnej przygotowanej do ataku. Po ostrzale nasi specjaliści wycofają się i wrócą tą samą drogą. Więc nie będziemy mieli nic wspólnego z ostrzałem własnej jednostki przez Rosjan, wynikłego z bałaganu i niekompetencji dowódcy, starszego lejtnanta Woroncewa.

Na stole wylądowało kolejne zdjęcie. Nalana twarz z czerwonym nosem i małymi, ukrytymi pod wałeczkami tłuszczu oczkami, eufemistycznie mówiąc, nie wzbudzała zaufania. Ten człowiek z całą pewnością mógł być bałaganiarzem, mającym służbę gdzieś. Wydawał się pasować do planu pułkownika.

– Reasumując, uderzenie na ten obiekt wydaje się stosunkowo łatwe, ochrona niewielka, nikt się nie spodziewa ataku. Ryzyko wpadki nieduże. I co najbardziej kluczowe: żadnego naszego udziału.

– Co panowie myślą? – zapytał minister obrony, zerkając na generałów.

Specjaliści odezwał się jako pierwszy.

– Plan może okazać się skuteczny – powiedział ostrożnie. – Problem w tym, że Rosjanie przecież od razu ustalą, że to nie ich własna jednostka ostrzelała dywersantów, tylko zrobiły to obce siły specjalne. Będą wiedzieli.

– Nie szkodzi – odparował Maliszewski. Czuł się dobrze przygotowany do rozmowy, biorąc pod uwagę, że plan powstał w zasadzie w samochodzie. – Niczego nie udowodnią, oczywiście pod warunkiem, że specjaliści nie dadzą się

złapać, a między sobą nie będą mówili po polsku. Ważne, czego dowie się światowa opinia publiczna. Stawiamy na prosty przekaz: ruski bardak, jak zawsze i wszędzie, i ruska próba zrzućenia tego na nas. Co więcej, również wobec naszych amerykańskich przyjaciół możemy się wszystkiego wyprzeć. Oczywiście, należy przygotować na tę okoliczność odpowiednią strategię komunikacyjną.

– Takiej operacji nie da się utrzymać przed nimi w tajemnicy – orzekł szef sztabu generalnego.

– Musimy spróbować.

– Plan, nawet jeśli się uda, nie gwarantuje, że Rosjanie zaniechają uderzenia na Warszawę. – Twarz ministra spraw wewnętrznych wyrażała czysty, nieukrywany sceptycyzm.

– Stracą pretekst – zareplikował Maliszewski.

– Obędą się bez pretekstu.

– Zgoda. Wobec nas mogliby się obejść. Ale Amerykanie mogą jednak potraktować poważnie niesprowokowany atak na stolicę sojuszniczego państwa, które na dodatek ma odgrywać kluczową rolę we wspieraniu Ukrainy.

– Tego nie wiemy.

– Tym bardziej nie wiedzą tego Rosjanie.

Zebrani na chwilę zamyślili się, a potem zaczęli mówić naraz, jeden przez drugiego. Wybuchła gwałtowna dyskusja. Maliszewski wyłączył się niemal natychmiast. Zamiast słuchać, myślał o następnym kroku.

W kieszeni zawibrowała komórka. Zerknął na wyświetlacz. Wajman prosił o pilny kontakt.

Etap 2

Świeżo upieczony podpułkownik Konrad Wilgat przeciągnął kartą po czytniku, który odpowiedział dobrze znanym piśnięciem. W środku wszystko wyglądało w zasadzie tak samo jak zawsze: szare ściany, koledzy szczerzący do niego zęby zupełnie bez powodu, Biernacki kolejną kawą odganiający sen... Centrum Operacji Powietrznych – Dowództwo Komponentu Powietrznego ulokowane w podwarszawskich Pyrach żyło w swoim własnym tempie. Rzeczywiście, wszystko było takie samo, z jednym dość istotnym wyjątkiem: Wilgat nie żył.

Nie żył, ponieważ postąpił jak głupiec. Wczorajszy dzień, dzisiejszą noc oraz pewną część poranka spędził nieprofesjonalnie, nieodpowiedzialnie i całkowicie niezgodnie z regulaminem: na celebrowaniu czterdziestych urodzin oraz, za jednym zamachem, awansu na podpułkownika, który, tak się złożyło, dostał w przeddzień swego okrągłego jubileuszu. Oczywiście, obchodzenia urodzin nikt nie zabraniał. Tym bardziej opijania promocji na wyższy stopień. Ale kogoś takiego jak Wilgat obowiązywał zakaz picia alkoholu dwadzieścia cztery godziny przed rozpoczęciem służby. Utało się, że dyżurni nie piją nawet dwie doby przed dyżurem. A on skończył (o ile pamiętał) ostatnie piwo o szóstej nad ranem i dopiero wtedy wyrzucił zwłoki ostatnich kolegów z mieszkania. Czternaście godzin temu. Sześć z nich przespał. Obudził się jeszcze bez kaca, pijany, w świetnym humorze. Zerknął raz i drugi na stojący na szafce zegar, przeciągnął się, spojrzął łakomie na leżącą obok nagą kobietę (znał ją od dwóch dni, ale już był zakochany, co zresztą często mu się zdarzało), po czym jego wzrok, jakby siłą przyciągania, wrócił do czasomierza. Zamroczony alkoholem mózg przetworzył dane i wyszło mu, że właśnie minęło południe. Blade zimowe słońce świeciło prosto w twarz, w powietrzu unosił się ciężki fetor papierosowego dymu, przetrawionego alkoholu i niezłych damskich perfum; nic nadal nie mąciło jego świetnego nastroju. Południe. Dwunasta. Sam środek dnia. Ziew.

A potem przypomniał sobie, co to za dzień.

Masz być w najwyższej formie, zakomunikował mu szef, gdy wiedzieli się po raz ostatni. Zaczyna się zabawa. Odpocznij, wyśpij się na zapas. Zacznie się jazda bez trzymanki, a ty masz najwięcej oleju w głowie ze wszystkich. Liczę na ciebie, rozumiesz, Wilgat?

Nie miał oleju w głowie, w ogóle niczego tam nie miał. Obawiał się, że wewnątrz hula po prostu wiatr. Okazał się tak głupi, że urządził urodziny (fakt, że w wąskim gronie najbliższych przyjaciół, no i tej nowo poznanej laski, ale kto, na Boga, oparłby się jej wdziękom? Na pewno nie Wilgat.) w sytuacji, gdy już całkiem otwarcie zaczęło się mówić o mobilizacji armii. Na służbę powinien stawić się wypoczęty, tymczasem czuł się nie tylko niewyspany, ale, o zgrozo, kompletnie pijany.

Niezdarnie wyskoczył z łóżka, upadł, podniósł się, poświęcił kwadrans, by przekonać dziewczynę, by wyniosła się jak najszybciej (musiał przy tym złożyć sporo obietnic), po czym wdrożył program ratunkowy, starając się przypomnieć sobie wszystkie zasłyszane sposoby zniwelowania czy choćby zmniejszenia skutków pijaństwa.

Wykonał kawał ciężkiej pracy, ale efekt okazał się iluzoryczny. Gdy za kwadrans ósma pojawił się w firmie, pijany już nie był, ale pod czaszką łupało tak, jakby poczciwy czerep zamierzał pęknąć na pół. Żadne proszki nie pomagały, czuł się po nich tylko bardziej senny i ociężały. Całkiem serio rozważał wzięcie wolnego. Miał kłopoty z koncentracją, a jego praca była zbyt ważna, żeby odwalać ją na pół gwizdka. Wypije kawę, pójdzie do dowódcy, wytłumaczy, jak jest (z tym facetem najbardziej opłacała się szczerść), obgadają zastępstwo, wróci do domu, wyśpi się (sam), a jutro zjawi się na pierwszej linii frontu, świeży, wypoczęty i gotów góry przenosić. Wojna nie zając, nie ucieknie, dla wszystkich starczy.

Rozebrał się w szatni, zostawił komórkę w skrytce i niezbyt pewnym krokiem poczłapał dwa piętra niżej, pod ziemię, z jakiegoś powodu unikając windy, po czym zajrzał do socjalnego, gdzie zastał schodzącego z dyżuru podpułkownika Biernackiego.

– No, zjeżdżam – oświadczył Biernacki, pijąc ostatni haust kawy. Całe szczęście koledze się zbyt nie przyglądał. – Byle dalej stąd.

– Bo?

– Para wysadza dekiel, mistrzu. Obyś dotrwał do rana.

Wilgat wzruszył ramionami, głowa łupnęła; skrzywił się z bólu. Stara śpiewka. Jeśli ma się coś stać, niech się stanie, byle nie na mojej szycie. Choć oczywiście Biernacki w pewnym sensie miał rację: ruch panował ostatnio wielki, co więcej, rósł z każdym dniem. Amerykanie, Brytyjczycy, Duńczycy, nawet Francuzi latali ostatnio nad Polską jak nad swoim własnym poletkiem. Kijów był głównym, choć niejedynym celem, a noc ulubioną porą doby. Dostawy, dostawy, dostawy; organizowane jednak wedle nader ostrożnej reguły, byle tylko nie przesadzić ze śmiercionośnością dostarczanej broni i nie sprowokować drugiej armii świata do skierowania swej agresji bardziej na zachód.

Wilgat miał na ten temat swoją opinię, którą zresztą nikomu się specjalnie nie chwalił. Uważał mianowicie, że owszem, rację mają ci, którzy mówią, że Rosja jest potężna i groźna, ale Rosja nie potrzebuje żadnego pretekstu, by uderzyć w dowolnym miejscu w Europie. Jeśli zechce zaatakować Polskę czy kraje bałtyckie, zrobi to; pretekst stworzy zaś sobie sama, w czym osiągnęła prawdziwe mistrzostwo – na przykład zacznie trąbić na cały świat o jakiejś swej krzywdzie. A ewentualne przeciwdziałanie ofiary uśmierzy szantażem atomowym. Co okaże się skuteczne, bo wszyscy politycy od lewa do prawa najbardziej boją się nuklearnej eskalacji. I Rosja robi, co zaplanowała.

Dlatego, zdaniem Wilgata, należało Ukraińców dozbrajać szybciej i w większym zakresie, pilnując przy tym, by sprawnie oczyszczali szeregi z rosyjskiej agentury czy szerzej zwolenników ruskiego miru. Oni chcieli się bić, przynajmniej tak mówił pewien dobrze zorientowany w temacie znajomy, którego opiniom Wilgat ufał. Facet zresztą przed paroma dniami pojechał do Kijowa i miał bezpośredni kontakt z ukraińskimi służbami specjalnymi i wojskiem. „Stawią opór – mówił podczas ostatniej rozmowy – pewnie przegrają, ale Ruscy zapłacą morzem krwi za swoje zdobycze. Dla Polski, i ogólnie regionu, czysty zysk, na dodatek osiągnięty cudzymi rękoma, co nieczęste w historii, bo to na ogół my stawaliśmy w pierwszym szeregu, biliśmy się w imieniu swoim i nieswoim i ponosiliśmy największe ofiary”.

Może i tak.

– Jakiś konkret na teraz?

– Masz na trasie Airbusa od Francuzów. I jankeski Sentry wzdłuż granicy. Dostaniesz wszystko w briefie.

Wilgat podstawił kubek pod ryjek ekspresu, poczekał, aż kawa wypełni go do końca, wewnątrz nieszczęsnego czerepu znów łupnęło potężnie. Sentry stanowił niemal stały element krajobrazu, latał wzdłuż granicy jak u siebie i gapił się z wysokości czternastu tysięcy metrów hen, daleko na wschód, w niezmierną głęboką ukraińskich stepów.

– Masz może ketonal? – zapytał.

– Nie. Janicki może coś ma...

– O, pan zastępca. Naprawdę się cieszę, że w końcu pan zdecydował się przyjść do pracy – usłyszał za sobą burkliwy głos. Odwrócił się. Szef zmiany, zwany oficjalnie Dyżurnym Dowódcą Obrony Powietrznej, stał na progu swojej kanciapy i przyglądał mu się z wściekłą miną. Wilgat uznał za zbędne wyjaśnienie, że zjawił się w firmie kwadrans przed terminem. – Proszę do mnie.

Wilgat skinął głową Biernackiemu, który odpowiedział pełnym współczucia spojrzeniem, i poszedł do gabinetu szefa. Musiał po prostu poprosić o zwolnienie. Przyjdzie zastępca, nic wielkiego się nie stanie. Pułkownik nawet nie prosił siadać.

– Mamy burdel na kółkach – oświadczył bez wstępów. – Słyszę o zarządzeniu częściowej mobilizacji. Decyzja ma zostać podjęta w ciągu godzin. W każdym razie urlopy i zwolnienia są wstrzymane do odwołania. Mamy mieć sto procent obsady.

– Coś się zaczyna? – zapytał Wilgat. Plotki o rozwinięciu stanowiska dowodzenia przewidzianego na czas wojny krążyły od kilku dni, choć ponoć Wielki Amerykański Brat twierdził, że wojna wybuchnie lada moment, ale ograniczy się tylko do Ukrainy. Nawet jeśli, ile Ukraińcy wytrzymają? Jak długo są w stanie się bronić? A czy na pewno Rosjanie ograniczą się tylko do swego zachodniego sąsiada? Bycie przygotowanym miało swoje zalety, bez dwóch zdań.

– W obwodzie kaliningradzkim Rosjanie rozwinięli logistykę, po czym przeszli do fazy zajmowania stanowisk bojowych – dodał szef, jakby słysząc myśli podwładnego.

Wilgat na moment zapomniał o bólu głowy. Włodarze dawnego Królewca nigdy nie robili aż tak daleko posuniętych demonstracji, tym bardziej, że część sił przerzucili na granicę z Ukrainą, w Kaliningradzie zaś zostały resztki zdecydowanej większości jednostek lądowych i części floty. Pełne załogi miały tylko wojska rakietowe – co nie stanowiło żadnej rewelacji, w myśl doktryny Rosja

jest bowiem gotowa w każdym momencie zadać wrogi potężny cios za pomocą rakiet i lotnictwa, więc komponent raketowy czuwa „wsiegda gatow”.

– Stawiamy jednostki w stan gotowości? – zapytał, ostrożnie odstawiając kubek na blat. Z zażenowaniem patrzył na swoje drżące dłonie.

– Drugie skrzydło od rana się stawia.

– Na ostro?

– Nie, będą strzelać z kapiszonów.

Wilgat gwizdnął. Drugie Skrzydło Lotnictwa Taktycznego stanowiło najgroźniejszą (i zarazem jedyną) lotniczą pięć uderzeniową Rzeczpospolitej, wyposażoną w wielozadaniowe myśliwce F-16, które, w wypadku uzbrojenia w rakiety AGM-158B JASSM-ER, mogły razić cele na odległość blisko dziewięciuset kilometrów. Jeśli politycy dali zielone światło na postawienie takiej jednostki de facto w tryb wojenny i zarządzili rozwinięcie stanowiska dowodzenia operacjami powietrznymi, sytuacja musiała wyglądać naprawdę poważnie.

– Ma pan mieć oczy dookoła głowy. Rosjanie są mistrzami prowokacji. Jazda na stanowisko.

Wybiła ósma wieczorem dwudziestego trzeciego lutego dwa tysiące dwudziestego drugiego roku. Starszy Dyżurny Operacyjny Dyżurnej Zmiany Bojowej, świeżo upieczony podpułkownik Konrad Wilgat poszedł szybkim krokiem do pomieszczenia z wieloma szerokoformatowymi ekranami, starając się zapomnieć o bólu głowy i ohydny smaku przetrawionego alkoholu, którego nie wywabiała z ust żadna guma do żucia. Zajął miejsce w wygodnym, ergonomicznym fotelu. Kiwnął głową siedzącym obok i przed nim operatorom, całkiem licznemu zespołowi specjalistów, którym szefował. Założył słuchawki sprzężone z mikrofonem.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że zapomniał poprosić o zastępstwo.

Etap 3

Patrzyli na siebie jak dwa wrogie gangi, które bez powodzenia negocjowały podział łupów, a teraz szykowały się do śmiertelnego starcia. Było ich sześcioro. Tamci wezwali Wajmana, Kika i Krzeptowski powiadomili Tolaka. Lokal należał do SKW – Tolak wolał atakować na swoim terenie. Przeprowadzenie tutaj Leny i Ferenc bardziej przypominało aresztowanie czy może nawet porwanie: Krzeptowski musiał zagrozić użyciem siły, żeby zgodzili się pójść z nim i Kiką. Wszyscy kipieli od krążącej w żyłach adrenaliny. Opuścili miejsce strzelaniny, gdy policyjne syreny były już bardzo blisko, ale Krzeptowski zdążył jeszcze zrobić zdjęcia wszystkim zabitym.

Przez całą drogę i pierwszy kwadrans pobytu w zastępczym lokalu kłócili się zawzięcie. Oskarżali wzajemnie. W ferworze dyskusji Ferenc posunął się nawet do postawienia zarzutu, że za śmierć Moskalewicza (co do której upewnili się przed opuszczeniem miejsca strzelaniny. Niestety, obie rany okazały się śmiertelne) winę ponoszą Krzeptowski i Kika. Zakopiańczyk w rewanżu stwierdził, że Ferenc pracuje dla Rosjan. Byli już wtedy w komplecie.

– Bredzisz – warknął Ferenc. – Słyszę jakieś z dupy wyciągnięte brednie.

– Nie tak szybko – włączył się do rozmowy Tolak. – Skończymy, to się wypowiesz.

– Może w ogóle nie chcemy was słuchać – powiedział Wajman. Od wejścia nie skorzystał z zaproszenia, by usiąść. Był wyraźnie wściekły, ale Krzeptowski, przyglądając mu się spod oka, mógłby przysiąc, że dostrzega coś sztucznego w jego gniewie, jakąś teatralność czy pozę. Jakby facet chciał zagłuszyć strach przed tym, co może wypłynąć w trakcie przesłuchania. – Mamy innych szefów, gównem możecie nam zrobić.

Tolak sięgnął za pazuchę. Podał Wajmanowi zabezpieczony plastikową powłoką dokument.

– Rzuć okiem. Pełnomocnictwo podpisane przez ministra obrony narodowej – powiedział oficjalnym tonem. – Daje mi uprawnienia śledcze obejmujące całość zagadnień związanych z wyciekiem niejawnych informacji z terenu placówki w Kijowie. Jeśli uznam za stosowne, mam prawo was przesłuchać, śledzić, podsłuchiwać wasze rozmowy, aresztować i zawieźć do Polski. Jak chcecie, możecie zadzwonić do pułkownika Maliszewskiego, on rozwieje wątpliwości, jeśli jeszcze macie jakieś. Albo prosto do MON-u, żeby ominąć pośredników.

Wajman wpatrywał się w pismo i wahał się. Dokument wyglądał na autentyczny, Tolak też wyglądał całkiem autentycznie, major zresztą słyszał o nim przy okazji kilku innych spraw.

– Ciekawe – powiedział Ferenc. – Przecież spotkaliśmy się rano.

Niezadane pytanie zawisło w powietrzu. Tolak nie zamierzał na nie odpowiadać.

– Rozmawiałem też z szefem, wspominał o panu, ale o śledztwie ani słowa. Ani o pańskich uprawnieniach, ani o tych dwojgu – ciągnął kapitan, spoglądając z niechęcią na Krzeptowskiego i Kikę. Umiarkowaną, bo zdawał sobie sprawę, jak bardzo mu pomogli w walce z Rosjanami.

– To może pan kapitan jednak łaskawie zadzwoni do pana pułkownika i wyjaśnimy wszelkie wątpliwości – odparował Tolak. – Albo kontynuujmy. Naprawdę nie mamy czasu.

Ferenc spojrzał na Wajmana. Major zwrócił Tolakowi dokument i nieznacznie wzruszył ramionami. Już nie okazywał złości – co tylko utwierdziło Krzeptowskiego w podejrzeniach, co do dekoracyjności wybuchu. W ogóle facet mu się nie podobał. Dla odmiany Ferenc, główny podejrzany, zrobił na zakopiańczyku dobre wrażenie. Silny, energiczny, miał szczerą, przystojną twarz i wyglądał na kompetentnego. Co oczywiście stanowiło nieistotną impresję i wcale nie musiało świadczyć na jego korzyść.

– Okej – powiedział Ferenc, siadając na krześle. – Słucham.

Tolak dał znać Krzeptowskiemu, żeby kontynuował to dziwne, niemal publiczne przesłuchanie. Początkowo mieli zamiar pogadać z Ferencem bez świadków, ale ani Lena, ani Wajman nie chcieli o tym nawet słyszeć. Albo gadamy razem, albo do widzenia, stwierdził szef placówki. Tolak na razie nie chciał stosować rozwiązań siłowych, więc zgodził się na ten warunek.

– Pierwsza sprawa: dziś dwukrotnie zostaliście zaatakowani przez Rosjan. Mężczyznę, który wychodził z kapitanem Ferencem, zidentyfikowaliśmy jako pułkownika Siergieja Moskalewicza z FSB. Zaraz potem nastąpił atak, już drugi tego dnia. Rano wasza trójka brała udział w strzelaninie w innej części miasta. Kto was zaatakował i dlaczego? Kto był celem? Po co spotkaliście się z Moskalewiczem?

– Pan ma certyfikat, oni nie – powiedział Wajman, wskazując na Krzeptowskiego i Kikę. – Obawiam się, że to tajne.

– Obawiam się, że nie dla nas – odparował Krzeptowski. – Pułkownik Tolak wyposażył nas w certyfikaty dostępu do informacji niejawnych.

Tolak ponownie sięgnął za pazuchę i wyciągnął kolejny dokument. Wajman spojrzał. Jego ramiona nieznacznie opadły. Bez wątpienia Tolak i jego współpracownicy dobrze przygotowali się do rozmowy.

– Moskalewicz postanowił przejść na naszą stronę – wyjaśnił z niechęcią w głosie. – To dzięki niemu SBU mogła zlikwidować dywersantów.

– Okej. Moskalewicz był celem?

– Tak.

– Rosjanie dwukrotnie mieli precyzyjne info o miejscu jego pobytu. Skąd?

– Staramy się to rozgryźć.

– Gdybyście starali się bardziej, może uniknęlibyście wieczornego ataku. – Tolak nie mógł powstrzymać się od złośliwości.

Krzeptowski wpatrywał się intensywnie w Ferencę. Kapitan poczuł się wywołany do odpowiedzi.

– Nie mam z tym nic wspólnego – odparł Ferenc, patrząc ze złością na zakopiańczyka. – A wy nie macie cienia dowodu, że mam.

– Nic takiego nie powiedziałem. – Krzeptowski uśmiechnął się serdecznie, czym niezmiennie upodabniał się do głodnego krokodyla, o czym zresztą doskonale wiedział. – Mamy za to co innego. – Wielki góral wyciągnął komórkę. Miał na niej informacje na temat Ferencę. Na czele z tymi, które pominięto w jego teczce osobowej. – Od dwa tysiące piętnastego do dziewiętnastego byłeś oficerem operacyjnym na Białorusi, zgadza się?

– Owszem.

– I co tam robiłeś?

– Przeprowadziłem kilka udanych operacji werbunkowych – powiedział z zaczepką w głosie Ferenc.

– Streść.

Ferenc spojrzał na Wajmana. Major dał mu znać, by odpowiedział na pytanie. W kilka minut opowiedział o tym, o czym już wiedzieli. Krzeptowski chciał, żeby facet się rozluźnił. I cel osiągnął.

– A potem wróciłeś do Polski.

– Zachorowałem. Musiałem się leczyć.

– Na co zachorowałeś?

– Wirusowe zapalenie wątroby typu C.

– Poważna sprawa.

– Nie chciałbyś tego przeżyć.

– Gdzie leżałeś?

– Na Szaserów, w Warszawie.

Krzeptowski przyglądał mu się. Ferenc nie uciekał ze wzrokiem, zachowywał się spokojnie, pewny siebie, niemal rozluźniony. Okaz człowieka niemającego nic do ukrycia. Po początkowym oporze nie został nawet ślad.

– To bardzo ciekawe – stwierdził po chwili zakopiańczyk. – Bo mnie się zdaje, że w takim wypadku powinieneś leżeć na oddziale zakaźnym.

– Dobrze ci się zdaje.

– Dlaczego w rzeczywistości leżałeś na chirurgii urazowej?

– Bzdury!

– Niezupełnie – Krzeptowski podniósł komórkę, by Ferenc mógł dobrze jej się przyjrzeć. – Twoja prawdziwa dokumentacja medyczna z Szaserów, bo takie rzeczy nigdy nie giną na dobre. Jest nawet nazwisko lekarza prowadzącego, anestezjologa, chirurga i tak dalej. Przez trzy tygodnie leżałeś w izolatce na urazówce. Potem cię przeniesiono na internę, gdzie spędziłeś następnych kilka tygodni.

– Dotarłeś do niewłaściwej dokumentacji.

– Jasne. Zawracam wszystkim dupę, bo dotarłem do niewłaściwej dokumentacji. Daruj sobie. Ktoś postarał się, żeby na wierzchu leżała oficjalna teczka, która potwierdza twoją opowieść. Pacjent przyjęty z objawami ostrego zapalenia WZW

typu C, zastosowano leczenie teleprewirem, stan uległ znaczącej poprawie, pitu, pitu... Pięknie. Tylko, że nieprawda. Leczyłeś się, tyle że na co innego.

– Tracisz czas.

Krzeptowski zanotował, że wytrącił faceta z dobrego – prawdziwego czy udawanego – samopoczucia. Pewnie, że tak. Prawdziwa wersja wydarzeń miała zupełnie inny kaliber.

– Zacytuję ci coś – powiedział, zbliżając komórkę do oczu. – „Rozległe krwawe wybroczyny na całym ciele, liczne ślady przypalania papierosami i rażenia prądem, złamany nos, cztery żebra i nadgarstek prawej ręki. Wyrwane dwa paznokcie dłoni lewej oraz prawej stopy. Głębokie uszkodzenia skóry i ścięgien nadgarstków oraz okolic kostek u nóg, liczne rany cięte i tłuczone. Wybitych pięć zębów. Wstrząs mózgu. Pacjent został przyjęty w stanie skrajnego odwodnienia, nie mógł chodzić, nie był w stanie otworzyć oczu z powodu rozległych ran na twarzy i opuchlizny”.

Zapadła cisza. Ferenc gapił się w podłogę, Lena miała obojętną minę, natomiast Wajman wyglądał na poruszonego. Krzeptowski ocenił, że dla dziewczyny odczytane przed chwilą rewelacje nie stanowiły nowości, szef placówki usłyszał je natomiast po raz pierwszy w życiu. Dało się to logicznie wytłumaczyć; Wajman tkwił w Kijowie od wielu lat, Lena w omawianym okresie przebywała na Białorusi. Znajdowała się blisko Ferenc przed aresztowaniem, a być może również po tym, gdy już odzyskał wolność.

– Jeśli zapytałbyś mnie o zdanie, powiedziałbym, że tak opisane obrażenia powstały w wyniku tortur, najprawdopodobniej niezbyt długich, ale bardzo intensywnych – kontynuował Krzeptowski po dłuższej chwili, pozwalając wszystkim pomyśleć. – Tortur tradycyjnych, że tak powiem, ale fachowo zastosowanych. Powiedziałbym, że ofiarę powieszono za nadgarstki na łańcuchu albo linie uczeptionej do sufitu w taki sposób, żeby stopy nie sięgały podłogi, i bito, przypalano petami i prądem, nie dawano spać ani pić. Dwadzieścia cztery godziny wystarczą najtwardszemu, żeby się poddał. Ty wytrzymałeś ile?

– Dajcie mu spokój – zażądał Wajman. Porzucił maskę cynicznego twardziela. Był wstrząśnięty.

– Niech odpowie – nakazał Tolak.

– Nie wiem – mruknął. – Straciłem rachubę czasu.

Krzeptowski spojrział na niego z pewną dozą sympatii. Szybko przywołał się do porządku. Sympatia nikomu w tej sytuacji nie pomoże.

– W ciągu dwóch następnych tygodni aresztowano jedenaście osób, Białorusinów i Polaków, w tym pułkownika ze Sztabu Generalnego, którego zwerbowałeś – stwierdził, zerkając do akt. – Miesiąc później został rozstrzelany za zdradę. Wszyscy pozostali zainkasowali wieloletnie wyroki w białoruskich więzieniach.

Przez chwilę milczeli. Cisza podkreślała ciężar wypowiedzianych słów.

– Rozprułeś się – powiedział łagodnie Krzeptowski. – Trudno cię winić. Nikt by tego nie wytrzymał.

Ferenc nie podnosił wzroku.

– To teraz porozmawiajmy o pani Bałudze. Anastazji Bałudze – atakował dalej Krzeptowski, nie pozwalając przesłuchiwanemu wydobyć się z psychologicznej pułapki, jaką na niego zastawił. – Gwieździe białoruskiej telewizji. Twojej kochance, przez którą rozwodzisz się z żoną.

Ferenc poderwał głowę.

– Zostaw moją żonę w spokoju! – krzyknął, zaciskając pięści. – Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Jak chcesz – zgodził się Krzeptowski. – Pogadajmy tylko o Anastazji. Ona zasypała cię białoruskiemu KGB?

Ferenc patrzył na niego z nienawiścią, to zaciskając, to otwierając dłonie.

– Od tamtej pory jej nie widziałeś, co? Gniew okazał się zbyt duży. I pewnie miałeś wyrzuty sumienia. Oficer wywiadu nie może się zakochać w swoim źródle... Nie patrz tak, obaj wiemy, że ona była przez pierwszy rok twoim źródłem, nie? Nie dziwię ci się. Poczytałem sobie trochę o pannie Bałudze. Siedzi na samym szczycie medialnego establishmentu na Białorusi, ma dostęp do najważniejszych decydentów, łącznie z prezydentem. No i niezła dupa z niej.

– Kurwa mać... – wybuchnął Ferenc.

– Ludwik, to prawda? – chciał wiedzieć Wajman.

Kapitan kręcił głową, ale Krzeptowski nie odebrał gestu jako zaprzeczenia. Ferenc najwyraźniej nie mógł pogodzić się z tym, że tajemnica wyszła na jaw i właśnie przechodzi ponownie przez piekło wspomnień. Być może ujawnienie współpracy z wrogiem miało dla niego mniejsze znaczenie.

Być może.

– Mieliśmy wyjechać – powiedział kapitan tak cicho, że zakopiańczyk musiał się pochylić, by go usłyszeć. – Wszystko było już gotowe. Nagle zamknęły się przed nią drzwi gabinetów. Mówiła, że za nią chodzą, podejrzewała, że też podsłuchują. W przeddzień wyjazdu... – zaciął się.

– Przyszli po ciebie, tak? – dokończył za niego wielki góral. – I wszystko się wysypało. Musieli mieć na ciebie niezły materiał, skoro zdecydowali się aresztować oficera wywiadu państwa należącego do NATO.

Ferenc zamknął oczy. Przez twarz przebiegł grymas bólu. Dawne rany otworzyły się i zaczęły krwawić. Ożyły obrazy strachu i upodlenia.

– A nie przyszło ci do głowy, że to była ustawka? – po raz pierwszy odezwała się Kika, przejmując pałeczkę. Na jej twarzy o regularnych rysach malowała się odraza. Krzeptowski mógł się założyć, że nieudawana. Jego dawna koleżanka z firmy żywiła urazę do ludzi dwulicowych, nawet jeśli owa dwulicowość została wymuszona dramatycznymi okolicznościami. – Że to panna Anastazja prowadziła ciebie, a nie ty ją? Wiesz, że natychmiast po twoim aresztowaniu wróciła na świecznik i nawet awansowała? Do dzisiaj jest numerem jeden. Ma kupę kasy. Wszyscy ją uwielbiają.

– To nie ona.

– Lepiej będzie dla ciebie, jeśli pogodzisz się z faktem, że cię wsypała. I za to ją nagrodzono.

Potrząsał głową jak uparty dzieciak, który nie przyjmuje do wiadomości, że dostał karę za zjedzenie słoika dżemu.

– Tyle że to dopiero wstęp, akt pierwszy, można powiedzieć – włączył się na powrót do rozmowy Krzeptowski. – Rozprułeś się nie tylko wtedy. Białoruskie KGB przekazało cię FSB i do dziś prujesz się dla nich. Płacą ci czy chcieli ujawnić twoją współpracę?

– Spekulujesz – warknął Wajman.

– Chociaż przecież twój szef wiedział o wszystkim... bo z łap KGB wyciągnął cię pułkownik Maliszewski, prawda? Swoją drogą filmowa akcja: w mundurze białoruskiego generała, posługując się podrobionymi dokumentami, wparował do aresztu jak do siebie, nawrzeszczał na strażników i zabrał cię ze sobą. Tak czy inaczej, zawdzięczasz mu życie, nie?

– Nie! – Ferenc spojrzał Krzeptowskiemu w oczy.

– Nie? Taki niewdzięcznik z ciebie?

– Nie pracuję dla FSB – oświadczył kapitan z mocą. – Wtedy się rozprułem, tak. Ratowałem życie, rozumiesz? Ratowałem swoje zasrane życie. Ty też byś tak zrobił, mogę ci obiecać. Ale dla ruskich nie pracuję.

– Jak ktoś raz zacznie gadać, na ogół gada dalej.

– Nie w tym wypadku.

– Zapytamy Maliszewskiego.

– Wierzył, że jestem niewinny. Wyciągnął mnie, a potem, jak się wyleczyłem, posadził na rok za biurkiem. Spreparował raport. Pomiął Anastazję. Wpadka wyglądała na przypadek.

– Nie jesteś niewinny. Agentura na Białorusi wpadła przez twoje gadulstwo.

Świadoma brutalność. Na twarzy Ferenc ponownie pojawił się ból.

– Myślisz, że nie wiem?

– Maliszewski ryzykował, że ktoś odkryje prawdę – wtrącił Tolak. – Tak jak my teraz.

Ferenc wzruszył ramionami, uznając, że nie ma obowiązku odpowiadać na pytanie, którego nie zadano.

Krzeptowski przypatrywał mu się uważnie. Czuł się zaniepokojony. Facet się nie przyznał do współpracy z Rosjanami, a w dodatku wyłaziła z niego jakaś koślawa i zrezygnowana szczerłość; ból i wyrzuty sumienia wydawały się autentyczne. Krzeptowski instynktownie mu wierzył – co właśnie wydało mu się niepokojące.

Żeby móc go formalnie oskarżyć o zdradę, musiał się przyznać. Nie mieli twardych dowodów, nawet to, co zdradził Białorusinom pod wpływem tortur, udało się Maliszewskiemu zatuszować. Wpadka siatki agentów mogła mieć inne przyczyny. Niemniej na pewno trzeba pogadać z panem pułkownikiem, posłuchać jego wersji, spróbować znaleźć luki.

Zastanawiał się nad następnym pytaniem, nie zdążył go jednak zadać. Namysł zakłócił dzwonek telefonu Wajmana.

Dzwonił pułkownik Chołyczenko.

Fomin wpatrywał się w ekran komórki. Twarz Moskalewicza była wyraźnie widoczna, choć zdjęcie wyraźnie zostało zrobione w pośpiechu i z niewygodnej pozycji. Pułkownik miał zamknięte oczy i rysy ściągnięte bólem. Na piersi widniały dwie krwawe rany.

– Ze zdjęcia nie wynika, że ta swołocz nie żyje – ocenił major.

Kapitan Arkady Szatowicz otarł ręką krew, przesiąkającą przez prowizoryczny opatrunek na skroni. Odłamek szkła głęboko przeorał skórę i nadal tkwił w ranie. Dwóch ludzi z jego samochodu miało mniej szczęścia; jako ciężko ranni okazali się niezdatni do dalszej akcji. Czterech operatorów – załoga drugiego auta – zostało na polu walki.

– Na dziewięćdziesiąt procent nie żyje. Dostał dwie kule w pierś – odparł oficer.
– Widziałem go z bliska. Gdyby nie ludzie, którzy mu pomogli, sprawdziłbym osobiście.

Fomin przyznał mu rację. Dla zwiększenia skuteczności grupa używała specjalnej amunicji grzybkującej. Rany zadane przez pociski tego typu powodowały rozległe obrażenia, najczęściej powodujące śmierć; człowiek trafiony dwukrotnie w klatkę piersiową, nawet jeśli nosił kamizelkę kuloodporną, miał iluzoryczne szanse przeżycia.

Tak czy inaczej, legenda FSB, wszechwładny pułkownik Siergiej Moskalewicz przestał stanowić zagrożenie, przynajmniej w najbliższym czasie. A właśnie nadchodzące godziny zdecydują o powodzeniu misji. Fomin znał znaczną część generalnego planu tej fazy wojny, reszty się domyślał. Jego ludzie stanowili jeden z elementów, bardzo ważny, wręcz kluczowy, ale nie jedyny. Zaplanowaną z rozmachem i wyobraźnią operację domkną inni. I razem oddadzą się świętowaniu sukcesu.

Zganił się za tę myśl. Triumfalizm nie leżał w jego charakterze. Usunęli jedną z przeszkód, ale wojny jeszcze nie wygrali. Ba, nie wygrali nawet pierwszej bitwy.

– Wiesz, kim byli ci ludzie?

– Ten za kierownicą to na pewno Ferenc. Jedna z kobiet – Mokrzycka. Pozostałej dwójki nie znam.

– Polacy?

– Trudno stwierdzić. Ten wielki dobrze strzelał. Właściwie on sam załatwił naszych.

Fomin zapalił papierosa.

– Bardzo ciekawe, dlaczego pan pułkownik zgłosił się do Polaków – mruknął do siebie.

Szatowicz nie odpowiedział.

– Niech ktoś cię opatrzy – zarządził Fomin, porzuciwszy dywagacje na temat motywów Moskalewicza. Coś mu w tej sprawie nie grało. Wszyscy, którzy przechodzili na tamtą stronę, zgłaszali się do Amerykanów albo Brytyjczyków. Fomin nie potrafił przypomnieć sobie przypadku, gdy ktoś ważny poprosił o azyl w którymś z krajów Europy Wschodniej. Musi popytać na górze, podrażnić. Miał szeroko ustosunkowanych przyjaciół, doskonale orientujących się tektonice kremlofskich zależności. Pomogą. Wierzyli w sprawę, więc pomogą z ochotą. – Krwawisz. Potrzebuję cię w dobrej formie.

– Zaraz się tym zajmę.

– Powiedz ludziom, że ruszamy za kwadrans.

– Oczywiście, towarzyszu majorze.

– Mówi pan poważnie? – zapytał Tolak. Był szczerze zdumiony. Wajman przed chwilą skończył rozmawiać z Chołyczenką.

– Zupełnie poważnie. Prezydent Zeleński zaprosił całą naszą trójkę do pałacu prezydenckiego na godzinę dwudziestą drugą. Chce nam osobiście podziękować za pomoc przy likwidacji rosyjskich grup dywersyjnych.

Tolak spojrział na Wajmana z niedowierzaniem, jakby nie przyjmując do wiadomości, że szef komórki wywiadu w Kijowie zgadza się, aby człowiek, na którym ciążyły bardzo poważne podejrzenia (bo przecież Ferenc na razie nie dał im specjalnie argumentów, żeby myśleli inaczej) znalazł się w bezpośredniej bliskości głowy państwa ukraińskiego.

Wajman poruszył się. Dotarło do niego, że nie wykręci się od odpowiedzi.

– Można w cztery oczy? – zapytał.

Tolak skinął głową. Obaj dali znak swoim współpracownikom. Obie pary opuściły pomieszczenie.

Usiedli naprzeciw siebie. Mieszkanie było bardzo skromne. Na ostatnie piętro wielopiętrowego bloku jechało się w nieskończoność upiornie rozklekotaną windą. Ale miało dobrą lokalizację: gdy się mocno wychyliło z okna małego pokoju i spojrzano w lewo, dało się dojrzeć pałac prezydencki.

– Maliszewski nigdy mi o tej sprawie nie wspominał, nigdy – powiedział Wajman z naciskiem. – Przysłał mi tego chłopaka jako doświadczonego oficera operacyjnego z biegłą znajomością rosyjskiego. Znam go od dwóch lat i nigdy nie nawalił. Nigdy nie miałem do niego zastrzeżeń. Dziś rano zachował się jak trzeba, teraz też, jak słyszę...

– Wierzę – przytaknął Tolak. Czuł wilczy głód i chciało mu się pić. Dopiero teraz uświadomił sobie, że ostatni, bardzo skromny posiłek jadł przed południem. A gorący obiad – dwa dni temu. – Co nie zmienia faktu, że macie kreta.

– Tego pan nie wie. Może być w ambasadzie, nie u nas.

– Struktura dekonspiracji wskazuje na was.

Wajman nie miał argumentów, by się kłócić. Będzie musiał pogadać z Maliszewskim.

– Musimy iść na to spotkanie, panie pułkowniku – powiedział. – Zostaliśmy zaproszeni wszyscy troje, po nazwiskach. Nie wytłumaczę tak łatwo braku kapitana Ferenca.

– Może pan mu dać jakieś niecierpiące zwłoki – Tolak uniósł obie dłonie i wykonał znak cudzysłowu – „zadanie”.

– Nie chcę się tłumaczyć Ukraińcom.

– Za to ma pan ochotę zaryzykować. Facet miał wpadkę i przekazał białoruskiemu KGB bardzo cenne informacje. To są fakty, do których się przyznał. Skąd pan wie, że nie kabluje dalej?

– On nienawidzi Rosjan. Musiałby mieć naprawdę szczególny powód.

Tolak skrzywił się. Facet nieudolnie grał naiwnego. Obaj doskonale wiedzieli, że w tej branży liczą się przede wszystkim interesy. Osobiste sympatie i antypatie miały marginalne znaczenie, często żadnego.

– Wystarczy, że zadzwonię do Chołyczenki i zasugeruję, że mamy parę pytań do kapitana Ferenca – podsunął Tolak.

Wajman porzucił maskę. Spojrzał wrogo na pułkownika.

– Oczywiście, że pan tego nie zrobi – burknął.

– A czemu nie? W polskim interesie leży, żeby Zeleńskiemu włos z głowy nie spadł. Jeśli dojdzie do wojny, a on zginie, ukraiński opór będzie jeszcze słabszy – stwierdził Tolak, puszczając ostatnią uwagę mimo uszu. Wajman miał oczywiście rację. Przyznanie, a nawet tylko zasugerowanie Ukraińcom, że mają w szeregach rosyjskiego agenta, zburzyłoby delikatną i wątłą nić zaufania łączącą obie służby. Obaj wiedzieli, jak to powinno wyglądać: dyskretne odwołanie Ferencza do kraju pod pretekstem zaliczenia obowiązkowego kursu specjalistycznego, śledztwo, proces, ewentualny wyrok. Wszystko po cichu i bez rozgłosu.

– Biorę to na siebie – zadeklarował Wajman. – I tak przed spotkaniem zostaniemy rozbrojeni przez ochronę. Z Ferencza nie spuszczę oka.

– Jego rola nie musi sprowadzać się do strzelania z pistoletu.

– Proszę się o to nie martwić. Nie pozwolę mu zrobić niczego, co mogłoby zaszkodzić Zeleńskiemu.

Tolak zastanowił się. Mógł po prostu kazać Krzeptowskiemu zatrzymać Ferencza i odstawić do Polski. Jutro rano, w Warszawie, przekaze go ludziom z Żandarmerii Wojskowej i każde z nich wróci do swojej roboty.

Z drugiej strony nie mieli dowodów; tylko poszlaki. Nikt Ferencza za rękę nie złapał. Nadal obowiązywało domniemanie niewinności. Jeśli próbę weryfikacji przejdzie opowieść Wajmana o Moskalewiczu jako o źródle SWW, zostaną w zasadzie z niczym. Na korzyść Ferencza dodatkowo przemawiał fakt, że został dwukrotnie w ciągu ostatnich dwunastu godzin zaatakowany przez rosyjskie grupy dywersyjne i zabił co najmniej jednego napastnika. Nawet przeciętny adwokat uczyni z tego koronny argument obrony.

– Dobrze – westchnął Tolak. – Jeden warunek: da nam pan dostęp do waszych biur.

– Mowy nie...

Zatrzymał się na widok uniesionej dłoni pułkownika.

– Niech pan to potraktuje jako szansę – zaproponował. – Rozejrzymy się, powęszymy. Mamy spojrzenie z boku. Leży w pańskim najlepiej pojętym interesie, żeby wyczyścić sprawę. Wie pan, że i tak tam wejdę. Wolę za pańską zgodą.

Wajman wahał się, co Tolak doskonale rozumiał. Podobne działanie stało w całkowitej sprzeczności nie tylko z procedurami i prawem, ale i obyczajami.

Służby nie wpuszczały konkurencji na swoje podwórko, a już na pewno bez nadzoru. Fakt, że Tolak miał pełnomocnictwo ministra do prowadzenia śledztwa, niewiele tu zmieniał. Facet był z kontrwywiadu.

Jednak...

Pułkownik rzucał mu koło ratunkowe. Proponował mianowicie wyjaśnienie sprawy cudzymi rękoma, co mogło mieć kluczowe znaczenie w obliczu bardzo niejasnej roli Maliszewskiego. To on krył Ferenca, sfalszował jego kartę choroby, zataił fakt romansu z reżimową białoruską dziennikarką, zakopał kwestię odpowiedzialności za liczne wpadki agentów polskiego wywiadu, stworzył fałszywe dossier kapitana... Tak, wyjaśnienie kwestii przecieku przez kogoś z zewnątrz zdecydowanie leżało w interesie Wajmana.

Major westchnął, sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej kodowaną kartę magnetyczną i wręczył ją Tolakowi, udzielając na pożegnanie krótkiej instrukcji postępowania.

Obie grupy rozstały się bez słowa, patrząc na siebie z niechęcią, nie wrogowie, ale z pewnością nie sojusznicy. Dwa samochody rozjechały się w różne strony.

Krzeptowski prowadził, zerkając co jakiś czas na ekran nawigacji. Mimo późnej pory Kijów był zatłoczony. Elektroniczny doradca prowadził jednak pewnie, nawet jego sugestie dotyczące objazdów szczególnie zakorkowanych miejsc okazywały się przydatne.

– Co myślicie? – zapytał Tolak. Nim wsiedli, zdążył im w kilku zdaniach opowiedzieć o operacji pozyskania Moskalewicza. Gdyby wziąć relację Wajmana za dobrą monetę, kontakty Ferenca z pułkownikiem miały całkowicie wiarygodne uzasadnienie.

– Trzeba szukać dalej – orzekł Krzeptowski. – Na razie nie mamy na faceta trzymania.

– Nie mamy – przytaknęła Kika. – Na pewno musimy pogadać z Maliszewskim. Szczerze mówiąc, najlepiej byłoby, gdybyś ty z nim pogadał – zaproponowała, zerkając na Tolaka.

– Obawiam się, że masz rację.

Krzeptowski skręcił z ulicy Wiaczesława Lipińskiego w Iwana Franka. Sto metrów dalej ulicę zagradzała betonowa bariera, z przejazdem pośrodku, w którym mógł się zmieścić jeden samochód. Czterech roślących, uzbrojonych w długą broń gwardzistów sprawdzało dokumenty. Kolejka liczyła sześć samochodów.

Krzeptowski zatrzymał się na końcu.

– Nie zadaliśmy jednego pytania – stwierdził. – Czy oni w ogóle mieli świadomość przecieku.

– Obserwowałam Ferencę – powiedziała Kika. – Gdy Staszek referował kolejne wpadki, nie sprawiał wrażenia zaskoczonego.

– Chyba wszyscy troje mieli specjalne zajęcia z utrzymania pokerowych twarzy – przytaknął Tolak. Posunęli się o jedno miejsce do przodu. Kolejka tylko dlatego była taka krótka, że poruszali się bocznymi uliczkami. Blokada Chreszczatiku lub Bulwaru Tarasa Szewczenki zakorkowałoby Kijów na pół doby.

– Kluczem jest Maliszewski – wróciła do tematu Kika.

– Muszę mieć więcej konkretów – zastrzegł Tolak. – Maliszewski to kawał skurwysyna. Potrafi się utrzymać na stołku przy każdej władzy. Albo przybiję jego jaja do ściany, albo mogę sobie darować.

– Masz prawdziwą dokumentację medyczną – upierała się policjantka. – I jak cię znam, nagranie, na którym Ferenc przyznaje się do załamania w śledztwie i na którym mówi, że Maliszewski o wszystkim wiedział i sfalszował raport, nie powiadamiając przełożonych. To przestępstwo.

Tolak uśmiechnął się kącikami ust, wyjął z kieszeni maleńki dyktafon, po czym pomachał nim w powietrzu. Kika odpowiedziała lekkim uśmiechem, Krzeptowski skwitował sytuację grymasem ironii, jakby nie uważając za stosowne chwalić pułkownika za rzeczy oczywiste.

– Jednak dowodów na to, że Ferenc sypie, nie mamy żadnych. – Tolak spoważniał, nim wrzucił urządzenie na powrót do kieszeni.

– Możesz pogadać z Maliszewskim na twardo. Nie puścisz dalej wiedzy na jego temat, jeśli poda ci Ferencę.

– Po pierwsze musiałby wiedzieć o przecieku – zareplikował pułkownik. – Co właściwie robi z niego współnika. Wtedy pójdzie w zaparte i każe mi spierdalać. Z tego, co słyszałem przed wyjazdem, nasi władcy bardzo go cenią i widzą dla

niego kluczowe stanowisko w razie kryzysu czy wojny. Chcą go mieć pod ręką, co znaczy że ogłuchną na wszystko, co nieewidentne. Śledztwo prowadziłyby żandarmeria, a jeśli żandarmeria dostanie od ministra nieoficjalne polecenie, do niczego się nie dokopie.

Argumentacja nie do odparcia. Kika zamilkła. Przez dłuższy czas milczeli, pochłonięci własnymi myślami.

Krzeptowski zerknął w bok. W przeciwną stronę, oddalając się od blokady, szła po chodniku kobieta w eleganckim płaszczu. Z ramienia zwisała brezentowa torba. Blond włosy rozwiewał wiatr.

Ta sama osoba, której o mało nie zastrzelił w pobliżu pałacu prezydenckiego.

Coś się jednak zmieniło. Kobieta stawiała wolniejsze, cięższe kroki, jakby nagle zaczęły uwierać ją buty albo zawieszony na ramieniu ciężar krępował ruchy. Patrzyła przed siebie, w jeden punkt, zdając się nie zwracać uwagi na otoczenie. Skojarzyła się zakopiańczykowi z robotem, któremu kończy się bateria.

Nim jednak podjął jakiegokolwiek działanie, samochód przed nim ruszył. Kobieta zaczęła się oddalać. Przechodzień musiał jej zejść z drogi, by nie zostać potrąconym. Krzeptowski obejrzał się. Babka zniknęła między ludźmi.

Mam paranoję, pomyślał. Kobieta idzie po ulicy. Co mnie to obchodzi? U siebie nawet bym na nią nie spojrział.

Oszukiwał się. Spojrzyłby. I postarałby się czegoś dowiedzieć na jej temat.

– Stasiu, jedziemy – ponagliła go Kika.

Nacisnął gaz. Samochód przesunął się o jedno miejsce do przodu. Policjantka przyjrzała mu się badawczo.

– Coś się stało?

– Wszystko w porządku.

Nie uwierzyła mu. Widział to po niej. Nadal myślał o kobiecie z niepasującą do niej torbą.

Kontrolę przeszli gładko – dyplomatyczny paszport Tolaka spowodował, że gwardziści nawet nie zażądali dokumentów od Krzeptowskiego i Kiki, co pasażerowie samochodu zgodnie uznali za błąd w sztuce. Ale najwyraźniej w Kijowie nadal obowiązywał reżim pokojowy.

Skęcili w Jarosławski Wał. Ludzi ubywało, uliczka należała do spokojniejszych rejonów miasta. Pół kilometra dalej budynek powitał ich tą samą posępną brzydota co zawsze. Dzięki pełnomocnictwu Tolaka strażnik bez dyskusji otworzył drzwi. W milczeniu zeszli po schodach do części ambasady znajdującej się pod poziomem gruntu.

Krzeptowski aż się skulił: sufit prostokątnej, oświetlonej dwoma słabymi lampami sali, pełniącej rolę holu wejściowego wisiał nisko – niewiele ponad dwa metry nad podłogą. Osoby cierpiące na klaustrofobię pozbawiona okien przestrzeń z pewnością musiała przyprawiać o szybsze bicie serca. Twórcy budynku najwyraźniej nie przewidywali, że ktokolwiek nada piwnicy użytkowy charakter. Pułkownik rozejrzał się. Czworko zamkniętych na głucho drzwi, oznaczonych maleńkimi tabliczkami informacyjnymi, prowadziło do kolejnych pomieszczeń budynku. Najbardziej po prawej znajdowała się część zajmowana przez kontrwywiad. Na wprost: ABW. Nieco po lewej: łącznik komendy głównej policji. I skrajnie po lewej to, co ich interesowało: królestwo wywiadu. Wszystkie drzwi, zabezpieczone elektronicznymi zamkami o wielostopniowej procedurze otwierania i zamykania, wyglądały na bardzo solidne.

Tolak użył otrzymanej od Wajmana karty, po czym wpisał sześciocyfrowy kod. Zamek odskoczył. Ostrożnie przekroczyli próg. Drzwi zamknęły się za nimi samoczynnie. Krzeptowski wymacał włącznik; nieprzyjemny blask świetlówek rozświetlił niewielki pokój, pełniący najwyraźniej funkcję sekretariatu i zarazem łącznika z następnymi pokojami, również zabezpieczonymi cyfrowymi zamkami. Otworzyli wszystkie drzwi na oścież. Gdy się stanęło przy biurku sekretarki, dało się zajrzeć do każdego z pomieszczeń. Ciasnota niemal porażała. Oprócz klitki udającej sekretariat na niewiele ponad czterdziestu metrach kwadratowych mieściły się dwa gabinety, salka konferencyjna z szyfowaną łącznością, przystosowana do organizacji wideokonferencji, serwerownia i pokój socjalny. To było wszystko, co Rzeczpospolita zapewniała swoim szpiegom, by pracowali na jej rzecz.

Co gorzej, całość w niczym nie przypominała supernowoczesnego, zaawansowanego technologicznie, wypełnionego wielkimi ekranami i komputerami centrum dowodzenia operacjami wywiadowczymi, jakie z setek filmów zna każdy miłośnik sensacji. Jawiła się jako typowy państwowy urząd: siermięga z przeszłych lat przeplatała się z mniejszymi czy większymi wysepkami

nowoczesności. Komfort użytkownika biurka z lat osiemdziesiątych zapewniał ergonomiczny, obity skórą, obrotowy fotel na kółkach. Wiekowemu laptopowi danych dostarczał światłowód. Stary sejf (z mechanicznym zamkiem i stalowym kołem, a jakże) stał tuż obok nowoczesnej niszczarki do dokumentów. I tak dalej. Obrazu całości dopełniała wytarta wykładzina dywanowa w ohydny, brązowym kolorze i pokryte zaciekami dźwiękochłonne płytki na suficie, z których część wykazywała wyraźną tendencję do odklejenia się od tynku. Stare łączyło się z nowym w niepowtarzalnym polskim stylu.

– Czego właściwie szukamy? – chciał wiedzieć Krzeptowski.

– Powiem ci, jak znajdę – odparł Tolak.

– Bomba – skomentowała Kika, zakładając lateksowe rękawiczki.

Bez słowa podzielili się pracą. Tolak przeszukiwał gabinet Wajmana, Krzeptowski – Ferenc, nadkomisarz Kaczkowska natomiast zajęła się sekretariatem i pozostałymi pomieszczeniami.

Z zamkniętym na klucz biurkiem Kika poradziła sobie w kilka sekund, za pomocą jednego z wytrychów, których pokaźny pęk wręczył jej Tolak. Dokumenty w szufladach przejrzała pobieżnie. Starannie natomiast przeskanowała mebel za pomocą czujnika wykrywającego urządzenia elektroniczne. Okazał się czysty. Stacjonarny telefon, laptop, wyposażony w mechaniczną klapkę zakrywającą kamerę, również. Pomiar wskazywał zresztą, że urządzenie było wyłączone i żaden z jego podzespołów nie emitował drgań elektromagnetycznych.

Podeszła do szafy mieszczącej segregatory z tonami dokumentów. Ich przejrzenie zajęłoby miesiąc. Zresztą, podobnie jak w biurku, niczego nie spodziewała się tam znaleźć. Poprzestała zatem na skanowaniu. Żadnych znalezisk.

Maleńka, skromnie urządzona kuchenka również nie kryła tajemnic, ukrytych kamer czy pluskiew. Znacznie ciekawsza okazała się serwerownia; w tym miejscu akurat państwo polskie nie oszczędzało. Szumiąca cicho klimatyzacja zapewniała stałą temperaturę. Stelaż dźwigał potężną jednostkę obliczeniową, z której dochodziły niknące w licznych peszlach grube pęczki kabli. Kika wpięła w slot USB pendrive z programem skanującym, po czym opuściła pomieszczenie. Miała kwadrans, nim program sprawdzi serwer i wykryje ewentualne nieautoryzowane modyfikacje.

Omiotła skanerem ściany sekretariatu. Obok drzwi wejściowych skaner pisnął. Kratka wentylacyjna. Zaczęła się rozglądać za jakimś krzesłem, gdy usłyszała głos Tolaka.

– Chodźcie. Coś wam pokażę.

Porzuciła znalezisko. Obu mężczyzn zastała w gabinecie Wajmana. Wpatrywali się w pewien punkt w rogu pokoju, gdzieś na złączeniu ściany i sufitu. Spojrzała, ale niczego tam nie dostrzegła.

– Co jest? – zapytała.

– Kamera z mikrofonem – odparł Tolak.

Podeszła bliżej. Ścianę pokryto niemodną, wzorzystą tapetą w nieco wyblakłych kolorach. Nadal nie dostrzegła niczego odbiegającego od normy. Dopiero, gdy poświeciła sobie latarką, dostrzegła niewielkie uszkodzenie kolorowego papieru pokrywającego ścianę.

– Kamera? Niby gdzie? – zapytała, bo mimo starań nie udało jej się zobaczyć żadnego obiektu.

Tolak wdrapał się na ustawiony przy ścianie stół, pomanipulował chwilę w narożniku, po czym zeskoczył na podłogę.

Na jego dłoni leżał plaster nie grubszy niż milimetr, pokryty identycznymi co tapeta wzorami. Miał długość może czterech centymetrów. Nawet z bliskiej odległości nie przypominał urządzenia elektronicznego. Naklejony na ścianę stawał się niewidoczny.

– Co to? Nigdy czegoś takiego nie widziałam – orzekła Kika.

– Ja też – dodał Krzeptowski.

– A ja owszem – Tolak miał minę jeszcze bardziej ponurą niż zwykle. – W październiku miałem w Waszyngtonie serię bardzo interesujących spotkań z ludźmi z kontrwywiadu w FBI. Pokazali mi parę urządzeń, które dopiero weszły do użycia. Takie też.

Zapadła cisza.

– Amerykańska zabawka? – Krzeptowski ochłonął jako pierwszy.

– Nanotechnologia. Nie do wykrycia przez sensory. W tym plasterku mieści się obiekt, mikrofon, pamięć, zasilanie i modem do ściągania danych, które można

pobrać przez bluetooth. Aha, i jeszcze czujnik wykrywania ruchu. To gówienko może działać sto godzin bez ładowania baterii.

– Jeśli nie do wykrycia przez czujnik, to jak ją znalazłeś?

– Czysty przypadek. W ogóle nie przyszło mi do głowy, żeby tego szukać. Świeciłem latarką i zobaczyłem cień. Z bliska okazało się, że tapeta jest leciutko rozdarta w jednym miejscu. A obok minimalne zgrubienie. Przez szkło powiększające widać więcej. Gdybym wcześniej w Waszyngtonie takiego ustrojstwa nie oglądał, na sto procent bym to olał.

– Amerykanie podsunęli Wajmanowi monitoring? – chciała wiedzieć Kika.

– Uważasz, że to niemożliwe?

Zastanowiła się. Sojusznicy zza Atlantyku lubili być dobrze poinformowani. A z całą pewnością zakładali, że partnerzy nie przekazują im wszystkiego. Posuwali się więc do różnych chwytów, by poszerzyć wiedzę. Mimo wszystko jednak, podsłuchiwanie alianta na jednej z kluczowych dla europejskiego bezpieczeństwa placówek ocierało się o skandal. Oczywiście – gdyby Amerykanie chcieli zrobić użytek z tej wiedzy.

– Może jednak to GRU czy tam FSB. Zdobyli urządzenie i przykleili je Wajmanowi? – dywagował Krzeptowski.

– Bardzo mało prawdopodobne – zaprzeczył Tolak. – Jankesi umieją chronić takie rzeczy, jak im naprawdę zależy.

– Szkoda. Mielibyśmy rozwiązana kwestię przecieku – westchnęła Kika.

– Nawet przyjmując, że urządzenie zostało zamontowane na zlecenie ruskich, nie do końca – zaprzeczył wielki góral. Mimo zmęczenia wyglądał na skoncentrowanego. – Wiemy tylko, któredy wypływały informacje. Natomiast nie wiemy, czy to Ferenc im pomógł.

– Wątpię, że Rosjanie potrafiliby zdobyć takie urządzenie i dać Ferencowi, żeby je wkleił w gabinecie szefa. Powtarzam: Amerykanie bardzo pilnie strzegą swoich rozwiązań elektronicznych – ostudził ich Tolak. – W związku z czym zamiast jednej zagadki mamy dwie: jak ruscy dowiedzieli się o ruchach Wajmana i ekipy w związku z Moskalewiczem i wcześniejszym wsypami, a po drugie kto podgląda Wajmana.

– Chyba że to się łączy – powiedziała policjantka.

– Nie widzę tego. – Krzeptowski poczuł ogarniające go zniechęcenie. Dzień nawet jemu zaczął dawać się we znaki. Przyjeżdżając do Kijowa, nie spodziewał się spektakularnych sukcesów, ale musiał przyznać, że właściwie kręcili się wokół własnego ogona.

– Aldrich Ames. Robert Hanssen – powiedzieli jednocześnie Tolak i Kika.

Krzeptowski spojrział na nich z miną człowieka, który słyszy dzwony, ale nie za bardzo wie, z którego kościoła dobiega ich dźwięk.

– Dwaj wysoko postawieni ruscy agenci, jeden w CIA, drugi w FBI – wyjaśnił Tolak, patrząc z uznaniem na Kikę. – Ten pierwszy pełnił funkcję szefa kontrwywiadu CIA, zajmującego się Związkiem Sowieckim. Jankesi długo się nie mogli pozbierać po stratach.

– Myślisz, że ktoś z CIA wlepił Wajmanowi monitoring po to, żeby przekazywać dane Rosjanom? – W głosie zakopiańczyka pobrzmiwał sceptycyzm.

– Dopóki nie znajdziemy innego wyjaśnienia, przyjmijmy, że mogło tak być.

Kika rozejrzała się.

– Nadal nie mamy pojęcia, kto zainstalował podsłuch i ściągał z niego dane – zauważyła.

Tolak zgodził się z tym. Zrobili pierwszy krok, ale czekało ich jeszcze kilka następnych. Kika otworzyła usta, by powiedzieć mu o znalezisku w sekretariacie, ale Tolak ubiegł ją. Wyjął telefon i wybrał numer szefa placówki.

Samochód stał na światłach. Dźwięk dzwonka telefonu spowodował, że Ferenc drgnął, Wajmana natomiast wyrwał z głębokiej zadumy.

Tolak.

– Może pan rozmawiać? – usłyszał major.

Włączył w komórce protokół szyfrujący.

– Niech pan mówi. Krótco. Zaraz mam spotkanie.

– W pańskim gabinecie jest zbyt głośno.

Wajman zeszywniał. Codziennie rano skanował ściany i meble i specjalnym programem sprawdzał komputer. Nie zdarzyło się, by na coś natrafił.

– Ma pan pewność? – zapytał, za wszelką cenę starając się, by jego głos brzmiał normalnie.

– Tak. Pytanie, czy możemy coś z tym zrobić.

W normalnych okolicznościach enigmatyczny sposób prowadzenia rozmowy przez szyfrowane łącze śmieszyłby go niezmiernie. Ale miał świadomość, że nie siedział w samochodzie sam. Nagle zaczął podejrzewać, że oskarżenia wobec Ferencza mogą mieć racjonalne podstawy. Kapitan miał swobodny i w zasadzie nieograniczony dostęp do jego gabinetu – i na powrót stał się głównym podejrzanym.

Tolak pytał go o sposób wykrycia osoby, która założyła podsłuch.

Owszem. Był taki sposób.

Ignorując spojrzenie Ferencza, Wajman wyszedł z samochodu, oddalił się na bezpieczny dystans i wypowiedział trzy krótkie zdania.

– Okej – oznajmił Tolak, wrzucając aparat do kieszeni. – W sekretariacie jest ukryta kamera, widząca wejścia do obu pokoi i serwerowni. O której wie tylko Wajman.

– I ja – dodała Kika.

Tolak spojrział na nią pytająco. Bez słowa wyszła z gabinetu, podstawiała pod ścianę fotel używany zwykle przez Zawadzką, sięgnęła do kratki wentylacyjnej, pomanipulowała chwilę i wyciągnęła niewielką kamerę. Urządzenie nie było nawet w połowie tak wyrafinowane jak amerykańskie cudeńko szpiegujące dowódcę kijowskiej komórki wywiadu, ale swą funkcję spełniało: obraz odznaczał się dużą rozdzielczością. Tolak zgrał dane na dysk laptopa, Krzeptowski umieścił kamerę na powrót na swoim miejscu.

Ku ich rozczarowaniu okazało się, że pamięć urządzenia pozwalała na nagranie tylko nieco ponad czterdziestu godzin filmu. Potem program nadpisywał dane, kasując to, co „pod spodem”. I tak w kółko.

– Nic tu nie ma – odezwał się Krzeptowski z nagłym zniechęceniem w głosie, patrząc na obrazki przedstawiające kręcących się po sekretariacie ludzi. Nigdy nie było ich więcej niż czworo: Wajman, Ferenc, Lena i sekretarka, pani Basia.

– Niekoniecznie – pokręciła głową Kika. – Kret mógł o kamerze wiedzieć i postarać się o spreparowanie filmu.

– Montaż? – Tolak spojrział na nią uważnie.

– Na przykład. Wycina kawałek nagrania, na którym coś robi, i wkleja inny, na którym nic się nie dzieje. Pikuś nawet dla przeciętnego informatyka.

– Jeżeli coś się zdarzyło wcześniej niż przed czterdziestu godzinami, niczego się nie dowiemy.

Kika uśmiechnęła się przebiegle.

– Zakładam, że masz do dyspozycji nie tylko przeciętniaków.

– Mam najlepszych.

– To wyślij im ten film. Są programy do odzyskiwania danych. Są różne sposoby. Może „pod spodem” coś się zachowało. Kamera w pokoju Wajmana sama się do ściany nie przykleiła.

Tolak poszedł za radą, przesłał zawartość pamięci kamery do Warszawy i nakazał informatykowi (a właściwie dowodzonemu przez niego trzyosobowemu zespołowi, czekającemu w gotowości i wyposażonemu w komputery o dużej mocy obliczeniowej) maksymalny pośpiech. Po ewentualnym odzyskaniu danych miał się włączyć do akcji kolejny program, którego zadaniem było wyłowienie z setek godzin materiału czegoś, co dla Tolaka mogłoby stanowić dowód, a przynajmniej silną poszlakę.

Szansę na sukces były niewielkie, jednak dopisało szczęście.

Zespół musiał dosłownie zrozumieć polecenie o konieczności pośpiechu; Krzeptowski nie zdążył wrócić z toalety, a Kika zerknąć w Internet, by przejrzeć najnowsze wieści ze świata (nic nowego: w nadziei powstrzymania ataku Amerykanie kontynuowali nowatorską taktykę ujawniania opinii publicznej najnowszych doniesień wywiadu dotyczących zamiarów Rosjan; branżowe plotki mówiły o zamiarach zakupu poważnych ilości zachodniego sprzętu przez Polskę, co miało związek z decyzją rządu o przekazaniu Ukraińcom sprzętu posowieckiego, gdyby wschodni sąsiad został zaatakowany; prezydent Zeleniński nadal stał na stanowisku, że wojny uda się uniknąć), gdy Tolak dostał na komórkę powiadomienie o nadejściu sporo ważącego załącznika. Po zdekompresowaniu i odszyfrowaniu wiadomości ruszył filmik. Na ekranie sekretarka zespołu, Barbara Zawadzka, osoba o nieposzlakowanej opinii i nieocenionych umiejętnościach,

kładła na szafie mikroskopijne urządzenie (załącznikiem do filmu było zdjęcie ukazujące owo urządzenie w dużym przybliżeniu

– kamerę wyglądającą jak zwykły długopis). Potem kobieta kilkakrotnie podchodziła do drzwi gabinetu Wajmana i udawała, że dotyka klawiatury systemu kontroli dostępu. Najwyraźniej próbowała najlepszego ustawienia, sprawdzając kąt widzenia kamery. Po trzeciej przymiarce wydawała się usatysfakcjonowana; zostawiła długopis w ostatniej pozycji, rozejrzała się, jakby sprawdzając, czy nie zostawiła żadnych śladów, które mogłyby świadczyć o czymś odbiegającym od rutyny, po czym wyszła, gasząc za sobą światło. Datownik w rogu kadru pokazywał dwudziestą drugą czterdzieści pięć dziewiętnastego listopada dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku.

Kolejny filmik okazał się konsekwencją pierwszego. Akcja miała miejsce trzy dni później, dwudziestego drugiego listopada, niemal dokładnie o północy. Sekretarka wstała od biurka, sprawdziła, czy drzwi zewnętrzne są dobrze zamknięte, po czym stanęła przy wejściu do gabinetu Wajmana. Wyjęła z kieszeni małe karteluszki, zbliżyła do oczu i wystukała na panelu kontroli dostępu sześciocyfrowy kod. By zamek odskoczył, przeciągnęła kartą magnetyczną przez skaner. Zapaliła się zielona dioda. Pani Basia zniknęła w środku. Musiała doskonale wiedzieć, gdzie nakleić plaster z kamerą, bo wróciła po czterdziestu sekundach. Drzwi zamknęły się za nią automatycznie. Znowu obrzuciła krytycznym spojrzeniem sekretariat, ponownie niczego nie znalazła, zgasła światło i zniknęła im z oczu.

– Mamy kreta od plastra – stwierdził Tolak. Krzeptowski jednak usłyszał w jego słowach niepewność.

– Mamy dowód, że nielegalnie weszła do gabinetu szefa placówki – odrzekł zakopiańczyk. – Na razie to tylko złamanie regulaminu. No, może długopis jest czymś więcej.

– Nie używała rękawiczek – stwierdziła Kika.

Krzeptowski rzucił okiem na zatrzymany w ruchu kadr.

– Rzeczywiście – przyznał.

Tolak wyciągnął z kieszeni foliową torebkę z urządzeniem podsłuchowym. Przyjrzał jej się pod światło.

– Może fart nam dalej dopisze – oświadczył. Wszyscy, rozpoczynając przeszukanie pomieszczeń, założyli lateksowe rękawiczki pokryte specjalną

substancją czyniącą je „niewidocznymi” dla wszelkich dotykanych przedmiotów czy powierzchni. Istniała zatem szansa, że na plastrze zostały odciski palców osoby, która przyklejała urządzenie do ściany.

– Co robimy? – chciał wiedzieć Krzeptowski. Przeciągnął się i ziewnął potężnie. Podobieństwo do głodnego krokodyla stało się jeszcze wyraźniejsze.

– Na początek dowiemy się, gdzie mieszka pani Zawadzka – oświadczył Tolak. – A potem pojedziecie złożyć jej wizytę. Jest środek nocy. Powinna spać we własnym łóżku.

– A ty?

– Spróbuję sprawdzić, czy są jakieś odciski palców i do kogo należą – powiedział, chowając torebkę do kieszeni oraz przesyłając im na komórki otrzymane z Warszawy filmy. – A potem czeka mnie rozmowa z szefem tego pierdolnika, wszechmocnym pułkownikiem Maliszewskim.

– Jak chcesz sprawdzić odciski? – zainteresowała się Kika.

– Mam znajomego w tutejszej miejskiej komendzie policji. Załatwiłem jego synowi rehabilitację w Polsce. Koleżka hulał na desce i spadł na beton. Tatuś jest mi dozgonnie wdzięczny.

Kika pokręciła głową.

– Nie powinniśmy mieszać do tego Ukraińców – powiedziała.

– Racja – zgodził się Tolak. – Co proponujesz?

– Masz kłamoty do daktyloskopii?

Tolak zerknął na stojący przy drzwiach sporych rozmiarów kontener, który zabrali z samochodu.

– Zdziwiłbym się, gdybyś nie znalazła tam całego laboratorium. Ale do kłamotów nadal przydałby się fachowiec, nie sądzisz?

Kika zdjęła żakiet i nachyliła się nad kontenerem.

– Kochany, jestem policjantką, ale zaczynałam jako laborantka kryminalistyczna. Daj no mi tę torebkę.

Bardzo uważnie, element po elemencie, sprawdzali broń: wytłumione karabinki szturmowe, pistolety, granaty, noże, ładunki wybuchowe. Upewnili się, że baterie

w noktowizorach są w pełni naładowane. Jeszcze raz przejrzeni zawartość plecaków, policzyli zapasową amunicję, przeprowadzili test łączności. Robili to po raz kolejny; ostatnie tygodnie składały się w zasadzie wyłącznie z powtarzanych bez ustanku ćwiczeń i przeglądów sprzętu. Gdy zostali, pojedynczo lub parami, przerzuceni do Kijowa, nie zwolnili tempa. Treningi trwały dzień i noc w kilku wynajętych na przedmieściach magazynach; dyskretna ochrona zapewniała brak zainteresowania ze strony osób postronnych. Ukraińska stolica nie zwracała na nich zresztą uwagi, takich jak oni rosyjskojęzycznych mężczyzn szukających pracy mieszkało tu kilkadziesiąt tysięcy. Zatem nieniekajeni przez nikogo spali i ćwiczili. Mieli głęboko wkodowaną świadomość, że szansa na sukces wiedzie tylko poprzez perfekcyjnie przygotowanie.

W końcu zebrali się w jednym miejscu, miejscu startu. Czterdziestu ośmiu ludzi, ekspertów czarnej i zielonej taktyki, walki wręcz, strzelania, skakania ze spadochronem czy nurkowania. Mieli wiedzę na temat materiałów wybuchowych i zostali przeszkoleni w zakresie niesienia pierwszej pomocy. Przeszli sześciotygodniowy trening walki w ciasnych pomieszczeniach i skrytych w ciemności tunelach.

Czuli się gotowi do podjęcia wyzwania. Fomin, sam również ubrany w ciemny kombinezon, kamizelkę taktyczną i hełm z noktowizorem, niczym się nie wyróżniał. Był jednym z nich. Stanowili jedność, śmiertelnie groźny mechanizm osiągnięcia tego, co nieosiągalne.

– Chłopcy – powiedział, gdy stanęli półokręgiem wokół niego. – Znaie mnie i wiecie, że kiepski ze mnie mówca. Powiem prosto. Nadszedł moment działania. Długo się do tej chwili przygotowywaliśmy. Jesteśmy najlepszym wojskiem na świecie. Potrafimy wykonać postawione przed nami zadanie, prawda? Nikt inny by nie potrafił, a my damy sobie radę.

Przez halę przetoczył się pomruk aprobaty. Czuli w kościach tysiące godzin morderczych, niejednokrotnie zagrażających życiu ćwiczeń. Niektórzy zginęli, wielu odpadło, liczni zrezygnowali, nie mogąc wytrzymać tempa. Oni dotrwali. Mieli powody do dumy.

Byli w końcu żołnierzami Specnazu, VIII Zarządu GRU.

– Rosja potrzebuje, żebyśmy się dziś spisali na medal. Naziści zagnieździli się we władzach tego nieszczęsnego państwa i rządzą naszymi młodszymi braćmi. Strzelają do ludzi, tłumią wolność, nie pozwalają nawet mówić po rosyjsku. Są

uzurpatorami wyznającymi to, czego nienawidzimy najbardziej: ideologię faszystowską. Ciągną naród na Zachód, z jego pedalskimi paradami, zepsuciem i witanem muzułmanów z otwartymi rękoma. To nie do przyjęcia. Nie pozwolimy, żeby Zachód zawładnął naszą ziemią. To, co dziś zrobimy, przejdzie do historii. Przywrócimy należne Rosji miejsce w świecie. Znow usiądziemy w pierwszym rzędzie decydentów. Odzyskamy dawny blask.

– Tak, tak jest – przytaknęli. Nie udawali. Myśleli o sobie jako o patriotach, ludziach wyznających zestaw wartości, których uosobienie stanowiła Matuszka Rosja, otoczona przez wrogów, znękana, samotnie walcząca z trudnościami, dzielna, kochana matka.

Za którą gotowi byli zginąć.

– Wszyscy wiecie, co macie robić – podjął Fomin. – Bądźcie uważni i bezwzględni. Nie wahajcie się. Do roboty.

Złamali szyk, założyli na kombinezony cywilne płaszcze i kurtki, broń i sprzęt pochowali do toreb, walizek i plecaków, po czym ruszyli do sześciu ciężarówek z zamkniętymi platformami ładunkowymi, a także czterech specjalnie przygotowanych do zadania furgonetek Mercedesa. Wozy miały oznaczenia i dokumenty legalnie działających w Kijowie firm transportowych i cateringowych. Wcześniej wielokrotnie jeździły po mieście. Podczas policyjnych kontroli nigdy nie było najmniejszych problemów, kierowcy na wszelki wypadek dysponowali jednak sporymi sumami w dolarach amerykańskich. Policja w Kijowie nie różniła się specjalnie od swoich kolegów z innych części kraju, a może nawet była, z racji stołecznych kosztów utrzymania, bardziej zachłanna.

Zawarczały motory. Hala wypełniła się śmierzącym wyziewem spalin. Huknęły otwierane wrota. Samochody jeden po drugim wyjechały w mrok.

Człowiek, którego podwładni znali jako majora Fomina, siedział w przedziale transportowym drugiego z nich. Zerknął na zegarek. Realizowali harmonogram z dokładnością do minuty. Każda grupa miała wyznaczone zadania rozpisane na tysiące, nawet pozornie błahych, detali. W mieście znajdowało się jeszcze kilka innych, mniej licznych zespołów, które właśnie ruszały do akcji. Rozproszeni uderzą z różnych miejsc, by u celu zacisnąć się w jedną, mocarną pięść.

Za kwadrans zaczną.

Oskarżenia Tolaka i jego zaimprovizowanej ekipy początkowo wydały się Lenie absurdalne. O aresztowaniu Ferencza przez białoruskie KGB oczywiście wiedziała: właściwie miało miejsce na jej oczach, w czasie akcji przekazania informacji przez agenta, którą Lena nadzorowała. Interweniować nie mogła, tamtych było zbyt wielu; kagiebiści działali wedle precyzyjnie opracowanego planu, akcja została bardzo sprawnie przeprowadzona. Zaskoczyli Ferencza kompletnie. Potem wraz z Maliszewskim opracowała desperacki plan uwolnienia więźnia, ponieważ pułkownik uznał, że oficjalna droga, negocjacje i targi dotyczące wymiany Ferencza na jakiegoś białoruskiego agenta znajdującego się w polskich rękach, jest zbyt czasochłonna, a zakończenie nieoczywiste – niestety często takie rozmowy nie prowadziły do sukcesu. Poszli więc na żywioł, bazując na doskonałej znajomości języka i, co nawet bardziej istotne, mentalności funkcjonariuszy, ale oczywiście niezmiernie ryzykując. W jednym szczególnie oskarżenia Tolaka i wielkoluda się zgadzały z jej przemyśleniami: Lena już wtedy podejrzewała, że pułkownik nie miał zgody przełożonych na akcję; na wszelki wypadek nigdy o to nie pytała. Wiedziała oczywiście, że po powrocie do kraju szef nagiął rzeczywistość, by Ferenc mógł pozostać w służbie. Jej zdaniem miał rację. Zawsze uważała Ferencza za bardzo dobrego oficera wywiadu, który zdecydowanie zasługiwał na drugą szansę.

Jednak im intensywniej nad tym się zastanawiała, tym poważniejsze wątpliwości ją ogarniały.

Jak głęboko musiało sięgać zafalszowanie rzeczywistości? Nikt nigdy nie zgłosił żadnych zastrzeżeń, nie zadał żadnych pytań? Wpadka agentury była faktem i na kilka lat oślepiła polski wywiad w tym strategicznym z punktu widzenia interesów państwa kraju. Polscy dysydenci i działacze zostali bez pomocy, osadzeni w więzieniach, często bici i głodzeni. Choć Lena od roku przebywała w Kijowie, słyszała, że do dziś nie udało się zbudować równie efektywnych kanałów informacji, straty okazały się poważne również w dłuższym dystansie. I co, nikogo to nie obeszło? Wszystkich przekonała przedstawiona przez Maliszewskiego wersja? Nikt nie miał żadnych wątpliwości?

Z drugiej strony nie miała zastrzeżeń do pracy Ferencza. Nigdy nie zaobserwowała żadnych jego podejrzanych kontaktów, znikania z sieci

(z wyjątkiem operacji, o których doskonale wiedziała), dziwnych usprawiedliwień, w ogóle w jego zachowaniu trudno było doszukać się czegoś nietypowego. Profesjonalny oficer wywiadu, który robi, co do niego należy.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. To połączenie powinna odebrać.

– Dobry wieczór, Tamaro – usłyszała w słuchawce znajomy głos.

– Dobry wieczór, Pawle.

– Mam coś dla ciebie. Zgodnie z umową.

Zawahała się. Rozmówca jak zwykle mówił cicho, bez nadmiernej ekspresji, ale wyczuła, że chce jej przekazać coś naprawdę ważnego. I chyba się spieszy.

– Jadę na spotkanie.

– Myślę, że powinnaś tego wysłuchać. Teraz.

– Gdzie jesteś?

– Niedaleko.

Powiedział to tak sugestywnym tonem, że aż obejrzała się za siebie. Po czym nawymyślała sobie od idiotek. Jej telefon z pewnością nie emitował danych geolokalizacyjnych, był niezwykle trudny do namierzenia. Przykryła mikrofon dłonią.

– Muszę się z kimś spotkać – oznajmiła. – Dołączę. Dziesięć minut maks.

Wajman kiwnął głową. Nie pytał, o co chodzi. Miał do Leny pełne zaufanie. Ferenc zatrzymał samochód, mniej więcej pół kilometra od pałacu prezydenckiego. Lena wysiadła, po czym wróciła do rozmowy.

– Chruszewskiego, przy Centrum Kultury – oznajmiła.

– Czekał – usłyszała w odpowiedzi. – Zaraz przyjadę.

Musiał być naprawdę niedaleko. Beżowa furgonetka z przyciemnionymi szybami zatrzymała się przy chodniku po dosłownie trzech minutach, powarkując niecierpliwie silnikiem. Lena spodziewała się, że siądzie z tyłu, ale ku jej zaskoczeniu otwarły się drzwi pasażera. Nie zdążyła się nawet przypiąć pasem, gdy auto ruszyło. Za kierownicą siedział jej informator, jeden z najbogatszych ludzi na Ukrainie, magnat finansowy mający przemożny wpływ na krajową (i może nie tylko krajową) politykę. Prowadził szybko, nerwowo, często zerkając w lusterka. Byli w aucie sami, bez ochroniarzy.

– Wojna zacznie się tej nocy – oświadczył bez wstępów. – Pełnoskalowa wojna, nie żadne tam lokalne działania. Traktuj to jako pewnik.

Przełknęła ślinę. W pewnym sensie nie docierała do niej waga informacji. Nie miała osobistych doświadczeń z działaniami na pełną skalę. Nigdy nawet z daleka nie widziała frontu ani prawdziwej walki.

– Po drugie, jednym z celów będzie Kijów. – Wyminął gwałtownie jakiś, jego zdaniem jadący zbyt wolno, samochód. Lena boleśnie uderzyła skronią o słupek. Mężczyzna nawet na nią nie spojrział. – I zmiana władzy. To podstawowa rzecz. Oni liczą, że uda się zabić Zeleńskiego albo przynajmniej zmusić go do ucieczki. Nie spodziewają się wielkiego oporu. Zorganizowali zamach. Dziś w nocy, za godzinę, może dwie. Podobno mają kogoś w bezpośrednim otoczeniu, kto ma otworzyć drzwi grupie szturmowej.

Lena poczuła mrowienie w żołądku. Wiedziała, że rozmówca nie zawracałby jej głowy pogłoskami. Zarabiał gigantyczne pieniądze między innymi dlatego, że pozyskiwane przez niego informacje okazywały się stuprocentowo dokładne. Kret w otoczeniu Zeleńskiego oznaczał coś znacznie poważniejszego niż tylko zwykły wpływ informacji.

– Kto wie? – zapytała.

– Nikt – odparował. Oboje zdawali sobie sprawę, że to, najłagodniej mówiąc, eufemizm. Oligarcha nie działał osobiście, posługiwał się godnymi zaufania pośrednikami. Ktoś musiał wiedzieć. – Nikt konkretny – poprawił się po chwili, widząc, że Lena nie zadaje kolejnego pytania.

– Jak głęboko jest kret?

– Powiedziałem: najgłębiej jak się da. W bezpośrednim otoczeniu Zeleńskiego.

Mokrzycka zaklęła w duchu. Kijowska placówka polskiego wywiadu starała się pomagać w miarę możliwości, ale w gruncie rzeczy wszyscy mieli nadzieję, że Ukraińcy załatwią problem we własnym zakresie. Informacja od Polaków na temat kreta pokaże, że gospodarze nie panują nad własnym podwórkiem. Już drugi raz w ciągu jednego dnia okaże się, że Polacy mają lepsze źródła. Konsekwencje narażą na szwank delikatne, utkane mieliznami i zadrażnieniami polsko-ukraińskie relacje. Zwłaszcza że w administracji, rządzie i biznesie nie brakowało ludzi nastawionych do Polski bardzo negatywnie.

Dla odmiany zrobiło jej się gorąco.

– Więcej szczegółów – poprosiła.

– Tyle wiem – uciął, po raz pierwszy w historii ich spotkań okazując zniecierpliwienie. – Kolejna sprawa: poranna strzelanina. Celem był pułkownik Moskalewicz, jeden z zastępców szefa jednego z kluczowych wydziałów FSB. Strzelali do niego ludzie wynajęci przez GRU.

Dochodzili do sedna.

– Dlaczego?

– Moskalewicz chciał przejść na drugą stronę.

– Jasne. Zatykali przeciek.

– Nie do końca. Moskalewicz stanowił element większej gry. Myślę, że nadal stanowi.

Spojrzała na niego uważnie. Jego słowa stanowiły zagadkę. Czy miał świadomość, że Moskalewicz nie żyje? Nie potrafiła ocenić. Skupiał się na prowadzeniu samochodu. Na czole lśniły krople potu, a dłonie kurczowo zaciskał na kierownicy. Nigdy nie wiedziała go w takim stanie.

– Jakiej gry? – zapytała, pewna, że jej nie odpowie. Dotykała sedna sprawy: weryfikacji informacji przekazanych przez Rosjanina.

– Zdradzić mniejsze tajemnice, żeby ukryć większe.

Zastrzygła uchem.

– A coś bliżej?

– Zamach na Zeleńskiego to tylko etap pierwszy – ciągnął oligarcha, jakby nie zwracając uwagi na pytanie. – Etap drugi nastąpi równocześnie z pierwszym. Ustawi wojnę i to, co stanie się po wojnie.

– Wiesz, co to będzie?

– To już twoi polscy koledzy muszą sami ustalić, Lena. A może wolisz Dorota?

Zastygła. Zmiana tematu zaskoczyła ją, a treść komunikatu poraziła. Jej kamuflaż wydawał się kompletny i szczelny. Przygotowania trwały na tyle długo, by przewidzieć wszystkie zagrożenia. Gdyby tylko ona okazała się zbyt pewna siebie, można by to zrzucić na karb młodego wieku i stosunkowo niewielkiego doświadczenia. Ale stary lis, pułkownik Maliszewski również uważał, że odkrycie jej prawdziwej tożsamości jest raczej nieprawdopodobne.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Tyle razy dawałem do zrozumienia, żebyś traktowała mnie poważnie – warknął. Już nie był zniecierpliwiony; na policzki wypełzły rumieńce gniewu. – Wydawałaś się za doskonała, żebyś była realna. Sprawdziłem cię, nawet bez specjalnych trudności. Twoim szefem jest major Filip Wajman, prawda?

Dekonspiracja okazała się pełna. Poczula na biodrze ciężar pistoletu. Wydał jej się śmiesznie niewystarczający.

– Potraktowałaś mnie instrumentalnie. – Rozmówca warczał jak zły pies. – Nikt tak nie robi, nikt. Ci, co próbowali, żalowali.

Z trudem przełknęła ślinę przez suche jak wiór gardło.

– Więc dlaczego mi pomagasz?

Milczał. Chyba sam miał trudności z odpowiedzią. Przez dłuższą chwilę jechali bez słowa. Kijów migał za oknem zwodniczo kolorowy, zabiegany, nerwowy.

– Jedno pytanie – powiedziała cicho.

– Ostatnie. Muszę jechać.

– Skąd masz te informacje? – zapytała. Widząc jego minę, gwałtownie sprostowała. – Nie pytam o konkretne źródło.

– Pytasz o siebie czy Moskalewicza?

– O jedno i drugie.

Po raz pierwszy na nią spojrział. Wydawał się rozumieć sens pytania. Minał mu gniew, ale ona nie przestawała się bać. Było w nim coś, czego nie potrafiła zrozumieć.

– O tobie powiedzieli mi nasi. Ich pytaj, czy są szczelni, bo nie wiem. W zdobyciu informacji na temat Moskalewicza pomogły mi moje rosyjskie kontakty. Nie informowałem, po co mi one. Tyle.

Wspomniane kontakty musiały mieć miejsce na naprawdę wysokim szczeblu. Wiedzę o terminie rozpoczęcia wojny i kolejnym zamachu na Zeleńskiego miało dosłownie kilka osób w Rosji. Z samej góry. Mimo jego zapewnień musiała liczyć się z tym, że tak czy inaczej, przestała być dla Rosjan anonimowa.

Zahamował gwałtownie i zatrzymał wóz przy chodniku. Znajdowali się na Bankowej, przecznicy od siedziby prezydenta.

– Mimo wszystko życzę ci wszystkiego najlepszego – powiedział. – Uważaj na siebie.

– A ty?

– Wyjeżdżam. Na lotnisku czeka na mnie samolot.

Nie pytała o brak ochroniarzy i przerdzewiała samochód, jaki można kupić w pierwszym z brzegu komisie. Ochroniarzy można przekupić, a limuzynę namierzyć. Najwyraźniej mężczyzna uznał, że uniknie kłopotów, gdy zniknie w tłumie i zaufa tylko sobie samemu. Przed czym uciekał? Mogła tylko zgadywać. Wojna całkiem często stanowi doskonałą okazję do załatwienia prywatnych porachunków. A rozmówca z pewnością nie mógł narzekać na brak ustosunkowanych i posiadających duże możliwości nieprzyjaciół.

– Ty też na siebie uważaj – powiedziała i cmoknęła go w policzek. Przez sekundę wydawał się prawdziwie zaskoczony. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie dała mu szansy.

Gdy tylko ruszył, wyciągnęła komórkę. Pod przyciskiem szybkiego wybierania oznaczonym numerem jeden znajdował się numer Wajmana. Po trzecim sygnale usłyszała melodyjny, damski głos informujący, że abonent znajduje się chwilowo poza zasięgiem.

– Szlag – zaklęła. Zerknęła na zegarek. Wajman i Ferenc dotarli do siedziby Zeleńskiego co najmniej dziesięć minut temu. Zdążyli już przejść przez kontrolę i oczywiście zostali pozbawieni broni, a także telefonów.

Przyspieszyła kroku. Musiała zdążyć, nim zacznie się spotkanie.

Czy wierzyła w informacje przekazane przez oligarchę?

O, tak.

Zaczęła biec.

Etap 4

Schodząc ze zmiany, Biernacki stwierdził, że para zaczyna wysadzać dekiel. Nie miał racji. Po dwóch godzinach dyżuru Wilgat był pewien, że para już dawno nie tylko rozerwała dekiel, ale i cały kocioł. I wszyscy dookoła zaczynają się krzątać w gorączkowym pośpiechu, by usunąć skutki katastrofy.

Po pierwsze polską przestrzeń powietrzną nad Bałtykiem naruszyły dwa rosyjskie bombowce. Całkowicie niezapowiedziane, z wyłączonymi transponderami, pojawiły się nieoczekiwanie na tyle blisko wybrzeża, że para dyżurna musiała włączyć dopalacze, by je dopaść i przechwycić, nim wydarzy się coś poważnego. Rosyjscy lotnicy udawali, że nie rozumieją przekazywanych znaków. Dopiero, gdy jeden z polskich Migów przeleciał im przed nosem, zmienili kurs. Ale napięcie pozostało, nie mówiąc o nadzwyczajnych kosztach paliwa. Ludzie z gabinetu ministra co pięć minut domagali się nowych informacji, których nie było, co najwyraźniej wprawiało ich w całkowitą frustrację, a Wilgata i resztę przyprawiało o wściekłość, bo mieli dość swoich problemów i bez natarczywych telefonów z ministerstwa.

Po drugie na granicy z Białorusią coś się działo. Niby nie jego parafia, ale raporty nie pozostawiały złudzeń: od wieczora napór „imigrantów” wzrósł wielokrotnie. Mnożyły się ataki na funkcjonariuszy Straży Granicznej i żołnierzy, przez granicę prowizorycznie osłoniętą drutem kolczastym, zwanym wdzięcznie koncertiną, frunęły kamienie i gałęzie, a nawet butelki z benzyną. Na teren Polski wleciały dwa drony; po ich zestrzeleniu okazały się zaawansowanymi technicznie urządzeniami obserwacyjnymi wypełnionymi chińskimi oraz niemieckimi podzespołami. Żaden właściciel oczywiście nie zgłosił się po odebranie zguby.

Ale najważniejsze przyszło przed sekundą.

– Ukraińcy proszą o eskortę transportowców – oznajmił szef łączności. Przez jego ręce przechodziły najważniejsze meldunki z zewnątrz.

– U nas nic im nie grozi – odparł Wilgat. Temat wałkowano od trzech godzin. Strona polska zgodziła się przyjąć na swoje lotniska flotę ukraińskich samolotów transportowych. Ukraińskie dowództwo sił zbrojnych na wszelki wypadek chciało wyprowadzić cenne, a bezbronne maszyny spod ewentualnego rosyjskiego uderzenia. Uzgodniono szczegóły, lada moment ciężkie Ił-y miały wystartować z podkijowskiego lotniska Antonowa.

Szef łączności nerwowo zamachał rękoma.

– Chcą, żebyśmy wlecieli w ich przestrzeń.

Podpułkownik miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Dobrze się czujesz? – zapytał zwodniczo uprzejmym tonem. – Chcą nas u siebie?

– Sam przeczytaj – odparł opryskliwie łącznościowiec. – Poprosili o eskortę naszych efów, powołując się na umowę z dwa dwunastego^[5].

Wilgat podniósł do oczu kartkę z informacją. Kurwa mać, rzeczywiście.

– Żebym dobrze zrozumiał – mruknął, nadal nie mogąc wyjść ze zdumienia. – Państwo, które spodziewa się rosyjskiego ataku, prosi, żeby nasze, a więc natowskie myśliwce wleciały w ich przestrzeń powietrzną pod pretekstem zwalczania zagrożenia terrorystycznego?

– Tak.

– Może jeszcze uzbrojone?

Pytanie należało do gatunku retorycznych, dlatego szef łączności darował sobie odpowiedź. On miał tylko przekazać informację, choć nie dziwił się Wilgatowi. Szef zmiany często takie rzeczy zostawiał na jego głowie.

Wilgat odwrócił się na pięcie i pomaszerował wprost do pokoju pułkownika.

– Wie pan o żądaniu Ukraińców?

Szef zmiany podniósł głowę znad papierów.

– Proście, nie żądaniu – warknął. Miał przekrwione oczy, jak alkoholik po tygodniowym maratonie, który nie chciał się skończyć. – Jest zielone światło.

Wilgat znowu miał wrażenie, że słuch go zawodzi.

– Zielone światło musi pochodzić od prezydenta na wniosek MON-u.

– Co pan podpułkownik powie.

Zdumienie odebrało mu mowę.

– Chciałbym się upewnić: mamy zielone światło na misję nad terytorium Ukrainy uzbrojonych samolotów państwa należącego do NATO? Przecież jak ruskie wleczą w ich przestrzeń i zaczną strzelać... – wydukał w końcu. Wiedział, że robi z siebie durnia. To właśnie powiedział szef, nawiasem mówiąc, nie wyglądając przy tym na szczęśliwego. Podobnie jak Wilgat doskonale sobie zdawał sprawę z konsekwencji. Ale wykonywał rozkazy.

Objawy kaca nie tylko nie minęły, ale miał wrażenie, że zaczynają się nasilać.

– Nie dalej niż do Kijowa. Traktujemy to, zgodnie z umową, jako misję prewencyjną, zapobiegającą atakowi terrorystycznemu.

– Uedem^[6] wie?

– Nie. I tak ma pozostać.

Nie podobało mu się to. Kłamstwo miało krótkie nogi. Amerykanie mają wszędzie oczy, uszy, bandę gorliwych lizusów w każdej polskiej formacji i na dodatek AWACS-a w powietrzu. Dowiedzą się, i to zaraz po starcie myśliwców. Awantura, która potem nastąpi, będzie niczym trąba powietrzna w centrum Warszawy. Czego, rzecz jasna, dyżurny dowódca był świadom. Gniew jankesów z pewnością dosięgnie i jego.

– Na co pan czeka? – zapytał pułkownik zjadliwie. – Proszę wydać rozkazy.

Otworzył usta, by zapytać o reakcję na ewentualny atak Rosjan (białoruskie lotniska od Kijowa dzieli pięć – siedem minut lotu Su-35 czy MiG-a trzydzieści jeden), ale powstrzymał się. Wszystko zostało uzgodnione ponad jego głową i bez pytania o opinię. Miał po prostu wykonać rozkaz.

Z rozmachem usiadł na swoim miejscu i z ciężkim sercem połączył się z dowództwem 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego.

Etap 5

Pułkownik Wadim Chołyczenko czekał w holu wejściowym pałacu prezydenckiego. Przywitali się krótkim uściskiem dłoni. Byli już po szczegółowej rewizji, lżejsi o wszystkie urządzenia elektroniczne, broń i zapasowe magazynki, a nawet zegarki. Ferenc zdążył złośliwie szepnąć Wajmanowi, że i tak mieli kupę szczęścia, ponieważ strażnicy powstrzymali się od odebrania im rozruszników serca. Majorowi żart jakoś nie wydał się śmieszny.

– A gdzie Tamara?

Ferenc musiał się skupić, by zrozumieć o kim mowa. Ukraińcy znali Lenę pod innym aliasem, co było w gruncie rzeczy dziwaczne: gospodarze dysponowali jej szczegółowymi danymi personalnymi, ale tajemnicę stanowił dla nich prawdziwy pseudonim. Ferenc nie bardzo pamiętał, kto i w jakim celu wymyślił tę maskaradę.

– Spóźni się chwilę, ale dołączy – oznajmił.

– Ma dwadzieścia minut. Całe spotkanie potrwa kwadrans.

W holu pałacu panował niezwykły ruch. Zaaferowani urzędnicy wchodzili i wychodzili. Nikt na nich nie zwracał uwagi. Strażnicy, w podwojonej liczbie, zostali uzbrojeni w długą broń. Mieli ponure miny, całą swą postawą dając do zrozumienia, że nie warto z nimi zadzierać.

– Chcecie mi coś powiedzieć? – zapytał Ukrainiec.

– Znaleźliście go? – odpowiedział pytaniem Wajman.

Chołyczenko, robiąc teatralnie naiwną minę, pokazał poźółkłe od nikotyny zęby.

– Kogo?

– Nie udawaj. Martwego Moskalewicza.

– Muszę przyznać, że udało się wam mnie zaskoczyć – stwierdził Ukrainiec, poważniejąc. – Niezły kaliber. Co on tam robił? Był waszym źródłem i GRU go odstrzeliło?

– Szybko się uwinęli – Wajman zdobył się na szczerość. Starał się nie myśleć o opinii Maliszewskiego na temat tego, co właśnie zrobił. Według zasad wyznawanych przez pułkownika powinien iść w zaparte i nie przyznawać się do niczego, nawet jeśli źródło nie żyło. Wajman uznał jednak, że nadzwyczajne okoliczności usprawiedliwiają odejście od zasad. Ukraińcy mieli prawo wiedzieć.

– Rano chodziło o to samo? Nieudane polowanie?

– Tak.

– Dlaczego nie chciał gadać z nami, rozumiem – ciągnął zaimprovizowane przesłuchanie Ukrainiec. – Ale dlaczego nie zgłosił się do jankesów? Nie wierzę, że gorzej płacą od was.

– Nie chciał pieniędzy – Wajman poczuł się jakoś po dziecinnemu urażony.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Chołyczenko z uwagą studiował wyraz ich twarzy.

– Jesteście pewni, że uderzenie było wymierzone w agenta? – zapytał Chołyczenko po dłuższej chwili milczenia. Major zdziwił się. Ktoś tak doświadczony jak Chołyczenko powinien drążyć dalej kwestię motywacji rosyjskiego bezpieczeniaka. Z jakiegoś powodu odpuścił temat.

– Czemu pytasz?

– Może wy byliście celem.

– Zakładamy, że jednak Moskalewicz – włączył się do rozmowy Ferenc. Źle ostatnio spał. Piekły go oczy. W głowie huczały oskarżenia rzucone przez aroganckiego policjanta, w którego głosie pobrzmiwały groźby wypowiedane z góralskim akcentem. – Możliwe, że on i my.

– Od niego mieliście info o dywersantach?

– Zgadza się.

– Potem spędziliście cały dzień razem. Zakładam, że nie gadaliście o pogodzie.

Ferenc zerknął na majora. Wajman zastanawiał się nad odpowiedzią. Przyznanie się do kontaktów z człowiekiem, którego zwłoki policja kijowska znalazła na miejscu strzelaniny, ma zupełnie inną wagę niż zdradzenie rosyjskiego planu rozegrania początkowego etapu wojny.

– Mieliśmy bardzo mało czasu na weryfikację informacji – powiedział w końcu.

– Zanim weszliśmy głębiej, uznaliśmy, że musimy go przenieść. I wtedy ponownie

zaatakowali.

Chołyczenko przypatrywał mu się przez chwilę. Wszyscy trzej wiedzieli, że pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Okej – zgodził się nieoczekiwanie Ukrainiec. – Poczekajcie chwilę. Muszę zadzwonić.

Nie czekając na reakcję, podszedł do jednego ze strażników, pogadał z nim chwilę; funkcjonariusz kiwnął głową, otworzył jedną z przegródek wielkiej stalowej szafy i wyjął telefon komórkowy, który wręczył pułkownikowi. Mimo wysokiej rangi i zajmowanego stanowiska Chołyczenkę obowiązywały te same zasady, co gości z zewnątrz.

Ukrainiec stanął w najdalszym kącie holu i przyłożył aparat jak najbliżej ust.

– Nie kupił tego – stwierdził Ferenc, przenosząc wzrok na majora.

– Nie miał prawa – zgodził się Wajman. Nagle poczuł okropne, obezwładniające zmęczenie. Oddałby roczną pensję za możliwość godzinnej drzemki. Nie spał od dwudziestu godzin. Strzelano do niego, musiał uciekać, kluczyć, kłamać i naginać rzeczywistość. Wszystko nagle wydało się pozbawione sensu. Siły, z którymi się mierzył, zdały się niezniszczalne. Przez moment czuł się jak mrówka w starciu z kamieniami młyńskimi.

– Będzie trochę przepychanki – ciągnął Ferenc. – Trzeba zawiadomić Maliszewskiego.

Wajman wiedział, że trzeba, ale myślał o tym z niechęcią, bo już poprzednia rozmowa z szefem nie należała do łatwych. Szef departamentu okazywał (delikatnie mówiąc) niezadowolenie z powodu straty Moskalewicza. Nie powiedział tego wprost, ale Wajman wyczuł, że pułkownik ma pretensje, że nie stanęli na wysokości zadania. Dał do zrozumienia, ogródkami, ale w sposób dość czytelny, że gdyby dochowano większej staranności, Rosjanin by żył i mógłby przysporzyć Polsce nieocenionych korzyści. Wiedza, którą zabrał do grobu, pozwoliłaby polskiemu wywiadowi odkryć najgłębiej skrywane tajemnice FSB, nie tylko szczegółowo poznać strukturę tej organizacji, ale również plany, sposoby działania i cele, co z kolei stanowiłoby niezwykle atut w relacjach z Amerykanami, silną walutę, którą można płacić za rozmaite profity od przyzwyczajonego do biznesowego myślenia senior partnera.

Wajman, choć oczywiście rozumiał powody frustracji szefa, odrzucał takie rozumowanie. Było ich po prostu zbyt mało, o czym pułkownik doskonale wiedział. Ferenc i Lena zrobili wszystko, co można, i gdyby nie niespodziewana pomoc ludzi Tolaka, sami pewnie zginęliby w obronie Moskalewicza, co w tragiczny sposób potwierdziłoby tezę o zbyt skromnej liczbie personelu, podejmującego tak skomplikowaną akcję jak przejęcie agenta na obcym terenie, i zapewne dopiero wtedy skłoniłoby władze do poprawy sytuacji.

– Zadzwoń do niego, jak stąd wyjdziemy – powiedział Wajman.

Obok przemknął szef ukraińskiego wywiadu wojskowego. Nawet ich nie zauważył, rzucił tylko w przelocie jakąś uwagę Chołyczenec, który po zakończonej rozmowie oddawał właśnie telefon do depozytu.

W chwili, w której pułkownik informował ich, że prezydent przyjmie ich nieco później, ponieważ przedłuża się spotkanie z głównodowodzącym ukraińskiej armii, w bramce wejściowej Ferenc zobaczył Lenę. Stała z podniesionymi rękoma, pozwalając się przeszukiwać strażnikom. Jeszcze nigdy nie widział jej tak zdenerwowanej i zniecierpliwionej.

W ciągu ostatniej półgodziny musiało się wydarzyć coś poważnego.

Wszystko do tej pory poszło zgodnie z planem. Ciężarówka, w której znajdował się Fomin, podjechała do mało uczęszczanego, bocznego wejścia do stacji metra Chreszczatik i ustawiła się tak, by pozostawać w martwym polu widzenia pobliskiej kamery miejskiego monitoringu. Operatorzy, strojem, perukami i sztucznymi wąsami upodobnieni do najbardziej przeciętnych mieszkańców miasta, parami lub pojedynczo opuścili ciężarówkę, po czym udali się w kierunku peronu, praworządnie wrzucając na bramce plastikowe żetony uprawniające do wejścia na stację i przejazdu pociągiem. Wcześniej pewien przekupiony strażnik (o bardzo prorosyjskim nastawieniu) zadbał o to, by stacyjne kamery zostały dotknięte niewielką awarią, którą usunięto po kwadransie. Zrzędzeniem losu dokładnie w tym samym momencie na drugim końcu stacji wybuchła gwałtowna awantura z udziałem kilku krewkich (i pijanych) młodych ludzi, którzy błyskawicznie przeszli od obelg do krwawej bójki na pięści, noże i pałki teleskopowe. Chodziło, zdaje się, o zatarg pomiędzy kibicami Dynama Kijów

i zaplątanymi do stolicy fanami Szachtara Donieck. Uśmierzenie bijatyki wymagało aż trzech patroli policji, których zabrakło w licznych podziemnych korytarzach i na peronach głównej stacji kijowskiej kolejki podziemnej.

Przy jednym z torów zatrzymał się pociąg. Tłum zainteresowany był przede wszystkim zajęciem miejsca w środku – na czternastu stojących z boku młodych, nijako wyglądających mężczyzn nikt specjalnie nie zwrócił uwagi. Kiedy fala wsiadających ruszyła, ludzie Fomina dyskretnie zniknęli za małymi, lekko zardzewiałymi drzwiami na końcu jednego z peronów.

Znaleźli się na początku zamkniętego na co dzień, słabo oświetlonego nielicznymi lampami tunelu. Zdjęli cywilne płaszcze, pod którymi mieli trudnopalne, czarne kombinezony. Z turystycznych toreb i plecaków wyjęli broń i sprzęt. Założyli kamizelki taktyczne, dopięli paski hełmów, zmienili buty, zawiesili u pasów granaty. Każdą czynność wykonywali sprawnie, ale bez nadmiernego pośpiechu, pomagając sobie wzajemnie i upewniając się, że wszystkie elementy wyposażenia osobistego zostały solidnie zamocowane i nie będą hałasować podczas marszu.

Licząca czternastu ludzi grupa w ciągu minuty przeobraziła się z cywili w zgrany wojskowy oddział.

By rozpocząć właściwą misję, musieli pokonać kilka przeszkód.

Pierwsza pojawiła się już po czterdziestu metrach. Przejście blokowały grube na łokieć wrota zamknięte za pomocą elektronicznego zamka. Sasza Krupski otworzył je bez specjalnych problemów – przygotowania do operacji obejmowały między innymi zdobycie kombinacji cyfr zwalniających zamki.

Przekroczyli próg i znaleźli się w tunelu tajnej linii metra, pozostającej do wyłącznej dyspozycji najwyższych władz Ukrainy. Pojedyncze szyny prowadziły prawie dokładnie na wschód. Przed operacją Fomin (i nie tylko on) studiował plany tak długo, że właściwie znał je na pamięć: wiedział, że po około siedmiuset metrach znajdują się dokładnie pod Pałacem Prezydenckim. Nie on jednak stanowił ich cel.

Major patrzył, jak Sasza rygluje ciężkie, czerwone od rdzy drzwi, oddzielając ich od świata zewnętrznego półmetrową, stalową zaporą, po czym zmienia kod i minuje wejście. Ktokolwiek chciałby ich ścigać, napotka problem, którego rozwiązanie zajmie czas potrzebny zespołowi do wykonania zadania.

Przygotowania zostały ukończone.

Ruszyli.

– Prezydent ma w otoczeniu kreta – oświadczyła Lena bez żadnych wstępów, gdy niemal bez tchu stanęła obok. – Bardzo blisko. Dziś w nocy planowany jest zamach.

Chołyczenko patrzył na nią jak na okaz rzadkiego, egzotycznego ptaka, jednocześnie zmuszając swój zmęczony, przeładowany informacjami umysł do pracy na najwyższych obrotach. Rozpaczliwie potrzebował odpoczynku, na który nie mógł sobie pozwolić. Nie pamiętał, kiedy ostatnio przespał całą noc. Chyba w innym życiu. Polacy zresztą też wyglądali na wykończonych.

– Coś więcej? – warknął.

– Nie mam nic więcej.

– Skąd masz informacje?

Zacisnęła usta.

– Wadim, znamy się nie do dziś, prawda? – zainterweniował Wajman. – Jeśli ona mówi, że istnieje poważne zagrożenie, potraktujcie to poważnie.

– Muszę mieć konkrety. Pałac jest dobrze zabezpieczony. Prezydent nigdzie się nie rusza. Wiesz coś o rodzaju zamachu?

– Nie. – Lena wysunęła brodę do przodu. Jej oczy pociemniały. – Ale może na wszelki wypadek warto go przenieść.

– A może twojemu informatorowi właśnie o to chodzi.

Zamilkła. Chołyczenko miał w pamięci słowa śledczego referującego wyniki przesłuchania schwytanych członków grup dywersyjnych. Ci ludzie byli ledwie zwykłymi żołnierzami po minimalnym instruktazu z zakresu dywersji. FSB uprawiało swoisty outsourcing zasobów ludzkich, nie angażując bezpośrednio swoich dobrze wyszkolonych funkcjonariuszy. Tak bywało w przeszłości, jednak przy znacznie mniej znaczących zadaniach. Teza o odciążeniu uwagi ukraińskich służb bezpieczeństwa od właściwego zagrożenia nasuwała się sama. I bardzo dobrze współgrała ze słowami świetnie mówiącej po ukraińsku młodej Polki.

Dlatego jej uwierzył, oczywiście, że tak – a lekko obraźliwe słowa wypowiedział, by dać do zrozumienia, że nie przykłada wielkiej wagi do informacji. Mimo wszystko nie stanowili jednego zespołu. Dodatkowo poczuł złość – już po raz drugi tego dnia okazało się, że Polacy mają co najmniej równie dobre źródła informacji, jak on. Może nawet lepsze. A znajdowali się przecież na jego terenie. Tak nie powinno być.

– Znów was przeproszę na moment – oznajmił. – Zaraz wracam.

Nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź, ruszył przed siebie. Pokazał legitymację kolejnemu dyżurnemu (facet świetnie znał pułkownika z widzenia, ale i tak przyglądał się dokumentowi, jakby widział go po raz pierwszy w życiu) i poszedł bocznym korytarzem do części zajmowanej przez dowództwo prezydenckiej ochrony. Generał brygady Borys Karpiuk był sporo młodszy od Chołyczenki, miał barczystą sylwetkę specjalsa i żelazny uścisk dłoni. Pułkownika powitał jak dawno niewidzianego przyjaciela i od razu zaprosił na kawę.

– Jak sytuacja? – zagaił Chołyczenko, siorbiąc drobnymi łykami wrzący, czarny niczym smoła płyn.

– Jak w ruskim cyrku – odparł ochroniarz. – O ósmej przychodzi info, że wejdą, o dziewiątej stanowcze dementi, że absolutnie nie wejdą, o dziesiątej nalot, o jedenastej ostrzał raketowy, potem znów wszyscy mówią, że to pozory i orki tylko straszą. I tak w kółko. A szef żyje swoim rytmem.

– I nadal nie chce słuchać o środkach bezpieczeństwa.

– No nie chce, chociaż Podoliak go namawia i Stefańczuk, i Szmychał, i inni. Nic. Głuchy jak pień.

Mimo ponurej wymowy słów Karpiuk nadal uśmiechał się kącikami ust. Chołyczenko, odkąd sięgał pamięcią, nie widział go zagniewanego czy choćby wytrąconego z równowagi. Facet nigdy nie tracił zimnej krwi, nawet w czasie najgłębszego kryzysu, przy okazji starając się nauczyć czegoś nowego. Miał głowę na karku. Był nominatem prezydenta i stanowił rzadki okaz właściwego człowieka na właściwym miejscu.

– Mam niepotwierdzony cynk o planowanym zamachu – oświadczył Chołyczenko. Kawa pobudziła krew do szybszego krążenia. Znużenie pomału ustępowało. – Nie znam godziny ani planu.

Karpiuk odrobinę spoważniał.

– Samobójca? – zapytał. – Grupa? Ładunek wybuchowy? Rakieta? Moździerz?

– Nie wiem. Masz podobno u siebie kreta.

Uśmiech całkowicie zniknął z ust generała.

– W bezpośrednim otoczeniu, może kancelaria, może zespół doradców – ciągnął gość. – Szukaj kogoś, kto ma bieżący dostęp do ucha prezydenta. Ma ułatwić zamach.

– Chcę pogadać ze źródłem – powiedział Karpiuk.

– Niemożliwe. Facet nie żyje.

– Moskalewicz?

Szef prezydenckiej ochrony stanowił wręcz modelowy przykład człowieka dobrze poinformowanego. Był po imieniu z kierownictwem miejskiej komendy policji, miał przyjaciół w sztabie żandarmerii, o szefie Chołyczenki nie wspominając. Do jego zadań między innymi należało pilnowanie, by szybki kanał informacji pozostawał drożny. Wszyscy zdawali sobie sprawę, jak ważna jest ochrona głowy państwa i jak groźne są siły, którym zależy na zmianie obecnego stanu rzeczy.

– On – przytaknął pułkownik, starając się nie pokazać po sobie, że kłamie. Gdy Lena rozmawiała z informatorem, Moskalewicz już nie żył. Polka miała inne źródło, również dobrze zorientowane w realiach. Mimo zbieżności interesów i łączącej ich przyjaźni Karpiuk nie musiał tego wiedzieć. – Odstrzelili go chłopcy z GRU.

– Ale zdążył coś powiedzieć.

– To wszystko, co wiem.

– Bo to nie ty go prowadziłeś.

– Polacy.

Karpiuk pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Kochany, pokaż mi jakiegoś faceta, który nie dałby się zwerbować pani porucznik – stwierdził, czym Chołyczenkę rozśmieszył. Po chwili ciągnął już poważniej: – Zelenki oczywiście nie będzie chciał słyszeć o zaostrzonych środkach bezpieczeństwa. Nie przeniosę go, aż nie zaczną spadać bomby. Nie dam mu też więcej bezpośredniej ochrony, bo wyrzuci ich za drzwi.

– Możesz dokładnie prześwietlić jego ludzi – zaproponował pułkownik.

– Sprawdzaliśmy już każdego – zareplikował Karpiuk.

– Szukałeś bieżących połączeń z ruskimi. To śpioch. Nigdy go nie uaktywnili. Sprawdź przeszłość. Weź pod lupę wszystko, co nietypowe. Zacząłbym od przyjrzenia się takim, co najbardziej nie lubią kacapów. Radykałów.

– Trafne.

– Zeleński kompletował ekipę po wygranych wyborach. Ale część ludzi pochodzi ze starego rozdania, niektórzy pamiętają jeszcze Kuczmę czy Krawczuka.

– To z kolei za proste.

– A oni są znowu tacy finezyjni?

Generał zgodził się z tym. Do gabinetu zajrzała sekretarka.

– Panie pułkowniku, pan prezydent zaprasza.

Chołyczenko wstał.

– Muszę iść.

Karpiuk podniósł się również. Stali twarzą w twarz.

– Wiesz, kim był Moskalewicz? – zapytał.

Chołyczenko przytaknął. W pytaniu Karpiuka została zawarta sugestia, która współgrała ze wcześniejszymi przecuciami pułkownika. Elementy gry do siebie nie pasowały.

– Jeśli to prawda, po co poszedł do Polaków? – zapytał gość.

Generał spojrział na niego znacząco. Sam się domyśl, pokazywał.

– W takim razie, co dalej? – drażył Chołyczenko po dłuższej chwili milczenia.

– To zależy, czy chcesz uprzedzić Polaków.

– Powinienem? Co jest lepsze dla nas?

– Wiesz beze mnie, co.

– Powiedz.

– Moim zdaniem lepiej mieć Zachód po swojej stronie. Jeśli oni zostaną zaatakowani, wkurwią się. Interesy amerykańskie będą zagrożone. I dostaniemy pomoc NATO, może nawet bezpośrednią. To pozwoli nam się obronić i zapędzić Wołodię do piekła.

Czyli jednak Karpiuk zakładał, że rosyjska prowokacja odniesie skutek odwrotny od zamierzonego, bo nie odstraszy Zachodu, a skonsoliduje go

i utwardzi opór. Ciekawe, czy Rosjanie wzięli to pod uwagę w swoich kalkulacjach. Jak w każdej grze strategicznej realizacja celu mogła okazać się niemożliwa z powodu nieprawidłowej oceny jednego choćby (lub kilku) składającego się na całość planu czynnika.

– Muszę się zastanowić – oznajmił Chołyczenko. – Trzymaj się.

– Ty też.

Pułkownik zniknął za drzwiami. Karpiuk wybrał pewien numer telefonu.

Więcej się nie zobaczyli.

Dotarli do końca tunelu. Przejście zagradzały kolejne wrota, jeszcze potężniejsze od poprzednich. Stutonowe, wielowarstwowe odrzwia, rozsuwane na boki za pomocą elektrycznych silników, stanowiły najpoważniejszą przeszkodę na ich drodze. Otwarcie ich z zewnątrz było niemożliwe. Mógł to zrobić wyłącznie ktoś znajdujący się po drugiej stronie, ktoś znający czternastocyfrowy kod, i czyj odcisk palca został zarejestrowany w bazie danych osób upoważnionych do samodzielnego poruszania się po obiekcie i samodzielnego podejmowania rozmaitych działań, na przykład dotyczących ewakuacji prezydenta i wybranych członków personelu. Krąg takich osób obejmował zaledwie kilka nazwisk.

Major Fomin spojrział w obiektyw zawieszony pod sufitem kamery. Kawałek szkła przypominał nieruchome ślepie rekina. Zwykle mrugająca regularnie dioda również okazała się martwa. Czyimś staraniem system monitoringu przez ostatnich kilka minut nie przekazywał obrazu na żywo, a odtwarzał zapętlone, nagrane wcześniej ujęcia pustego korytarza. Co stanowiło niejako nadmiarową ostrożność, ponieważ czuwający przy monitorach podwładni Karpiuka w skupieniu obserwowali te przestrzenie, w których panował ruch. Nikomu nie chciało się zbyt często zerkać w ekran pokazujący tonący w półmroku, znajdujący się niemal osiemdziesiąt metrów pod ziemią tunel zamknięty na głucho i pusty od zawsze, toteż szansa, że ktokolwiek zauważy operatorów była niewielka – jednak istniała i dlatego nie zanedbano również tego detalu.

Major zerknął na zegarek. Doszli do wrót trzy minuty przed czasem. Mieli chwilę, by odpocząć.

Nacisnął guzik przy radiu. W eter poleciał trwający ułamek sekundy skompresowany meldunek stwierdzający, że grupa szturmowa znalazła się na stanowisku wyjściowym. Inne, znajdujące się w różnych miejscach Kijowa zespoły odebrały go, odszyfrowały i przyjęły do wiadomości. One również zameldowały gotowość.

Dwie i pół minuty.

Etap 6

Wilgat otarł pot z czoła. W głównej sali Centrum Operacji Powietrznych temperatura nie odbiegała od normy, jednak Starszy Dyżurny Operacyjny miał nieodparte wrażenie, że panuje tu trudny do wytrzymania afrykański upał. Ale choć wydarzenia toczyły się nie tyle szybko, co z jakimś niemożliwym do zatrzymania impetem, podobne do stutonowego głazu toczącego się po lekko nachylonym zboczu i zmiatającego wszystko, co spotka na swej drodze, Wilgat na razie panował nad rozwojem sytuacji.

Na razie.

Wpierw połączył się ze swoim ukraińskim odpowiednikiem, licząc w cichości ducha, że tamci się rozmyślą, oświadczą, że po głębszym zastanowieniu poradzą sobie sami, bo ruskie lotnictwo nadal tkwi w bazach, więc uzbrojona eskorta nie jest transportowcom potrzebna, dziękujemy za gotowość i tak dalej. Jednak nie. Siedzący gdzieś w bunkrze niedaleko Winnicy pułkownik zupełnie nieprawdopodobną mieszaniną rosyjskiego, ukraińskiego i angielskiego serdecznie mu podziękował w imieniu ukraińskich Sił Powietrznych, prezydenta Zeleńskiego i swoim własnym (co dwukrotnie podkreślił) za chęć pomocy, podał kanał łączności, którego polscy piloci mieli używać w kontakcie z ukraińskimi lotnikami i ukraińskim centrum naprowadzania, określił godzinę i miejsce spotkania obu formacji, a na koniec oświadczył, że Iły-76 będą niebawem gotowe do startu.

Zakończywszy rozmowę, Wilgat westchnął (niemal zdmuchując z blatu roboczego kilka luźnych kartek z notatkami. Miał kilka staroświeckich zwyczajów: na przykład dla uporządkowania myśli lubił mazać długopisem po papierze i notować wszystko, co mu przyjdzie do głowy, trudnym do odszyfrowania mieszaniną liter i znanych tylko jemu symboli), ponownie połączył się z dowódcą 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego, po czym z ciężkim sercem potwierdził poprzedni rozkaz, by wyznaczone do akcji myśliwce wzbily się w powietrze i obrały kurs w stronę granicy państwowej.

Machina ruszyła. Od tej chwili wszystko zależało od łutu szczęścia.

I od Rosjan.

Pomieszczenie, pomyślane zapewne jako sala konferencyjna do odbywania mniej formalnych spotkań, zrobiło na Ferencu wrażenie zupełnie zwykłego, ostentacyjnie anonimowego i zupełnie nie pasowało do pozycji człowieka, który zajmował miejsce po drugiej stronie stołu. Do pozycji, nie do ubioru czy zachowania, Zeleński bowiem ubrany był zwyczajnie (późna pora niejako zezwalała na rezygnację z garnituru, ponadto goście przyszli również w strojach codziennych, na dodatek, nazywając rzecz delikatnie, noszących intensywne ślady użytkowania), nie emanował monarszym autorytetem, jaki roztaczają wokół siebie niektóre głowy państw. Uśmiechnięty i przyjacielski, błyskawicznie skracał dystans do rozmówcy. Po kilku minutach człowiek miał wrażenie, jakby znał tego niewielkiego wzrostem faceta od wielu lat i przeżył wspólnie niejedno.

Po paru minutach small talku prezydent spoważniał.

– Słyszałem o sukcesie – powiedział, obrzucając pełnym sympatii spojrzeniem siedzącą naprzeciw czwórkę gości. – Chciałbym bardzo serdecznie podziękować. To bardzo ważne, żeby nieprzyjaciel wiedział, że nie może bezkarnie hulać po naszym terytorium.

– Dziękujemy, panie prezydencie – odparł Chołyczenko. – Spełniłszy po prostu nasz obowiązek.

– A najbardziej cieszy mnie to – ciągnął Zeleński, z uśmiechem przełknąwszy wygłoszony przez pułkownika banał – że wy, nasi polscy przyjaciele, współpracujecie z nami. Ach, zapomniałem zapytać: czy mówicie po ukraińsku?

– Tak, panie prezydencie – odpowiedział w imieniu wszystkich Wajman.

– Bo gadam i gadam, a nie upewniłem się, czy rozumiecie – roześmiał się aktor i producent telewizyjnych seriali. – Przepraszam. Tak jak powiedziałem: świetnie, że was tu widzę. Ukraińcy wiedzą, że nie są sami. Ceny sobie współpracę.

– My również.

– Natomiast chcę powiedzieć wyraźnie: zły pokój jest lepszy niż dobra wojna. Zresztą nie ma dobrych wojen. Mamy trudną sytuację, w Donbasie walczymy już

ósmy rok. Ale jednak reszta Ukrainy pracuje i żyje w spokoju. Większość Ukraińców nie zaznała koszmaru wojny. I zrobię wszystko, żeby to się nie zmieniło.

Ferenc poruszył się. Komunikat nie mógł być wyraźniejszy. Prezydent właśnie oznajmił, że nie życzy sobie prowokowania Rosjan. Fakt, że tylko dzisiejszego dnia usiłowano zorganizować dwa zamachy na jego życie, nie wpłynął na ten pogląd. Facet konsekwentnie trzymał się polityki appeasementu, sądząc, że z Rosjanami można się dogadać. Wielu jego rodaków nie tylko nie podzielało tego poglądu, ale uważało, że prezydent z racji swego podejścia (a może interesów z Rosjanami, wszak duża część jego majątku miała rosyjskie źródło) nie robi wszystkiego, co konieczne, by przygotować kraj do nieuchronnej wojny, a wręcz spowalnia niezbędne działania.

– Panie prezydencie, Rosjanie zgromadzili na naszych granicach co najmniej dwieście tysięcy ludzi, większość sił pancernych z zachodnich i centralnych okręgów, większość lotnictwa, także Flotę Czarnomorską postawiono w stan gotowości bojowej – powiedział Chołyczenko, być może nie życząc sobie, by na niewyartykułowany zarzut odpowiedzieli polscy goście. – Ich nie trzeba prowokować.

– Wiem. Ale to nie znaczy, że zamierzają uderzyć. Koncentracja sił służy im jako instrument nacisku, żeby wymusić ustępstwa bez wojny.

– Oni chcą wojny – zauważył Chołyczenko. – Chcą nas sobie podporządkować, a nie robią tego inaczej niż siłą. Zamach na pana jest tego najlepszym przykładem, panie prezydencie.

Zeleński zmrużył oczy, chowając maskę przyjacielskiego żartownisia. Jego metamorfoza odbyła się błyskawicznie. Ferenc pomyślał, że człowiek ten, gdy wpadnie w gniew, może być naprawdę niebezpieczny.

– Powiem wam, dlaczego nie wierzę w wojnę. Bo jest zupełnie nielogiczna. Z jakiego powodu? Ano z takiego, że Putin bez wojny ma w zasięgu ręki wszystkie wyznaczone cele. Deal z Zachodem, przed wszystkim z Niemcami i nowy porządek Europy. Niektórzy analitycy mówią, że wojna, jeśli wybuchnie, będzie tak naprawdę konfliktem ze Stanami Zjednoczonymi, a nie z Ukrainą, tak zwaną proxy war, wojną zastępczą. Może i tak. Ale w tym wypadku decyzja o jej podjęciu wydaje się tym bardziej idiotyczna. Stany Zjednoczone mają główny problem na Pacyfiku – Chiny. W jakimś sensie muszą ograniczać swoją obecność wojskową

i częściowo polityczną w Europie, żeby skupić się na Państwie Środka, bo ono rzeczywiście staje się każdego dnia potężniejsze. Nie leży w ich interesie angażowanie się w konflikt w Europie. Rosja o tym wie. Może grać bez wojny i czekać, aż Amerykanie się wyniosą. Po swojej stronie ma uzależnione od swoich surowców, pacyfistyczne Niemcy bez armii, które zrobią wszystko, by gazowy biznes szedł as usual i które na dodatek są generalnie przeciwne amerykańskiej dominacji, co robi z nich realnego, poważnego sojusznika, bo dla Niemiec gospodarka i wysoka stopa życiowa są absolutnym priorytetem. Pomyślcie, jak pięknie w uszach Putina brzmią wymuszone zieloną ideologią, konsekwentnie realizowane zapowiedzi Niemców o likwidacji energetyki atomowej. On wie, że każdy kolejny wyłączony blok elektrowni jądrowej na terenie Niemiec zwiększa zależność tego ekonomicznego mocarstwa od rosyjskich surowców. Przy okazji: gaz, w odróżnieniu od atomu, jest przecież taki ekologiczny, prawda? Wie, że duża część zachodniej Europy, podobnie jak Niemcy, również się od jego gazu uzależnia, a jednocześnie finansuje mu zbrojenia. Putin ma Nord Stream 1, za chwilę otworzy Nord Stream 2. Ma na Zachodzie uwielbiające go elity intelektualne, ma przychylność antyamerykańskiej Francji i prorosyjskich Włoch. Ma w zasięgu ręki stworzenie prawdziwej osi Moskwa – Berlin – Paryż i robienie interesów na niewyobrażalną skalę. Może liczyć na wielkie zachodnie inwestycje. Mówi zachodnim politykom i opinii publicznej: Syberia z jej nieprzeliczonymi bogactwami czeka na was. Posady w Gazpromach, Nord Streamach i innych bardzo bogatych spółkach czekają na waszych premierów i ministrów, inżynierów i innych specjalistów. U nas strana balszaja, wszyscy się pomieszczą. Razem urządzimy nowy europejski dom oparty na naszych surowcach i waszym przemyśle, towarzysze kapitaliści, mówi im Putin. Amerykanie sobie pójdą za Atlantyk, a my będziemy mieli całą Jewropę dla siebie, od Władywostoku po Lizbonę. Opornych się spacyfikuje, biednych kopnie w tyłek, bogatych wzbogaci, wiernych sowicie nagrodzi. I wszyscy będą zadowoleni. Zachód słucha, potakuje, mruczy jak zadowolony kot na piecu: o to chodzi, o pokój i dobrobyt. Oni traktują Rosję jak każde inne państwo, a Putin, chociaż może trochę nietuzinkowy, jeśli chodzi o podejście do standardów demokratycznych, to przecież polityk racjonalny, chłodny analityk, dogadać się z nim można bez problemu. I co z tego wynika? Ano to, że Putin wszystko może mieć bez wojny, wystarczy tylko odrobinę cierpliwości. Jeśli zaatakuje Ukrainę, z miejsca zaprzepaści większość dotychczasowych zdobyczy, a Zachód obłoży Rosję sankcjami. To mu się nie

opłaca. Putin i cała kremlowska elita wbrew pozorom są ludźmi myślącymi racjonalnie.

Prezydent zamilkł. Sięgnął po butelkę wody. Od długiej tyrady zaschło mu w ustach. Ferenc widział go przy kilku formalnych i mniej formalnych okazjach, ale nigdy nie słyszał, by przemawiał z taką pasją.

On nie przekonuje nas, tylko samego siebie, pomyślał. Nie zgadzał się z tokiem rozumowania Zeleńskiego. Putina można traktować jako człowieka myślącego racjonalnie tylko w obrębie racjonalności postsowieckiej, wielkoruskiej logiki, czego na Zachodzie nie rozumieją. Kiedy Władimir Władimirowicz swego czasu mówił o rozpadzie Związku Sowieckiego jako o największym dramacie dwudziestego wieku, dokładnie to miał na myśli. Upadek imperium dla Rosji był prawdziwą tragedią, pozbawiającą ją narzędzi prowadzenia imperialnej polityki. Kreml bardzo poważnie traktuje stary rosyjski program, datujący się jeszcze od Iwana III Srogiego, program „zbierania ziem ruskich”. Rosyjski prezydent mówił o tym otwarciu, tylko jego deklaracje politycy na Zachodzie (i Zeleński, jak widać, również) potraktowali jako element gry. Tak było wygodniej.

– Strasznie się rozgadałem – uśmiechnął się przepaszająco Zeleński, odstawiając butelkę. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wróciła przyjacielska twarz ukraińskiej głowy państwa. – Chciałem tylko powiedzieć, że moim obowiązkiem jest zrobienie wszystkiego w celu uniknięcia wojny i sądzę, że to się może udać. Nie mam stuprocentowej pewności, ale muszę podjąć ryzyko. Dlatego chcę uniknąć działań, które Rosjanie mogliby potraktować jako prowokację.

Ferenc nie wytrzymał.

– Panie prezydencie...

Nikt nigdy nie dowiedział się, co gość z Polski miał zamiar powiedzieć, ciszę zakłócił bowiem ryk syreny alarmowej. Sekundę później drzwi salki otworzyły się z trzaskiem i wpadło do niej kilku członków ochrony. Budynkiem targnął silny wybuch, pobudzając szyby do głośnego dzwonienia.

Po kolejnej sekundzie do kakofonii dołączyły dochodzące z zewnątrz serie wielkokalibrowych karabinów maszynowych.

Plan ataku na pałac prezydencki, który ludzie Fomina mieli przeprowadzić w nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego lutego dwa tysiące dwudziestego drugiego roku, został sporządzony w sposób niezwykle szczegółowy; utkany detalami dokument odpowiadał na wiele pytań i starał się rozwiązać liczne wątpliwości. Na przykład takie: gdzie uderzyć? W której z licznych siedzib rozsianych na terenie stolicy będzie przebywał prezydent w momencie ataku? W którym miejscu skupić wysiłki?

Jednak tak postawione zadanie okazało się w zasadzie nierozwiązywalne, ponieważ nie dało się zawnocześnie przewidzieć wszystkich czynników mogących mieć wpływ na miejsce pobytu ukraińskiej głowy państwa w konkretnym momencie. Planiści podeszli zatem do problemu z innego końca. Zadano sobie pytanie, gdzie ukryje się prezydent w razie zagrożenia. Tu kwestia okazała się prostsza, takich miejsc nie było bowiem wiele. A w razie poważnego ataku jedno: podziemny bunkier, zlokalizowany nieopodal siedziby Administracji Prezydenta przy Bankowej 14, z wejściem bezpośrednio z budynku oraz kilkoma innymi, głęboko utajnionymi i silnie strzeżonymi, rozsianymi po terenie, a także ukrytymi pod powierzchnią gruntu. Schron został stworzony właśnie po to, by w razie poważnego zagrożenia służyć kierownictwu państwa jako pewne i bezpieczne miejsce przetrwania ataku terrorystycznego.

Sztabowcy zaplanowali zatem zwabienie Zeleńskiego do tego potężnie ufortyfikowanego, znajdującego się głęboko pod ziemią miejsca – co tylko pozornie zakrawało na paradoks, bo przecież teoretycznie łatwiej dokonać zamachu na powierzchni. Decyzja stawała się jednak zrozumiała, gdy wzięło się pod uwagę, że Fomin dysponował bardzo szczegółowymi planami bunkra oraz wszystkich prowadzących do niego wejść. Nie było w tym wielkiej tajemnicy: podziemny kompleks powstał w latach pięćdziesiątych, w czasach Związku Sowieckiego i został zaprojektowany w Moskwie. W archiwum rosyjskiego Ministerstwa Obrony znajdowała się osobna szafa z kompletną dokumentacją budowli, która posłużyła jako podstawa planowania operacji. Na podstawie informacji przekazywanych przez kolegów z wywiadu, Fomin wiedział, że Ukraińcy przez trzydzieści lat niepodległości nie naruszyli w zasadniczy sposób struktury bunkra, nie zmienili układu pomieszczeń ani korytarzy, ba, nawet mechanizmy otwierające liczne, wykonane ze stali pancernej przegrody i zapory pozostawili te same, dodano im tylko elektroniczne sterowanie i wymieniono

napęd. Pozostałe modyfikacje gospodarze ograniczyli do zainstalowania nowego systemu łączności i wentylacji oraz nowoczesnych agregatów prądotwórczych o dużej mocy. Skromny zakres prac znakomicie ułatwił Fominowi pracę. Znał bowiem dokładnie lokalizację pomieszczenia, w którym ochrona umieści prezydenta. Podczas licznych spotkań i narad kierowany przez niego zespół planistów rozpracował drogi dostępne oraz sposoby pokonania zapór i przeszkód.

Kiedy wybiła godzina ataku, wydarzyło się jednocześnie kilka rzeczy.

Okna czterech odległych od siebie, rozrzuconych po dzielnicach Kijowa mieszkań otworzyły się jak na komendę. Po kilku sekundach wyleciały z nich odpalane z hydraulicznych wyrzutni drony KUB-BLA pracujące w trybie autonomicznym. Były tak ciche i niewielkie, że na tle nocnego nieba nikt ich nie zauważył. Z racji niedoskonałego systemu naprowadzania nie nadawały się zbyt do atakowania celów znajdujących się ruchu, ale w tym wypadku nikt im takiego zadania nie stawiał; miały uderzyć w budynek. Oczywiście, trzykilogramowa głowica bojowa nie mogła wyrządzić poważnych szkód, ale znów: nie takie stawiano jej wymagania. Chodziło o klasycznie rozumianą dywersję, operację odciągającą uwagę, mylącą. W tej roli KUB-y spisały się znakomicie. Z racji budowy w układzie latającego skrzydła o znikomej sygnaturze radarowej i niemal bezszmerowego elektrycznego silnika okazały się trudne do wykrycia przez ukraińskie systemy obserwacji, które zareagowały dopiero wtedy, gdy cztery małe samolociki znajdowały się niemal nad pałacem prezydenckim.

Drugie wydarzenie nastąpiło znacznie bliżej pałacu.

Specyfika tego miejsca polegała na tym, że część Bankowej, przy której zlokalizowana została siedziba administracji prezydenta, sławny Dom z Chimerami oraz znajdujący się nieco dalej, równie znany (i urodziwy) Dom Płaczącej Wdowy, została odgradzona od reszty miasta solidnym ogrodzeniem, z bramami strzeżonymi przez uzbrojonych wartowników. Wewnątrz znajdowała się strefa zamknięta, aż do bram dojazd był jednak swobodny, i to z dwóch stron, zarówno od ulicy Instytuckiej, jak i pół kilometra dalej, od Luterańskiej.

Z obu tych ulic w Bankową skręciły jednocześnie dwie pary ciemnych furgonetek i zaczęły zbliżać się do bram.

Auta wyglądały jak zwykle dostawcze Mercedesy Sprintery znanej w Kijowie firmy cateringowej, specjalizującej się w kuchni włoskiej, ze stosownymi emblematami na burtach, wymalowanymi w jaskrawych kolorach. Oferta firmy była bogata i atrakcyjna na tyle, że zainteresował się nią dział logistyki prezydenckiej administracji, który regularnie zamawiał spore ilości gorących i zimnych dań. Firma, jak wiele innych w mieście, została dwa lata wcześniej założona przez rezydenta FSB, wyposażonego na tę okoliczność w znaczną ilość środków finansowych. Miała za zadanie oferować jak najlepszy produkt i zdobyć zaufanie klientów, co zostało zrealizowane z nawiązką. Obroty rosły, zakupiono zatem kilka dodatkowych samochodów dostawczych. Kijowianie przyzwyczaili się do ich widoku, tego wieczoru nikt więc na typowo wyglądające vany nie zwracał uwagi, wliczywszy strażników broniących dostępu do pałacu.

Te konkretne pojazdy nie miały jednak wiele wspólnego ze zwykłymi furgonetkami (choć z zewnątrz tak właśnie wyglądały), zostały bowiem przekształcone w lekkie samochody pancerne, odporne na ostrzał broni maszynowej oraz oddziaływanie odłamków. Uzbrojono je w wysuwaną hydraulicznie wieżyczkę z półcalowym wukaemem Kord; oprócz kierowcy i strzelca mogły przewozić maksymalnie ośmiu ludzi desantu z pełnym wyposażeniem.

Zostały pomyślane jako idealne narzędzie wojny hybrydowej.

Nieniekajone przez nikogo przejechały z siedziby firmy (której właściciel i założyciel już od dwóch godzin jechał samochodem w stronę granicy z Białorusią) i dotarły w pobliże pałacu, mając na swych pokładach dwudziestu ośmiu ludzi. Po skręcie w Bankową (każda para ze swojej strony) zwolniły, w dalszym ciągu idealnie zsynchronizowane. Jednocześnie dojechały do bramy odgradzającej teren prezydenckich włości od świata zewnętrznego. W obu wypadkach strażnicy, zobaczywszy znane im auta, nie podejrzewali niebezpieczeństwa. Dowódca szturmował wiedział jednak, że tym razem nie może po prostu się zatrzymać, okazać dokumentów oraz zamówienia i grzecznie czekać na otwarcie bramy. Strażnicy zawsze zaglądali do środka, by choć pobieżnie sprawdzić, czy ładunek zgadza się z okazanym dokumentem. Tym razem ładunkiem byli uzbrojeni po zęby operatorzy owianej złą sławą formacji, znanej oficjalnie jako Specnaz, a formalnie noszącej miano VIII Zarządu GRU. Auta dojechały więc tylko na odległość metra od posterunku, po obu stronach z okien

wysunęły się lufy wytłumionych pistoletów i plunęły ogniem. Strażnicy zostali całkowicie zaskoczeni – większość z nich poniosła śmierć, nim zdołała choćby dotknąć broni. Tylko jeden z nich, pilnujący wjazdu od strony Luterańskiej, zareagował szybciej niż inni, może dlatego, że stał dalej, nieco zasłonięty przez mającego mniej szczęścia kolegę i pierwsza salwa ominęła go. Zdołał unieść karabinek szturmowy, przeładować i wpakować kilkanaście pocisków w szoferkę pierwszego z mercedesów, nim został powalony przez pociski. Jednak opancerzonemu pojazdowi żadnych szkód nie wyrządził. Samochody ryknęły podrasowanymi silnikami, skoczyły do przodu, huknęły wzmocnionymi zderzakami w stalowe kraty bram, wyłamały je, po czym popędziły przed siebie.

W tym momencie zaczęły wyc syreny alarmu przeciwlotniczego.

Umieszczone w różnych rejonach miasta systemy wczesnego ostrzegania miały, jako się rzekło, pewne problemy nie tylko z dostrzeżeniem wolno poruszających się dronów, ale również w właściwą interpretacją tego, co zarejestrowały sensory. Dopiero, gdy cztery bezzałogowe statki latające wleciały w strefę zwaną nieoficjalnie „strefą śmierci”, system podniósł alarm. Komputery błyskawicznie obliczyły współrzędne strzału, po czym zagrzmiały serie wielokalibrowych karabinów maszynowych i działek dziurawiących nocne niebo – i właściwie niedokonujących niczego więcej, bo posowiecka, acz nieco zmodernizowana elektronika nie została przygotowana do walki z tak niewielkimi, nisko poruszającymi się obiektami, które radar łatwo mógł pomylić z dużym ptakiem. Do walki włączyli się jednak dwaj umieszczeni na dachach okolicznych budynków operatorzy naramiennych zestawów przeciwlotniczych zachodniej produkcji. I ta broń, mająca o wiele doskonalsze systemy identyfikacji celu i naprowadzania, poradziła sobie znacznie lepiej. Po krótkim locie rakiety trafiły w drony i zniszczyły je w akompaniamencie gromkiego huku i oślepiającego blasku. Dwie pozostałe maszyny jednak poleciały dalej i dosięgły celu.

Pierwsza uderzyła w dach, w miejscu znajdującym się niemal idealnie nad głównym wejściem do budynku, wybiła dziurę, po czym eksplodowała, wzniesając pożar, który zdołał się na tyle rozprzestrzenić, że strażacy ugасili go dopiero po półgodzinie.

Drugi dron, nieco przypadkiem, wyrządził jeszcze większe szkody, ponieważ zmieniając gwałtownie kurs, by uniknąć ognia, zawadził o jedną z głównych anten komunikacyjnych. Eksplozja głowicy zakłóciła prawidłowe funkcjonowanie

systemu łączności, który musiał na jakiś czas „przesiąść” się na zapasowe urządzenia.

Wśród akompaniamentu ogłuszającego wycia syren alarmowych mercedesy wiozące oba zespoły operatorów Specnazu spotkały się dokładnie naprzeciw wejścia do pałacu. Wieżyczki z wukaemami były już w tym momencie podniesione. Półcalowe lufy jednocześnie plunęły strugą przeciwpancernych pocisków, demolując wejście i okna pierwszego piętra, a przy okazji zabijając dwóch strażników pilnujących drzwi oraz kilku innych, biegnących na pomoc kolegom. Ogień był tak gwałtowny, że zdusił na dłuższą chwilę możliwość zorganizowanego oporu. Cztery zespoły po ośmiu komandosów wyskoczyły z furgonetek i pobiegły do głównego wejścia. W budynku rozdzieliły się na dwie, operujące niezależnie od siebie grupy.

Operacja rozwijała się dokładnie według planu.

Sala konferencyjna rychło mogła zamienić się w pułapkę bez wyjścia, wypadli więc z niej biegiem: sześciu strażników osłaniających własnymi ciałami Zeleńskiego, Chołyczenko, a na końcu Lena, Wajman i Ferenc. Syreny wyły ogłuszająco. Korytarz po prawej, prowadzący do wejścia, był czarny od dymu. Huczała karabinowa i pistoletowa palba, nerwowa, niemal szaleńcza. Zbliżała się szybko; napastnicy łamali opór obrońców. Dowódca zespołu ochronnego skręcił w lewo, w głąb budynku, ciągnąc za sobą resztę. Ferenc biegł jako ostatni. Odruchowo sięgnął do paska, ale natrafił tylko na pustą kaburę. Kurwa mać! Jego pistolet leżał w depozycie.

Zdążyli przebiec ledwie kilka metrów, gdy gdzieś z przodu, za załomem korytarza gromko huknął granat, rozległ się wrzask bólu, a po nim seria nieartykułowanych krzyków. Dowódca ochrony uniósł dłoń, grupa przykleiła się plecami do ścian i stanęła. Dwóch ochroniarzy wysforowało się do przodu z kolbami przy ramionach i wzrokiem wbitym w kolimatory. Zza zakrętu wyleciał granat i poturlał się w stronę Ukraińców. Dowódca pchnął Zeleńskiego na ścianę i przycisnął do podłogi własnym ciałem.

Reszta nie zdążyła zareagować; granat eksplodował z ogłuszającym hukiem. Obaj prowadzący funkcjonariusze wzięli na siebie przeważającą część podmuchu

i odłamków. Ponieśli śmierć, ale uratowali resztę grupy. Ich broń głucho stuknęła o kamienne płyty podłogi. Nim wybrzmiało echo detonacji, zza narożnika wychyliła się ciemno odziana postać i strzeliła z karabinka szturmowego długą serią. Trzej ochroniarze, mimo wywołanej wybuchem dezorientacji i strasznego dzwonienia w uszach, odpowiedzieli ogniem.

Ferenc leżał skulony pod ścianą. Miał tylko jedno pragnienie: stać się jak najmniejszym, mikroskopijnym, w każdym razie wystarczająco małym, by zniknąć na dobre. Zmysły, jak na złość, rejestrowały wszystko dookoła: narastający od czoła ogień, kule świszczące nad głową i dziurawiące tynk gdzieś za plecami, kłęby ceglano-cementowej zawiesziny wirującej w powietrzu i zatykającej dech...

Instykt i wyszkolenie wrzeszczały wspólnym głosem, by jak najszybciej wynieść się stąd do diabła.

Jeden z członków ochrony opadł na prawe kolano, a potem wywrócił się na bok, krwawiąc obficie z wielu ran klatki piersiowej. Chroniąca jego ciało kamizelka kuloodporna okazała się zbyt słabą ochroną przed pociskami używanymi przez napastników.

Dowódca, nadal zasłaniający prezydenta własnym ciałem, dostał w głowę, tuż pod rantem hełmu. Krew zbrukała koszulę leżącego pod spodem Zelenkiego. Kolejna seria pocisków skrzesła iskry na podłodze. Gdyby strzelec skierował lufę pół centymetra w lewo, ukraiński prezydent właśnie zakończyłby życie.

Ciało Ferenca właściwie zareagowało samo, inaczej jednak, niż się spodziewał.

Kapitan odepchnął się od ściany i rzucił w przód. Powinien się czołgać, jednak instyktownie czuł, że musi do maksimum skrócić czas, w którym pozostaje odsłonięty. Wykonawszy niemal dwumetrowy skok, upadł za martwym ochroniarzem, przy okazji boleśnie uderzając kolanem o podłogę. Starając się zignorować ból (niezoperowana łakotka uznała, że to najlepszy moment, by o sobie przypomnieć), wyciągnął ręce, wymacał kolbę karabinka, ściągnął broń do siebie i, nie mierząc, strzelił długą serią w głąb korytarza.

Skutek był taki, że ściągnął na siebie ogień. Czuł, że pociski trafiają w ciało martwego strażnika, wręcz pchają je w jego stronę. Wtulił niczym nieosłoniętą głowę w beton, próbując znów uczynić się jak najmniejszym. Cel osiągnął: choć kule przelatowały tuż, nie dosięgły go.

Zerknął w tył. Nie widział Leny ani Wajmana. Chołyczenko pełził w stronę prezydenta. Przy życiu pozostał zaledwie jeden ochroniarz, który, również korzystając z martwego kolegi jako osłony, prowadził szybki ogień w głąb korytarza.

Musimy się wycofać, kołatała po głowie Ferenca uparta myśl.

Chciał już krzyknąć Chołyczenko, żeby zaczął odciągać prezydenta, a on wraz z ostatnim strażnikiem osłoni odwrót, gdy za plecami gruchnął granat hukowo-błyskowy. Zaraz po nim dwa kolejne.

Nim ogłuszony stracił orientację, zdążył zrozumieć, że są wzięci w dwa ognie. Znaleźli się w pułapce bez wyjścia.

Krzeptowski i Kika stali oparci plecami o samochód, z rękoma uniesionymi ku górze. Kontrola trwała już kwadrans i nic nie wskazywało, że zakończy się szybko.

– Powtarzam – powiedział zakopiańczyk, starając się zachować spokój. Promień latarki świecił mu prosto w twarz. Zapomniał nawet tych kilku słów po ukraińsku, których nauczył się w pociągu, podczas podróży do Kijowa. Mówił po rosyjsku z okropnym akcentem, od czasu do czasu wtrącając angielskie słowa. Sam sobie wydawał się śmieszny. – Jestem konsultantem amerykańskiego Departamentu Stanu, przysłanym do pomocy waszym służbom. I ja, i moja koleżanka mamy pozwolenie na broń wydaną przez wasze ministerstwo.

Dowodzący posterunkiem lejtnant Gwardii Narodowej słuchał wyjaśnień w milczeniu, za to przypatrywał mu się natarczywie, od niechcienia stukając dokumentami o lufę karabinka szturmowego. Krzeptowski nie miał nawet pewności, czy facet go w ogóle rozumiał. Tuż obok sierżant, nieco starszy od swego dowódcy, trzymał w dłoniach karabin snajperski GROT, który znalazł w bagażniku auta, ale nie zwracał uwagi na wielkiego górala, bowiem bez najmniejszej żenady gapił się na biust Kiki. Nieco dalej stało kilku żołnierzy z bronią gotową do strzału. Żaden z tych ludzi nie wyglądał na rezerwistę, wyrwanego dzisiejszego poranka z domowych pieleszy. Odwrotnie, sprawiali wrażenie weteranów, co Krzeptowski poznał choćby po sposobie trzymania broni i celowych, ostrożnych ruchach. Widział takich w Afganistanie i Iraku.

Nawet rozumiał podejrzenia Ukraińca. Legitymowali się dokumentami na tyle nietypowymi, że choć wyglądały na autentyczne, musiały wzbudzać co najmniej zainteresowanie. Mieli broń, nie tylko krótką, ale i nowoczesny karabin snajperski z dwustu nabojami i wysokiej klasy celownikiem optycznym. Byli naprawdę kimś wartym dokładniejszego sprawdzenia.

Wyglądało na to, że utknęli na tym blok-poście na amen. Do Buczy zostało pięć kilometrów. Mimo środka nocy kolejka za nimi robiła się coraz dłuższa, a tkwiący w autach mieszkańcy tej i kilku innych podmiejskich miejscowości, wracający spóźnieni z pracy do domu, za pomocą gromkiego trąbienia zaczęli okazywać coraz większe zniecierpliwienie, czemu oczywiście Krzeptowski się nie dziwił.

– Po co wam broń? – zapytał lejtnant po raz kolejny, monotony niczym katarynka.

– Realizujemy – powiedział po polsku z rosyjską końcówką, co brzmiało mniej więcej jak „realizujemsja” – zadanie dla SBU.

– Kto w SBU to potwierdzi?

– Mówiłem panu, poruczniku. Proszę zadzwonić do Josepha Bronna, pracownika amerykańskiej ambasady. On potwierdzi. Podałem panu numer.

Lejtnant obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, po czym sięgnął po komórkę, zadzwonił jednak do kogo innego. Krzeptowski miał nieodparte wrażenie przeciekającego przez palce czasu.

– Panie majorze, melduje się lejtnant Stepaniuk. Mamy tu dwoje Amerykanów – powiedział, po czym wymienił widniejące w dokumentach nazwiska rzekomych konsultantów. – Są uzbrojeni, mają pozwolenie na broń wydane przez MSW. Powołują się na niejakiego Josepha Bronna z amerykańskiej ambasady. Podać numer? Rozumiem. Tak jest, czekam.

Telefon gwardzisty wylądował w kieszeni munduru.

– Odejść od samochodu – nakazał lejtnant. Kolejka rosła, klaksony zaczęły zlewać się w jedną ponurą kakofonię, która miała tę zaletę, że skłoniła żołnierzy do bardziej energicznego działania.

– Panie poruczniku...

Sierżant oderwał wzrok od piersi Kiki i spojrzał groźnie na Krzeptowskiego. Mimo iż nie grzeszył wzrostem czy posturą, było w nim coś nieustraszonego i dzikiego. Ten facet nie bał się nikogo ani niczego. Weteran, bez dwóch zdań.

– Słyszałeś, co powiedział pan porucznik? – warknął, unosząc nieznacznie lufę karabinu.

Krzeptowski wiedział, że bywają sytuacje, w których trzeba odpuścić. Obecna należała do takiej właśnie kategorii. Wykonał polecenie, z ulgą odnotowując, że Kika poszła jego śladem, a sierżant cofnął się o krok.

Jeden z żołnierzy usiadł za kierownicą i przestawił samochód na pobocze. Pozostali zajęli się sprawdzaniem dokumentów następnych podróżnych. Kolejka w końcu ruszyła do przodu.

Kwadrans później, podczas którego nie działo się nic, poza pozwoleniem na opuszczenie rąk, które jednak miały pozostać na widoku, kwadrans wypełniony frustracją, przenikliwym północnym wiatrem i smrodem spalin stojących w kolejce aut, lejtant pojawił się ponownie. Miał nieco łagodniejszą minę.

– Możecie jechać – oznajmił, oddając zatrzymanym dokumenty.

Krzeptowski odetchnął z ulgą. Miał spore obawy, czy Bronn potwierdzi ich fejkową tożsamość. W końcu w pokoju Wajmana tkwiło najnowsze amerykańskie urządzenie podsłuchowe. W możliwościach tego faceta z pewnością leżało zorganizowanie go, zwerbowanie Barbary Zawadzkiej i skłonienie jej do montażu podsłuchu. Wyeliminowanie wścibskich śledczych rękoma Ukraińców mogło stanowić wspaniałą okazję do zlikwidowania niebezpieczeństwa dekonspiracji.

Czuł ulgę, że stało się inaczej. Odebrał broń z rąk sierżanta (miał przy tym wrażenie, że Ukrainiec chętnie wykorzystałby jakikolwiek pretekst, by zatrzymać karabin), wsadził pistolet do kabury, a GROT-a do bagażnika i usiadł za kierownicą.

Ruszyli.

– Myślałam, że nas zamkną – mruknęła Kika, zerkając za okno. Na poboczu stał czołg T-72. Załoga ładowała do wieży amunicję. Nieco dalej Krzeptowski dostrzegł ciemne plamy wojskowych namiotów.

– Ja też – przyznał zakopiańczyk.

Oboje zdawali sobie sprawę, że w takim wypadku spędziliby w areszcie co najmniej dobę, o ile Tolak szybko zorientowałby się w sytuacji i podjął interwencję. Zawadzka w tym czasie mogła zauważyć, że podsłuch zniknął z gabinetu Wajmana, co automatycznie uruchomiłoby procedurę alarmową. Jak każdy agent

miała z pewnością przygotowanych kilka dróg ewakuacji i kryjówek, by przeczekać największy impet pościgu i ruszyć dalej, gdy osłabnie.

Krzeptowski przyspieszył, choć wiedział, że straconej godziny nie da się nadrobić. Miał szczerą nadzieję, że na końcu drogi czeka ich rozwiązanie zagadki przecieku, że w obliczu zgromadzonych dowodów Zawadzka przyzna się do winy i śledztwo zostanie zamknięte jeszcze tej nocy. Chciał stąd wyjechać. To nie było jego miejsce.

Po dziesięciu minutach dojechali do Buczy – małego, spokojnego miasteczka czy może raczej rozbudowanego osiedla, bardzo jak na warunki ukraińskie nowoczesnego i zadbanego, w którym kijowska klasa średnia uwiła swe gniazdko. Nowe drogi, chodniki, nawet ścieżki rowerowe, ładne, nieźle zaprojektowane domki otoczone niewielkimi, wypielegnowanymi ogródkami, jeśli bloki, to zgrabne, foremne, nie za wysokie, o jasnych, nowych elewacjach i ukwieconych balkonach, wielkie, starannie utrzymane tereny zielone – plama zachodniej z ducha estetyki w morzu posowieckiej bylejakości i biedy. Krzeptowski skręcił w lewo, w ulicę Wakzalną, czyli Dworcową, po czym nacisnął gwałtownie hamulec. Drogę blokowała samobieżna haubica Goździk. Kierowca próbował najwyraźniej zawrócić i uderzył tyłem pojazdu w latarnię. W efekcie ciężki, betonowy słup złamał się u podstawy i teraz pochylał się nad działem, grożąc, w razie najmniejszego ruchu, upadkiem na wieżę i uszkodzeniem przynajmniej części znajdujących się na niej przyrządów obserwacyjnych. Przed haubicą stał spocony i sfrustrowany dowódca i próbował pomóc swemu podwładnemu wydobyć się z pułapki, nie bardzo jednak chyba wiedząc, co zrobić, bo tylko machał rękoma i wrzeszczał.

Krzeptowskiemu, może ze zmęczenia, nagle zachciało się śmiać.

– Jełop – mruknął. – Miał tyle miejsca, to musiał zawracać tam, gdzie latarnia...

– Z prawej damy radę się precisnąć – odparła Kika.

Krzeptowski skręcił kierownicę. Auto ruszyło powoli, wjechało na trawnik oddzielający chodnik od jezdni i objechało pechowe działo. Wrzaski dowódcy dochodziły do wnętrza samochodu mimo zamkniętych okien.

Kilka minut później zatrzymali się przed niewielkim domkiem o ładnej, żółtej elewacji.

– Tu? – upewniła się.

Zakopiańczyk zerknął na wyświetlacz komórki, a potem na widniejący na bramie numer.

– Tu – potwierdził. Stali przed domem siostry Zawadzkiej, obecnie Charczuk po mężu Ukraińcu. Pani Barbara mieszkała tu od dwóch lat.

Wysiedli. Z oddali słyszeli szum wielu potężnych diesli. Haubic musiało być więcej. Gdzieś bliżej ryczały potężne silniki lotnicze. Na nocnym, ledwo rozświetlonym mdłym blaskiem księżycy niebie mignęła sylwetka podchodzącego do lądowania ciężkiego transportowca.

Kika nacisnęła guzik domofonu. Natarczywy dźwięk dzwonka na moment zagłuszył wszystko inne.

– Jesteśmy jak wampiry – mruknął Krzeptowski. – Działamy w ciemności i pijemy krew innych.

Parsknęła śmiechem.

– Innych – winnych.

– Okaże się.

– Sporo mamy. Przyzna się.

– Nadal nie widzę w tym sensu.

– Aldrich Ames...

– Słyszałem. Za proste.

– Czytałeś za dużo książek szpiegowskich. Generalnie wszystko jest proste. Nie ma genialnych morderców czy złodziei. Nie ma genialnych szpiegów. Wszystko odbywa się rutynowo.

– W ogóle nie czytam książek szpiegowskich – wzruszył ramionami Krzeptowski.

Szczęknął domofon.

– Kto tam? – zatrzeszczał głośnik damskim zaspanym głosem.

– Czy zastaliśmy panią Zawadzką? – zapytała szkolną ruszczyzną Kika.

– Kto tam? W jakiej sprawie? – dopytywał się głośnik.

– Przyjechaliśmy z Polski do pani Zawadzkiej. Musimy z nią porozmawiać. To bardzo ważne.

Głośnik zastanawiał się przez chwilę.

– Proszę poczekać – odpowiedział po polsku. Siostra Zawadzkiej być może uznała, że nocni intruzi zasługują na szansę. Albo poszła po psa, którym ich poszczuje.

Po chwili głośnik odezwał się ponownie, tym razem innym damskim głosem, niższym, bardziej melodyjnym.

– Słucham. Tu Barbara Zawadzka. O co chodzi?

Zdechniesz, bliat’.

Zamknął oczy. Słyszał te słowa wyraźnie, mimo potężnego dzwonienia w uszach.

Może mu się wydawało? Wspomnienia na ułamek sekundy, na mgnienie, które zdało się trwać w nieskończoność, zamieniły się w rzeczywistość. „Zdechniesz, bliat’. Zdechniesz jak pies, jak najpodlejszy, zasyfiony kundel pod płotem, sam, zapluty, zasmarkany, zalany krwią i własnymi rzygami. Zdechniesz albo będziesz mówił. Zdechniesz albo powiesz”.

I ta wykrzywiona w zgryźliwym uśmiechu twarz. Pochylona nad nim, przystojna, opalona, o równych białych zębach, które widział często, bo ich właściciel często je pokazywał, śmiejąc się. Śmiał się, bijąc i śmiał się, kopiąc, rechotał, przypalając prądem i naciągając linę, na której wisiał, uwiązany za nadgarstki.

Śmiał się i mówił: „Zdechniesz, bliat’. Chyba, że powiesz”. Od tamtej pory Ferencowi śniły się różne koszmary, jeden gorszy od drugiego, jednak najgorszy był tamten uśmiech. Nie głód, nie ból, nie strach, nie poczucie beznadziei. Śmiech. I te słowa.

Teraz również je słyszał. Tamci, co prawda, nie śmiali się i nie kazali składać zeznań, żądali natomiast, żeby się poddać. Co za różnica? W razie odmowy obiecywali to samo.

Zdechniesz, bliat’.

Udało mu się wygrzebać z ładownicy martwego strażnika nowy magazynek. Przewrócił się na plecy, spojrział w tył, w stronę, skąd przyleciały flashbangi. W dymie i kurzu coś się poruszyło. Strzelił krótką serią. Odpowiedzią był krótki krzyk, za którym momentalnie poszła struga ognia kolegów trafionego. Pociski

z gwizdem odbijały się od podłogi tuż obok Ferenca. Tamci najwyraźniej nie widzieli go zbyt dobrze, ale podeszli blisko, bardzo blisko. Za chwilę się wstrzelają.

Nagle za plecami, z głębi budynku, usłyszał jeszcze coś.

– Avant! Avant!

I zaraz potem liczne, szybko zbliżające się eksplozje i serie z broni maszynowej.

Coś znowu zagrzmiało głucho. Hałas stał się nie do zniesienia. Z zewnątrz nadal dochodziła gęsta palba wielkokalibrowych karabinów maszynowych. Musiało ich być kilka, trzy, może więcej. Pałac prezydencki został zaatakowany przez liczny i dobrze uzbrojony oddział.

– Avant! Rapid!^[7] – zabrzmiał znowu rozkaz, co dziwne, przebijając się przez kanonadę. I znów zawtórowało mu szybkie staccato wystrzałów.

Huknął granat, ktoś krzyknął krótko i nagle wszystko z tamtej strony na sekundę ucichło. Grupa dywersyjna blokująca prezydentowi drogę do schronu została zneutralizowana.

Ferenc podniósł głowę. Z niewyraźnej szarości wychyły się dwie ludzkie sylwetki. Z perspektywy podłogi wydały mu się potężne, niemal nadludzkie. Podniósł broń, nie bardzo pamiętając, czy nie skończyła mu się amunicja.

– Swój! – krzyknęła po angielsku (z wyraźnym francuskim akcentem) jedna z postaci. Hełmy, noktowizory, twarze zasłonięte goglami i kominiarką. I karabinki szturmowe FAMAS, których kształtu nie sposób pomylić z żadną inną bronią strzelecką na świecie.

Francuzi? W Kijowie? W pałacu prezydenckim?

Potem przypomniał sobie zasłyszane, nieoficjalne informacje, że na osobiste polecenie francuskiej głowy państwa parę tygodni temu do naddnieprzańskiej metropolii przyjechało kilku specjalsów z GIGN, antyterrorystycznego oddziału Żandarmerii Narodowej. Nikt, poza najbliższym kręgiem ochrony prezydenta, nie wiedział, jakie były ich rzeczywiste zadania.

Teraz przybyli na plac bitwy niczym amerykańska kawaleria w westernie.

Z ulgą opuścił broń.

Siedzieli w gustownie urządzonym salonie. Kika i Krzeptowski na kanapie, Zawadzka w fotelu, przypatrując się gościom z zainteresowaniem.

– Pan żartuje, prawda? – zapytała uprzejmie. Zachowywała spokój, dość niezwykły w jej sytuacji. Obudzeni w środku nocy ludzie, którym stawia się poważne zarzuty, reagują złością, oburzeniem, strachem, krzyczą, grożą...Zawadzka zdawała się po prostu znudzona. – Państwo wiecie, że ja w ogóle nie muszę z wami rozmawiać?

– Obawiam się, że pani musi – odparł Kika. – Jeśli nie wierzy pani naszym pełnomocnictwom, proszę zadzwonić do majora Wajmana, potwierdzi nasze słowa. Jeśli i to nie wystarczy, proponuję telefon do pułkownika Maliszewskiego.

To ostatnie było blefem. Tolak nigdy nie dał do zrozumienia, że Maliszewski w ogóle wie o sprawie.

– Wie pani, możemy rozwiązać to inaczej – wtrącił się milcząco do tej pory Krzeptowski. – Założę pani kajdanki i pojedziemy na dworzec. Tam wsiądziemy do pociągu do Warszawy. Kontrwywiad marzy, żeby z panią porozmawiać.

Spojrzała na niego przeciągle. Nadal nie dostrzegła w niej strachu przed dekonspiracją, karą, konsekwencjami popełnionych czynów; w ogóle nie zauważył emocji. W dalszym ciągu zachowywała się wręcz ostentacyjnie spokojnie.

– Naprawdę? – zapytała.

Z głębi domu dochodził szmer szeptanej rozmowy. Siostra Zawadzkiej bardzo niechętnie opuściła salon. Teraz pewnie naradzała się z wyrwanym ze snu mężem. Być może rozważali wezwanie policji.

– Kto pani kazał założyć podsłuch w gabinecie majora Wajmana? – przejęła pałeczkę Kika. Po czym wyciągnęła z kieszeni torebkę z urządzeniem w kształcie plastra. – Są na nim pani odciski palców. Nie była pani zbyt ostrożna. Błąd. Od kogo pani to dostała?

Zawadzka zacisnęła usta. W beznamiętnym spojrzeniu pojawił się błysk.

– Źle adresujecie swoje pretensje – burknęła.

– Nie mamy żadnych pretensji – odparła policjantka, po czym wstała. Patrzyła na kobietę z góry. Zdecydowała się zaostrzyć ton. – Mamy dowody, że założyła pani nielegalny podsłuch w gabinecie szefa placówki. Podsłuch otrzymany od Amerykanów. Praca dla obcego wywiadu jest nielegalna i zagrożona karą więzienia. Żeby zdobyć kod dostępu do gabinetu Wajmana, podejrzała pani

swojego szefa za pomocą ukrytej w długopisie kamery umieszczonej na szafie. Mamy na to dowód w postaci filmu. Wszystko, co pani przekazywała swemu amerykańskiemu mocodawcy, wyciekało do Rosjan. To bardzo poważna sprawa, pani Barbaro. Nazywa się zdrada. Naprawdę lepiej będzie, jeśli pani z nami porozmawia.

Opracowany przez sztabowców GRU i wdrożony przez grupę dowodzoną przez majora Fomina plan dekapitacji ukraińskiego kierownictwa politycznego nie zakładał rzecz jasna zdobycia pałacu prezydenckiego przez operujący z zewnątrz zespół szturmowy. Było to niemożliwe, nawet przy kilkukrotnie większych zasobach ludzkich i cięższej broni. Założono, że atak (w istocie samobójczy, czego wykonawcy mieli świadomość) zagoni Zeleńskiego do bunkra, zwanego Obiektem Numer 1. Cztery zamontowane na samochodach wukaemy miały zapewnić osłonę i opóźnić interwencję ukraińskich odwodów. Podstawową pracę wykonywały cztery sekcje po ośmiu ludzi każda. W pierwszej fazie poszło im lepiej, niż zakładano. Operatorzy wdarli się do budynku, nie mając nawet jednego rannego. Dopiero opór zgromadzonych w dwóch dyżurkach strażników pilnujących głównego hallu wejściowego trwał dłużej. Został jednak, kosztem dwóch zabitych i trzech rannych, przełamany. Grupy rozdzieliły się na dwa zespoły i ruszyły naprzód. Jedna niejako „pchała” przed sobą obrońców w głąb budynku, druga szła korytarzem biegnącym równoległe do fasady, by obejść główne punkty oporu i podjąć próbę ataku bocznego.

To właśnie ów oskrzydający obronę zespół odciął drogę ewakuacji Zeleńskiego do Obiektu Numer 1. Plan tego nie zakładał (trudno było przewidzieć, że w momencie ataku prezydent znajdzie się w maleńkiej, nieoficjalnej salce konferencyjnej, zlokalizowanej we frontowej części budynku, znacznie oddalonej od reprezentacyjnych pomieszczeń), rosyjscy komandosi mieli po prostu ogromne szczęście. Dowódca, dostrzegłszy skuloną pod ścianą niewielką sylwetkę, od razu zorientował się, kogo ma przed sobą. Dostrzegł niepowtarzalną szansę wykonania zadania już teraz, na powierzchni, bez konieczności angażowania dywersantów prowadzonych bezpośrednio przez majora Fomina. Oczyma duszy już widział splendory i zaszczyty, jakie go spotkają. Nakazał swoim ludziom zagęszczenie ognia. Ochroniarze aktora ginęli jeden pod drugim. Poleciał granat, potem drugi,

huk wstrząsnął korytarzem, dym zasnuł powietrze. Operatorzy Specnazu byli gotowi do szturmu.

Wtedy właśnie dostali ogień w plecy. Przekłete żabojady.

– Panie prezydencie, jest pan ranny? – zapytał Chołyczenko, pochylając się nad wciąż leżącym pod ścianą politykiem. W drugiej części korytarza w dalszym ciągu trwała zaciekle walka. Czterech Francuzów z GIGN próbowało powstrzymać napór napastników. Wybuchy granatów raz po raz wstrząsały murami pałacu. Dym i ceglany pył zatykały płuca. Oddychanie stawało się coraz trudniejsze.

Zeleński jęknął cicho i podniósł głowę.

– Chyba nie – odparł.

Pułkownik wyciągnął dłoń.

– Pomogę panu. Musimy się pospieszyć.

Prezydent stanął niepewnie na nogach. Pułkownik podtrzymał go.

– Pójdiesz przodem – nakazał jedynemu ocalałemu ochroniarzowi. Szef ochrony nie żył. Chołyczenko w naturalny sposób objął dowodzenie. – Najkrótszą drogą do bunkra, jasne?

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Przypilnujecie pleców? – odwrócił się do Ferenca. Kończył im się czas. Strzelanina wyraźnie się przybliżała. Francuzi ulegali przewadze liczebnej nieprzyjaciela.

Ferenc kaszlał tak mocno, że mógł tylko skinąć głową. Cholerny pył. Schylił się, wyciągnął dwa magazynki z kieszeni martwego strażnika, jeden podpiął do karabinka. Wajman i Lena poszli w jego ślady.

Ruszyli.

Tuż za pierwszym zakrętem korytarza natknęli się na pięć ciał rosyjskich komandosów. Nieco dalej leżało dwóch francuskich specjalsów, najwyraźniej porażonych wybuchem tego samego granatu. Przez głowę Ferenca przebiegła myśl, że może warto obszukać napastników, znaleźć coś, co pomoże rozwiązać zagadkę wdarcia się do pałacu prezydenckiego, jednak prowadzący pochód ochroniarz, a za nim eskortujący prezydenta Chołyczenko przekroczyli poległych,

przyspieszając kroku, bo karabinowa palba i wybuchy granatów naprawdę zdawały się ich doganiać. Poszedł więc za nimi.

Po lewej stronie korytarza znajdowały się otwarte pokoje zajmowane przez personel pomocniczy. Przy pierwszym prezydent znieruchomiał.

Złamany fotel, wywrócony na bok stół, szczątki wazonu, urwana zasłona w oknie. Masa pobitego szkła. Zmierzwiony, kopnięty w kąt dywan. Na przeciwległej ścianie równy ścieg dziur po kulach. I leżące na podłodze trzy ciała w cywilnych ubraniach, wokół których rozlewała się coraz większa kałuża krwi. Tylko obok jednego z nich leżał na podłodze pistolet.

– Jezus – usłyszał za sobą jęk Leny.

– Panie prezydencie, naprawdę musimy iść.

Zeleński jakby nie słyszał. Klęknął przy ofierze i przytknął jej dwa palce do szyi. Na darmo. Zabójcy ze Specnazu znali się na rzeczy.

Kolejny wybuch granatu wstrząsnął korytarzem. Podmuch wionął im w twarze smrodem kordytu.

– Naprawdę musimy już iść. – Chołyczenko pociągnął prezydenta za rękaw, niczym niesforne go kolegę, który chce koniecznie jeszcze zostać na imprezie, choć wszyscy marzą, żeby sobie poszedł.

– Padnij! – wrzasnął Wajman. Jako jedyny nie obserwował ofiar, a robił to, co powinna robić tylna straż: pilnował pleców. I pierwszy zauważył, że obrona Francuzów została przełamana, bo strzelanina umilkła nagle, zastąpiona przez tupot kilku par nóg.

Zza węgła wyleciał granat hukowo-błyskowy.

Uciekinierzy leżeli już wtedy wtuleni w klepki świeżo zapastowanego parkietu. Ładunek eksplodował z gromowym hukiem nie dalej niż dwa metry od Wajmana. Zaraz po nim posypały się strzały. Atakowało co najmniej trzech ludzi. Major rozpaczliwie walczył o oddech. Ferenc otworzył ogień. Chołyczenko, osłaniając prezydenta, starał się jak najszybciej opuścić korytarz. Zdołali pokonać połowę dystansu do zakrętu, gdy na wyższym piętrze zagrzmiała eksplozja. Z sufitu posypał się pył, pogorszając i tak słabą widoczność. Lena nie mogła przepuścić takiej okazji: złapała Wajmana za kołnierz i gęsto strzelając, pobiegła śladem Chołyczenki i prezydenta.

Ochroniarz upuścił broń i złapał się obiema dłońmi za gardło. Próbował zatamować krwotok, ale w tej sytuacji nie pomógłby nawet dobry chirurg. Powoli, jeszcze walcząc, przewrócił się na plecy, po czym znieruchomiał.

Ferenc w trzy sekundy wystrzelał magazynek do końca, odwrócił się i zaczął biec. Coś szarpnęło go za rękę, ale nie zwolnił kroku. Poczł tylko dziwne mrowienie i ciepłó. Pociski, gwizdząc potępieńczo, goniły go, odbijały się od ścian i podłógi. Dobiegł do zakrętu korytarza. Kule zostały za załómem.

O małó nie potknął się o siedzącego pod ścianą Chołyczenkę. Pułkownik dostał w brzuch: jego twarz bladła z każdą sekundą, przez zaciśnięte palce ciekła krew. Ferenc niemal słyszał, jak z Ukrainca uchodzi życie.

Dopiero teraz zauważył dwóch nowych członków prezydenckiej ochrony. Obaj musieli się już bić: mieli osmalone twarze i krwawili. Zełeński wręczył jednemu z nich wydobytą ze stojącej pod ścianą szafy apteczkę.

– Pomóźcie mu – zaordynował, wskazując Chołyczenkę. Szafa okazała się prawdziwym skarbcem, pełnym sprzętu, broni i amunicji. Prezydent, zakładając kamizelkę kuloodporną i mocując kaburę z pistoletem oraz trzema zapasowymi magazynkami, przechwycił pełne uznania spojrzenie Ferenc'a i nieoczekiwanie uśmiechnął się.

– Takie składy rozstawione są po całym budynku. Ja nie chciałem, zmusili mnie. Kazali się przeszkolić. Mieli rację. Możecie uzupełnić amunicję.

Skwapliwie skorzystali z tej rady.

– Chodźmy, panie prezydencie – powiedział ochroniarz. Jego towarzysz pomógł wstać przepasanemu bandażem Chołyczence, którego z drugiej strony podtrzymywał Wajman. Pułkownik miał zamknięte oczy i wyraźnie cierpiał. Bandaż szybko czerwieniał.

Blisko, za załómem korytarza, huknęła pistoletowa palba. Lena złożyła się i wystrzeliła w ciągu kilku sekund piętnaście naboí, pokrywając ogniem korytarz. Odpowiedział jej wściekły ogień karabinków szturmowych.

– Uciekajcie – krzyknęła. – Nie dam rady dłużej.

Jeden z ochroniarzy doskoczył do naroźnika, odepchnął Mokrzycką, wychylił się i zaczął strzelać krótkimi seriami.

– Idźcie – rzucił. – Osłónię.

Ruszyli szybkim truchtem: Zeleński, Wajman, Chołyczenko, ochroniarz i na końcu Ferenc z Leną. Budynek zatrzęsł się od kolejnej eksplozji. Dym i swąd spalenizny wyciskał łzy z oczu, tamował oddech, dusił. Od bunkra zwanego Obiektem Numer 1 dzieliło ich pięćdziesiąt metrów.

Niewiele.

Noc była chodna i wietrzna, zła dla sercowców i zła dla Zachara. Gniotło go w okolicach klatki piersiowej, ciałem co chwilę wstrząsał dreszcz, słowem: całym sobą czuł, że coś się zbliża się wielkimi krokami, jakieś wielkie wydarzenie, nieszczęście czy katastrofa. Pobliskie lotnisko grzmiało potężnymi silnikami odrzutowymi coraz bardziej nerwowo, jakby w gorączkowym pośpiechu próbowało nadgonić stracony czas. Dowódca baterii gdzieś zniknął, wieść niosła, że na rozkaz Starego pojechał na odprawę do sztabu brygady, co już samo w sobie było znaczące, bo do tej pory dowództwo niespecjalnie interesowało się losem Czarnych Kruków, a już na pewno nie wzywało do siebie dowódców poszczególnych baterii. Krawczenko dla odmiany oszalał: krzyczał, wściekał się, wtykał nos w każdy kąt, nic mu się nie podobało, ochrzanił Zachara za pewien(jego zdaniem) niedopilnowany szczegół, na który jeszcze po południu nie zwróciłby uwagi. Jego głos dało się słyszeć w każdym zakątku kwatery zajmowanej przez pluton. Wszyscy klęli jak jeden mąż, Krawczenko miotał się, pluł i wrzeszczał, a gotowość bojowa pierwszego plutonu drugiej baterii rezerwowego dywizjonu artylerii Gwardii Narodowej Czarne Kruki nie wzrosła od tego wszystkiego ani o włos.

Zachar spojrział na zegarek. Cholerna noc zaraz dobiegnie końca, a on zdołał przespać może dwie godziny. Ech, bliat', żeby tak choć dobrą przepustki dostać. Wziąć w ramiona Uljanę, ucałować dziewczynki, jedną noc przespać we własnym łóżku, barszczu z okrasą pojeść...

Nie zdążył skończyć myśli, gdy tuż obok z piskiem opon zahamował terenowy samochód, z którego jeszcze w biegu wyskoczył dowódca baterii.

– Matwiejczuk, gdzie dowódcy plutonów? – wrzasnął na widok Zachara. Wyglądał na bardzo podnieconego. – Zawołajcie ich. Zbiórka przed budynkiem, już.

– Melduję, że w środku, panie kapitanie – bąknął Zachar, pomijając milczeniem fakt, że do jego obowiązków absolutnie nie należało pilnowanie miejsca pobytu dowodzących plutonami lejtnantów.

– Na co czekasz, leć po nich – nakazał kapitan.

Zachar wziął Walerego do pomocy i obaj przyłożyli się do wykonania rozkazu. Miało to ten dobry skutek, że wrzaski lejtanta ustały jak ucięte nożem, polecenie dowódcy baterii odciągnęło bowiem, ku uldze wszystkich, uwagę Krawczenki od nie dość starannie wyczyszczonych butów tego czy owego kanoniera.

Żołnierze wybiegli przed budynek i stanęli w dwuszeregu po niespełna trzech minutach – pierwszy pluton, obudzony wcześniej przez Krawczenkę, całkowicie gotowy do akcji, a większość drugiego w niekompletnym umundurowaniu, z nieprzytomnymi oczyma, zaspana, dopinająca w pośpiechu guziki mundurów i potykająca się o własne sznurówki.

– Żołnierze drugiej baterii – krzyknął gromko kapitan, wykazując coraz większe oznaki podekscytowania. – Przyjechały haubice. Zaraz będą na miejscu. Dowódcy plutonów i dowódcy działonów: przyjąć sprzęt, sprawdzić i przygotować do pracy, skład obsługi zgodnie z wcześniejszymi rozkazami, o ewentualnych brakach, potrzebach meldować natychmiast. Czas, jedna godzina. Pytania? Wykonać.

– Rozkaz! – potwierdziła niezbyt równym chórem bateria, nadal jeszcze dopinając guziki.

Nie zdołała dokonać niczego więcej, ponieważ, jak w starannie wyreżyserowanym spektaklu, w brudnym świetle przedświtu ukazały się masywne sylwetki lawet transportujących haubice i wozy towarzyszące. A zaraz potem nastąpiło to, co w warunkach pośpiechu i improwizacji nastąpić musiało: w ciągu minuty spokojna dotąd okolica zamieniła się w trudne do ogarnięcia zamieszanie i niedający się opanować bałagan. Plac przed budynkiem okazał się zbyt mały, więc część długiej kolumny ciężkich pojazdów utknęła w wąskiej uliczce dojazdowej, nie mogąc ani jechać do przodu, ani zawrócić. Obsługi miały się między lawetami, a dowódcy plutonów próbowali ustalić, które konkretnie wozy mają obsadzać; ludzie klęli na potęgę, złorzecząc wszystkim dookoła i sobie nawzajem.

Zachar podszedł do sprawy pragmatycznie. Gwizdnął na swoją trójkę i pomknął na sam koniec kolumny, której nawet ogon nie zmieścił się już w wąskiej uliczce

dojazdowej. Ostatnia laweta stała samotnie za zakrętem i nie było przy niej nikogo poza znudzonym kierowcą, pracowicie dłubiącym w nosie.

– Cześć, kolego – powitał go Zachar. – Dasz nam tę ślicznotkę, co ją masz na pace?

– Bierzcie, bierzcie – odparł szofer. – Towar gorący, prosto z Polski.

– Z Polski? – zdziwił się Matwiejczuk. – Polacy nam coś dali?

– No dali, dali. Na cały dywizjon. I jeszcze mają dać, podobno.

Zachar aż gwizdnął. Niezła wieść. Logistyka wiedziała zawsze więcej niż inni.

– Pewnie, że dali – odezwał się Walery, zawsze skłonny do dyskusji. – Głupi nie są. Oni dają sprzęt, my ludzi, u nas bomby lecą, u nich nie lecą.

– No – przytaknął kierowca z aprobatą.

– Paliwo w tym smoku jest? – chciał wiedzieć były student.

– Na parę kilometrów może się znajdzie. Potem to już wasze zmartwienie.

Zawył elektryczny silnik, z tyłu lawety opadły rampy.

– No, Walery – powiedział Zachar, starając się nadać swemu głosowi jakąś nutę zachęty i otuchy. Bez szczególnego powodzenia. – Pokaż, mistrzu, co potrafisz.

Wywołany do odpowiedzi młodzieniec odetchnął głęboko, zręcznie wdrapał się na lawetę i krytycznym spojrzeniem obrzucił gąsienice.

– Luźne – orzekł. – Naciągnąć trzeba, bo jak wjedziemy w jakiś trudniejszy teren to spadnie jedna albo obie i będziemy mieli przejebane jak w ruskim czołgu.

– Najpierw zjedź, a naciągać będziemy potem – zarządził Zachar.

– Jasne, panie sierżancie. – Posłusznie poprawił okulary, przeszedł na przód pojazdu, otworzył właz i zniknął w ciemnym wnętrzu.

Przez chwilę nic się nie działo, po czym zagwizdał rozrusznik, a krótko potem zawarczał potężny diesel. Tył wozu zasłonił duszący, bury dym. Walery przegazował kilkakrotnie, ze zgrzytaniem wrzucił wsteczny i ruszył do tyłu zadziwiająco delikatnie i płynnie.

Zachar stojąc na lawecie, nieco z boku, jak najbliżej stanowiska kierowcy, próbował pomóc mu ustalić właściwy tor jazdy. Na szczęście okazało się, że nie musiał się zbytnio wysilać, wystarczyło, że raz wskazał kierunek. Walery zerknął na jego ułożone w formie drogowskazu dłonie i dodał gazu; silnik ryknął wesoło i szesnastotonowa haubica zręcznie zjechała z platformy. Zacharowi pozostało

tylko pokiwać aprobująco głową. Walery wyłączył silnik, jak na sprężynie wyskoczył z wjazdu kierowcy, trzymając w obu dłoniach klucze nastawne, nieświadom, że właśnie zdał pierwszy egzamin przed wymagającą komisją w osobie sierżanta Matwiejczuka.

Zachar przyjrzał się gaśienicom. Rzeczywiście wymagały naciągnięcia – obie były tak luźne, że leżały na kołach nośnych.

– Pomóżcie mu – nakazał obu kapralom.

Jak na komendę przybrali miny urażonej niewinności, być może spodziewając się, że uda im się uniknąć wykonania brudnej i niewdzięcznej roboty, ich zdaniem należącej do mechanika-kierowcy. Dyskusji jednak nie przewidziano: Matwiejczuk zmarszczył brwi i cała trójka rażno wzięła się do dzieła.

Zachar wdrapał się na wieżę i wskoczył na stanowisko dowódcy. Bardzo uważnie przyjrzał się po kolei każdemu z przyrządów. Wszędzie widział obco brzmiące napisy. Składał litery powoli, starając się przypomnieć sobie cokolwiek z jednej czy dwóch lekcji polskiego, której udzielił mu, nim poległ, pewien ochotnik pod Debalcewem. Rozpoznał kątomierz działowy do strzelania z zakrytych stanowisk ogniowych PG2, celownik OP5 37 do strzelania na wprost oraz parę innych instrumentów, na przykład peryskop. Największe zainteresowanie wzbudziły w nim jednak dwa małe monitory. Domyślał się, że za ich pośrednictwem dowódca oraz celowniczy otrzymują przekazywane drogą radiową nastawy (celownik i kierunek) do strzelania, według których celowniczy ręcznie ustawia działo. System pozwalał dowódcy monitorować cały proces i w razie potrzeby korygować położenie działła czy wybór rodzaju amunicji.

TOPAZ, odczytał powoli Zachar mały napis na jednym z urządzeń.

Nieźle. Słyszał już kiedyś o tym polskim systemie kierowania ogniem, i to same dobre rzeczy. Ponoć niezwykle ułatwiał walkę i znacząco skracał czas wykonywania wszystkich czynności. Choć Zachar widział go pierwszy raz na oczy, miał dziwne przekonanie, że szybko się zaprzyjaźnią. Spojrzał w dół, w stronę stanowiska ładowniczego. Tu już było wszystko po staremu: mechaniczny podajnik z napędem łańcuchowym, odrapane stelaże na pociski, złącząca farba, ciasnota. Gdy załadują amunicję, ani się szerzej uśmiechnąć. Cud się stanie, jeśli obaj kaprale, korpulentni i niezgrabni, ograniczą się do rozbicia sobie głów.

Uśmiechnął się pod nosem.

Wóz był stary, ale w dobrym stanie. Miał sporo nowoczesnej polskiej elektroniki, podnoszącej walory bojowe sprzętu zaprojektowanego przed pięcioma dekadami. Jeśli się to wszystko zepnie w jeden system, zapewni płynną i szybką wymianę danych między wozami dowodzenia i rozpoznania artyleryjskiego a działonami – wtedy można powalczyć.

Oczywiście, Zachar głupi nie był i zbyt wiele czasu na froncie spędził, by łudzić się, że zbieranina przypadkowych ludzi, których wyszkolenie pozostawiało, delikatnie mówiąc, sporo do życzenia, wskoczy w wozy, odpali je, po czym zmiecie wroga z powierzchni ziemi. Nawet przy dobrze wyszkolonych artylerzystach przejście z ukraińskiego systemu kierowania ogniem na polski, nowocześniejszy i dający większe możliwości, ale oparty na innych zasadach i z polskimi napisami (nikt, pewnie z pośpiechu, nie zatroszczył się o przetłumaczenie instrukcji i poleceń na ukraiński) musi zająć kilka tygodni. Przy tych gamoniach tworzących dywizjon Czarne Kruki i trzech miesięcy może być mało. To, że Walery sprawnie zjechał z lawety, nie świadczyło jeszcze o niczym; zapewne stanowiło wyjątek w oceanie niekompetencji. Nikt ich do walki nie rzuci, bo równałoby się to samobójstwu. Na pewno nie.

Jakże się mylił sierżant Matwiejczuk.

Zachar westchnął, krótkim rozkazem zagonił obsługę pod pancierz i wydał Waleremu instrukcję, którędy ma dojechać na plac, by uniknąć zatoru. Znał dokładnie układ ulic Buczy. Zamiast grać w karty, w wolnych chwilach myszkował po bliższej i dalszej okolicy, trochę z nudów, a trochę uważając, że znajomość topografii terenu może okazać się użyteczna. Uljana w takich wypadkach śmiała się, że poślubiła kolekcjonera rzeczy niepotrzebnych.

Niepotrzebnych albo potrzebnych, to się jeszcze zobaczy.

Haubica szarpnęła, wionęła kłębem śmierdzącego dymu i ruszyła okrężną trasą na miejsce zbiórki.

Pół godziny później oficerom udało się w jakimś stopniu opanować bałagan. Sześć haubic tworzących baterię oraz kilkanaście pojazdów towarzyszących zostało zaparkowanych na placu i w dwóch okolicznych uliczkach w jakim takim porządku. Udało się uniknąć większych incydentów, pominąwszy złamanie latarni przez działon sierżanta Zajcewa (śmiechu w baterii było oczywiście z tego powodu co niemiara) i uszkodzenie ciężarówki przez cofający wóz dowodzenia. Kapitan doszedł jednak do wniosku, że zawsze mogło być gorzej.

– Żołnierze, sprzęt pobrany? – krzyknął do wyprężonych w dwuszeregu artylerzystów.

– Taaa jes..., ...anie ...tanie – ryknął w odpowiedzi gromki chór, niezbyt równo, ale z zapałem. Wraz z przybyciem haubic żołnierze poczuli, że w końcu stali się użyteczni. Wręcz wstąpił w nich nowy duch.

– Mimo tej latarni spisaliście się naprawdę dobrze – rozpromienił się kapitan, świadom, że celnie ulokowana pochwała może z ludźmi czynić cuda. Bateria karnie zarechotała. – Rozkazem dowódcy dywizjonu załadujecie teraz amunicję i zatankujecie paliwo, a zaraz potem przystąpicie do szczegółowego zapoznania się ze sprzętem. Powtórzycie wszystkie czynności strzałowe, wprowadzanie nastaw i tak dalej, zarówno na postoju, jak i w ruchu. Za przebieg ćwiczenia odpowiedzialni są dowódcy działonów. Do wozów!

Rozbiegli się, tym razem o niebo sprawniej niż za pierwszym razem.

– Możemy to rozwiązać na dwa sposoby – powiedział Krzeptowski, gdy cisza zrobiła się już nie do zniesienia. Dał jej czas na zastanowienie. Był doświadczonym śledczym, ale nie potrafił rozgryźć tej kobiety. Nie wyglądała na przestraszoną konsekwencjami swoich czynów. Miała w sobie dziwny, chłodny spokój. I pewność siebie. Jakby wiedziała, że robiła rzeczy dobre i słuszne. Nie podważała dokumentów nadających im uprawnienia śledcze, ale nie zrobiły one na niej żadnego wrażenia. – Albo pojedziemy do Warszawy i uruchomimy oficjalną procedurę, zostaniesz zatrzymana, zaczną się przesłuchania, o wszystkim oczywiście dowie się Maliszewski, dziwnym trafem Ukraińcy okażą się również dobrze poinformowani, łącznie z prasą. Twoja siostra mieszka tutaj, ma męża Ukraińca, oboje pracują dla państwowych instytucji. Jak się rozniesie, że pracowałaś dla Rosjan, oboje staną się trędowaci. Pewnie ich wywalą z roboty. I nie ma się co dziwić. Nikt nie lubi zdrajców, na Ukrainie też.

Nie zareagowała. Nie sprzeciwiała się, że zaczął nagle mówić jej na ty. Patrzyła mu prosto w oczy.

– Albo... – zawiesił głos. – Poszukamy jakiegoś rozsądnego kompromisu. Powiesz nam, co chcemy wiedzieć, kto, kiedy, po co, wskażesz sposoby i terminy

kontakty, przekazywania informacji i tak dalej. W zamian sobie pójdziemy i więcej nas nie zobaczysz.

Jednak jakąś emocję w niej wywołał. Kpinę.

– Naoglądałeś się za dużo amerykańskich filmów – powiedziała zjadliwie. – W realnym życiu nie ma czegoś takiego jak kompromis. Mówiąc czysto teoretycznie: jeśli odpowiem na wasze pytania, nie będziecie mieli żadnego interesu, żeby zostawić mnie w spokoju. Każdemu zależy na sukcesie, bo premia, bo awans, bo różne takie.

– Odmawiasz? – zapytała Kika. Krzeptowski obserwował ją kątem oka. Wyraźnie widział, że ona również ma trudności z odkryciem motywacji tej kobiety.

– Na razie tylko mnie rozbawiliście. – Zawadzka wzruszyła ramionami, nadal ze zgryźliwym grymasem na ustach.

– Nie wyglądasz na rozbawioną.

– Nie znasz mnie. Skąd możesz wiedzieć?

– Okej, nie znam cię. W takim razie pojedziesz do Warszawy. Przesłuchania nie będą ani łatwe, ani przyjemne. Mamy twoje odciski palców, nagranie, wszystko się pięknie składa. Zainkasujesz długi wyrok, a nie jesteś najmłodsza.

Zawadzka zareagowała w specyficzny sposób: na powrót skryła się za pancernym obojętności i milczenia. Oczy stały się chłodne, taksujące, jakby rozmowa nie dotyczyła ich właścicielki.

Z zewnątrz to narastał, to cichł odgłos dieslowskich silników napędzających ciężkie pojazdy. Najwyraźniej obecność Goździków w rejonie Buczy nie ograniczała się tylko do wozu, który skasował latarnię. Napięcie narastało i Ukraińcy przysłali do ochrony lotniska jakąś większą jednostkę artyleryjską.

– Posłuchaj – włączył się na powrót do rozmowy Krzeptowski. Nie miał specjalnej nadziei na rozbicie muru, ale musiał spróbować. Lubił mieć wszystko związane na ostatni guzik, a w tej sprawie coś mu nie pasowało. Czuł, że gdzieś popełniają błąd. On popełnia błąd. Kobieta nie zaprzeczała swoim czynom, a jednocześnie nie sprawiała wrażenia przybitej. Jakby miała dobre usprawiedliwienie swojego postępowania. – Źle nas oceniasz. Jesteśmy gliniarzami z Warszawy, zawodowymi psami, ale tu przyjechaliśmy na prośbę naszego przyjaciela, który miał się przyjrzeć przeciekowi z ambasady. W twoim

salonie siedzą ludzie z zewnątrz na gościnnych występach. Po wszystkim wrócimy do swojej roboty. Mamy głęboko w dupie awanse, premie i tym podobne. Nie dostaniemy żadnej premii, czy cię zapuszczujemy czy nie. Jeśli mówię, że puścimy cię, jak się sprujesz, to właśnie to mam na myśli. Nie obchodzisz nas. Musimy wiedzieć, o co chodzi z tym przeciekiem, i tyle.

Zmieniła kolor spojrzenia. Tym razem patrzyła na niego z dociekliwością naukowca.

– Po co? – zapytała.

– Co po co?

– Co tym załatwisz?

Szyby w oknach zaczęły cichutko podzwaniać, nadając jej słowom jakiegoś nieoczekiwanego, szyderczego kontekstu. Jak w kiepskim filmie. Cholerni artylerzyści. Czy tam czołgiści.

– Bo w tej grze jest tylko jeden dobry – warknął. Trafiła go w czuły punkt. Nie lubił takiego gadania. Życie na ogół bywa jedną wielką transakcją handlową, ale czasem są wyjątki. – Jeśli ci się wydaje, że praca dla ruskich da się jakoś usprawiedliwić, możemy się zawijać. Jeszcze zdążymy na poranny pociąg.

Szyby brzęczały coraz głośniejsze. Dołączyło ciche początkowo, ale narastające basowe buczenie. Zbliżało się szybko. To nie były haubice ani czołgi.

Zawadzka zacisnęła usta.

Szyby wpadły w drżenie. Rozbijał się wiszący u sufitu żyrandol. Hukowi potężnego silnika towarzyszył świst powietrza przecinanego przez długie łopaty śmigieł helikoptera. Krzeptowski znał ten dźwięk lepiej niż dobrze, mimo tego, że słyszał go po raz ostatni piętnaście lat temu. Odgłosów wydawanych przez ciężki śmigłowiec szturmowy Mi-24 nie sposób pomylić z niczym innym.

Czuł, że jego ciało pokrywa gęsia skórka, a oddech przyspiesza.

Dom zaczął trząść się w posadach, podzwaniało głośno wszystko, co nie było przymocowane, nawet powietrze zdawało się poruszać. Ryk stał się niemal nie do wytrzymania.

Helikopter przeleciał tuż nad budynkiem, niemal na wysokości dachu. Krzeptowskiemu przemknęła przez głowę idiotyczna myśl, że naprzeciw niego rzeczywiście siedzi rosyjska agentka, której pracodawcy właśnie przylecieli z pomocą. Ruchomy cień potężnej maszyny pojawił się w oknie, po czym zniknął

w szarości świtu. Hałas ucichł, zamilkły szklanki i szyby. Zawadzka siedziała bez ruchu.

Myśl rzeczywiście była idiotyczna. Ukraińcy również używali Mi-24 jako śmigłowców uderzeniowych, a ten pewnie wracał na lotnisko.

Krzeptowski wstał.

– Ubieraj się. Idziemy – nakazał.

Do salonu wkroczyli właściciele domu: siostra Zawadzkiej i jej mąż, wysoki, przystojny facet po pięćdziesiątce. Oboje kompletnie ubrani. Mężczyzna trzymał w dłoniach niewielką skórzaną teczkę. Krzeptowskiemu przemknęło przez głowę, że mają zamiar zabrać się z nimi, ponieważ odgrywają jakąś rolę w tej historii. Albo wyjmą broń i zaczną strzelać.

Nie zdążył jednak o nic zapytać, bo gdzieś bardzo blisko powietrze rozciął przeciągły świst nadlatującej rakiety. Sekundę później ogłuszył ich straszliwy huk. Fala uderzeniowa wybiła szyby w kuchni i salonie. Potrzaskane szkło obsypało ich wodospadem mniejszych i większych odłamków.

Upadli.

Zaraz potem, ogłuszeni i krwawiący, usłyszeli pierwsze serie działek i karabinów maszynowych.

Wejście do podziemnego bunkra, znanego jako Obiekt Numer 1, znajdowało się w niepozornej betonowej budce stojącej na jednym z wewnętrznych dziedzińców pałacu. Po zamknięciu drzwi od wewnątrz dostęp do Obiektu dało się uzyskać właściwie tylko za pomocą pokaźnej ilości materiału wybuchowego. Przebycie ostatnich metrów kosztowało ich wiele strachu, wystrzelonych niemal do końca naboju i kolejną ranę Ferencę, znów w tę samą, lewą rękę. Kula na wylot przestrzeliła biceps. Napór przeciwnika był bardzo silny, i to mimo zdecydowanego kontrataku sił spieszących na pomoc ukraińskiemu prezydentowi.

Do schronu uciekinierzy dopadli biegiem, zdyszani, ogłuszeni, zaczadzeni dymem. Ochroniarz wprowadził kod zwalniający zatraski, coś stuknęło i wejście stanęło otworem. Grupa wpadła do środka. Huknęły zamykane drzwi, o które ledwie sekundę później przeraźliwym staccato zagrzechotały kule pościgu.

Ochroniarz zablokował zamek kodem, po czym wspólnie z Wajmanem przekręcił zardzewiałe koło, blokując odrzwia długimi ryglami.

– Gotowe, panie prezydencie – oznajmił. – Możemy schodzić.

Ruszyli w dół stalowymi schodami umieszczonymi w podobnym do studni szybie, oświetlonym rozmieszczonymi co piętro żarówkami. Echo z głuchym dudnieniem powtarzało ich kroki.

Ferenc zdrową ręką otarł pot z brudnego czoła. Oczywiście wiedział, że bunkier zapewni im schronienie, czuł jednak, jakby schodził do jakiegoś, zbudowanego w sowieckim stylu, Hadesu. Kojarzył mu się z podziemnym grobowcem, którego konstruktor za wszelką cenę starał się zadbać o wywołanie w użytkownikach maksymalnie ponurego wrażenia. Tak właśnie działały szerokie, betonowe tunele, pomalowane łuszczącą się farbą olejną, toporne, przeskalowane mechanizmy, prymitywne lampy osłonięte zbrojonym szkłem, grube wiązki kabli biegnące po pionowej ścianie szybu, kapiąca woda z nieszczelnej instalacji, wilgoć...

Nigdy nie cierpiał na klaustrofobię (co testy wykazały bardzo wyraźnie), teraz jednak miał ochotę jak najszybciej stąd uciec. Zamykał pochód i nie mógł powstrzymać się przed nerwowym zerkaniem za siebie. Coraz dotkliwej czuł ciężar broni; zaczął się strasznie pocić, choć temperatura z pewnością nie przekraczała dwunastu stopni.

Choć Lena szła przodem, była zbyt czujna, by przegapić, co się dzieje.

– Co jest, Ludwik? – zapytała, lekko odwracając głowę.

– Nic specjalnego.

Przyjrzała mu się uważniej.

– Chrzanisz – powiedziała, zatrzymując się. Patrzyła na czerwony od krwi rękaw marynarki. Wielkie, ciemne krople spadały na żelazne stopnie. – Bardzo boli?

– Właściwie nie – odparł apatycznie.

Wzięła go pod ramię. Nie protestował.

– Zakładam, że tam, gdzie idziemy, mają apteczkę. Założymy nowy opatrunek i dostaniesz antybiotyki – oświadczyła. – Ale powinien cię zobaczyć lekarz.

Ferenc wzruszył ramionami. Nie myślał o tym. Zresztą, skąd tu lekarz? Czuł się coraz bardziej senny. Chciał po prostu położyć się i odpocząć przez chwilę.

Opierał się na niej coraz bardziej.

Kilkanaście kondygnacji niżej czoło pochodu dotarło do rozległej platformy. Odchodził z niej korytarz, do którego dostępu broniły kolejne stalowe wrota. Grupa poszła dalej, a Wajman z ochroniarzem zaryglowali je na głucho. Na drodze ewentualnego pójścia stanęła kolejna przeszkoda nie do sforsowania.

Po pokonaniu krótkiego, tym razem dość szerokiego tunelu znaleźli się we właściwym Obiekcie Numer 1. Stosunkowo niewielką przestrzeń rozplanowano na dwóch poziomach. Pierwszy pełnił przede wszystkim rolę mieszkalną. Drugi, piętro niżej, mieścił wszystko, co niezbędne do życia i kierowania państwem w dobie kryzysu: magazyny, rozdzielnie elektryczne, centrum łączności, systemy wymiany powietrza, agregaty prądotwórcze, zbiorniki wody...

Część mieszkalna nie robiła specjalnego wrażenia. Żadnych luksusów czy choćby przyjemnego dla oka wystroju lub koloru ścian. Pomalowany na szaro beton, wiązki kabli idące po ścianach, nowe, ale bardzo proste meble i stalowe, ewidentnie pozostałe z czasów sowieckich, drzwi. Co ciekawe, pokój przeznaczony dla prezydenta nie różnił się ani wielkością, ani komfortem od reszty. Przypominał raczej celę klasztorną, tyle że miał własną toaletę i prysznic.

Zeleński wyraźnie poczuł się nie tylko gospodarzem, ale i szefem.

– Czy któreś z państwa zna zasady pierwszej pomocy? – zapytał, omiatając wzrokiem uciekinierów.

– Odbyłam przeszkolenie z zakresu ratownictwa medycznego – odezwała się Lena.

– Tu jest dobrze wyposażone ambulatorium – powiedział prezydent, wskazując jedno z pomieszczeń znajdujących się w głębi kompleksu. – Mamy trzech rannych, jednak wydaje mi się, że najpilniej należy się zająć pułkownikiem Chołyczenką. Mogę panią prosić?

– Nic mi nie jest – powiedział cicho człowiek z SBU.

– Przyjacielu, wcale tak nie twierdzą. Po prostu pani porucznik zmieni ci opatrunek. Panu zresztą też, panie kapitanie Ferenc, trzeba założyć jakiś plasterek. I panu, sierzancie. – Zeleński spojrzał na ochroniarza.

Ferenc nie mógł ukryć podziwu. Na górze trwała zacięta walka, facet o mało nie stracił życia, wszystko wskazywało na rozpoczynającą się bezwzględny rozgrywkę z Rosjanami, a może nawet wojnę na pełną skalę – kto wie, co działo się w innych rejonach kraju – a on sobie żartował. I nie wyglądał na takiego, co udaje.

Ale właściwie, kto to mógł wiedzieć, facet w końcu był aktorem.

Laboratorium okazało się świetnie wyposażone. Lena znalazła tu nie apteczkę, a dwie szafy pełne różnorodnych medykamentów i opatrunków. W trzeciej leżały równo poukładane narzędzia. Obok równo rozstawiona lśniła nowością aparatura diagnostyczna.

Pomimo iż Chołyczenko odniósł najpoważniejsze obrażenia z całej trójki, z nim uwinęła się najszybciej. Jedyne, co mogła zrobić, to zmienić opatrunek i podać antybiotyk oraz środek przeciwbólowy. Pułkownik powinien czym prędzej wylądować na stole operacyjnym: wyjęcie kuli z jamy brzusznej stanowiło robotę dla chirurga.

Zostawiła go i przyjrzała się ramieniu Ferenc. Kule przeszły na wylot; dobre i to. Starannie oczyściła rany i mocno zabandażowała. Kapitan spojrzał na nią z wdzięcznością. Nadal czuł się senny, ale przynajmniej ból nieco się zmniejszył.

– Jak mi kiedyś powiesz, że czegoś nie umiesz, nie uwierzę – mruknął.

Uśmiechnęła się leciutko. Pachniała dymem i spalonym prochem. Twarz wymagała gąbki i mydła. Była mu bliska. Mógł na nią liczyć.

– I niech tak zostanie – odparła, mocując bandaż klipsem. Klepnęła go w plecy. – Odpocznij.

Z trudem zsunął się z leżanki i podszedł do Chołyczenki. Pułkownik miał otwarte oczy, dziwnie małe w zapadniętej, przezroczyściej twarzy. Wyraźnie cierpiał. Klatka piersiowa poruszała się ciężko.

– Twoi opanują sytuację – powiedział Ferenc cicho. – Zaraz przyjdzie lekarz.

Chołyczenko spojrzał na niego zamglonym wzrokiem. Wyglądał na człowieka, który wie, że umiera. Wyciągnął dłoń. Ferenc uchwycił ją delikatnie. Chołyczenko z nieoczekiwaną siłą przyciągnął go do siebie. Ich twarze niemal się stykały.

– Posłuchaj... – powiedział Ukrainiec z widocznym wysiłkiem. – Posłuchaj mnie uważnie. Moskalewicz... jest kimś zupełnie innym... niż wam się wydaje.

Pięć minut później Ludwik zapytał prezydenta, czy może pożyczyć komórkę. Zeleński z roztargnieniem podał mu aparat. Ferenc wyszedł na zewnątrz. Wybierał numer tak drżącymi dłońmi, że dwukrotnie się pomylił. Odetchnął, gdy usłyszał znajomy głos.

– Szefie? Tu Ferenc. Dzwonię z pożyczonego telefonu...

Zeleński nie miał ochoty na rozmowę, ponieważ Ferenc zastał go w trakcie dopełniania pewnej procedury, jednej z wielu opracowanych na wypadek kryzysu. Przewidywała ona wysłanie przez prezydenta kodowanej informacji oznaczającej, że głowa państwa bezpiecznie dotarła do bunkra, a wszystkie wejścia zostały zamknięte. System powiadamiania oparto na łączności światłowodowej, niezawodnej, szybkiej i odpornej na zakłócenia. Informację odebrał szef prezydenckiej ochrony, generał Karpiuk, premier Szmychał, minister obrony Reznikow, a także naczelny dowódca ukraińskich sił zbrojnych, generał Załużny.

Oraz szef czekającej w gotowości grupy Specnazu, major Głównego Zarządu Sztabu Generalnego Federacji Rosyjskiej, Jewgienij Fiodorowicz Fomin.

Niebo robiło się coraz jaśniejsze.

Na Ukrainie już na dobre umościł się nowy dzień – dwudziesty czwarty dzień lutego.

Wśród ogłuszającego huku motorów i detonacji rakiet wybiegli przed dom: krwawiący z głębokiego rozcięcia na policzku Krzeptowski, potem Zawadzka, a na końcu Kika z pistoletem w poranionej odłamkami szkła dłoni. Sekretarka zachowywała się biernie i wykonywała polecenia, ale woleli nie ryzykować; pośpiech i chaos zawsze są dogodną okazją do ucieczki. Gospodarze zostali w środku, Krzeptowski nie wiedział, co się z nimi stało, i prawdę powiedziawszy, niewiele go to obchodziło.

Zdumienie zatrzymało ich po kilku krokach. Ciężkie, przesiąknięte dusznym wylaniem spalonego paliwa rakietowego i ciemne od dymu powietrze właściwie nie nadawało się do oddychania. Na wysokości najwyżej stu metrów leciał w ich stronę śmigłowiec, kolejny już dziś. Zbliżał się bardzo szybko. Krzeptowski przyjrzał mu się uważnie. Charakterystyczny długi pysk, płaska sylwetka, krótkie skrzydła, do których podwieszono zasobniki uzbrojenia, podwójne usterzenie pionowe... i również podwójny wirnik, którego nie sposób pomylić z żadnym innym.

Nadlatywał rosyjski śmigłowiec szturmowy KA-52, znany też pod nazwą Aligator. A za nim kolejny. Z boku jeszcze jeden. To już nie pocziwe Mi-24, to było coś znacznie groźniejszego.

– Padnij – ryknął Krzeptowski, świadom jak bardzo spóźniony i niepotrzebny robi ruch. Jeśli rosyjski pilot zdecyduje się na otwarcie ognia, nic go nie uratuje. Instynkt okazał się jednak silniejszy: rąbnął klatką piersiową o chodnik, wtulił głowę w ramiona, podkurczył nogi. Ziemia zatrzęsła się. Huk boleśnie kaleczył bębenki.

Helikopter przeleciał tuż nad głowami i pognał w stronę lotniska.

Zakopiańczyk podniósł się do klęku i spojrzał w tył. Horyzont przecinały trzy pionowe wieże czarnego, tłustego dymu. Nieopodal, w okolicach pasa startowego lotniska Antonowa kręciło się kilkadziesiąt śmigłowców: ciężkie, transportowe Mi-8, latające czołgi Mi-24 i Aligatory. Powietrze raz po raz rozjaśniały ognie rakietowych salw. Grzechotały działa i karabiny maszynowe. Kilka transportowców siadało na ziemi, by wysadzić desant. Inne, lżejsze o żołnierzy, wznosiły się i robiły obszerne pętle, pełniąc rolę ubezpieczenia.

– Cholerni ruscy – wysyczał Krzeptowski.

– Desant? – zapytała Kika, wstając. Dłoń dzierżąca Glocka krwawiła coraz mocniej.

– Na to wygląda – odparł. – Zjeżdżamy stąd.

– Ale oni...

– Chcą zająć lotnisko – wyjaśnił niecierpliwie. – Droga powinna być wolna.

– Moja siostra... – odezwała się Zawadzka.

– Idziemy.

– Nie zostawię jej.

Szarpnięciem postawił kobietę na nogi.

– Mogłaś pomyśleć o niej wcześniej.

Nie siląc się na delikatność, popchnął ją w stronę samochodu. Kika rzuciła mu spojrzenie pełne dezaprobaty. Zignorował ją. Huk bitwy wyzwolił nie tylko adrenalinę, ale przywołał niechciane wspomnienia. Zbyt wiele się nawojował, zbyt wiele cierpienia widział – miał po prostu ochotę oddalić się stąd jak najdalej. Ta wojna nie była jego wojną.

Pokaszłując, dopadli do samochodu. Kika wepchnęła Zawadzką na tylne siedzenie i usiadła obok. Krzeptowski wskoczył za kierownicę. Zagrał silnik, samochód ruszył, piszcząc oponami na brukowej kostce ulicy. Zakopiańczyk nie miał czasu odpalać nawigacji, zresztą podejrzewał, że skoro Rosjanie zdecydowali się na otwarty atak na lotnisko, zadbali o to, by zakłócić ukraiński system łączności i dowodzenia, co obejmowało również telefonię komórkową i Internet. Jechał na pamięć, nieustannie przyspieszając na prostej. Silniki helikopterów brzęczały niczym rój gigantycznych, rozgniewanych trzmieli. Skręcił w lewo, o mało nie doprowadzając do wypadku, bo tuż za zakrętem stał starszy facet i bezmyślnie gapił się w stronę lotniska. Ominął go cudem. Gdzieś w przecznicy mignęła szara bryła Goździka. Kątem oka zauważył, że w stronę jednego z śmigłowców poleciała świetlista seria pocisków. Najwyraźniej obudziła się ukraińska obrona przeciwlotnicza.

Miał przed sobą długi, prosty odcinek. Przycisnął gaz. Leciwy samochód przekroczył setkę, koło wpadło w jakąś dziurę, wozem szarpnęło, Krzeptowski skontrował kierownicą, przez chwilę był pewien, że wpadnie w poślizg, udało mu się jednak odzyskać kontrolę nad pojazdem.

Zbliżał się do skrzyżowania z główną drogą prowadzącą w stronę Kijowa. Bitwa szybko zostawała z tyłu.

Z naprzeciwka nadjeżdżała wypełniona żołnierzami wojskowa ciężarówka. A za nią kolejna. Krzeptowski bardziej wyczuł, niż usłyszał narastający warkot lotniczego silnika. Zerknął w prawo. Aligator leciał prostopadle do szosy, nisko, niemal szorując brzuchem po zaroślach. Zbliżał się błyskawicznie, znajdował się już tak blisko, że Krzeptowski wyraźnie widział osłonięte hełmami głowy obu członków załogi. Ilość uzbrojenia podwieszono pod skrzydłami zdawała się nieskończona.

Wcisnął do deski pedał gazu.

Wyjące silnikiem auto znalazło się na wysokości pierwszej ciężarówki. I wtedy Aligator odpalił rakiety. Potrzebowały pół sekundy, aby trafić w cel. Grzmot wprost rozrywał bębny, ciśnienie powietrza skoczyło do monstrualnych rozmiarów. Fragment drogi pokrył się dymem i ogniem, w którym zniknęły wszystkie trzy samochody.

Krzeptowski w ostatnim przeblasku świadomości zarejestrował przeraźliwie jasny błysk, który całkowicie pozbawił go możliwości widzenia. Przestał również

słyszeć: hałas okazał się zbyt wielki. Czuł, że unosi się w powietrzu; ogarnęła go fala potwornego gorąca.

Ostatnim wrażeniem zmysłowym okazało się głuche uderzenie, a potem jeszcze jedno.

Później wszystko znieruchomiało i ucichło, ale zakopiańczyk już tego nie słyszał.

Zachar założył hełmofon i zamknął klapę. Ciemności przyprawiającego o klaustrofobię wnętrza rozświetlały tylko dwie maleńkie żaróweczki i mdła poświata rzucana przez ekrany TOPAZ-a. Poczuł znane mrowienie w żołądku: zawsze tak było, gdy siadał na miejscu dowódcy i zatrząskiwiał właz. Szczęk tego żelastwa z reguły zwiastował ruszenie w bój. Potem mu przejdzie, ale pierwsze minuty będą trudne. Starał się o tym nie myśleć.

Wcześniej odbył ze swoim ludźmi trening na sucho, na zewnątrz haubicy. Wiedział, że nie może ich zalać potokiem słów, bo i tak niewiele zapamiętają. Chciał tylko, żeby wbili sobie do głów kilka podstawowych kwestii.

– Na froncie działło znajduje się w ruchu albo stoi w miejscu – mówił, częstując całą trójkę papierosami i dochodząc przy okazji do wniosku, że jeśli dalej będzie równie wielkoduszny, wkrótce sam stanie się tytoniowym sępem. – Stoimy wtedy, gdy strzelamy. Oddajemy jeden lub kilka strzałów, w zależności od konkretnej sytuacji, po czym jak najprędzej oddalamy się na nowe stanowisko. Generalnie obowiązuje zasada: wystrzel i spierdalaj, to może przeżyjesz.

Zarżeli radośnie. Zachar zdziwił się. Nigdy nie uważał się za człowieka dowcipnego. Może powinien zmienić zdanie.

– A więc jedziemy, żeby zająć pozycję albo, już po oddaniu strzału, zmienić stanowisko. Sytuacja pierwsza: ruszamy na stanowisko. Wyznaczam miejsce, kierowca zatrzymuje się. Wtedy podaję komendę: do boju! Prosta sprawa: do boju! Wtedy wy – spojrzal na obu kaprali – odblokowujecie działło i podnosicie lufę. Montujecie kątomierze busoli PG2. To jest ta busola. Potem już razem sprawdzamy łączność wewnętrzną oraz kontakt z dowódcą plutonu. Melduję gotowość. Dostaję dane z plutonu albo baterii, wydaję wam komendę. Dajemy ognia; raz, dwa trzy, ile trzeba. Podaję komendę: odbój. Robimy to samo, tylko

w odwrotnej kolejności. Opuszczacie lufę, blokujecie działo, demontujecie busole, sprawdzamy łączność, podaję komendę: jazda i spierdalamy w podskokach.

Znów zarechotali

– Na razie jasne?

– Jasne, panie sierżancie.

Nigdy nie miał uważniejszych słuchaczy. Byli przejęci, ale po raz pierwszy zaświtała im myśl, że może nie będzie tak źle.

– No, to do wozu.

Zachar skoczył na wieżę, kątem oka dostrzegając, że obaj artylerzyści wybrali bezpieczniejszą (choć dalszą) drogę przez umieszczony niewiele ponad poziomem gąsienic tylny właz, zwykle wykorzystywany do ładowania amunicji. Posapując i obijając się o dziesiątki wystających elementów (ciasnota Goździka jest wprost legendarna, zwłaszcza po załadowaniu amunicji, a oni pocisków mieli pod korek), zajęli miejsca i wcisnęli głowy w zbyt ciasne hełmofony. Kombinezony też zresztą okazały się za ciasne, upodabniając obu grubasów raczej do ludzika Bibendum ze słynnej reklamy Michelina niż groźnych wojowników. Zacharowi zachciało się śmiać. Gdyby Ruscy ich teraz zobaczyli...

– Dobra – powiedział, przygryzając wargi, by utrzymać powagę. – Łączność.

Sprawdzili. Nawet sprawnie. Interkom działał bez zarzutu. Podobnie przetestowali komunikację na szczeblu działo – pluton – bateria – sztab, spiętą cyfrowym systemem wymiany danych Fonet. Również pracowała bez zakłóceń.

Odfajkowane.

Potem zaczęła się prawdziwa zabawa. Zachar musiał nauczyć ładowniczego i celowniczego podstaw pracy. Z tym pierwszym praca okazała się stosunkowo łatwa. Spocony kapral (dla przyjaciół Sierioża) jako tako opanował zasady kompletacji ładunków (Goździk strzelał amunicją tak zwanego rozdzielnego ładowania), dobrania odpowiedniego zapalnika i wprowadzania nastaw. Teorię jakoś przyswoił, gorzej wypadł test praktyczny. Sierioża już przy pierwszej próbie przyciął sobie palce przy wciskaniu pocisku do kołyski, a zaraz potem huknął potężnie głową w regał amunicyjny, więc przez kilka minut pociechy z niego nie było, bo tylko siedział i na przemian chuchał na dłoń i mrugał oczami. Zachar starał się myśleć pozytywnie: może dzięki temu kapral zapamięta tę lekcję i stanie się ostrożniejszy.

Większy problem napotkał, gdy zajął się celowniczym. Jego rzekome doświadczenie z zasadniczej służby wojskowej odbytej przed blisko trzydziestolecie okazało się całkowitą fikcją. Facet nie odróżniał elewacji działa od azymutu, nie miał pojęcia o komputerach, a gdy Zachar wspomniał o nastawach, bezradnie drapał się po zroszonym potem czółku. Matwiejczuk zgrzytał zębami, ale nakazał sobie spokój, przeraźliwie świadom, że wrzaski i złość tylko pogorszą sytuację. Wiedział z doświadczenia, że lepszy efekt przynosi spokojna nauka i docenianie nawet najmniejszych pozytywów; rezerwiści bardzo szybko nabierają pewnej wprawy i ochoty do pogłębiania wiedzy, jeżeli widzą choćby pierwszy namacalny efekt swojej pracy. Tłumaczył zatem powoli, jak pięciolatki. Żeby strzelić, trzeba wiedzieć, do czego się strzela. Cel wskazuje dowódca plutonu lub baterii i określa jego rodzaj, bo innym pociskiem strzela się do piechoty, a innym do czołgu. To jasne, nie? Na ekranie twojego komputera, o tu, pojawią się liczby oznaczające kąt podniesienia lufy i kierunek prowadzenia ognia. Według tych liczb ustawisz działo. Tak, ręcznie, tu masz podziałkę. Pracę zatwierdza dowódca i wprowadza ewentualne poprawki. Czyli ja. Czyli strzelasz dopiero, jak ci powiem, nie wcześniej. Zrozumiano, celowniczy? Zrozumiano, panie sierżancie. Jedziemy dalej. Komendy. Mają swój określony porządek i zawiera się w nich: zapowiedź (strzela bateria, pluton, działo), numer celu, rodzaj celu (piechota, czołgi, stanowisko dowodzenia, desant), nastawa/wartość celownika – określa odległość do celu, wartość odchylenia od kierunku zasadniczego strzelania KZ (powiększyć KZ lub zmniejszyć KZ), ładunek, czyli zadanie dla ładowniczego, nastawa zapalnika (natychmiastowy, z długą zwłoką, czasowy), sposób prowadzenia ognia (ogień szybki – działa strzelają w miarę osiągnięcia gotowości, salwa czy na przykład trzy pociski co trzydzieści sekund, ogień prowadzi się wtedy w celu zapewnienia ciągłości ostrzału). Przykładowa komenda wygląda powiedzmy tak:

– Strzela bateria, cel sto jeden, piechota, celownik trzysta pięć, kierunek zasadniczy strzelania powiększyć o zero dwadzieścia, ładunek trzy, zapalnik natychmiastowy, trzy pociski szybkim, ognia! Jasne czy powtórzyć?

Nigdy nie widział równie głupich min obu kandydatów na artylerzystów.

Toteż oczywiście powtarzał, raz za razem, powoli i wyraźnie, jednocześnie pokazując konkretne przyrządy i dźwignie. Nadal nie wyglądali na takich, co łapią.

Kazał im samym przejść przez cały cykl. Solidarnie zacięli się na drugim elemencie.

Zachar westchnął i pomyślał, że długa droga przed nim. Niby to wiedział, zanim jeszcze dostali sprzęt, ale rzeczywistość przerosła wyobrażenia. Orka na ugorze, syzyfowe prace, co kto chce, do wyboru, do koloru. Pocieszył się, że na razie wojny nie ma, będą dużo ćwiczyć, celowniczy w końcu się nauczy, a Zachar będzie miał go na oku, korzystając z faktu, że stanowisko dowódcy działa znajduje się powyżej stanowiska celowniczego. W razie czego pomoże i skoryguje na bieżąco jego pracę, jak nie za pomocą łączności, to starą wojskową metodą: butem.

Po godzinie dał sobie spokój, bo miał wrażenie, że jeśli jeszcze raz powtórzy kolejność komend, oszaleje albo on, albo celowniczy. Kazał obu kapralom siedzieć na tyłkach i obserwować, po czym zabrał się za Walerego, który do tej pory nudził się jak mops, regularnie tylko podśmiewając się z nieudolności kolegów. Najpierw kazał młodziakowi pojechać do końca uliczki i skręcić w lewo. Ze swoich spacerów pamiętał, że za ostatnią linią domów, między Buczą a lotniskiem ciągnie się długa na kilometr wolna przestrzeń, pokryta rzadką roślinnością.

I tam właśnie Walery pokazał, co naprawdę potrafi. Zajmowanie wskazanego stanowiska, szybka jazda na wstecznym, ucieczka slalomem, gwałtowne zmiany kierunku jazdy na rozkaz i bez rozkazu, jazda z maksymalną prędkością – kierowca zdawał się być w swoim żywiole. Gdy tylko ruszył, Zachar wiedział, że się dogadają. Eks-student znał swój fach, Zachar również, dlatego jak przyjdzie co do czego, powinni tworzyć niezłą ekipę.

Spojrzał na siedzących obok kaprali – wyglądali jak siedem nieszczęść. Byli znękani i niemiłosiernie poobijani. Doświadczenie polega między innymi na tym, by wykonując zadanie, zachować głowy plus-minus w jednym kawałku, co nie jest sprawą prostą, bo podczas działań bojowych jeździ się naprawdę z dużą prędkością, zwłaszcza przy manewrowaniu przeciwogniowym po zakończeniu strzelania.

Postanowił ogłosić kwadrans przerwy, by pochwalić obsługę za postępy w nauce i zapalić papierosa, gdy w polu widzenia pojawił się zastępca dowódcy plutonu, sierżant-jąkała Litwinienko.

Haubica zahamowała gwałtownie. Zachar wychylił się z wieży. Na czerwonej twarzy sierżanta malowało się podniecenie, z którego to powodu pryskał śliną nieporównanie dalej niż zwykle.

– Woj... woj... woj... na – dukał, pomagając sobie rękoma. – Wojna, Ma... Matwiejczuk. Orki przekroczyły gra... a... nicę.

– Co ty gadasz, Oleg?

– Pu... Pu... Putin powiedział, że za...za... zaczynają operację specjalną i weszli, pa... pa... rszywcy. Sam zobacz... w tele... tele... telewizji pokazują.

Zachar zdumiał się, choć przecież spodziewał się tego typu wiadomości od pewnego czasu, wręcz na nią czekał. Nie żeby tęsknił do wojny (zbyt dobrze ją poznał, by tęsknić), ale jej nadejście wydawało mu się nieuchronne, dlatego wołał, by się zaczęło (i jak najszybciej skończyło), bo niepewność i brak rodziny nieznośnie mu ciążyły.

Teraz, gdy usłyszał od Litwinienki te straszne wieści, poczuł kolejny dreszcz, znacznie silniejszy od dotychczasowych. A więc jednak. Strach, brud, smród, ból, rany, utrata kolegów – wróćą dobrze znane, stare demony i staną się rzeczywistością, dniem codziennym. Człowiek nie będzie miał pojęcia, czy doczeka wieczora czy przetrwa choćby najbliższe minuty. Zacznie się życie w ciągłym dewastującym nerwy napięciu, do którego, wbrew opiniom niektórych, nie sposób przywyknąć. Świat stanie się inny, a już na pewno świat zwykłego żołnierza.

– Do... do... dowódca na zbiór... zbiór... kę woła – ciągnął Litwinienko. – Teraz, już!

Pojechali. I tak oto w życie sierżanta rezerwy artylerii, Zachara Matwiejczuka, męża Uljany i ojca dwóch ślicznych córeczek, po raz kolejny wkroczyła wojna, najstraszniejsza i najokrutniejsza ze wszystkich.

Maliszewski już od wielu godzin funkcjonował w stanie ogromnego napięcia, choć mało kto potrafiłby wyczytać to z jego mowy ciała. Dla postronnego obserwatora pułkownik był po prostu poważnym, skupionym profesjonalistą, potrafiącym nawet od czasu do czasu rzucić jakimś żartem. Działał szybko, zdecydowanie, nie zwlekał z podejmowaniem decyzji i pamiętał o niemal każdym szczególe. W rzeczywistości jednak znajdował się na granicy wydolności. Czuł, jak mocno wali mu serce (do czego przyczyniły się hektolitry kawy wypitej w ciągu ostatnich

godzin), pocą się dłonie, a czoło pokrywa pot. Miał wrażenie, że nie panuje ani nad sobą, ani, co gorzej, nad sytuacją.

Co nie powinno wydawać się niczym dziwnym, biorąc pod uwagę, że wydarzenia pędziły niczym Shinkansen pokonujący trasę z Tokio do Kioto. Zaczęło się dobrze. Agenci terenowi stanęli na wysokości zadania, lokalizując miejsce, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa znajdowali się dywersanci – na dowód przysyłając filmiki, na których ludzie, uzbrojeni w dobrze widoczne na obrazkach karabinki szturmowe używane przez naszych specjalsów i ubrani w mundury polskich wojsk specjalnych, palili papierosy (najwyraźniej wbrew woli przełożonych, bo często oglądali się za siebie). Miejsce to – stare magazyny wykorzystywane jeszcze przez sowieckie wojska inżynieryjne – znajdowało się niespełna dwadzieścia kilometrów od bazy dywizjonu Uraganów, o którym wspominał Maliszewski podczas narady z premierem, co bardzo ułatwiało zadanie artylerzyście odpowiedzialnemu za odpalenie rakiety. Artylerzysta ten został zrekrutowany zaraz po naradzie i był bardzo podniecony możliwością udziału w tak kozackiej (jak się wyraził) operacji. Zapewniał, że trafi w cel i pośle dywersantów do piekła, a nieznajomość systemu kierowania ogniem (Polacy używali zupełnie innej elektroniki) nie będzie stanowiła żadnej przeszkody w wykonaniu zadania. Operatorzy Formozy uśmiechali się pod nosem, słysząc te przechwałki.

Natychmiast po identyfikacji celu Maliszewski uzyskał zielone światło dla operacji Aragorn. Kryptonim zaproponował premier, nie zdradzając, że zbiegiem okoliczności jedno z jego dzieci przeżywa właśnie okres intensywnej fascynacji Tolkienem i non stop opowiada o dzielnym wojowniku. Zespół bojowy złożony z dwunastu najbardziej doświadczonych operatorów Formozy wskoczył do dwóch łodzi, zabrawszy oczywiście odzianego w kapok artylerzystę. (Ponieważ pogoda była typową aurą panującą na południowym Bałtyku w lutym, dzielny porucznik po trzech minutach od startu nabawił się choroby morskiej i już nie nazywał misji kozacką; w ogóle się nie odzywał, walcząc rozpaczliwie, by w trakcie rzygania nie wypaść za burtę, co oczywiście ponownie wywołało kpiące uśmiechy operatorów Formozy.) Łodzie te, typu RIB, zostały wykonane specjalnie na zamówienie klienta. Odznaczały się podniesioną dzielnością morską, strugowym napędem o mocy blisko tysiąca koni mechanicznych (dającym możliwość pływania po bardzo płytkich akwenach i ogromną zwrotność, znacznie większą niż przy

tradycyjnym napędzie śrubowym) i wzmocnioną konstrukcją kadłuba. Ciche i trudno wykrywalne przez radar, mogły rozpędzić się do prędkości blisko sześćdziesięciu węzłów, nawet przy stosunkowo silnym wietrze i dużej fali.

Riby znajdowały się już w połowie dystansu do celu, gdy wydarzyły się dwie rzeczy: zadzwonił telefon, a chwilę później przyszła pewna wiadomość mailowa. Oba te czynniki w zasadzie wywróciły operację Aragorn do góry nogami.

Maliszewski zerknął na wyświetlacz. Ukraiński numer. Niezarejestrowany w książce, a więc nieznany mu. Włączył protokół szyfrujący (będący zarazem zaporą uniemożliwiającą zainfekowanie aparatu niepożądanym oprogramowaniem) i wcisnął zielony guzik.

– Szefie? Tu Ferenc. Dzwonię z pożyczonego telefonu. – Głos kapitana brzmiał głucho, zniekształcony nienaturalnym, dudniącym pogłosem. Słowa dawało się jednak, choć z trudem, zrozumieć.

– Nie śpisz?

– Nigdy nie śpię o tej porze – padła odpowiedź. Kapitan właśnie zakomunikował przełożonemu, że może rozmawiać swobodnie i nie znajduje się w sytuacji przymusowej.

W tle rozległo się dziwne, głucho dudnienie. Pułkownik zeszywniał.

– Gdzie jesteś?

– W bunkrze prezydenckim. Zostaliśmy zaatakowani. Grupa dywersyjna, drony, ciężka broń...

– Zeleński żyje?

– Siedzi w sąsiednim pomieszczeniu; nie słyszy, o czym rozmawiamy. Na razie nic nam nie grozi.

Maliszewski nadstawił ucha. Ferenc chciał mu powiedzieć o czymś ważniejszym niż zamach. O czymś, czego w dodatku nie powinien wiedzieć ukraiński prezydent.

– Wajman i Lena?

– Są przy mnie.

Odetchnął z ulgą.

– Mów.

– Postrzelili Chołyczenkę. Paskudnie, w brzuch. Chyba nie damy rady mu pomóc. On...

– Rozumiem. – Pułkownik poczuł ukłucie żalu. Niełatwo zastąpić Wadima, starego, doświadczonego wilka o uczciwym sercu i otwartym umyśle. A jednocześnie człowieka ceniącego sobie współpracę z Polakami. Maliszewski miał dużą wiedzę na temat tarć i walk frakcyjnych nie tylko wśród ukraińskich stronnictw politycznych, ale nawet w bezpośrednim otoczeniu prezydenta. Postawy prorosyjskie, co tylko pozornie paradoksalne, cieszyły się w pewnych kręgach dużą popularnością. Wielu ludzi, bliskich doradców Zeleńskiego nie wyłączając, uważało, że z Rosją można i należy się dogadać, a kwestie Krymu i Donbasu da się rozwiązać za pomocą negocjacji, Polacy zaś mogą w tym dziele przeszkadzać. Inni z kolei optowali za ścisłą współpracą z Niemcami, co w ich umysłach nie dawało się pogodzić z przyjaznymi stosunkami z Polską.

– Słyszał pan o organizacji Czarny Sztorm?

Maliszewski zastygł. Przez dłuższą chwilę miał wrażenie, że się przesłyszał. Nazwa nie funkcjonowała w publicznym obiegu, nawet dla zdecydowanej większości ludzi służb stanowiła pusty dźwięk. On ją znał i jeśli można powiedzieć, że coś w życiu napawało go lękiem, to właśnie te dwa, z pozoru niewinne, wyrazy.

– Mów dalej.

Ferenc referował przez kilka minut, ograniczając się do konkretów, wnioski pozostawiając szefowi. Były druzgocące: jeśli przekazywane przez Ferencę informacje i przemyślenia Chołyczenki były prawdą (a jakoś dziwnie korespondowały z wiedzą Maliszewskiego; w gruncie rzeczy myślał podobnie do swego ukraińskiego kolegi), to budowany od wielu godzin misterny plan zapobiegnięcia nieszczęściu właśnie runął niczym domek dla lalek uderzony kowalskim młotem.

Ferenc skończył mówić w momencie, gdy w tle zabrzmiał kolejny huk, głuchy, groźny i tym razem dużo bliższy.

– Nie wiem, jak ci pomóc – powiedział pułkownik. Nie komentował przekazanych rewelacji. I tak już zbyt długo rozmawiali przez telefon.

– Poradzimy sobie. Z góry idzie kontratak.

– Uważajcie na siebie.

– Czołem, panie pułkowniku.

Maliszewski odłożył aparat na biurko w momencie, gdy program oznajmił nadejście zaszyfrowanego maila. Pułkownik odczytał treść i jeszcze bardziej się zasepił.

– Rosjanie rozpoczęli prowokację – zameldował Maliszewski ministrowi pół minuty później. Tak ustalono: operacją, z racji jej wagi, dowodził osobiście dowódca Formozy; szef Departamentu Wschodniego SWW natomiast został przez premiera wyznaczony jako koordynator całości, odpowiedzialny przede wszystkim za sprawny obieg informacji. Maliszewski omijał więc swojego szefa i raportował bezpośrednio do ministra. – Moje źródło melduje, że dywersanci szykują się do opuszczenia bazy. Jeśli nasze założenia są trafne, możemy przyjąć, że w ciągu najbliższych dwóch godzin zaatakują rosyjskie instalacje.

– Czy nasz zespół zdąży? – zapytał polityk.

Maliszewski zerknął na mapę z nanoszoną w czasie rzeczywistym pozycją zespołu szturmowego.

– Nie zdąży, panie ministrze. Potrzebuje co najmniej trzech godzin, żeby wystrzelić raketę, o ile wszystko poszłoby zgodnie z planem. A trzy godziny wystarczą Rosjanom, żeby dokonać prowokacji.

– Jest pan pewien?

Maliszewski miał świadomość, jaką wagę mają słowa, które za chwilę wypowie. Operację Aragorn można odłożyć do archiwum. Na scenę wkraczała starożytna, uświęcona rodzimymi tradycjami i bliska polskiemu sercu metoda wojowania: improwizacja. Której, gdy coś pójdzie nie tak, skutkiem ubocznym stanie się zaprezentowanie opinii publicznej kozła ofiarnego. Łatwo zgadnąć, kto tę funkcję spełni.

– O ile można być czegoś pewnym w tej sytuacji, tak – odparł pułkownik.

– Pańska rekomendacja?

Znów pytanie pułapka.

– Moim zdaniem dalsze operowanie zespołu bojowego nie ma sensu. Ryzyko wpadki zwiększa się, a możliwość wykonania zadania maleje właściwie do zera.

– Mam ich odwołać?

Oczywiście, warknął w myślach Maliszewski. Upływały kolejne sekundy, a minister dzielił włos na czworo.

– Może skonsultuje się pan z dowódcą Formozy? – zaproponował.

– Dziękuję za radę – burknął polityk. – Proszę czekać pod telefonem.

Trzask. Rozmowa została zakończona.

Trzy minuty później telefon rzeczywiście się rozdzwonił, asystent premiera przekazał polecenie szefa rządu nakazujące pułkownikowi wzięcie niezwłocznego udziału w naradzie – tym razem, z racji pośpiechu, w formule on-line – ponieważ komitet kryzysowy, obradujący kilka godzin wcześniej w identycznym składzie, musiał podjąć decyzję, co do dalszego sposobu postępowania.

Maliszewski sam nie miał sprecyzowanego poglądu na ten temat. Mijały minuty, a jego zmęczony mózg nie potrafił wypracować rekomendacji. Każde rozwiązanie przedstawiało się źle, zwłaszcza w kontekście tego, czego dowiedział się od Ferencza.

Widoczne na ekranie twarze polityków i żołnierzy wyglądały na zmięte i szare. Maliszewski od dawna nie zerkał w lustro, ale podejrzewał, że sam nie prezentuje się lepiej. Wszyscy przez ostatnie godziny żyli w stanie rosnącego napięcia i stresu. Pułkownikowi przemknęło przez głowę, że wyborcy z pewnością nie chcieliby oglądać swoich wybrańców w tym stanie, podobnie jak nikt rozsądny nie ma ochoty wiedzieć, jak się robi parówki. Teraz nie wyglądali na wygadanych czarodziejów, mających gotową odpowiedź na każde pytanie. Miał przed sobą kilku dorosłych mężczyzn, którym jeszcze niedawno nie śniło się, że od podjętych w najbliższych minutach decyzji może zależeć los kilku milionów ludzi. W całkiem dosłownym sensie. Kulisy tego rodzaju mechanizmów politycznych kapitalnie dodają dramaturgii filmom sensacyjnym, fatalnie jednak wypadają w realnym świecie.

– Panowie, wszyscy wiemy, jaka jest sytuacja – zaczął premier. Miał tę zaletę, że potrafił być bardzo rzeczowy i nie tracił czasu na ozdobniki. Teraz właściwie warczał przez zęby, z czego najpewniej nie zdawał sobie sprawy. – Moim zdaniem absolutnie nie możemy biernie czekać, aż Rosjanie przeprowadzą tę swoją prowokację, po czym uderzą na nas w ramach retorsji. Chcę poznać panów opinie. W jednym zdaniu. Co robimy?

Przynajmniej konkretnie, pomyślał Maliszewski. Ministrowie obrony i spraw wewnętrznych milczeli. Zdecydował się szef sztabu, pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej.

– W obecnej sytuacji wachlarz środków w zasadzie skurczył się do jednego rozwiązania: uderzenia lotniczego na rosyjskie instalacje raketowe. Wszystko inne będzie spóźnione.

Minister obrony narodowej nabrał powietrza w płuca.

– Mamy rozpocząć wojnę? – zapytał, nieświadomie zapewne nadając swemu głosowi teatralny wydźwięk. – Mamy zaatakować pierwsi?

– Mamy czekać na raketę? – odparował premier.

– Nie. Poprosimy o interwencję prezydenta Bidena.

– A jeśli ona nie odniesie skutku?

– Wtedy podejmiemy decyzję.

– Za późno.

Maliszewski zerknął w bok, na ekrany kilku wiszących na wielkiej ścianie telewizorów. W odróżnieniu od polityków, nie oglądał polskich programów. Lubił wiedzieć, co i w jaki sposób myśli przeciwnik. Dlatego w jego gabinecie królowały kanały Rossija 1, Rossija 24 i kilka innych. We wszystkich mówiono właściwie to samo: NATO nas chce zaatakować, Polacy koncentrują siły na Bugu, we wszystko wtrącają się Amerykanie, Ukraina w NATO jest śmiertelnym zagrożeniem, bo NATO chce nas zaatakować. I tak dalej. Wszystko podane w sosie wielkoruskiej retoryki, żywcem wziętej z dzieł i przemówień Aleksandra Dugina. Tak nie było tylko dziś, tak było zawsze, dziś jedynie mocniej przyciśnięto pedał gazu. Media zza wschodniej granicy doprowadzały rodzimą opinię publiczną do wrzenia. Sondáže pokazywały ogromne poparcie dla polityki władz. Obywatele Rosji (Białorusi w znacznie mniejszym stopniu) przyklasną każdej akcji wymierzonej w Zachód. Maliszewski doskonale wyobrażał sobie satysfakcję zwykłych Rosjan oglądających widoczki radioaktywnych zgliszcz w miejscu Warszawy.

– Zgadza się – powiedział, choć premier nie prosił go o opinię. Widział, że na jednym z dolnych ekranów do wygłoszenia swojego zdania szykował się minister spraw wewnętrznych, człowiek zaliczany do jastrzębi nawet przez część własnego obozu politycznego. – Musimy działać na własną rękę. Jeśli rzeczywiście prawidłowo odczytaliśmy rosyjski scenariusz.

Zapadła pełna namysłu cisza.

– Co pan ma na myśli, pułkowniku? – zapytał premier.

– Rosjanie uwielbiają prowokować. Oni nigdy nie napadają pierwsi. Oni zawsze się bronią. Leży w ich interesie, żebyśmy myśleli, że grozi nam atak. Uderzymy, oni staną się ofiarą, a my katem. O to dokładnie im chodzi.

– Sam pan twierdzi, że rosyjskie przygotowania faktycznie są w toku. Za chwilę przeprowadzą tę swoją prowokację. Potem uruchomią propagandę, która pokaże polskich schwytych do niewoli żołnierzy.

– Możliwe. Jednak to nie znaczy, że ostatecznie nacisną guzik. Powtarzam: chcą nas zmusić, żebyśmy to my go nacisnęli.

– Widzę, że zmienił pan zdanie.

– Zmieniłem. Ponieważ wypłynęły nowe fakty.

– Jakie to fakty? – warknął minister obrony. Był zły, najwyraźniej czuł, że nie ma kontroli nie tylko nad wydarzeniami, ale nawet nad przebiegiem spotkania.

– Panie pułkowniku, musimy podjąć decyzję teraz – zakomunikował premier, nie zwracając uwagi na wtórny zwierzchnika MON-u.

Maliszewski postanowił zagrać *va banque*. Szef dostałby zawału, gdyby go w tej chwili słyszał.

– Wiem. Ale myślę, że warto poświęcić kilka minut, żeby mieć więcej danych – powiedział. – Sądzę, że nie znacie panowie nazwiska Moskalewicz. Nie dziwię się. Pułkownik Siergiej Moskalewicz jest zastępcą szefa Departamentu Analiz, Prognoz i Planowania Strategicznego FSB. Człowiek pozostający w cieniu, ale to jeden z najważniejszych strategów Kremla. Przepraszam, użyłem złego czasownika. Już nie jest. Był. Został dziś wieczorem zastrzelony w Kijowie. To od niego dowiedzieliśmy się o grupach terrorystycznych, mających przeprowadzić zamach na prezydenta ZELEŃSKIEGO. Również dzięki niemu mamy wiedzę o rosyjskiej prowokacji. To dlatego mogliśmy wysłać Formozę, bo wiedzieliśmy, co Rosjanie szykują.

– Dlaczego nam pan to mówi? – chciał wiedzieć premier. Od kwadransa mechanicznymi ruchami czyścił okulary. Była w nim ambiwalencja; wiedział, że musi jak najszybciej dążyć do puenty, choć nie miał najmniejszej ochoty zmierzyć się z jej konsekwencjami.

– Bo moim zdaniem sytuacja wygląda naprawdę nieco inaczej, niż sądzimy.

– Z jakiego powodu?

– Pomyślmy przez chwilę jak Rosjanie. Spróbujmy postawić się na ich miejscu. Rozumowanie wygląda tak: mamy w planach podporządkowanie sobie Ukrainy, bo bez Ukrainy uważamy odzyskanie prawdziwej potęgi z czasów ZSRS i stworzenie nowego ładu europejskiego za niemożliwe. Jednocześnie nie chcemy, żeby do imprezy wtrącali nam się Amerykanie. Prezydent Biden dał co prawda niedawno znać, że o małe korekty terytorialne nie będzie robił krzyku, ale my chcemy mieć pewność, że jankesi ograniczą się do wyrazów oburzenia i gadania na forum ONZ. Dlatego wysyłamy do Polaków jednego ze swych najlepszych funkcjonariuszy, pułkownika Moskalewicz z FSB i każemy mu odegrać odpowiednią rolę. Udając wewnętrznego dysydenta nie zgadzającego się z oficjalną linią Kremla (na co są liczne dowody), pułkownik zgłasza się do Polaków (zwróćmy uwagę: nie do Amerykanów czy Brytyjczyków) i zdradza im plan mający na celu zniszczenie polskiej stolicy, żeby odstraszyć NATO. Trick polega na tym, że plan wygląda jak prawdziwy. Pułkownika w oczach Polaków uwiarygodnia nie tylko informacja o zamachach na ukraińskiego prezydenta, ale i atak na niego samego podjęty przez GRU, co pewnie wydarzyło się przypadkiem, ale idealnie współgrającym. Albo również zostało zaplanowane, a Moskalewicz poświęcono, by zlikwidować świadka intrygi. Bardzo dobrze potrafię sobie wyobrazić taką maskirowkę, która w dużej mierze maskirowką nie jest. Polacy, jak to Polacy, łkają przynętę, dzięki swoim źródłom potwierdzają, że prowokacja i retorsyjny atak na ich stolicę jest rzeczywiście szykowany, a ponieważ łatwo przewidzieć, że nie mają zamiaru siedzieć i czekać, aż im bomba atomowa spadnie na głowę, przeprowadzają uderzenie wyprzedzające, które niszczy rosyjskie wyrzutnie, ale tych najważniejszych, głęboko ukrytych oczywiście nie dosięga. I o to nam chodzi. Pokazujemy światu, że zostaliśmy zaatakowani przez kraj NATO, więc wedle doktryny mamy prawo odpowiedzieć jądrowym uderzeniem odwetowym. Co tym załatwiamy? Kilka celów naraz. Odstraszanie: po polskiej hekatombie Zachód pięć razy się zastanowi, zanim zacznie jakieś poważniejsze działania. Jednocześnie hojnie wspierani przez strumień rosyjskich petrodolarów antywojenni pacyfiści postarają się o odpowiednią narrację, głoszącą, ogólnie mówiąc, że wojna to zło. Rozłam: Amerykanie, Niemcy i Francuzi będą wściekli na Polaków, że podjęli uderzenie bez konsultacji (tak mógł zakładać rosyjski plan: Amerykanie na pewno nie zgodziliby się, gdyby zostali przez Polaków uprzedzeni. Polacy z kolei, przewidując weto sojusznika,

działaliby sami, chcąc uprzedzająco bronić własnego terytorium). W efekcie nastąpi paraliż decyzyjny NATO wynikający z powyższego.

Premier w końcu dał spokój okularom. Minister obrony pocierał policzek. Coś zaskrzeczało w głośniku. Wszyscy drgnęli.

Do rozmowy włączył się jadący z Kijowa prezydent.

– Dzień dobry panom – powiedział. – Słyszałem końcówkę wypowiedzi pana pułkownika. Opowieść brzmi bardzo ciekawie, ale niczego nie zmienia. Czy mamy do czynienia z prowokacją czy nie, nie możemy pozwolić na atak na stolicę naszego państwa. Nalegam na podjęcie natychmiastowych działań

– Panie prezydencie, z całym szacunkiem, można jeszcze dwa słowa?

– Myślę, że powinniśmy natychmiast przystąpić do działania.

– To bardzo ważne.

– Dobrze, ale proszę się streszczać. Musimy wysłać samoloty w powietrze.

– Intryga ma jeszcze jedną warstwę – powiedział cicho. – Moskalewicz miał bardzo ciekawy życiorys. Pozował na wewnętrznego kontestatora, któremu nie podoba się polityka Kremla, członka grupy, która miała w planach obalić aktualnego cara i usadzić na tronie innego, żeby dogadać się z Zachodem i udawać wzorcową demokrację.

– Tym lepiej, że zgłosił się do nas.

Moskalewicz pokręcił głową.

– W rzeczywistości zgłosił się do nas z zupełnie innego powodu. Towarzysz pułkownik był mózgiem grupy Czarny Sztorm. A przynajmniej jednym z głównych strategów i ideologów. Aleksander Dugin wygląda przy nim jak pacyfista z pieluchą w gaciach.

Dopiero po chwili się zreflektował.

– Przepraszam.

– Czarny Sztorm? – zapytał premier. Miał minę człowieka słyszącego tę nazwę po raz pierwszy. Nie on jeden.

– Czarny Sztorm to niejawną organizacją złożoną z najbardziej zaufanych oficerów kierownictwa FSB – ciągnął Maliszewski. – Składa się wyłącznie z tak zwanych turbopatriotów, twardego jądra twardogłowych jastrzębi, którym polityka Kremla wydaje się karygodnie niezdecydowana i miękka. Grupa stawia

sobie zadanie doprowadzenia do siłowego przemeblowania porządku światowego, z użyciem dowolnych środków, jakie ma do dyspozycji Rosja, włączając broń jądrową. Nasz wywiad ze strzępków informacji – nawet dobrze poinformowane kremłowskie źródła czasem nie wiedziały o kim mowa, gdy pytaliśmy o Czarny Sztorm – starał się złożyć nie tyle obraz celów organizacji, bo te są całkiem jasne, ale przede wszystkim jej sprawczość. Wnioski są pesymistyczne: lobbing członków grupy staje się coraz skuteczniejszy, Moskwa coraz bardziej otwarcie dąży do powrotu na imperialny tron. Mówiło się, że ultimatum ogłoszone formalnie przez Ławrowa dwudziestego pierwszego grudnia dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku stanowiło pierwszy, widoczny gołym okiem sukces organizacji. Jednak członkom Czarnego Sztormu nie wystarczyło. Oni chcą, żeby wszystko szło szybciej i w sposób bardziej zdecydowany. Chcą zastraszyć i zniechęcić Zachód, i dlatego posłali do nas Moskalewicza. To nie jest akcja Kremla. To akcja jastrzębi, którzy uważają, że Kremlem rządzą mięczaki. Jeśli uderzymy, co do joty wypełnimy założenia grupy. Kreml nie będzie miał wyjścia. Oprócz Ukrainy zaatakują także nas.

– Ma pan na to dowody? – warknął minister obrony.

– Nie wiem, jakiego typu dowody ma pan na myśli, panie ministrze. Czarny Sztorm nie ogłasza się w prasie, co nie zmienia faktu, że istnieje w rzeczywistości.

– Maliszewski nie zdążył skończyć zdania, gdy już besztął się w duchu za złośliwy ton. Naprawdę czuł się zmęczony. Jego fenomenalne zdolności przystosowawcze nie były tak znaczne jak kiedyś. – Walka frakcji w rosyjskim kierownictwie trwa. Sam pan wie najlepiej, że nie brakuje ludzi, również dziennikarzy czy analityków, którzy nalegają na użycie broni jądrowej, postulują zaostrzenie polityki. Uderzenie spotka się z szeroką akceptacją społeczną. Plan oceniam jako wysoce prawdopodobny. Czarny Sztorm chce postawić Putina przed faktem dokonanym: nie atrapą ataku, ale naszym prawdziwym atakiem. Niestety, teraz od nas zależy, jak to rozegramy.

– Czyli pan myśli, że prowokacja stanowi błąd?

– Tak. Ma nas sprowokować od ataku, ale jest czystą wydmuszką.

– Moskalewicz grał zdrajcę, żeby nas zmusić do zbombardowania ich wyrzutni?

– Tak właśnie myślę.

– Ma pan na to dowody?

– Nie.

Wbrew naleganiu prezydenta wybuchła gwałtowna dyskusja. Zdania były podzielone. Bano się reakcji Amerykanów, ale z drugiej strony dominował trzeźwy sceptycyzm. Administracja obecnego gospodarza Białego Domu nie dała się poznać jako ta, która twardo przeciwstawia się Rosjanom. Okazało się, że nawet wśród bardzo proamerykańskich polityków obecnej formacji rządzącej dominuje krytyczna ocena skuteczności pomocy Wielkiego Brata Zza Wielkiej Wody. Generałowie z marsowymi minami namawiali do szybkiego działania.

Ostatecznie spór przeciął prezydent.

– Panowie, spoczywa na nas historyczna odpowiedzialność. Marginesu błędu nie ma. Nie mamy pewności, czy jest tak, jak mówi pułkownik Moskalewicz. Rosyjskie przygotowania do startu rakiet są faktem. Musimy posłać samoloty w powietrze i zniszczyć rosyjskie wyrzutnie. Jako zwierzchnik sił zbrojnych nakazuję rozpoczęcie misji naszego lotnictwa. Proszę o niezwłoczne wydanie odpowiednich rozkazów.

Sytuacja stała się jasna. Do pracy wzięli się żołnierze, w gorączkowym pośpiechu starając się zaplanować precyzyjne uderzenie lotnicze na obiekty znajdujące się na wrogim, usianym systemami antydostępowymi, terytorium.

Zegar tykał.

Podczas gdy Dowódca Operacyjny Rodzajów Wojsk wspólnie z szefem Sztabu Generalnego analizowali zadanie, na stanowisku dowodzenia Dowództwa Operacyjnego w Zespole Operacji Powietrznych i Obrony Powietrznej trwała burza mózgów. Kilkunastu specjalistów podawało rozmaite pomysły realizacji misji. Szybko wyłoniło się kilka różniących się od siebie rozwiązań, które, w idealnym świecie, szef zespołu powinien ubrać w słowa i przedstawić dowódcy jako warianty do rozpatrzenia. Ostatecznie szef Centrum Planowania podjął decyzję o opracowaniu jednego wariantu. Czas biegł jak szalony; z systematycznie spływających informacji wynikało, że wyrzutnie praktycznie osiągnęły gotowość do otwarcia ognia w kierunku Warszawy. Ponieważ sytuacja była zgoła nietypowa, wojskowi ogólne założenia misji przedstawili do akceptacji politykom: nikt nie zgłaszał obiekcji, premier ograniczył się jedynie do zaproponowania nazwy operacji, na co wszyscy się zgodzili, bo jakoś nie przyszło im do głowy, że warto wymyślić coś bardziej stosownego.

W rozkazie bojowym przekazanym do wykonania dowódcy Centrum Operacji Powietrznych polecono wykonanie misji COMAO (Composite Air Operation), co w języku NATO oznacza operację połączoną, w której biorą udział rozmaite rodzaje statków powietrznych. Misja miała zostać wzmocniona działaniami dywersyjnymi na granicy z obwodem kaliningradzkim. Dodatkowo, po raz pierwszy w historii polskich sił zbrojnych, zdecydowano się użyć bezzałogowych statków powietrznych Bayraktar TB2, pachnącego jeszcze świeżą farbą nabytku Sił Powietrznych.

Plan został zaakceptowany.

Rozpoczęła się operacja Mordor.

FAZA 3

**Szósta rano – dwunasta w południe
24 lutego 2022**

Etap 1

Fomin zerknął na zegarek. Nadchodził decydujący moment operacji Uran. Piękna nazwa. Czuł prawdziwą satysfakcję, że brał udział w wyborze kryptonimu, który został, za jego podpowiedzią, zaczerpnięty od jednej ze zwycięskich bitew Armii Czerwonej – operacji, która stała się bezpośrednią przyczyną klęski Wehrmachtu pod Stalingradem. To właśnie od szturm na skrzydła i okrążenia sił niemieckich zaczął się sukces zmieniający przebieg drugiej wojny światowej, więc obecni planiści poprzez nazwę nawiązywali do najlepszych tradycji radzieckiego oręża. Symbole w wojsku są ważne, nawet bardzo ważne. Dobrze, że młodzi to doceniają.

Zgrzytnęły wielkie rygle. Operatorzy unieśli broń. Wrota uchyliły się bezszelestnie. Stojący w nich mężczyzna nie odznaczał się ani urodą, ani imponującą sylwetką. Miał szarą, pociągłą twarz z niestarannie ogolonymi policzkami i małe oczy, ukryte pod na wpół zamkniętymi powiekami. Bezbarwny, niemal anonimowy człowiek z ogromnymi możliwościami. Major widział go po raz pierwszy w życiu, ale doskonale wiedział, z kim ma do czynienia.

– Dobry wieczór, Jewgieniju Fiodorowiczu – powiedział główny doradca prezydenta do spraw ekonomicznych, o nieswojo brzmiącym w ukraińskich uszach nazwisku False. Mówił po rosyjsku bez miejscowych naleciałości. Choć pochodził ze starego rozdania (pracował dla rozmaitych prezydenckich administracji od blisko dwudziestu lat), Zeleński nie tylko zostawił go na stanowisku, ale również nadał uprawnienia umożliwiające dostęp do wszystkich zakamarków i tajemnic kompleksu. GRU uważało go za jednego ze swoich najcenniejszych agentów i nigdy do tej pory nie skorzystało z jego usług.

– Cieszę się, że was widzę, Siergiej Iwanowiczu – powitał go życzliwie major.

– Ja również. Macie otwartą drogę aż do samego bunkra. Monitoring ma awarię.

– Świetnie – odparł Fomin, nie ukrywając zadowolenia. Mimo wszystko spodziewał się trudności czy przeszkód; do tej pory nie napotkali żadnych. – Ruszamy.

Rozgałęziony system podziemnych schronów, magazynów i tuneli przypominał skomplikowany labirynt, którego centralny punkt stanowił Obiekt Numer 1. Wejście główne, chronione przez dwie pary niezależnie otwieranych drzwi, miało w założeniu stanowić barierę nie do sforsowania. Blisko metrowej grubości, zamykane na potężne rygle wrota wykonano z wielowarstwowej stali, zdolnej oprzeć się nawet silnemu ładunkowi wybuchowemu. Pomyślano nawet o maksymalnym utrudnieniu podejścia do bunkra, projektując po bokach opancerzone otwory strzelnicze, z których obrońcy mogli prowadzić ogień do dywersantów, próbujących siłą utorować sobie drogę.

Fomin nawet nie zamierzał zbliżyć się głównego wejścia.

False poprowadził grupę niezwykle wąskim korytarzem, pełniącym funkcję szachtu instalacji elektrycznych i komunikacyjnych. Przejście było wyjątkowo uciążliwe, ciasnota krępowała każdy ruch, zmuszając operatorów do poruszania się bokiem. Marsz zajął im blisko pół godziny, ale efekt wynagrodził wysiłek. Wyszli wprost na znajdujące się na tyłach kompleksu wyjście ewakuacyjne, pomyślane jako awaryjna droga ucieczki, gdyby intruz do Obiektu Numer 1 dostał się od frontu. Tunel biegł blisko sto metrów pod ziemią, przechodził pod dnem Dniepru, by dotrzeć do okrągłego szybu, prowadzącego na powierzchnię. Wyjście ukryto w zamkniętym na głucho, zwyczajnie wyglądającym transformatorze wysokiego napięcia, który z racji swej funkcji raczej nie zachęcał ludzi do zwiedzania jego wnętrza. Fomin nie skorzystał z tego podejścia ze względu na bardzo dużą liczbę kamer znajdujących się w okolicy oraz, co ważniejsze, posterunku policji ulokowanego tuż obok. Wybrał drogą dłuższą, bardziej skomplikowaną i wymagającą współpracy kogoś z wewnątrz, ale dającą możliwość skrytego dostania się wprost pod wyjście ewakuacyjne.

Cel osiągnął.

Obiekt Numer 1 stał się pułapką bez wyjścia. Jeśli Zeleński nie zdoła umknąć do znajdującego się w samym środku kompleksu bunkra bezpieczeństwa (coś w rodzaju panic roomu, ostatniej deski ratunku, gdyby napastnikom udało się dostać do wnętrza), zadanie zostanie wykonane natychmiast. Jeśli zdoła, przedłuży swe życie najwyżej o kilka minut. Przejście ostatnich wrót będzie banalnie proste.

False wystukał kod na klawiaturze. Szczęknął zamek. Droga do środka Obiektu Numer 1 stanęła otworem. Operatorzy bezszelestnie przekroczyli próg.

Z bronią gotową do strzału jak duchy ruszyli naprzód.

Ferenc niczego nie usłyszał, nie miał żadnych przeczuć ani rozbrzmiewających w głowie alarmów, tak dobrze znanych z wielu kiepskich powieści sensacyjnych. Po prostu poczuł na twarzy podmuch zimnego powietrza. System wentylacyjny pracował równo i bezgłośnie (agregaty znajdowały się piętro niżej), ale coś się zmieniło. W przyjemną, równomierną temperaturę pomieszczenia wkradł się intruz. Ferenc podniósł wzrok. Pod sufitem zobaczył zwykłą metalową kratkę wentylacyjną. To z niej wionęło chłodem. Zresztą na krótko: temperatura wróciła do normy tak szybko, że Ferenc poważnie zastanawiał się, czy nie uległ złudzeniu. Był piekielnie zmęczony, bolała go ręka, senność sklejała mu powieki – mogło mu się wydawać.

Jednak nie. Nie mylił się.

Ostrożnie, by nie przeszkadzać pogrążonemu w ciężkim, nierównym śnie Chołyczence, wyszedł z ambulatorium. Pusty korytarz oświetlały dwie słabe żarówki. Wentylacja pracowała normalnie. Skąd zatem wziął się zimny podmuch?

Z różnicy temperatur między pomieszczeniami. Ponieważ w bunkrze system utrzymywał na stałe osiemnaście stopni Celsjusza, anomalia przyszła z zewnątrz. Powietrze w korytarzach prowadzących do bunkra było przynajmniej o dziesięć stopni chłodniejsze. Ktoś otworzył drzwi, zimne powietrze dostało się do środka i zostało następnie zassane przez pompy, które, zrządzeniem losu, wepchnęły je do ambulatorium.

Ktoś otworzył zamknięte drzwi?

A dlaczego nie? Kto powiedział, że Rosjanie mieli tylko jeden wariant planu, przewidujący frontalne natarcie na pałac?

Nie skończył jeszcze tej myśli, gdy już biegł, nie zwracając uwagi na atak bólu zranionego ramienia. Pokonał korytarzyk, wpadł do głównego holu, po czym skręcił w prawo, do dyżurki, do której wpadł niczym huragan. Ochroniarz siedział w fotelu i obserwował monitory. Na tych pokazujących podejścia do Obiektu Numer 1 panował martwy spokój, w odróżnieniu od ekranów przedstawiających sytuację w pionowym szybie komunikacyjnym. Trwała tam zaciekle walka resztek grupy dywersyjnej, która zaatakowała pałac, z nacierającymi energicznie

Ukraińcami. Rosjanie próbowali maksymalnie opóźnić dotarcie odwodów do Obiektu Numer 1.

– Masz dostęp do listy wejść i wyjść? – zapytał. Czuł, że wewnątrz się gotuje. Ochroniarz spojrzał na niego zaniepokojony.

– Każda praca rygla jest rejestrowana – odparł. – Nikt niczego nie otwierał.

– Wyjście ewakuacyjne?

– Po co chcesz wiedzieć?

– Na wszelki wypadek. Sprawdźmy, czy nikt niczego nie kombinuje.

Ukraińiec był ranny, ale nie na tyle ciężko, by zrobiło mu się wszystko jedno. Kliknął myszką i pochylił się nad ekranem. Zajaśniał rząd cyfr. Ochroniarz obrócił do Ferenc a bladą jak papier twarz.

– Poziom minus jeden – powiedział. – Póltorej minuty temu.

– Alarm! – krzyknął kapitan, nie tracąc czasu na zastanawianie się, jakim cudem napastnikom udało się otworzyć drzwi do bunkra. Ochroniarz z całej siły wcisnął czerwony przycisk. Gdy zawyła syrena, Ferenc miał już w ręku broń.

– Gdzie jest wejście na ten poziom?

– Klatka schodowa. – Ochroniarz odwrócił się do zawieszzonego na ścianie planu i wskazał miejsce w rogu bunkra. – Tam.

– Masz gdzie ukryć szefa?

– Mam. Na końcu korytarza jest wewnętrzny schron.

– Zabieraj go!

Wybiegł pędem z dyżurki, skierował się w lewo i omal nie wpadł na Wajmana, który z lekką dezorientacją w oczach przyglądał się wyjącemu głośnikowi.

– Weszli bocznym wejściem – rzucił kapitan, przebiegając obok.

Major przystanął na chwilę przy szafie kryjącej uzbrojenie i pognął za Ferencem.

Kątem oka widział, jak Lena wypada z laboratorium i podpina w biegu magazynek do najzwyczajszego pod słońcem kałacha. Nie wyglądała na zaskoczoną. Już nieraz podziwiał jej zimną krew.

Dopadli do klatki schodowej. Drzwi okazały się otwarte, co zdecydowanie nie było zgodne z procedurą. Ferenc uniósł pistolet. Stalowe, kiepsko oświetlone

schody prowadziły w dół. Wydawało mu się, że słyszy kroki. Ciche, wytłumione gumową podeszwą buty, jakich używają żołnierze sił specjalnych. Wiele butów.

Czyli atak na pałac to tylko tłok, który wepchnął nas do cylindra, pomyślał Ferenc. Miał wrażenie, że bijące mocno serce wprawia pistolet w drżenie. Jest nas troje, mam niesprawną rękę, więc w zasadzie dwoje i pół. Jesteśmy Polakami i bronimy ukraińskiego prezydenta. Pewnie zginie. I nikt za to nie podziękuje. Kurwa, za tydzień nikt tu już nie będzie tego pamiętał. Co mu ty robimy?

Myśli jak huragan przebiegały przez głowę, żadna nie pomagała, żadna nie wydawała się sensowna, każda działała destrukcyjnie.

– Oni i tak nas zabiją, czy będziemy strzelać czy nie – mruknął Wajman. Ferenc odwrócił się. Major nie patrzył na niego, obserwował schody. Na tyle dobrze znał Ferenc, że wiedział? Słyszał jego myśli? Czy przekonywał sam siebie?

– Nie ma o czym gadać – mruknęła Lena. Jej wyraziste oczy zwęziły się do wąskich kresiek. Wyglądała jak puma szykująca się do skoku.

To jednak przeciwnik oddał pierwszy strzał w tej bitwie. Z głębi klatki schodowej dobiegł terkot, przypominający schrypnięty kaszel. Kule uderzyły we framugę i z przeciągłym gwizdem poleciały dalej, po czym wbiły się w ścianę, wzbijając kłęby ceglanego pyłu. Jako pierwszy gość na imprezie zameldował się karabinek szturmowy z tłumikiem.

Ferenc cofnął gwałtownie głowę.

Napastnicy dostrzegli ich. Nic dziwnego, oficerowie wywiadu popełnili błąd, stając w otwartych drzwiach i mając za plecami oświetlony korytarz. Umieci strzelać i znali podstawy taktyki, ale ich przeszkolenie nawet się nie równało z morderczym treningiem, jaki przechodzą specjaliści. Na tle żołnierzy Specnazu byli amatorami.

Dopisało im szczęście, bo żadna z kul nie trafiła. W odpowiedzi Lena strzeliła na oślep długą serią. Wajman wyciągnął w kieszeni granat – okazało się, że w szafie znajdowały się także pocziwe F1, używane jeszcze w czasie II Wojny Światowej, a major zachował się na tyle przytomnie, żeby przywłaszczyć sobie jeden – wyrwał zawleczkę i cisnął żelazo w dół, jeszcze nim umilkł Kałasznikow Leny. Huk wybuchu i wrzaski porażonych wstrząsnęły klatką schodową. Korzystając z osłony wypełniającego przestrzeń dymu, Mokrzycka posłała zawartość kolejnego magazynka w ciemność. Kule hałaśliwie rykoszetowały o poręcz i schody. Potem

jednak magazynek się skończył. W odpowiedzi przez otwarte drzwi wpadł granat hukowo-błyskowy i eksplodował, nie dając Polakom czasu na reakcję.

Wstrząs i oślepiające światło posłały trójkę obrońców na podłogę.

Ferenc nie widział nic i niczego nie słyszał, czuł tylko chropowatą fakturę betonu pod dłonią, z której wypadła mu broń. Miał wrażenie, że głowa zaraz pęknie, czuł się obolały i złamany; instynkt przetrwania jednak kazał mu wstać i działać. Najpierw chwiejnie się podniósł, dopiero potem otworzył oczy. Zgodnie z oczekiwaniami zobaczył wielkie czerwone plamy i właściwie niewiele więcej. Mrugnął. Niewyraźny zarys ludzkiej sylwetki, metr dalej kolejnej. Obie poruszały się wolno, ale chyba szybciej niż on przed chwilą. Lena właśnie zmieniała magazynek.

Zaczął rozglądać się za pistoletem. Nie dostrzegł go.

Za chwilę tu będą. Pomyślał, że tak właśnie wygląda koniec.

– Idźcie – nakazał Wajman. Podobnie jak Mokrzycka miał w ręku karabinek szturmowy. Ferenc domyślał się słów, bo w uszach nadal dzwoniło potężnie. Major krwawił obficie ze złamanego nosa, ale wyglądał na zdeterminowanego. – Osłonię. Idźcie – dodał głośniejszym głosem, widząc, że Ferenc zamierza protestować.

– Filip... – powiedziała Lena.

– Nie ma mowy – wydukał Ferenc. – Zginiesz.

Wajman machnął niecierpliwie dłonią.

– Spierdalać, ale już – nakazał.

Ferenc walczył ze sobą. Słyszał już tamtych. Nie zdołają ich powstrzymać. Ale Wajman... Wajman podał mu rękę, gdy Ferenc tego najbardziej potrzebował.

Kurwa mać! Nadal nie potrafił się zdecydować.

Wajman opadł na podłogę na wprost wyjścia, szykując się do walki. Nie zwracał już uwagi na pozostałą dwójkę. Lena z nieszczęśliwą miną pociągnęła Ferenca za rękaw. Szedł oszołomiony, bezbronny, dając się prowadzić jak dziecko, z huczącą w głowie burzą sprzecznych myśli. Powinien przecież zostać, wszyscy powinni. Albo wiać razem. Byli tu obcy, nikt nie oczekiwał od nich poświęcenia życia. Przecież... Usłyszał długą serię, potem kolejną, staccato pojedynczych strzałów, krzyki, wybuch, kolejny wybuch – i jeszcze jeden...

Nie wiedział, co robić.

Potem przypomniał sobie słowa ochroniarza. Bunkier bezpieczeństwa, ostatni bastion. Wskazał dłonią. Skręcili w prawo. Stanęli przed zamykającymi korytarz wrotami. Ferenc dostrzegł kamerę. Pomachał do obiektywu.

Strzelanina umilkła. Ponieważ rezultat starcia mógł być tylko jeden, cisza oznaczała, że napastnicy są już blisko. A Wajman nie żyje.

Stał i patrzył w nieruchome oko kamery. Lena rozejrzała się. Szukała alternatywy, drogi ucieczki, broni, czegokolwiek. Nie dostrzegła niczego przydatnego. Otaczały ich gładkie ściany korytarza, u wylotu którego za chwilę pojawią się rosyjscy żołnierze. W łozu Kałasznikowa został jeden, ostatni już, magazynek.

Gdzieś daleko zadudniła głucho eksplozja. A potem jakby gwałtowny deszcz zabębnił o blaszany dach. Walka resztek rosyjskich grup szturmowych z ukraińskimi odwodami najwyraźniej przeniosła się z szybu komunikacyjnego pod główne wejście do Obiektu Numer 1. Miała nadzieję, że wkrótce Ukraińcy przełamią obronę. Musieli wytrzymać, zyskać choć kilka minut.

Szczęknął zamek. W szparze pojawiła twarz ochroniarza.

– Szybko – powiedział.

Gdy znaleźli się w środku, oddzieleni od korytarza grubą warstwą stali, poczuli ulgę, choć oczywiście zdawali sobie sprawę, że schronienie nie dawało gwarancji bezpieczeństwa. Było małe i wyposażone w wąskie łóżko, stolik, dwa krzesła, szafę z zapasami oraz lodówkę. A także stojący na blacie telefon. Prezydent siedział na krześle i przyglądał się przybyszom. Na kolanach trzymał pistolet.

Sig Sauer, pomyślał Ferenc. A potem dostrzegł charakterystyczną kotwicę na lufie. Sig P226 w wersji Navy Seals, sprecyzował. Poważna broń.

– Gdzie major? – zapytał Zeleński. – Gdzie pułkownik Chołyczenko?

Ferenc oderwał wzrok od pistoletu, ze znużeniem pokręcił głową i pokazał za siebie. Zeleński sposepniał jeszcze bardziej. Do Ferenca po raz pierwszy dotarło, że przecież on też jest człowiekiem i odczuwa emocje. Nigdy w ten sposób nie patrzył na polityka, swojego czy obcego. Facet tkwił w pułapce bez wyjścia, a co gorzej, walił się świat, o który tak mocno walczył. Jego niedawne słowa o unikaniu prowokowania Rosjan brzmiały jak ponura groteska.

– Są – mruknął ochroniarz, wpatrując się w niewielki ekran. – Siedmiu. Jeden chyba ranny.

– Siedmiu – mruknął Zeleński. – Kiedy Karpiuk tu będzie?

– Pięć minut, może trochę dłużej, panie prezydencie – odparł sierżant, który niedawno właśnie rozmawiał z generałem przez radio. – Szef mówi, że tamtych zostało już tylko kilku. Ale póki się bronią, nasi nie otworzą głównego wejścia.

– Niech się pospieszą.

– Przekażę.

Przytknął do ust krótkofalówkę, rzucił kilka słów, radio zatrzeszczało w odpowiedzi.

– Zakładają minę pod drzwi – mruknęła Lena, zerkając na ekran.

Ferenc odwrócił głowę. Na ekranie jeden z napastników manipulował przy czymś, co znajdowało się poza polem widzenia kamery, nawet nie zadając sobie trudu zniszczenia jej i oślepienia uciekinierów. Ferenc zmusił się do szybszego myślenia. Założenie ładunków wybuchowych i wysadzenie drzwi nie powinno zająć więcej niż dwie lub trzy minuty. Rosjanie zdążą wejść do bunkra przed przybyciem odwodów. I załatwić sprawę.

Czuł, jak wzdłuż kręgosłupa spływa strumień potu.

– Szafa – powiedziała Lena. Ferenc spojrzał na nią, potem na mebel, potem znów na nią, tym razem z uznaniem. Wspólnym wysiłkiem, starając się nie wywoływać hałasu, przesunęli stalowe pudło bliżej wejścia, a następnie położyli je na plecach. Ferenc na własną rękę dorzucił jeszcze na wierzch oba krzesła, kładąc je nogami do góry, po czym krytycznie przyjrzał się zaimprovizowanej barykadzie. Nie wyglądała imponująco; mimo wszystko miał nadzieję, że choć odrobinę utrudni napastnikom dostęp do środka.

Było mu coraz bardziej gorąco. Oddech stał się chrapliwy.

– Panie prezydencie, proszę stanąć za mną – nakazał ochroniarz, ruszając wzdłuż ściany, na której znajdowały się drzwi. Klęknął w kącie. Zdawał się spokojny i profesjonalny, Ferenc widział jednak, że to poza. Facet miał rozszerzone źrenice i szybko łykał ślinę. Zeleński schował się za jego plecami, sprawdził magazynek w Sig Sauerze, po czym mocno uchwycił rękojeść. On nie próbował grać – był przerażony, śmiertelnie blady i trzęsły mu się ręce. – Wybuch nas ogłuszy i zdeorientuje.

– Daj mi swój pistolet – poprosił Ferenc.

Sierżant zerknął na puste dłonie Polaka. Bez słowa rzucił mu wyjętą z kabury broń. Ferenc zajął pozycję obok Leny, w przeciwległym kącie pomieszczenia, poza linią ognia ochroniarza.

Za drzwiami panowała całkowita, złowróżbna cisza. Oczekiwanie stało się niemal fizycznym doznaniem. Może o to chodziło napastnikom: napięcie wyczerpuje, osłabia wolę walki. Ferenc złapał się na myśli, że jeśli ma umrzeć, chciałby, żeby stało się to szybko.

Grzmot detonacji rzeczywiście okazał się ogłuszający.

Dym na dłuższą chwilę zredukował widoczność do zera. Z hukiem pękła wisząca u sufitu lampa. Ferenc, po raz drugi w ciągu ostatnich dwudziestu minut, oślepl i ogłuchł.

Skutki wybuchu działały jednak również na korzyść obrońców.

Napastnicy wśród grzechotu serii wpadli do pomieszczenia i tuż za progiem natknęli się na niewidoczną barykadę – noktowizory radzą sobie z mrokiem, nie przebijają jednak wywołanego wybuchem ciężkiego dymu. Gdy pierwszy operator z rozmachem kopnął w blaszane pudło, czwórka obrońców – prezydent również – jednocześnie otworzyła ogień. Ochroniarz zużył cały magazynek, posyłając serię wzdłuż ściany. Lena nie mogła pozwolić sobie na taką rozrzutność: strzelała ogniem pojedynczym, na źródło dźwięku. Napastnicy wywracali się o szafę lub padali rażeni kulami. Ferenc dostrzegł niewyraźną sylwetkę, strzelił trzykrotnie, w odpowiedzi zaterkotał karabinek szturmowy, kule wybiły szereg dziur w ścianie tuż nad jego głową. Poprawił, celując w błyski. Seria umilkła. Z miejsca, gdzie znajdowali się obaj Ukraińcy dochodziły strzały pistoletowe, a zaraz potem zagrzmiała kolejna seria – ochroniarz zdążył już zmienić magazynek.

Ferenc wystrzelał naboje do końca. Iglica trzasnęła sucho. Lenie również skończyła się amunicja. Oboje stali się bezbroni.

Ale nikt już nie odpowiadał. Prezydent i sierżant wstrzymali ogień. Od strony wejścia dochodziły jęki rannego człowieka. A może dwóch. Ciemność przeciął snop światła podpiętej do karabinu latarki. Ochroniarz nakazał prezydentowi pozostać na miejscu, a sam, na ugiętych nogach, z bronią gotową do strzału, ruszył do wejścia, po czym po kolei odkopał broń daleko od każdego z napastników.

– Siedmiu – powiedział. – Trzech rannych, czterech zabitych. Może pan podejść, panie prezydencie.

Ferenc nawet nie zauważył, w którym momencie pistolet wypadł z jego osłabłej nagle dłoni. Nogi odmówiły posłuszeństwa, osunął się po ścianie i tak został, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Liczyło się tylko to, że żył.

– Żołnierze drugiej baterii – zawołał kapitan, gdy ustawili się w dwuszeregu. – Mamy wojnę. Wróg przekroczył granicę. Stajemy do walki o naszą ojczyznę. I nie zawahamy się. Sława Ukrainie!

– Gierojam sława – ryknęła w odpowiedzi bateria, zszokowana po usłyszeniu przekazanych przez dowódcę wieści.

– Znajdujemy się daleko od linii frontu, ale nasze zadania się nie zmieniają – ciągnął dowódca. – Postawiono przed nami zadanie jak najszybszego osiągnięcia gotowości bojowej. Tylko temu się teraz poświęcimy. Dowódca dywizjonu wyznaczył harmonogram ćwiczeń. Na razie bezstrzałowo zgrywamy się w plutonach. Pięć minut na kontakt z rodzinami, potem oddajecie komórki, jasne? Żeby nie było, że któryś sobie schował, bo jak nas ruscy namierzą, to wszyscy zapłacimy głową za głupotę jednego. A potem do roboty. Wykonać!

Bezstrzałowy trening walki. Cudownie. Zachar rozumiał oczywiście powody: nie znajdowali się na poligonie, brakowało warunków do strzelania. Niemniej takie ćwiczenie to zawracanie głowy, zwłaszcza wtedy, gdy wojna może artylerzystów z Czarnych Kruków dopaść w każdej chwili.

Bateria na razie o tym nie myślała.

Nie wszyscy mogli się dodzwonić do rodzin, więc tylko niektórzy szczęśliwcy gorączkowo rozmawiali z żonami, matkami, dziećmi. Zachar należał do tej grupy. Stanowczym tonem (jeszcze wczoraj nie ośmieliłby się odezwać w ten sposób do żony) kazał Uljanie spakować siebie i dzieci i natychmiast wyjeżdżać do Polski. Protestowała, płacząc; nigdy nie słyszał jej tak roztrzęsionej. W końcu, prośbą i groźbą, udało mu się wymusić obietnicę, że wyjedzie. Pięć minut minęło, kapitan ryknął jak dworcowy megafon, Zachar wrzucił telefon do wspólnego worka i ćwiczenia zaczęły się znów, bardziej nerwowe i wykonywane pod presją, aczkolwiek mało kto – szeregi Czarnych Kruków zasilano stosunkowo niewielu weteranów – zdawał sobie w pełni sprawę z tego, czym naprawdę jest wojna. Większość żołnierzy, zarówno obsługa haubic, jak i wozów towarzyszących,

błądziła myślami z dala od podhostomelskich łąk i lasów. Myśleli o bliskich, a służbowe czynności wykonywali mechanicznie, często robiąc błędy i tracąc czas.

Obsługi działa dowodzonego przez sierżanta Matwiejczuka dotyczyło to także, samego Zachara zresztą nie wyłączając. Sierżant wykrzykiwał komendy i dumął. Mieli samochód, owszem, ale stary i trapiiony ciągłymi awariami. Czy Uljana da radę go uruchomić? Czy po drodze zdoła uzupełniać paliwo? Czy drogi nie będą bombardowane? Z Humania do Polski jest ponad sześćset kilometrów. Czy Ruscy nie zaatakują wzdłuż granicy, by odciąć możliwość transportu zaopatrzenia z Polski, a więc i wjazdu do Polski? Pytań wiele, żadnych odpowiedzi, a jeśli już, jedna bardziej ponura od drugiej. Gryzł więc nerwowo kciuk, komendy podawał niedbale, nie sprawdzał zbytnio jakości ich wykonania, przez dłuższy czas miał gdzieś rzeczy niezwiązane z żoną i dziewczynkami.

Narastający, przenikliwy świst przywrócił go do przytomności. Zadarł głowę.

Ki czort, bliat’?

Owalny, podłużny kształt mknął po niebie z poddźwiękową prędkością, zostawiając za sobą smugę gorącego powietrza. Był ciemnoszary i miał dwie pary krótkich skrzydeł. Zachar widział kiedyś jego zdjęcie w którymś z ilustrowanych magazynów, poświęconych uzbrojeniu armii rosyjskiej.

Proszę państwa, oto pocisk manewrujący Kalibr, jeden z najbardziej zaawansowanych systemów uzbrojenia agresywnego sąsiada ze wschodu. W jego głowicy bojowej mieściło się blisko pół tony materiału wybuchowego.

Rakieta obniżyła gwałtownie lot i skręciła lekko, jakby w końcu, po długich poszukiwaniach, odnalazła cel. Na sekundę zniknęła Zacharowi z oczu. A potem nad zabudowaniami wykwitł szary grzyb eksplozji. Podmuch wionął mu w twarz smrodem spalenizny, głuchy grzmot zaatakował uszy. Rakieta uderzyła w miejsce stacjonowania Czwartej Brygady Szybkiego Reagowania Gwardii Narodowej.

Zachar nie zdążył jeszcze na dobre otrząsnąć się ze zdumienia, gdy nadleciał następny Kalibr i eksplodował mniej więcej sto metrów od miejsca wybuchu pierwszej rakiety.

Dwa słupy dymu biły w zimowe niebo.

– Co to, kurwa mać? – Celowniczy wystawił przez właz szarą z przestachu twarz.

– Ruskie rakiety – odparł Zachar, równie zdumiony, ale przestraszony chyba jednak mniej.

– Zbiórka baterii przy stanowisku pierwszym – zatrzeszczał w słuchawkach niewyraźny głos lejtnanta Krawczenki. – Potwierdzić.

– Działon pierwszy, potwierdzam – odparł Zachar.

Nie zdążyli nawet dojechać na miejsce koncentracji baterii (ten baran Zajcew znów o mało nie spowodował wypadku, dla odmiany prawie wpadając na inną haubicę), gdy wróg znów się pojawił, tym razem bliżej. Zachar usłyszał nadlatujący śmigłowiec, zidentyfikował go jako szturmowy Mi-24 i w pierwszej chwili nawet się uspokoił. Ukraińskie lotnictwo miało takich sporo. Chłopcy lecą na pomoc gwardzistom, wszystko jest w porządku. To nasz. Spokojnie.

Spokojnie?

A co w takim razie robi wielka czerwona gwiazda na kadłubie?

– Ruscy! – ryknął Zachar, w zasadzie nie wiedząc, pod którym adresem. Obwieszony zasobnikami z uzbrojeniem latający czołg całe szczęście nie interesował się Czarnymi Krukami. Ignorując szare cielska haubic, pognął w stronę lotniska. Pół kilometra dalej jego ciemna sylwetka rozjarzyła się feerią rozbłysków, efektownie kontrastując z pochmurnym, gniewnym niebem. Cienkie smugi pomknęły w stronę pasa startowego i hangarów. Eksplozja była doskonale widoczna, mimo półtorakilometrowego dystansu. Dopiero po chwili do uszu Zachara dobiegł huk, a jeszcze później swąd spalenizny i podmuch ciepła. Helikopter ostro poszedł w górę. Obudziła się ukraińska artyleria przeciwlotnicza: ku wiekowemu wiropłatowi pomknęła seria świetlistych pocisków, chybiła jednak i poleciała dalej, w niebo.

We włązie obok znów pojawiła się nalana gęba celowniczego.

– Ruscy? – zapytał z niedowierzaniem, jakby jeszcze nie dotarli do niego wieści, że wojna z Rosją stała się faktem, a rakiety eksplodowały kilometr stąd. – Tutaj?

– Naprzód – krzyknął Zachar, nawet nie starając się odpowiedzieć na pytanie. Niepotrzebnie podnosił głos, Walery omal nie ogłuchł, gdy słuchawki interkomu eksplodowały wrzaskiem dowódcy.

Ale polecenie wypełnił.

Haubica szarpnęła i ruszyła do przodu, w przyspieszenie wkładając całą moc silnika.

– W lewo – nakazał Zachar, już znacznie ciszej. W stronę Hostomela leciały kolejne śmigłowce: opasłe, ciężkie Mi-8, groźne Mi-24 i rzeczywiście podobne nieco do morderczego gada Aligatory. Zdały się wypełniać całe niebo, od horyzontu do horyzontu, co nie było prawdą, ponieważ w rzeczywistości armada liczyła niespełna czterdzieści maszyn, ale wrażenie robiła potężne.

Desant.

Skurwysyny. Kiedyś, przy kartach i kielichu (picia na służbie i po służbie unikał, ale raz czy dwa dał się namówić) zastanawiał się wraz z Krawczenką i pozostałymi dowódcami działonów nad wariantami ruskiego uderzenia, o ile takie nastąpi. Krawczenko upierał się (a im więcej wypił, tym bardziej się upierał), że kacapy zaatakują Kijów, a jednym z elementów uderzenia będzie opanowanie stołecznych lotnisk przez wojska powietrzno-desantowe. Zawsze tak robili, czy to w Czechosłowacji w sześćdziesiątym ósmym, czy w Afganistanie jedenaście lat później; opanowanie stolicy i lotniska stanowiło sedno ich strategii – perorował, machając kieliszkiem i rozlewając, o ironio, Stoliczną. Pozostali, w tym Zachar, nie zgadzali się z tym. Zbyt ryzykowne. Desant narażony jest na kontratak, zwłaszcza gdy nie posiada wsparcia broni ciężkiej. Muszą do niego szybko dotrzeć siły naziemne, a znad granicy z Białorusią wcale nie tak blisko. Kijów duże miasto, łatwo opanować się nie da, samej policji tu kilkanaście tysięcy uzbrojonego chłopca, nie mówiąc o stołecznym garnizonie, ochronie prezydenta i innych formacjach pod bronią.

Ta myśl uspokajała.

Zachar czuł przez skórę, że w razie zlikwidowania albo zmuszenia do ucieczki Zeleńskiego wola ukraińskiego oporu szybko upadnie. Nie to, żeby jakoś lubił obecnego prezydenta. Jak wielu innych uważał go za człowieka niepoważnego i pozbawionego kwalifikacji. Niemniej facet był wybraną w demokratycznych wyborach głową państwa. A ludzie mają to do siebie, że w razie nieszczęścia skupiają się wokół władzy. Gdy jej zabraknie, gdy nie będzie wyraźnego lidera, morale załamie się, w każdym razie osłabnie tak bardzo, że mało komu starczy chęci do kontynuowania oporu.

Dlatego utrzymanie Kijowa ma kluczowe znaczenie dla przebiegu wojny i, szerzej, niezawisłości Ukrainy.

No, a teraz okazuje się, że pijany ruską wódką Krawczenko miał rację. Desant. W Hostomelu. U wrót do stolicy. W sytuacji, gdy, na nieszczęście, obronę lotniska

stanowiło, o ile się orientował, jedynie kilka pojedynczych oddziałów Gwardii Narodowej pozbawionej wsparcia artylerii.

Zaraz.

Zachar i jego koledzy byli artylerią, do cholery. Mieli osiemnaście haubic, po dach załadowanych amunicją, kolejną jednostkę ognia na wozach i baki pełne ropy. Stanowili poważną siłę.

Odgonił od siebie tę myśl. Jaką znowu siłę? To prawda, mają sprzęt, ale umiejętności nędzne. Tylko by szkód narobili. Słyszał gdzieś, nie mógł sobie przypomnieć od kogo, ale wtedy źródło wydało mu się całkowicie wiarygodne, że gdyby doszło do próby opanowania lotniska Antonowa, dowództwo w ramach wsparcia zamierzało użyć stacjonującej niedaleko jednostki wyposażonej w haubice 2S7 Pion, dwustutrzymilimetrowe potwory o straszliwej sile ognia, na dodatek obsadzone przez profesjonalne obsługi. Więc nie ma się co wychylać z głupimi pomysłami, nie ma nawet co tak myśleć.

Jednak już pierwsze słowa kapitana zmroziły go.

– Żołnierze drugiej baterii – krzyknął dowódca. Ostatnio w zasadzie tylko krzyczał lub wrzeszczał. – Sytuacja jest krytyczna. Rosjanie zaatakowali lotnisko. Jeśli je zdobędą, będą mieli otwartą drogę do Kijowa. Rozkazem dowództwa wchodzimy do walki. Zgodnie z planem obrony musimy pomóc chłopakom z pierwszego batalionu Brygady.

– Panie kapitanie – zaprotestował lejtnant. – Przecież my mamy sprzęt od kilku godzin...

– Myślicie, że o tym nie wiem, Krawczenko? – Kapitan momentalnie wpadł we wściekłość. Zacharowi przyszło do głowy, że dokładnie tak musiała wyglądać rozmowa dowódcy baterii ze swoim przełożonym, majorem dowodzącym dywizjonem, zwanym Starym. Tamten nakazywał, ten protestował i tak sobie gadali, oczywiście bez żadnego efektu, bo rozkaz musiał zostać wykonany, jak to w wojsku. – Bateria ma niezwłocznie wejść do walki. Cel: pas startowy lotniska.

Krawczenko dyskutował dalej, ale Zachar już był myślami przy zadaniu. Które, jego zdaniem, wbrew obiekcjom lejtnanta miało sens. Nie znał się jakoś specjalnie na metodach prowadzenia desantu, ale wiedział, że w ślad za pierwszym wkrótce przyleci drugi rzut. I to nie będą już śmigłowce, siłą rzeczy powolne i mające stosunkowo mały udźwig, a potężne transportowce, niosące w swych

przepastnych wnętrzach nie tylko setki kolejnych żołnierzy, ale również ciężki sprzęt, w tym bojowe wozy piechoty i działa. Jeśli taka armada wyląduje w Hostomelu, żadna siła z niego Rosjan nie wykurzy. Więc trzeba jej to uniemożliwić, czyniąc pas niezdatnym do użytku. A, że dowódca miał do dyspozycji ofermę? Cóż, nie pierwszy raz w historii wojen.

– Stanowiska – ciągnął kapitan, gdy już przełamał opór Krawczenki. – Pierwszy pluton zajmie na północno-wschodnim skraju parku miejskiego. Drugi pluton na prawo od niego. Cele podają dowódcy plutonów. Pamiętać o wyznaczeniu działa dyżurnego. Do roboty... i powodzenia, panowie. Sława Ukrainie.

– Gierojam sława – odparła bateria, nawet w połowie nie z takim zapałem jak za poprzednim razem.

Zajęli miejsca w wozach, wszyscy nieświadomi, co ich czeka, więc przestraszeni w dwójnasób, z nietęgimi minami, niezdarni.

Ryknęły silniki.

Sześć Goździków, ciągnąc za sobą długi ogon wozów towarzyszących i kopiąc okropnie z rur wydechowych, ruszyło wprost w tężejący nieopodal bój.

Zachar jechał jako pierwszy. Siedział na wieży i przyglądał się pochmurnemu niebu, raz po raz przecinanemu przez świetliste smugi pocisków lub rakiet. Odgłosy intensywnej strzelaniny dochodziły to z lewa, to z prawa – walki gwałtownie wybuchały i równie gwałtownie się kończyły. Helikoptery zataczały obszerne pętle, ubezpieczając walczących na ziemi szturmowców, czujne, w każdej chwili gotowe rozszarpać najmniejszy przejaw oporu.

Cud, że nas jeszcze nikt nie zauważył, pomyślał sierżant.

Jazda trwała krótko, do parku miejskiego było niedaleko, może dlatego udało się dojechać niepostrzeżenie. Miejsce wybrano bardzo dobrze – bateria schroniła się między dającymi osłonę drzewami, a jednocześnie znalazła się blisko celu.

– Sierżant Matwiejczuk, działo dyżurne – usłyszał w słuchawkach głos Krawczenki.

– Przyjąłem – powiedział z niechęcią.

Mógł się tego spodziewać. Lejtnant wierzył w jego umiejętności radzenia sobie w trudnych sytuacjach, a działo dyżurne wybierano właśnie spośród najbardziej doświadczonych obsług. Goździk Zachara miał pełnić rolę ubezpieczenia plutonu i zwalczać ogniem na wprost ewentualne zagrożenie.

Szkoda, że jego ludzie jeszcze nigdy z niczego nie strzelali.

Wszystko miało charakter improwizacji, choć teoretycznie jakiś plan dowództwo przygotowało. Wbrew obiekcjom Zachara i innych (z wyjątkiem lejtnanta Krawczenki) jeden z wariantów zakładał lądowanie rosyjskiego desantu i stawienie mu oporu przez, zawczasu przygotowane, stanowiska ogniowe obsadzone przez żołnierzy brygady. Ponieważ jednak gros ciężkiej broni szło na wschód, do Donbasu, na Zaporozże, pod Charków i Sumy, Hostomelu w pierwszym rzucie miała bronić w zasadzie wyłącznie lekka piechota uzbrojona w broń maszynową i granatniki. Odwód stanowiła wzmocniona kompania zmotoryzowana, w razie problemów wspierana przez wybraną baterię Goździków z dywizjonu Czarne Kruki, a gdyby sytuacja zrobiła się krytyczna, do walki miały wejść pozostałe haubice jednostki oraz – znacznie później, z racji koniecznego do pokonania dystansu – mordercze Piony.

Tyle teoria.

Bateria jechała, co prawda, na stanowiska, ale nikt pojęcia nie miał, gdzie walczy i czy w ogóle walczy wymieniona w planie odwodowa kompania piechoty. Ani kapitan, ani Krawczenko o niej nie wspominali. Bateria miała wejść do bitwy sama. Rozkaz zakładał tylko ostrzelanie pasa startowego, ale Zachar wiedział dobrze, że gdy otworzą ogień, natychmiast sprowokują przeciwdziałanie przeciwnika. Kto ich wtedy osłoni? Goździki pozbawione są karabinów maszynowych: mieli strzelać z dział do piechoty i śmigłowców? Owszem, można i tak, ale nie jest to najbardziej efektywny sposób walki.

Martwił się więc Zachar, martwił się, czy Uljana już jest w drodze i czy szczęśliwie dotrze do granicy, martwił się swoimi kapralami i martwił się zadaniem. Rosyjskie śmigłowce na razie wprawdzie kręciły się tylko w bliskim perymetrze pasa startowego albo wręcz nad nim wisiąły, ale mogły ich zauważyć w każdej chwili.

Mogły, ale nie zauważyły.

Bateria z hukiem i łomotem skręciła w parkową drogę, bezlistne drzewa otuliły ich, osłoniły, dały ułudę bezpieczeństwa. Drugi pluton zatrzymał się, by zająć stanowiska, pierwszy pognął pół kilometra dalej, zwolnił, po czym wykonał skręt o dziewięćdziesiąt stopni. Zgodnie z rozkazem wóz Zachara wysunął się do przodu i zajął stanowisko na skraju lasu. Sierżant krótkim rozkazem zagonił obsługę do zamaskowania działa (ach, jak szybko ruszali się kaprale, z jakim

zapalem łamali gałęzie i wyrywali krzaki, starając się ukryć zielonkawo-szare cielsko haubicy), a sam poświęcił się lustracji terenu.

Lotnisko widział doskonale. Budynki i hangary stały się obiektem zaciekłych ataków – Zachar nawet stąd dostrzegał osmalone dziury w dachach i elewacjach, widział dymy pożarów, rozprzestrzeniający się ogień i porozrzucane szczątki samolotów i pojazdów. Atak nie pozostał zresztą bez odpowiedzi: wraki dwóch helikopterów dymiły nieopodal pasa startowego. Obrońcy mieli do dyspozycji pewną liczbę kierowanych pocisków przeciwlotniczych Igła i najwyraźniej zrobili z nich użytek.

Kolejny śmigłowiec usiadł na ziemi. Wysypały się z niego drobne figurki żołnierzy. Zachar pomyślał, że zarówno maszyna, jak i ludzie stanowią idealny cel do strzału na wprost (do czego haubica 2S1 Goździk nadaje się wbrew pozorom bardzo dobrze, mało tego, jest bardzo celna). Jeden granat odłamkowo-burzący w helikopter, dwa następne do piechoty...

Dobry dowódca powinien jednak nie tylko wykazywać się refleksem i umieć wykorzystywać nadarżające się okazje, ale przede wszystkim potrafić przewidzieć konsekwencje swoich decyzji. Tu nie było nawet nad czym się zastanawiać, strzały zdemaskowałyby nie tylko haubicę, ale i cały pluton, który musiałby niezwłocznie szukać nowego stanowiska. Czas, czynnik w bitwie niejednokrotnie dominujący, zostałby bezpowrotnie stracony. A obrońcy lotniska wyraźnie przegrywali walkę. Liczyła się każda minuta.

W słuchawkach zabormotał głos Krawczenki.

– Pluton na stanowiskach?

– Działon pierwszy na stanowisku – zameldował Zachar.

– Działon drugi, na stanowisku.

– Działon trzeci, na stanowisku.

– Strzela pluton, cel sto dwa, pas startowy, celownik trzysta, kierunek zasadniczy strzelania zmniejszyć o zero trzydzieści, ładunek trzy, zapalnik natychmiastowy, pięć pocisków szybkim. Meldować gotowość do otwarcia ognia.

Zachar powtórzył komendę głośno i wyraźnie. Czerwony na twarzy ładowniczy wziął się do pracy: pocisk wylądował w kołysce, która wepchnęła go do zamka i tym razem obyło się szczęśliwie bez przyciętych palców. Z ładunkami zeszło nieco dłużej, ale w końcu i one zostały prawidłowo załadowane.

- Działon pierwszy, gotów.
- Działon drugi, gotów.
- Działon trzeci, gotów.
- Ognia!

Huknął strzał. Haubica zakolysała się, w nosy obsługi buchnął smród spalonego prochu.

– Załadować! – krzyknął Zachar, wyręczając celowniczego, który siedział i gapił się jak urzeczony przez peryskop, wyczekując skutków pierwszego w życiu strzału bojowego.

Tym razem ładowniczy przyciął sobie nie palce, a całą dłoń. Pozostałe działony zdążyły posłać w powietrze po dwa kolejne pociski, gdy kapralowi, z pomocą Zachara, udało się w końcu nakarmić ładunkami żarłoczny zamek działa. Huknęło. Pocisk poleciał do celu.

Zachar zostawił strzelanie artylerzystom i skupił się na obserwacji przedpoła. Pierwszy pocisk poleciał za daleko i za bardzo w prawo. Przy drugim, zajęci uśmierzaniem hysterii ładowniczego, nie wprowadzili poprawek, więc ten również okazał się niecelny. Dopiero trzeci siedział w pasie. I czwarty też.

Zachar miał właśnie wydać rozkaz do piątego strzału, gdy Rosjanie zareagowali. Jeden z Mi-24, samorzutnie, a może uruchomiony rozkazem, przyspieszył, wykonał gwałtowny zwrot i skierował się wprost na stanowiska pierwszego plutonu.

Równocześnie duża grupa spadochroniarzy ruszyła do ataku na piechotę. Spełniło się Zacharowe czarnowidzenie.

Pierwszym wrażeniem zmysłowym, jakie do niego dotarło, były dźwięki, dalekie i ciche.

Nie potrafił zidentyfikować ich pochodzenia. Coś brzęczało, raz dalej, raz bliżej, coś głucho dudniło, jakby gigantyczny wieloryb uderzał ogonem w pusty silos zbożowy. Odgłosy dochodziły do niego jak zza grubej szyby, stłumione, nie zawierały w sobie ani wysokich ani niskich tonów. Otworzył oczy. Biel i żółć, poza tym nic. Mrugnął. Biel i żółć, choć nieco wyraźniejsza. Pozostawił oczy otwarte.

Poruszył się. Coś go więziło. Uświadomił sobie, że jego głowa spoczywa na wystającym twardym przedmiocie o ostrych krawędziach, a reszta ciała – zaczął odczuwać, że ma ciało, zawsze jakiś postęp – leży na boku, skręcona, z podkurczonymi nogami.

W nozdrza uderzył go kwaśny, duszący odór. Zakaszłał. Z trudem dochodzące do sprawności oczy zaszyły łzami. Poczłł gorąco. Usłyszał trzask ognia.

Pożar!

Szarpnął się, głowa łupnęła w żelastwo, gdzieś w nodze odezwał się ból, ostry, ale nie paraliżujący. Szarpnął się ponownie, coś trzasnęło, poleciał w dół, niedaleko, ale wystarczająco, by boleśnie uderzyć barkiem o podłozę.

Zaczłł widzieć.

Tkwil w przewróconym na bok, rozbitym samochodzie. Żył dlatego, że pas bezpieczeństwa, nim pęklł, przytrzymał go w fotelu kierowcy i nie pozwolił wypaść na zewnątrz podczas koziołkowania. Zmienił pozycję, okupując ruch kolejnym atakiem bólu, i powoli, miarkując wysiłek, wypełził przez pozbawione szyby przednie okno. Dziesięć metrów dalej płonął wrak wojskowej ciężarówki. Żar stawał się nie do wytrzymania. Wszędzie wokół leżały okropnie pokiereszowane ciała żołnierzy. Tylko jeden z nich poruszał się, wrzeszcząc wniebogłoso, choć jego głos słabł z każdą chwilą. Nieco dalej, w rowie, leżał na burcie kolejny samochód ciężarowy, podziurawiony dla odmiany pociskami z działka. Tu żywych było więcej; ranni jęczeli lub krzyczeli, kilku lżej poszkodowanych starało się im pomóc, dwaj inni, zdezorientowani, kręcili się w kółko. Żaden z pewnością nie nadawał się do walki.

Pamięć usłuznie podsunęła obrazy: nadlatujący Aligator, jasne smugi zostawiane przez rakiety, oślepiający blask eksplozji, szarpnięcie fali uderzeniowej, lot w powietrzu, koziołkowanie, uderzenie...

Gdzie Kika?

Siedziała z tyłu, pilnowała Zawadzkiej. Czy zapięła pas? Nie pamiętał. Wszystko działo się szybko, koncentrował się na prowadzeniu samochodu. Podniósł głowę i rozejrzał się. Zobaczył ciemnozieloną bluzę. Kika leżała w przydrożnych zaroślach, po drugiej stronie szosy. Nie ruszała się. Zawadzkiej nie dostrzegł.

Nie zwracał uwagi na rozgrywającą się w pobliżu walkę. W przerwach między kanonadą słyszał wydawane po rosyjsku komendy, grzmiały wybuchy granatów,

sucho trzaskały serie działek, dudniły moździerze – ale niezbyt go to obchodziło. Niebezpieczeństwa nie odnosił do siebie – rozumiał przecież, że helikopter zaatakował ciężarówkę, oni dostali przypadkiem. To nie była jego wojna. Zabierze Kikę i wyniesie się stąd do wszystkich diabłów.

Nie zdążył wstać, gdy usłyszał huk. Blisko, bardzo blisko. Krzyk, a potem znowu dwa, trzy, cztery strzały.

Zza leżącej dalej ciężarówce wynurzyli się dwaj żołnierze. Umysł Krzeptowskiego pracował jeszcze na zwolnionych obrotach, dlatego nie od razu rozpoznał ich przynależność. Szli wolno, z bronią przy ramieniu, na zgiętych nogach. Raz jeden, raz drugi strzelał do czegoś, co leżało na ziemi. Krzyki mieszały się z hukiem broni.

Ruscy.

Pieprzeni Ruscy dobijali rannych.

Obolały i oszołomiony niedawną eksplozją i kraksą samochodu, nadal jeszcze nie do końca przyjmował do wiadomości grożące mu niebezpieczeństwo. Klęczał, na wpół wychylony zza wraku auta, obserwował żołnierzy i nawet nie próbował się ukryć.

Do działania pchnęły go wydarzenia następnych sekund.

Ranny Ukrainiec w rozpaczliwej walce o życie próbował odczołgać się z miejsca katastrofy. Rosjanie podeszli do niego niespiesznie, po czym jeden z nich strzelił rannemu w głowę, wyraźnie dobrze się przy tym bawiąc. Ukraiński żołnierz znieruchomiał w jakiś makabrycznie naturalny sposób, jakby po prostu się zmęczył. Rosyjscy spadochroniarze przestali się nim zajmować: niemal jednocześnie dostrzegli leżącą kilkanaście metrów dalej Kikę i pewnie na tym by się skończyło, gdyby nie to, że policjantka poruszyła się. Krzeptowski zastygł, ogarnięty zgrozą. Pomagając sobie rękoma, Kika próbowała przewrócić się na plecy.

Żołnierze, nie przestając się uśmiechać, ruszyli w jej stronę.

Mózg zakopiańczyka zaskoczył.

Schylił się, by zejść tamtym z widoku, i sięgnął po pistolet. Dłoń natrafiła na pustą kaburę. Spojrzał w dół. Broni nie było. Z prostego powodu. Starym zwyczajem, gdy uznawał, że może wystąpić jakakolwiek potrzeba jej użycia, odpinał sprzączkę zabezpieczającą, co zrobił, gdy wchodzili do domu Zawadzkiej.

W trakcie ucieczki kabura nadal pozostawała otwarta. Pistolet wypadł podczas wypadku i mógł znajdować się wszędzie.

Tamci zbliżali się do Kiki.

Ignorując ból, Krzeptowski zmusił ciało do maksymalnego wysiłku. Na czworakach, korzystając z auta jako osłony, dotarł do bagażnika. Otworzył go za pierwszym razem, co zakrawało na cud, bo równie dobrze wskutek koziółkowania kłapa mogła się zakleszczyć na amen. Podłużny, wykonany z wytrzymałego plastiku futerał leżał na boku, ale wyglądał na nieuszkodzony. Krzeptowski gorączkowym ruchem rozpiął zatrzaski. Magazynek tkwił w łożu, GROT był w zasadzie gotowy do pracy, wystarczyło rozłożyć dwójnóg albo strzelać bez niego. Krzeptowski wyjął broń, wprowadził pocisk do zamka, wychylił się, złożył...

Dwa strzały huknęły jak jeden.

Kula trafiła żołnierza tuż nad kamizelką i posłała na ziemię. Krzeptowski więcej się nim nie zajmował. Błyskawicznie przeniósł ogień na kompana. Za pierwszym razem trafił nie tam, gdzie chciał, bo żołnierz wykazał się refleksem i zaczął się schylać. Pocisk uderzył w bok kamizelki i wywrócił jej właściciela, nim jednak ciało dotknęło ziemi, zakopiańczyk strzelił jeszcze raz – GROT 7,62N jest bronią samopowtarzalną – i trafił faceta w policzek. Idąca skosem kula wyszła przez skroń po drugiej strony głowy w efektownej fontannie krwi.

Krzeptowski biegł ciężko, kulejąc i zataczając się, ze ściśniętym ze strachu żołądkiem. Opadł na kolana przy nieruchomym ciele. Kika leżała na plecach, miała nieruchome oczy, twarz białą niczym papier. Krew rozległą plamą wypływała z rany na piersi i wsiąkała w ziemię.

Spojrzał w pochmurne niebo zastygłymi ze zgrozy oczyma, jakby skarżąc się Panu Bogu na okrucieństwo, jakie ją spotkało. Nienawidził samego siebie: spóźnił się ze strzałem o ułamek sekundy, zbyt wolny i ślamazarny, by jej pomóc.

– Nie – szepnął.

Śmierć Kiki nie mieściła mu się w głowie. Przecież umawiali się na popijawę, może jeszcze nawet w Kijowie, gdy już załatwią kwestię przecieku. Obiecała mu zdradzić, z jakiego powodu, mając dobrą pracę i sukcesy, zdecydowała się przyjechać do ukraińskiej stolicy. Miała opowiedzieć o swoim mężu, który coraz bardziej się od niej oddalał – do tego stopnia, że wieść o wyjeździe żony na Ukrainę na miesiąc lub dłużej przyjął z ostentacyjną wręcz obojętnością.

Zatamował krew i przytknął ucho do jej ust. Zbędny wysiłek: hałas bitwy uniemożliwił usłyszenie czegokolwiek. Złapał Kikę za przegub. Nie wyczuł pulsu. Miał rozpaczliwą nadzieję, że się myli. Spróbował kolejny raz – nadal nic. Rozejrzał się bezradnie, szukając pomocy...

– Skurwysynu jebany! – wrzasnął nagle i z rozmachem kopnął trupa spadochroniarza. Nie zrobiło mu się od tego lepiej. Mimo to kopnął jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze...

Przerwał zdyszany i popatrzył na nieruchome ciało Kiki.

Dopiero później uświadomił sobie, że nie powinien tego robić. W jego dobrze pojętym interesie, w imię z trudem odzyskanej równowagi psychicznej lepiej byłoby zapamiętać ją taką, jaka była wcześniej: uśmiechniętą, życzliwą ludziom, empatyczną. Tego nie dało się porównać z chorobą i śmiercią Jadwigi, ale jednak Kika od wielu lat stanowiła w jego życiu stały punkt odniesienia. Mógł na niej polegać i w swoim stylu odwdzięczał się tym samym. Teraz po prostu była bezwładnym ciałem.

Nie mógł się zdecydować, co dalej.

– Wona żywie? – usłyszał nagle za sobą głos

Ukraińscy ratownicy medyczni, nie zważając na niebezpieczeństwo ponownego ataku, pojawili się na miejscu katastrofy.

– Boże, jak bym chciał – odpowiedział bezradnie.

Skupiony na Kice, nie zauważył nadciągającego ponownie niebezpieczeństwa. Usłyszał bliskie grzechotanie broni maszynowej; seria przeleciała mu nad głową i trafiła jednego z paramedyków, który zaczął wzywać na pomoc matkę i Boga. Dopiero wtedy oprzytomniał. Kilku ruskich szło w ich kierunku i strzelało z biodra. Odruchowo obniżył pozycję i odturlał się w bok, klnąc własną głupotę, szczęśliwie jednak nie wypuszczając z ręki karabinu.

Złożył się, strzelił, spudłował, ale posłał desantników na ziemię. Byli dobrze wyszkoleni i szybcy. Rozproszyli się, a następnie otworzyli ogień. Pociski zagotowały ziemię tuż przed nosem zakopiańczyka. Przynajmniej odciągnął uwagę od bezbronnych ratowników. Schował głowę i myślał gorączkowo. Stare nawyki wracały zbyt powoli. Żołnierzem przestał być wiele lat temu, w krew weszło mu myślenie i działanie gliniarza.

Miał przeciw sobie czterech. Może pięciu. Żadnych szans.

Zaczął się czołgać w tył. Coś szarpnęło. Całe szczęście to tylko plecak dostał kulę. Przyspieszył, ciągnąc za sobą karabin snajperski.

Strzelanina nie tylko nasiliła się, ale również zmieniła ton.

Odważył się unieść głowę. W kraksie drugiej ciężarówki ocalał jednak ktoś, kto zachował zdolność do walki. W cieniu wywróconego pojazdu klęczało dwóch żołnierzy i prowadziło ogień w stronę Rosjan. Skuteczny. Jeden ze spadochroniarzy znieruchomiał i przestał strzelać. Po chwili zamilkł drugi. Pozostali stracili zainteresowanie Krzeptowskim i przenieśli ogień na groźniejszego przeciwnika. Musieli w tym celu zmienić pozycję.

Zakopiańczyk wstrzymał oddech i w ciągu dziesięciu sekund wystrzelił sześciokrotnie. Strzelanina umilkła na dobre. W nagle zapadłą ciszę wdarł się dźwięk ruszającej gwałtownie karetki pogotowia.

Adrenalina wyzwolona walką huczała mu w żyłach na całego. Serce łomotało w piersi. Czuł gęsią skórę na przedramionach i plecach.

Ukraińcy zobaczyli go, gdy się podniósł.

Podchodzili ostrożnie, z bronią opartą kolbami o ramiona. Nie dał im żadnego pretekstu do zdenerwowania; karabin trzymał o objęciach, blisko przy ciele, lufą do góry, wcześniej nie zapominając jednak o zmianie magazynka.

Zatrzymali się.

– Kto ty? – krzyknął jeden.

– Polak – odparł odruchowo. Zupełnie wyleciało mu z głowy, że jest konsultantem amerykańskiego Departamentu Stanu. Myślał o Kice – nic innego nie było ważne.

– Co ty tu robisz, Polak?

– Ja dobrowolec – przypomniał sobie rosyjskie słowo oznaczające ochotnika. – Zaatakowali mój samochód... skurwysyny... a moją przyjaciółkę... – nie dał rady dokończyć.

W oczach żołnierzy błysnęło zrozumienie.

– Ty dobrze strzelasz, Polak – orzekł ten, co prowadził rozmowę. – I masz dobrą broń. Co chcesz zrobić?

– Muszę iść.

– Gdzie ty chcesz iść, Polak?

Machnął w stronę, gdzie wrzała bitwa. Śmigłowce brzęczały gniewnie. Głucho dudniły detonacje eksplodujących rakiet. Monotonnie warczały karabiny maszynowe.

– Tam chcesz iść? – W głosie żołnierza zabrzmiało niedowierzenie. Teraz to już była jego wojna.

– Ja dobrowolec – powtórzył, jakby to coś wyjaśniało.

– My odwodowa kompania. Możesz iść z nami.

– Dobrze.

A potem, z nieruchomą, jak wykutą w kamieniu twarzą wrócił do samochodu, założył kamizelkę kuloodporną i hełm (teraz dopiero okazało się, że Tolak pomyślał i o tym), zarzucił plecak na ramiona. Niemal od razu znalazł pistolet – leżał w trawie tuż obok. Zabrał z bagażnika zapasową amunicję, wepchnął ją do plecaka.

Walka stawała się coraz bliższa i bardziej zaciekła. Żołnierzy, którzy przeżyli atak śmigłowca przybywało. W stronę lotniska ruszyło siedmiu, w tym jeden z karabinem maszynowym. Plus idący na końcu Krzeptowski.

Po kilkunastu krokach zobaczył Barbarę Zawadzką.

Wojna!

Boże, spraw, żebym nie musiał tu być. Ściągnij burzę, huragan, trzęsienie ziemi. Niech to miejsce chuj jasny strzeli i mnie razem z nim, jeśli nie można inaczej. Spraw, żebym nie musiał tu być, błagam cię. Kurwa mać, przecież oni wszyscy ochujeli.

Wojna!

Przez ostatnie minuty Wilgat nabrał ogromnej wprawy w płynnym przechodzeniu od modlitwy do wyzwisk i z powrotem. Już i tak miał problem, by jakoś wewnętrznie zaakceptować rozkaz wysłania eskorty ukraińskich Ił-ów i zacząć go lojalnie wypełniać. Okej, jakoś to sobie przetłumaczył. W sytuacji niejasności strategicznej, w jakiej znajdowała się Polska, czasem trzeba podejmować ryzykowne decyzje. Słyszał od znajomego logistyka (kumpla jeszcze z liceum), że rząd po cichutku wysłał Ukraińcom pewną liczbę haubic

samobieżnych wraz z amunicją, zapasem części i wozami towarzyszącymi. Amerykanie ponoć bardzo się na to krzywili, bo ich zdaniem wychodziliśmy przed szereg i niepotrzebnie eskalowaliśmy napięcie, a oni jeszcze liczyli, że wojny uda się uniknąć, Putin natomiast może wykorzystać polski dar jako dowód, że NATO właśnie mu weszło do ogródka. Na razie obawy okazały się bezpodstawne. Ale przekazanie sprzętu, zdaniem Wilgata, jest zupełnie czymś innym niż wysłanie uzbrojonych samolotów bojowych nad terytorium, do którego Rosja rości sobie pretensje.

Jastrzębie jednak wystartowały i początkowo wszystko szło gładko. Dwa klucze po dwie maszyny przekroczyły granicę i prowadzone pewną ręką przez ukraińską kontrolę lotów szybko zbliżały się do Kijowa. Ani piloci, ani monitorujące przestrzeń powietrzną Ukrainy i Białorusi stacje radiolokacyjne nie sygnalizowały zagrożenia, a i tak Wilgat złapał się na tym, że obgryza paznokcie, co od czasów dzieciństwa mu się nie zdarzało. Wstrząsały nim dreszcze: ciało na wszelkie sposoby sygnalizowało, że wydarzy się coś strasznego.

No i wydarzyło się. Przyszła wiadomość, że Rosjanie przekroczyli ukraińską granicę w wielu punktach i prowadzą bombardowania oraz ostrzał raketowy na całym obszarze państwa. Ich samoloty były wszędzie. W każdej chwili mogły zaatakować ukraińską stolicę. I spotkać nasze uzbrojone po zęby efy.

Zgłosił dowódca zmiany wniosek o natychmiastowe wycofanie się. Pułkownik skonsultował się z przełożonym i odmówił. Zadanie miało zostać wykonane, mimo zmienionych okoliczności. Ukraińskie Ił-y są już w powietrzu, spotkanie nastąpi za cztery minuty. Wilgat wyczuwał naciski polityczne. Polska od początku miała ustawiać się jako niezawodny sojusznik napadniętego państwa, co uważał generalnie za słuszne, ale jednak przedwcześnie. Nigdy nie wiadomo, jak się sprawy potoczą i czy taki bezinteresowny zapal nie obróci się przeciwko darczyńcy. W tej akurat sprawie lepiej się jego zdaniem trzymać Wielkiego Brata.

Kolejny cios spadł w momencie, gdy przyszedł rozkaz rozpoczęcia przygotowań do operacji Mordor. Treść wprawiała go w osłupienie: lotnicze uderzenie na rosyjskie instalacje w Kaliningradzie. Wilgat miał wrażenie, że śni. Rajd nad Kijów w porównaniu z przeklętym Mordorem jawił się jako niewinna zabawa przedszkolaków, i to tych z Krasnali i Maluchów. Oczywiście, polecenie przyszło z góry, Wilgat nie miał wątpliwości, że tego kalibru decyzja musiała zapaść na najwyższym szczeblu politycznym. Co nie zmieniało faktu, że atak będzie

otwartym aktem wojny – formalnie niesprowokowanym. Rosjanie mają pełne prawo odpowiedzieć – a nawet na Białorusi zgromadzili niemało sił raketowych.

Czy nikt tego nie rozumiał?

Niemniej, Centrum Operacji Powietrznych w osobach dowódcy oraz jego zastępcy (czyli Wilgata) miało koordynować przebieg misji dokładnie według wskazań zawartych w rozkazie ATO^[8]. Wilgat tkwił w stuporze, a machina ruszyła: podwieszono uzbrojenie pod śmigłowce Mi-24 przeznaczone do dalekiej osłony misji, pod skrzydłami Bayraktarów umieszczono po cztery szybujące bomby MAM, rakiety i bomby pojawiły się też pod kadłubami i skrzydłami zarówno leciwych Su-22, jak i myśliwców wielozadaniowych F-16 z wyznaczonej do wykonania głównego uderzenia, liczącej szesnaście maszyn eskadry.

Jego umysł pracował gorączkowo. Musiał zatrzymać to szaleństwo.

Wymknął się na chwilę, bąknąwszy, że chce skorzystać z łazienki, i pognął na górę. Z szafki wyjął komórkę i wybrał pewien numer. Jego stary znajomy, Jan Tolak, odebrał po drugim sygnale.

– Ranny ptaszek z ciebie – powiedział. Dobrze było go słyszeć, choć coś szumiało w tle.

– Mam służbę – odparł Wilgat. – Muszę ci zająć pięć minut. Możemy bezpiecznie pogadać?

– Używam protokołu szyfrującego.

– Jesteś w Kijowie?

– W samym centrum.

– Spokój?

– Wojna. Poza tym spokój.

– Szczęściarz. Nie z tym dzwonię. – Wilgat nie przejmował się sarkazmem rozmówcy i swoją obcesowością. – Mam problem. Wszyscy mamy problem. Myślałem, że może pomożesz.

– Mów.

Powiedział mu. Trzy minuty samej treści, żadnych ozdobników. Wysłanie myśliwców do Kijowa. Operacja Mordor.

– Brałeś udział w procesie decyzyjnym? – zapytał Tolak, gdy opowieść dobiegła końca.

- Tylko na etapie planowania szczegółów. Decyzja przyszła z góry.
- Dlaczego do mnie dzwonisz?
- Nie wiem, co robić.

Cisza. Obaj intensywnie myśleli.

- Samoloty już wystartowały? – zapytał Tolak.
- Jeszcze nie. Kwestia kwadransa.
- Zatrzymaj je jakoś.
- Nie ma szans.
- Postaraj się opóźnić start. O kolejny kwadrans.

Wilgat zamknął oczy. Właściwie, czego się spodziewał? Że Tolak zadzwoni do prezydenta i nakaze zawrócić myśliwce? Bzdura. Musiał kupić czas. Zdobyć szantażem. Ukraść. Dokonać napadu.

- W porządku – odparł. – Postaram się dać ci pół godziny od teraz.

Gdy z powrotem zasiadł w swoim fotelu, z najnowszego meldunku dowiedział się, że właśnie wystartowały Bayraktary (jako najwolniejsze musiały pierwsze znaleźć się w powietrzu) i z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę poszybowały na północ.

Szef Departamentu Wschodniego SWW odebrał połączenie już po pierwszym sygnale.

– Dzień dobry wieczór. Przepraszam, że tak wcześnie – usłyszał głos Tolaka. Znali się dość słabo, tyle, co przy kilku oficjalnych okazjach, ale facet mówił w sposób dość charakterystyczny, trudno go było zapomnieć. – Mam ważną sprawę. Jestem w Kijowie.

– Czołem. Nie śpię od wczoraj – odparł Maliszewski, z trudem tłumiąc ziewanie. Nie spodziewał się tego telefonu. Facet miał za zadanie zabezpieczyć wizytę prezydenta. Wizyta odbyła się bez przeszkód, Tolak powinien być już w pociągu jadącym do Warszawy. Chyba że podejrzenia Maliszewskiego okazały się słuszne i pan pułkownik z kontrwywiadu robił coś zupełnie innego. Co na przykład ma coś wspólnego z Wajmanem i ekipą. – Siedzę w firmie i raczej prędko stąd nie wyjdę.

- Rozumiem. Można dwa słowa?

– Mam młyn.

– Wiem. Ja również. Operacja Mordor w toku, co?

Maliszewski zeszywniał. Tolak znajdował się poza kręgiem osób poinformowanych o misji. Kontrwywiad został zaangażowany, ale operację obsługiwali oficerowie będący na miejscu.

– Czego pan chce?

– Pan się z tym zgadza?

– Co to ma do rzeczy?

– Bo jeśli dobrze pana czytam, myślę, że pan kombinuje, jak powstrzymać wybuch wojny.

– Mamy wojnę – burknął Maliszewski.

– Mówię o wojnie na naszym podwórku.

– Ponawiam pytanie: czego pan chce?

– Mogę spróbować nacisnąć sprężynę, ale muszę mieć konkretny argument. Muszę ich przekonać, że robimy błąd. Że źle oceniliśmy sytuację.

– Mówiłem to samo.

– Jeśli pan znajdzie dowód, poprę pana.

Maliszewski wzruszył ramionami pod adresem zawieszzonego naprzeciwko lustra. Już dawno miał je przenieść i jakoś ciągle o tym zapominał.

– Jaki niby dowód?

– Namacalny. Ma pan ludzi w terenie. Może warto sprawdzić, czy Iskandery naprawdę są gotowe do odpalenia.

– Są.

– W dzisiejszych czasach to fake news jest królem, nie uważa pan? A oni są w tym dobrzy.

Maliszewski zastanowił się. Jemu również to przyszło do głowy, jeszcze wczoraj wieczorem, ale odrzucił tę myśl, bo nie miał niczego innego, jak tylko chwilowy przebłysk intuicji. Wszystkie dowody, łącznie ze udostępnionymi przez Amerykanów zdjęciami satelitarnymi, wskazywały na to, że Rosjanie naprawdę szykowali się do ataku. Mieli dowody, czarno na białym: sygnatury cieplne pracujących generatorów (rakiety do startu potrzebują dużej ilości energii

elektrycznej), zarejestrowany ruch ciężkich pojazdów i w końcu charakterystyczne sylwetki mobilnych wyrzutni rakietowych.

- Samoloty zaraz ruszą.
- Kupiłem panu czas. Mamy pół godziny.
- Moi ludzie nie zdążą niczego sprawdzić w pół godziny.
- Naprawdę woli pan wojnę?

Pytanie było retoryczne. Maliszewski gorączkowo myślał. Tolak postanowił mu pomóc.

– W rewanżu coś panu powiem. Wiem, że nasz wspólny szef bardzo denerwuje się kradzieżą Warmate`a. My od samego początku o tym wiedzieliśmy. I monitorowaliśmy temat.

Maliszewskiego zatkało.

- To czemu robiliście z tego tajemnicę? – burknął.
- Bo to jeden z naszych był sprawcą. Sfałszował raport o zniszczeniu sprzętu w czasie prób poligonowych. W rzeczywistości przejęli go jego wspólnicy.
- To znaczy kto?
- Właśnie tego nie wiedzieliśmy. Dlatego nie zdecydowaliśmy się na aresztowanie.
- Tylko śledziliście go.
- Nawet jak poszedł do kibla. Warmate ma tracker. Cały czas wiedzieliśmy, gdzie jest.
- To jakim cudem uwierzyliście w raport?
- Nie uwierzyliśmy. O trackerze wiedzą trzy, może cztery osoby w Polsce. Nie wiedział o nim oficer.
- I wykorzystaliście okazję, żeby prześledzić, gdzie trafi.
- Właśnie. Rosyjska akcja miała kilka celów, między innymi ten, żeby rząd z powodu utraty zaufania przestał zamawiać drony w prywatnej firmie.

Miało sens. To był najbardziej zaawansowany sprzęt na świecie. Rosjanie prywatnie przyznawali, że uważają go za bardzo groźną broń. Gdyby udało im się uwalić kontrakty na dostawy, zyskaliby kilka lat spokoju. Państwowe firmy nie posiadały nawet ćwiertki tych kompetencji, co ich prywatny konkurent. Musiałyby się od podstaw uczyć projektowania, a rezultat i tak byłby niepewny.

– Ryzykowaliście życiem prezydentów.

– Oczywiście, że nie. W Kijowie cały czas przebywał nasz zespół monitorujący. Warmate ma zdalnie kierowany tryb samozniszczenia. Gdyby został nawet nie tyle wysłany w powietrze, co przygotowany do użycia, operator zniszczyłby go. Tyle. Sprawa jest zamknięta, oficer aresztowany, minister dziś dostanie raport w tej sprawie. Może pan się przestać martwić, panie pułkowniku.

Tolak odłożył telefon i zaczął intensywnie myśleć.

Oczywiście, sprawa Warmate`a była tylko zachętą, okazaniem zawodowej solidarności. Chciał, by Maliszewski potraktował prośbę poważnie. Nie miał wielkich nadziei, że jego ludzie zdołają dowiedzieć się czegoś, co będzie stanowiło na tyle przekonujący dowód prowokacyjnego charakteru rosyjskich przygotowań, żeby politycy otrzeźwiali. Nie w tak krótkim czasie. Spróbował, bo chciał wykorzystać wszystkie szanse. Ale liczył na to, że zadziała główny plan, że okaże się czymś więcej niż fantazją opartą na domysłach.

Pewności nie miał, ale intuicja i wyszkolony psi nos podpowiadały mu, że jest na dobrym tropie. Wpadł na niego przed pięcioma minutami, gdy zadzwonił Krzeptowski. Policjant drewnianym, mechanicznym głosem poinformował go o Kice i – nie dając Tolakowi czasu na reakcję – przekazał rewelacje, których dowiedział się od Barbary Zawadzkiej. Tolak słuchał z najwyższą uwagą (co okazało się niełatwe, zważywszy na wściekłą strzelaninę pobrmiewającą w tle rozmowy), nawet robił notatki, choć właściwie nie musiał. Wszystko nagle wydało się logiczne. Szukał dźwigni, za pomocą której da się zatrzymać operację Mordor i dzięki Krzeptowskiemu właśnie ją znalazł. Prawdopodobnie.

Rozmowa skończyła się w dziwny sposób. Tolak zapytał, co zakopiańczyk zamierza dalej robić, ale ten rozłączył się bez słowa. Nie reagował na ponawiane próby kontaktu. Po trzecim razie Tolak zrezygnował. Facet należał do ludzi upartych. Sam zadzwoni – o ile przeżyje.

Tolak wpatrywał się w aparat przez dłuższą chwilę. Wyrzucił z głowy Krzeptowskiego i Kikę. Musiał wykonać jeszcze jeden telefon i postawić na szali cały swój dotychczasowy dorobek zawodowy.

– Joseph? – zapytał, gdy w słuchawce rozbrzmiał męski głos. – Mówi Jan Tolak.

Wahanie.

– Jestem trochę zajęty. Możesz zadzwonić wieczorem?

– Oczywiście. Barbara Zawadzka i tak nie żyje, żadna różnica.

Toksyczna cisza.

– Nie wiem, o czym mówisz – warknął Joseph Bronn, wysoki rangą oficer CIA, obecnie oddelegowany do pracy w Departamencie Stanu. Starał się nadać swemu głosowi odpychające brzmienie, ale jakoś bez przekonania.

– Poważnie? Zrobiłeś z niej swoją agentkę. Miałeś dzięki temu pełne info o wszystkich ruchach SWW na Ukrainie. Szpiegowanie sojusznika jest, zdaje się, nielegalne. Będziesz miał szczęście, jeśli skończy się na wyrzuceniu z firmy.

Wrogość.

– Dobra. Kończymy tę rozmowę.

– Jak chcesz. Ona cię nagrywała podczas spotkań.

Cisza. Skupienie.

– Kłamiesz. Zresztą obojętne. Jesteś za krótki, żeby mi zaszkodzić.

– Postawisz na to pieniądze?

Zaciekawienie.

– Czego chcesz?

– Przysługi. Tak się składa, że obaj mamy coś do ukrycia.

Sapnięcie.

Tolak wiedział, że trafił. Proponował transakcję. W zawodowym życiu Bronna handel stanowił chleb codzienny. Tamten nadal zachowywał czujność, ale wyraźnie się odprężył.

– Słucham.

Powiedział mu. Zwięźle, dosłownie w kilku zdaniach.

– W Waszyngtonie jest teraz środek nocy.

– Zaczęła się wojna. I tak nikt nie śpi.

– Jesteście pojebani, że robicie to po cichu. Biały Dom was oskalpuje.

– Masz rację. Wolelibyśmy tego uniknąć, też po cichu.

– Co w zamian?

– Cisza i spokój, płyniemy każdy swoim kursem.

– Nic nie mówisz o gwarancjach.

– To prawda. Ale zastanów się: jeśli zrobisz to, o co proszę, dlaczego miałyby mi zależeć, żeby cię udupić?

Bronn rozłączył się.

– Pomyślałbym, że kopnął mnie nielichy zaszczyt, ale za dobrze cię znam, żeby tak pomyśleć – powiedział zastępca dowódcy Straży Granicznej, gdy w końcu odebrał połączenie. – Pewnie czegoś ode mnie chcesz? Obiecasz mi awans?

Maliszewski roześmiał się.

– Nawet dzisiaj. Chcesz?

– Jezus Maria, co ja ci takiego zrobiłem? – głos tamtego był sztucznie ożywiony. Facet miał od pół roku sądny dzień. Jego dieta zapewne składała się głównie z papierosów, kawy i pizzy z zamrażarki. – Dobrze mi tu, gdzie jestem.

– Chętnie bym pogadał, ale spieszę się. Słyszałeś o ostatnim pomysle wykorzystania naszych orłów?

Tamten zrobił się nagle bardzo ostrożny.

– No i?

– Potrzebuję twoich aktywów po tamtej stronie.

– Ejże...

– Poważnie. Moi nie zdążą. Twoi są wszędzie, jak to mrówki. Potrzebuję zdjęć albo filmików.

– Czego konkretnie?

– Stanowisk pozornych.

– Ach tak.

– Tak.

– Na kiedy?

– Bez pośpiechu. Za dwadzieścia minut też może być.

Odpowiedzią był śmiech, tym razem prawdziwy.

Maliszewski pożegnał się i odłożył telefon na blat. W rosyjskiej telewizji leciało w kółko przemówienie Putina, opowiadającego o rosyjskich krzywdach

i wdrożeniu trzydniowej operacji specjalnej, mającej na celu przywróceniu porządku na Ukrainie. Potem następował dziesięciominutowy blok filmików ukazujących rosyjskich bojów serdecznie witanych przez wdzięczną ukraińską ludność, po czym wydawca na nowo zaznajamiał widzów z wypowiedzianymi z marsową miną przemyśleniami Władimira Władimirowicza.

Pułkownik nie miał złudzeń, że jego stary kolega jeszcze ze szkoły wywiadu, obecnie zastępca dowódcy Straży Granicznej zdoła mu pomóc w ciągu dwudziestu minut. SG dysponowała bardzo dobrą agenturą na terenie obwodu kaliningradzkiego, dziesiątkami handlarzy, „mrówek”, przemytników, różnego typu cwaniaków, którzy w zamian za przemykanie oczu na ich interesy przekazywali informacje na interesujące polskie władze tematy. Niekiedy zdarzały się wśród nich prawdziwe perełki. Jednak prośba Maliszewskiego znacznie wykraczała poza standard. Wymagała dostępu do strzeżonych miejsc, czasu i ogromnej ilości szczęścia. Praca na dobę lub dwie, z niepewnym rezultatem.

Musiał jednak spróbować wszystkiego. Może mu się poszczęści.

Chociaż nie bardzo na to liczył. Myślał nad planem B.

– Ognia! – ryknął Zachar.

Armata huknęła. Ciężki granat przeniósł nad zbliżającą się piechotę i poleciał dalej, niegroźnie wybuchając kilometr od celu. Matwiejczuk zaklął w bezsilnej złości.

Helikopter zbliżał się szybko i obniżał lot. Pal diabli piechotę. Jeśli on, Zachar z Sobkiwki, czegoś natychmiast nie zrobi, wszyscy za moment zginą. Nadal tkwił w otwartym włazie. W razie uderzenia rakiety wystrzelonej z helikoptera, chowanie się w środku i tak nie miało żadnego znaczenia. Pancierz Goździka był zbyt cienki, by oprzeć się sile wybuchu.

– Kierowca! – krzyknął, czując, że włosy wstają mu pod hełmofonem. Helikopter zdawał się przesłaniać cały horyzont. – Wrzuć wsteczny. Na rozkaz zapierdalasz, ile fabryka dała. Mówię poważnie, jedziesz na pełnej, rozumiesz?

– Tak jest – odparł Walery. Jego głowa również wystawała ponad otwartym włazem. Pryszczaty młodzian kompletnie ignorował niebezpieczeństwo.

Zgrzytnął bieg. Ryknął przegazowany silnik.

Zachar wpatrywał się w nadlatujący śmigłowiec, starając się odgadnąć moment, w którym pilot odpali rakiety. Metodę obrony sam uważał za idiotyczną, ale nic innego nie przyszło mu do głowy. Nie miał nawet najędzniejszego środka obrony powietrznej, nie dysponował żadnym karabinem maszynowym.

– Teraz!

Haubica zagotowała gaśnicami zmarzniętą ziemię i szarpnęła się w tył.

Z podwieszonych pod skrzydłami śmigłowca zasobników wyleciały cztery długie sztylety ognia i pomknęły w stronę stanowiska.

Zachar zanurkował i zatrzasnął za sobą właz wieży.

Huk poraził zmysły, mimo osłaniających głowy obsługi hełmofonów. Szesnastotonowe cielsko zakołysało się. Swąd spalenizny wypełnił wnętrze. Gwałtownie wzrosła temperatura.

Zachar pomyślał, że tak wygląda koniec; spalą się żywcem w tej stalowej trumnie, bez nadziei na ucieczkę. Dopiero po długiej jak diabli sekundzie dotarło do niego, że nigdzie nie widzi pożaru, że pojazd, wyjąc silnikiem, nadal cofa się pełnym gazem, a dym i żar były po prostu zassanymi przez system wentylacyjny skutkami wybuchu rakiet.

I wtedy uderzyli w coś – Walery prowadził na ślepo, pobawiony wskazówek dowódcy – działem szarpnęło straszliwie, gaśnice zabuksowały. Goździk przechylił się na lewą burtę, jakby miał się przewrócić; Zachar nie miał pojęcia, czy wywrotka jest w ogóle możliwa. Motor wył potępieńczo, haubica staruszka walczyła. Po chwili jedna z gaśnic odzyskała przyczepność. Działem szarpnęło, świat wrócił do poziomu. Wariacka jazda mogła trwać dalej.

Zachar ponownie usłyszał huk, tym razem inny, dalszy, bardziej pojedynczy wybuch niż serię eksplozji. Przytknął oczy do peryskopu.

Najwyraźniej któryś z obrońców lotniska przyszedł w sukurs Zacharowi, jego chłopcom, a także reszcie plutonu i zrobił dobry użytek z przenośnego przeciwlotniczego zestawu raketowego. Zamieniony w kulę ognia ruski Mi-24 właśnie kończył żywot. Wrak uderzył w ziemię, eksplodowało paliwo, a zaraz potem w formie upiornej serii fajerwerków poszła w diabły amunicja i rakiety. Ogień rozlał się wokół szerokim kręgiem.

– Stop! – nakazał sierżant, czując falę ulgi. Walery wcisnął hamulec. Gaśnice wryły się w grunt niemal do połowy kół. Silnik zgasł. Zachar uderzył potylicą

w pancierz, nie zwrócił jednak na to uwagi. Przeżyli atak, tylko to się liczyło.

Na razie.

Piechota nacierała dalej, i to w rosnącej liczbie, dowódca desantu dostrzegł bowiem, że haubice stanowią największe zagrożenie, i posłał kilka kolejnych grup szturmowych z zadaniem uciszenia baterii. Kilkudziesięciu spadochroniarzy posuwało się skokami naprzód, ubezpieczając się wzajemnie. Zachar wyjrzał przez właz, jednak uderzająca tuż obok kula karabinowa spowodowała, że jeszcze szybciej zanurkował z powrotem. Snajper. Cholerny snajper.

– Meldować stan plutonu – zabulgotał w słuchawkach głos Krawczenki.

– Działon pierwszy bez strat – wychrypiał Zachar. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak potwornie ma wysuszone gardło.

– Działon drugi bez strat.

– Działon trzeci... – Głos Zajcewa dochodził jak z odległej planety. – Utknęliśmy w błocie.

Zachar parsknął śmiechem. Jeśli w promieniu pięciu kilometrów znajdzie się tylko jedna sadzawka, możesz być pewien, że Zajcew się w niej utopi. Jeśli w okolicy istnieje tylko jedna dziura, Zajcew w nią wpadnie. Ot, choćby teraz; grunt był twardy, w nocy panowały ujemne temperatury, można jeździć jak po betonie, a Zajcew jakimś cudem wynalazł rozmiękczony kawałek i postanowił przez niego przejechać. Z wiadomym skutkiem.

Krawczenko zaczął się pieklić, ale Zachar już tego nie słuchał. Dobrze widoczni w oku peryskopu rosyjscy spadochroniarze podchodzili coraz bliżej. Za chwilę działo znajdzie się w zasięgu granatników przeciwpancernych. Należało czym prędzej wiać, zająć nowe stanowisko i ewentualnie stamtąd kontynuować ostrzał.

– Zapalaj, Walery, i jazda – powiedział.

Zagdakał rozrusznik. Nic. Silnik milczał wyniośle. Walery spróbował jeszcze raz. Rozgrzany diesel powinien ruszyć od razu, tymczasem milczał jak zaklęty.

Kula zadzwoniła na pancerzu. Potem następna. I jeszcze jedna.

Rozrusznik bezskutecznie kręcił potężnym motorem, pociski stukały o stal niczym złowróbnny deszcz, wróg podchodził coraz bliżej. Zachar odwrócił peryskop. Nie dostrzegł pozostałych działonów plutonu. Nawet Zajcew wygrzebał się z błota i odjechał.

Poczuł się straszliwie samotny.

– Zero jeden, tu działon pierwszy – powiedział do mikrofonu.

Podobnie jak silnik, radio milczało.

– Zero jeden, tu działon pierwszy.

W słuchawkach zatrzeszczało.

– Tu zero jeden, gdzie jesteś, działon pierwszy? – Zachar tym razem słyszał Krawczenkę bardzo dobrze. Nigdy za nim nie przepadał, ale teraz cieszył się, że go słyszał.

– Melduję, że silnik padł – odparł.

– Naprawicie sami?

– Spróbujemy.

– Meldujcie, jak ruszycie. Bez odbioru.

Zerknął ponownie na przedpole. Lejtnant ani się zająknął o jakiegokolwiek pomocy. Poczucie osamotnienia wróciło, z jeszcze większą siłą.

– Odłamkowym – zakomenderował Zachar. – Strzela działon, cel piechota, celownik trzysta, ładunek dwa, zapalnik natychmiastowy, dziesięć pocisków szybkim.

Zawarczała kołyska, szczękniętą zamek. Zachar zerknął w dół. Wartości mechanizmu ustawienia działa odpowiadały nastawom podanym na ekranie komputera. Lufa wydawała się leżeć w prawidłowym położeniu. Celowniczy albo się szybko uczył (Zachar wątpił), albo miał cholerne wojenne szczęście (już prędzej).

– Ognia! – krzyknął sierżant.

Łupnęło, dym połaskotał nozdrza. Zachar przykleił oczy do peryskopu, ale nie było czego oglądać. W połowie drogi pocisk zawadził o pień drzewa i z przeciągłym rechotem poleciał w bok i w górę.

Pieprzone pudło. Grupki atakujących spadochroniarzy znajdowały się najwyżej czterysta metrów od unieruchomionego Goździka. Wyraźnie widział rurę granatnika na plecach jednego z nich. O, drugi też ją taszczy. I trzeci. A czwarty, ten na skrzydle? Jasne, czemu nie?

Bliat’.

Rozrusznik zagrzechotał ponownie, silnik ponownie odmówił współpracy. Zachar miał wrażenie, że akumulator słabnie. Co nie dziwiło, w ciągu ostatnich

kilku wariackich godzin nikt nie miał czasu zatroszczyć się o choćby najbardziej podstawowy przegląd podzespołów ofiarowanego przez Polaków sprzętu.

– Walery, próbuj dalej – nakazał. – A wy – spojrzal na obu kaprali – strzelajcie, ile wlezie. Jak się nie doliczę sześciu strzałów na minutę, nogi z dupy powyrywam. Lufa niżej i jazda.

Przecisnął się obok celowniczego, starając się uniknąć jego przepelnionego strachem spojrzenia, dotarł do zawalonej pociskami rufy, złapał karabinek, upchał po kieszeniach magazynki, otworzył tylne drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Huk kanonady niemal go ogłuszył. Ledwie z rozmachem zatrzasnął pancerną płytę, haubica zakotłosała się od kolejnego wystrzału, co go ucieszyło, bo oznaczało, że podtatusiali kaprale zabrali się do roboty. Wyrzwał ostrożnie i schował się czym prędzej, bo snajper nie próżnował. Zachar czuł, że kula muska mu włosy. Poczekał do kolejnego strzału Goździka i wybiegł z za rufy. Kątem oka dostrzegł, że, o dziwo, tym razem pocisk eksplodował dokładnie na linii ataku. Dym przesłonił na moment spadochroniarzy i zapewne utrudnił również pracę snajperowi, bo Zachar zdążył bez szwanku dobiec do upatrzonego stanowiska, znajdującego się za grubym drzewem kilka metrów od działa. Pień dawał dobrą osłonę. Matwiejczuk zarepetował broń, sprawdził ustawienie przyrządów celowniczych, wychylił się i strzelił kilkoma krótkimi seriami. Skutków nie zaobserwował, bo musiał czym prędzej się schować, snajper bowiem na powrót przystąpił do pracy. Haubica zagrzmiała. Walery uruchomił rozrusznik. Akumulator wyraźnie się wyczerpywał. Silnik pozostał martwy.

Zachar wychylił się ponownie, tym razem z drugiej strony. Strzelił i trafił – jeden ze spadochroniarzy upadł i już tak pozostał, z twarzą wbitą w ziemię. Zagrał Goździk, ale znów niecelnie.

W chroniący go pień uderzyły pociski. Drzewo zdawało się cierpieć. Gdy tak stał, z plecami wtulonymi w chropowatą korę (co to za gatunek ratuje mi życie, kołatało mu w głowie z idiotycznym uporem, nawet nie wiem, co to za drzewo), z karabinem celującym lufą w lutowe, wojenne niebo, gdy przed oczyma przebiegła uśmiechnięta twarz Uljany i dwa słodkie pyszczki dziewczynek, gdy nabrał stuprocentowej pewności, że kolejnej próby nie przeżyje, że zginie trafiony rosyjską kulą na tej zmrożonej ziemi, nijak Sobkiwki nieprzypominającej, zobaczył biegnących z głębi parku żołnierzy. W pierwszej sekundzie przerażony pomyślał, że to okrążyło go ruskie WDW. Potem uważniej przyjrzał się mundurom. Swoi,

nawet nie ad hoc zorganizowana przez Krawczenkę albo dowódcę baterii odsiecz złożona ze spieszonych obsług, a regularna ukraińska piechota, w skromnej liczbie, ale dobrze uzbrojona. Zalała go fala ulgi. Poczul jakąś wariacką radość, uniesienie człowieka, który był pewien, że umrze, a jeszcze raz mu się udało.

Na efekt pomocy nie czekał długo. W stronę napastników z ogłuszającym jazgotem poleciały serie. Zachar odważył się wyrzucić. Ogień spowolnił natarcie, zmusił do szukania osłony, sprawił, że spadochroniarze przynajmniej chwilowo zaczęli myśleć o obronie, nie ataku. Zachar złożył się. Udało mu się posłać kolejnego orka do diabła.

Gdy znów schował się ze pień, by zmienić magazynek, wśród oddziałku ukraińskiej piechoty zauważył cywila. Dużego wzrostu, barczysty, ubrany w hełm i kamizelkę taktyczną, posługiwał się karabinem z celownikiem optycznym i najwyraźniej wiedział, jak z niego zrobić użytek. Poruszał się zwinnie i lekko, świetnie wykorzystywał naturalne osłony, zdobywał teren z dużą biegłością. Zajmował stanowisko, oddawał strzał lub dwa i szybko zmieniał pozycję, coraz bliżej i bliżej Zachara i napastników. Biegający obok gwardziści, widać mniej doświadczeni w walce, starali się naśladować jego ruchy. Oddziałek nie imponował ani liczbą, ani siłą ognia, ale miał tę zaletę, że Zachar przestał być sam. Zaczął mieć nadzieję, że może przeżyje tę cholerną wojnę i jeszcze zobaczy rodzinę.

Haubica huknęła znów. Tym razem celnie: wybuch przykrył całe lewe skrzydło szturmowe. Gwardziści i wielkolud dotarli do pozycji zajmowanej przez działko dowodzone przez Matwiejczuka.

Zachar z ulgą otarł spocone czoło i przyjrzał się cywilowi. Rzeczywiście barczysty i wysoki, może nie na dwa metry, ale niewiele mniej. Facet łypał spod łba, miał posępną, umazaną twarz, z której wycierały zmęczenie i gniew. Trzymał karabin w sposób zdradzający wieloletnie doświadczenie. Zachara aż dreszcz przeszedł. Nie chciałby mieć tego człowieka za wroga.

Kim był, do diabła?

Nim zdołał czegokolwiek się dowiedzieć, z rykiem silnika nadleciał kolejny Aligator i otworzył ogień.

– Cześć, Karol. – Wilgat znów stał na parterze i ściszym głosem mówił do prywatnej komórki. Nie chciał używać oficjalnego kanału łączności. – Muszę ci zająć minutę.

– Mam start na głowie – warknął podpułkownik Karol Bilski, szef zespołu nadzoru technicznego z Skrzydła Lotnictwa Taktycznego.

– Właśnie o to chodzi. W ostatnim protokole, w punkcie 5b, napisaliście, że wystąpiły problemy z płynną pracą niektórych elementów podwieszeń w kilku myśliwcach.

– Już usunięte.

– Chyba nie.

– Konrad, co ty odpierdalasz? – Bilski sapnął wściekle.

– Musisz opóźnić start.

– Chyba się z czymś na głowy pozamieniałeś.

– Kwadrans. To bardzo ważne.

– Stary, mamy wojnę.

– Jak polecą, zobaczysz prawdziwą. Z grzybkiem nad Pałacem Kultury.

– Pierdolisz.

– Nie tym razem. Kwadrans, Karol. Masz wątpliwości w kwestii podwieszeń, co zagraża bezpieczeństwu pilotów. Nikt nie poleci bez twojego zielonego światła. Piętnaście minut.

– Już dałem, kurwa, zielone światło.

– Jeśli opóźnisz start, twoi synowie będą mieli szansę przeżyć.

Cisza trwała w nieskończoność.

– Kwadrans – powiedział Bilski i rozłączył się.

Wilgat westchnął. Zgodnie z obietnicą kupił Tolakowi pół godziny. Nie miał specjalnej nadziei, że to cokolwiek zmieni. Oddał komórkę, wrócił na górę i od razu dopadła go rzeczywistość.

– Panie pułkowniku, Rosjanie wystartowali – powiedział dowódca działu zwiadu radioelektronicznego. – Sześć Su-35. Lecą w stronę granicy. Kurs 225.

Wilgat zerknął na wielki ekran obrazujący misję myśliwców eskortujących ukraińskie transportowce. Formacja nadal znajdowała się w przestrzeni

powietrznej Ukrainy. Rosjanie lecieli kursem zbliżenia. Za pięć minut dojdzie do spotkania.

– Missioncommander Alfa Jeden, tu Starszy Dyżurny Operacyjny Dyżurnej Zmiany Bojowej. Zgłoś się – powiedział do mikrofonu. Starał się nadać swemu głosowi spokojne brzmienie.

– Tu Missioncommander, zgłaszam się – zabrzmiało w słuchawkach.

– Masz gości na kursie 225. Spotkanie za pięć. Przyspiesz.

– Zrozumiałem, Dyżurny.

Wilgat działał w trybie automatycznym. Transportowce Ił-76 są samolotami o prędkości maksymalnej dziewięćset kilometrów na godzinę. Ucieczka tylko o parę sekund opóźni kontakt. Musiał wykonać drugi krok.

– Połącz mnie z Białorusinami.

Szef łączności wystukał kilka cyfr na klawiaturze.

– Już.

– Dzień dobry – powiedział po angielsku Wilgat do słuchawki. – Tu pułkownik Konrad Wilgat.

– Dzień dobry, panie pułkowniku. – Rozmówca miał silny wschodni akcent, ale dało się go zrozumieć. Był białoruskim odpowiednikiem Wilgata. Wcześniej kilka razy ze sobą rozmawiali, bazując na podpisanym przez oba kraje porozumieniu o wymianie informacji. O ile można tak powiedzieć o wysokich oficerach wrogich sobie państw, żywili do siebie szacunek. Białorusin był flegmatycznym człowiekiem, nieskorym do podejmowania pochopnych decyzji.

– Mam mało czasu, więc przejdę do rzeczy. Z Kijowa w stronę naszej granicy lecą dwa ukraińskie Ił-y 76. Pośleliśmy nasze samoloty, żeby im towarzyszyły. Pośleliśmy jeszcze przed wojną.

– Przed rozpoczęciem operacji specjalnej – poprawił go rozmówca.

– Jak pan woli. Chciałbym zapewnić, że nasi piloci otrzymali bardzo wyraźne rozkazy, że mają unikać jakiegokolwiek konfrontacji. Nie mamy żadnych wrogich zamiarów.

– To po co wysłaliście uzbrojone myśliwce?

– Na prośbę rządów Niemiec i Francji. Na pokładach Ił-ów znajdują się niemieccy i francuscy dyplomaci. Byłoby bardzo niefortunne, gdyby im się coś

przytrafiło.

Zapadła chwila ciszy. Wilgat doskonale wiedział, że Białorusin nie pracuje sam. Na jego stanowisku znajdowało się kilku wysoko postawionych rosyjskich oficerów, nadzorujących swego sojusznika. To oni podejmą decyzję.

– Macie dziesięć minut na opuszczenie przestrzeni powietrznej Ukrainy – usłyszał w końcu.

Zadziałało.

Podziękował i rozłączył się. Polsko-ukraińska formacja zbliżała się do granicy. Rosyjskie myśliwce zmieniły kurs i poleciały w stronę Kijowa.

Pierwszy z kryzysów został zażegnany.

W bunkrze kręciły się tłumy ludzi, polityków, członków ochrony, specjalsów, lekarzy.

Dwóch medyków próbowało zająć się Zeleńskim, który jednak odganiał ich niecierpliwie, każąc pomóc naprawdę potrzebującym, na przykład sierżantowi z ochrony czy Ferencowi. Kilku oficerów SBU układało w jednym z bocznych pomieszczeń trupy zabitych Rosjan, którym pobierano odciski palców i fotografowano twarze. Wadim Chołyczenko zmarł, nim zdołała dotrzeć pomoc: jego podwładni z grobowymi minami wynieśli ciało na górę. Wajmana Ferenc również zostawił innym: nie był w stanie patrzeć na zmasakrowane pociskami zwłoki szefa. Jedyne, na co się zdobył, to rzut oka na medyków taszczących nosze. Czuł pustkę. Nie zwracał uwagi na narastające odrętwienie lewej ręki; niewiele go to obchodziło. Lena mówiła coś, nie bardzo rozumiał słowa. Widział ukraińskiego prezydenta i złapał się na myśli, że żałuje, że facet przeżył. Gdyby mógł zamienić życie Zeleńskiego na życie Wajmana, nie wahałby się. Miał w dupie argument, że śmierć szefa kijowskiej komórki polskiego wywiadu nie miała większego znaczenia, brak natomiast lidera ukraińskiego oporu zmieniłby sytuację geopolityczną w Europie, a z pewnością, razem z państwami bałtyckimi, boleśnie dotknąłby Polskę. Nic go to nie obchodziło. Wajman wyciągnął do niego dłoń po przyjeździe do Kijowa, pomógł dojść do siebie po białoruskiej wpadce, spowodował, że Ferenc ponownie uwierzył we własne siły i po raz pierwszy do dawna zaczął czuć się jak człowiek.

Zaklął pod nosem. I w końcu usłyszał, co do niego mówi Lena, zapewne po raz kolejny.

– Powinieneś jak najszybciej pojechać do szpitala.

– Jasne.

– Teraz. Zabawa skończona. Możemy przestać grać bohaterów.

– No.

– Na górze zaczęła się wojna. Ruscy jadą ze wszystkich stron, na grubo.

– O.

Przyjrzała mu się uważniej. Na co dzień nie był cynikiem.

Po prostu myślał o czymś innym.

– Poczekaj.

Minął ją, poszedł dalej głównym korytarzem bunkra, którym dotarł do ambulatorium.

Walkę przeżyło trzech Rosjan. Wszyscy odnieśli rany, jeden znajdował się w stanie krytycznym. Leżeli na noszach, otoczeni troskliwą opieką ukraińskich ratowników medycznych. Nic dziwnego; wyleczeni z pewnością będą stanowili bezcenne źródło informacji. Ferenc dla odmiany z rozkoszą wpakowałby im kulkę w łeb. Być może nie odreagowałby stresu i poczucia straty, miał jednak dziwne przeczucie, że poczułby się lepiej.

Zamiast tego stał i gapił się na twarze; pierwszy więzień, sądząc po rysach i złamanym nosie, był człowiekiem z uliczną albo gangsterską przeszłością. Drugi, nieprzytomny, miał nierozpoznawalne rysy pod zakrzepłą skorupą krwi i brudu. Klęczało koło niego dwóch medyków, prowadząc resuscytację. Trzeci jeniec natomiast, leżący na skraju, postrzelony w klatkę piersiową i, sądząc po ogromnej ilości bandaża, również w szyję, wyglądał na człowieka zupełnie innego pokroju. Patrzył w sufit z obojętną miną, jakby zwykły ludzki ból jego akurat nie dotyczył.

Ferenc podszedł bliżej. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Przyjrzał się twarzy pojmanego, co Rosjanin natychmiast zauważył. Oderwał wzrok od sufitu i wbił spojrzenie w kapitana. Ferenc poczuł dreszcz podniecenia. Otepienie opuściło go. Może ta ich bohaterska obrona nieswojej sprawy jednak do czegoś się przyda.

Wyszedł z pomieszczenia. Udało mu się odszukać Zelenkiego, otoczonego wianuszkami ochroniarzy i współpracowników.

– Panie prezydencie, czy można na słowo? – zapytał ponad głowami Ukraińców. Wszyscy odwrócili się, nieufnie przyglądając się obcemu.

Zeleński rozpromienił się.

– Kapitan Ferenc. Panowie, to nasz polski przyjaciel – powiedział głośno, przepychając się do przodu. – Bohater wspólnej walki. Dobry przyjaciel.

Oby, pomyślał Ferenc. Prezydent zbliżył się, chwycił dłoń kapitana i mocno nią potrząsnął.

– Zgłoszę pana do nadania Orderu Wolności – zadeklarował. Ferenc poczuł, że się rumieni. Tłum patrzył na niego wyczekująco. – Panią porucznik i pana majora również. Bardzo, bardzo dziękuję wam trojgu.

– Major nie żyje – wypalił Ferenc.

Przez twarz Zeleńskiego przebiegł cień.

– Wszyscy codziennie ponosimy ofiary. Nie zapomnimy wam tego.

Oby tak się stało. Ferenc nie raz widział, jak krótko potrafi trwać ta dozgonnie deklarowana wdzięczność, nawet między osobami prywatnymi. W kontaktach między państwami stanowi walutę o zerowej wartości.

– Gdybym mógł coś dla was zrobić, mówcie, proszę.

O, już lepiej. Ferencowi zaczęło się spieszyć. Służby mogły w każdej chwili rozpocząć transportowanie rannych na powierzchnię. A on rzeczywiście chciał coś ugrać, póki prezydent miał na świeżo w pamięci poświęcenie polskich gości i jego deklaracje były jeszcze coś warte.

– Myślę, że pan może, panie prezydencie – powiedział cicho, przysuwając się bliżej. – Chodzi o jednego z jeńców.

Minister obrony narodowej nerwowo bębnił palcami po biurku. Od kilku godzin bił się z myślami. Gdy usłyszał o opóźnieniu startu, wściekł się tak, że przez dłuższą chwilę nie mógł oddychać. Gdy już nieco się uspokoił, dotarło do niego, że na kwadrans opóźniło się to, co zamierzali wywołać: wojna. I kataklizm. Co z tego, że decyzja została podjęta kolegialnie. Zamierzali zbombardować obiekty wojskowe mocarstwa atomowego, na dodatek państwa zarządzanego przez ludzi, dla których język siły i przemocy jest językiem codziennym. Czy mieli jednak

siedzieć i czekać, aż Rosjanie przeprowadzą tę swoją prowokację, zaprezentują całemu światu medialną szopkę, a potem wśród ogłuszających werbli propagandy zaatakują Warszawę?

Oba wyjścia były złe, fatalne, nie do przyjęcia.

Rozdzwonił się telefon stacjonarny. Minister drgnął. Nie chciał słuchać kolejnych wieści. Zerknął na wyświetlacz i zasepił się jeszcze bardziej. Waszyngton. Szlag! Brakowało mu tylko dyskusji z Amerykanami.

– Dzień dobry – powiedział swoją szkolną, mozolną angielszczyzną.

– Cześć. Mówi Sean O`Malley.

Zastępca sekretarza obrony do spraw Programów Obrony Jądrowej, Chemicznej i Biologicznej. Minister rozmawiał z nim kilkakrotnie. Na ogół w przyjaznym tonie. Jego telefon dziwił. Codzienne kontakty między dwoma ministerstwami były utrzymywane jednak na poziomie szefów. O`Malley piastował funkcję tylko jednego z zastępców. Ale Polak nie mógł po prostu wykręcić się brakiem czasu ani nawałem obowiązków. Taki los junior partnera.

– Przejdę do sprawy, okej?

– Jasne.

– Wiem, że macie samoloty w powietrzu.

– Tak.

– Uzbrojone.

– Tak. Zaczęła się wojna. Chcemy zademonstrować gotowość.

– Świetnie. Oni nie odważą się nas zaatakować.

– Was nie.

– Mówię o jakimkolwiek kraju NATO. Możesz to przyjąć za pewnik. Nic wam nie grozi.

– Mamy inne wrażenie.

– Posłuchaj. – W głosie Amerykanina brzmiała powaga. – Powiem wprost: wiem, że chcecie zbombardować rosyjskie wyrzutnie w obwodzie kaliningradzkim. Wstrzymajcie uderzenie.

Minister milczał.

– Na razie nikt u mnie o tym nie wie – ciągnął O`Malley. – I tak pozostanie, nikt się nie przypieprzy, że chcieliście zaatakować Rosję bez poinformowania nas. Ani

wam, ani nam nie jest potrzebny konflikt i medialna wojna. Moja propozycja jest taka: wydaj samolotom rozkaz latania wzdłuż granicy, od Braniewa do Gołdapi i z powrotem. – Polskie nazwy wymówił w śmieszny sposób, ale ministrowi nie chciało się śmiać; O`Malley bardzo dobrze przygotował się do rozmowy. Jak na gust ministra wiedział stanowczo zbyt dużo. – My oficjalnie was poprzemy i nawet podeślemy kilka myśliwców, bo w kupie rażniej. Działamy razem jako sojusznicy, ramię w ramię i obronimy każdy centymetr terytorium członków sojuszu. Oni to rozumieją. Niedługo prezydent wystąpi z orędziem dokładnie tej treści.

Minister poczuł chłód na karku.

– A jeśli się mylicie? – zapytał. – Jeśli oni naprawdę chcą zaatakować Warszawę, żeby was zniechęcić do ostrzejszej reakcji?

– Nie mylimy się – odparł pewnym tonem zastępca sekretarza obrony. Oczywiście, słowa wypowiedane zza Atlantyku niewiele kosztują. – Oni chcą, żebyście myśleli, że szykują się do ataku.

– Co na ten temat mówi CIA?

– A jak sądzisz? To, co mówię, wiem od nich. Jeśli wstrzymasz atak, może zastanowimy się nad jakimś rabatem na Abramsy, wiesz? Myślę nawet, że o szybszych dostawach F-35 też możemy pogadać.

Zachar Matwiejczuk palił papierosa i gapił się na wóz medyczny, do którego łapiduchy ładowały rannych. Sam nie pozwolił odwieźć się na tyły, choć prawa ręka była przestrelona na wylot; kula pod drodze zmasakrowała kość, a lekarz orzekł, że szanse na uratowanie kończyny są minimalne. Dla niego wojna najprawdopodobniej się skończyła. Mimo tego Zacharowi jakoś nie spieszyło się do szpitala.

Walka trwała nadal, choć przeniosła się na drugi kraniec lotniska. Piony rzeczywiście weszły do akcji i dokończyły dzieła po Czarnych Krukach, czyniąc pas startowy niezdatnym do użytku. Drugi rzut ponoć zawrócił – tak gadali logistycy, a oni zawsze wszystko wiedzą najlepiej. W Kijowie miała miejsce próba zamachu na prezydenta, ale ostatecznie udało się go udaremnić. Kliczko pogodził się z Zeleńskim i razem przygotowują miasto do obrony. Ochotników jest tylu, że już nawet głupich kałachów dla nich nie starcza. I tak dalej.

Dowiedział się od żołnierzy odwodowej kompanii, tej samej, która przed atakiem ruskiego śmigłowca uratowała mu skórę, że wielki facet z karabinem snajperskim jest Polakiem i ochotnikiem. Nikt nie znał jego imienia ani nie miał pojęcia, skąd wziął się w Buczy. Wszyscy domyślali się, że facet w przeszłości był żołnierzem, ale nikt nie zdążył zapytać, w jakiej formacji służył i na jakiej wojnie nauczył się tak walczyć.

Bo walczył ponoć jak maszyna, kamiennie spokojny i morderczo skuteczny. Trzymał się nieco z tyłu, ale umiał bezbłędnie wyszukać cel. Nim oddziałek dotarł do Zachara, miał na rozkładzie dziewięciu ruskich.

Ale potem nadleciał Aligator.

W efekcie wielkolud leżał teraz na noszach tuż przy karetkce, nieprzytomny, nafaszerowany lekami, z wielką raną od odłamka na biodrze, poparzonym tułowiem i karabinem (najwięksi fachowcy nie umieli odgadnąć, co to za typ) ułożonym tuż obok przez sanitariuszy. Miał zamknięte oczy i nieruchomą twarz – rzecz jasna tym bardziej nie był skłonny udzielać jakichkolwiek wyjaśnień.

A choćby i usłyszeć podziękowań.

Bo było za co dziękować. Wszyscy: Zachar, jego obsługa, żołnierze odwodowej kompani Gwardii Narodowej, a być może i reszta plutonu lejtnanta Krawczenki właściwie zawdzięczali mu życie. Gdy żołnierze zobaczyli nadlatującego Aligatora, nawet nie myśleli o stawianiu oporu. Nie mieli broni przeciwlotniczej, mogli tylko liczyć na łut szczęścia, rozbiegli się więc w poszukiwaniu ukrycia. Jedynym, który nie stracił głowy, był Polak. Rozejrzał się, oparł broń o nisko zawieszoną gałąź jednego z drzew, wycelował i zaczął strzelać.

Zachar tego momentu nie widział, albowiem leżał z głową wtuloną w piach i modlił się do Boga Wszechmogącego, żeby jeszcze poczekał z zabieraniem go z tego łoża padołu. Ale inni widzieli coś niecoś, więc po bitwie mu opowiedzieli.

Jako doświadczony żołnierz wielkolud na pewno wiedział, że nie zestrzeli solidnie opancerzonego helikoptera za pomocą zwykłych pocisków karabinowych kalibru 7,62. Jednak każda maszyna bojowa ma swoje słabsze czy bardziej wrażliwe punkty. Aligator nie należał do wyjątków. Polak, z podziwu godnym spokojem (a nie jest łatwo zachować spokój, gdy leci na ciebie jedenastotonowy, obwieszony bronią potwór; Zachar pamiętał podobną sytuację z Debalcewa: po bitwie musiał wyfasować nowe spodnie, bo stare nie nadawały się do użytku)

wpakował najpierw dwie kule w zawieszoną pod spłaszczonym dziobem głowicę optoelektroniczną, a następnie zajął się podwieszonym pod prawym pylonem zbiornikiem paliwa. Któraś z kul, może nawet niejedna, musiała trafić. Nie wyrządziła, co prawda, widocznych szkód, ale zdezorientowała załogę, na co pewnie strzelec liczył. Tylko tyle i aż tyle. Pilot, najwyraźniej młody i niedoświadczony, szarpnął maszyną dokładnie w momencie, gdy operator uzbrojenia nacisnął spust, by plunąć w stanowisko Zachara tuzinem niekierowanych rakiet. Seria poszła w bok. Eksplozje zabiły dwóch ludzi i raniły kilku innych, w tym polskiego snajpera, ale reszta ocalała, łącznie z działem Zachara (silnik haubicy, dziwnym trafem, dokładnie w tym momencie zaskoczył). Aligator dodał gazu, szybko nabrał wysokości i zaczął kolejną pętlę, by powtórzyć atak. I wtedy dopadła go przeciwlotnicza Igła, wystrzelona z jednego ze stanowisk obrońców Hostomelu. Trafiła prosto kadłub, tuż pod silnikiem i rozerwała go. Śmigłowiec, obracając się wokół własnej osi i dymiąc, spadł i z hukiem eksplodował spory kawałek od parku miejskiego.

To był zresztą jeden z ostatnich akordów starcia. Od strony lotniska ruszyła do kontrataku ściągnięta do pomocy piechota. Wzięci w dwa ognie spadochroniarze zostali co do jednego zlikwidowani. Walka wygasła z tą samą gwałtownością, z jaką się zaczęła.

Stał więc Zachar, patrzył, jak łapiduchy pakują nadal nieprzytomnego strzelca do karetki, i myślał, że nadal ma szczęście, Pan Bóg wysłuchał bowiem jego błagań, postawił mu na drodze olbrzyma z dalekiej Polski i nie tylko pozwolił przeżyć, ale i umożliwił powrót do rodziny, bo rana okazała się zbyt błaha, by zagrozić życiu, ale zarazem zbyt poważna, by Zachar mógł kontynuować służbę. Co będzie dalej, nie wiadomo. Na przykład pojedzie do Polski i zostanie z dziewczynami albo wróci na Ukrainę i zabierze się za uczenie innych. Wiedział, że może się przydać. A każdy doświadczony żołnierz jest na wagę złota, im dalej w wojnę, tym bardziej.

Jeden z medyków zatrzasnął drzwi i klepnął w blaszaną budę. Wóz prychnął kłębem spalin i ruszył w stronę Kijowa, zostawiając za sobą stojący bez ruchu komitet pożegnalny, złożony z sierżanta artylerii Zachara Matwiejczuka, męża Uljany i ojca dwóch ślicznych dziewczynek, który jakoś odruchowo stanął na baczność.

FAZA 4

26 lutego 2022

Krzeptowski w końcu odzyskał pełnię świadomości, choć zajęło mu to niemal cały poranek. Stopniowo dostrzegał różne rzeczy, początkowo tylko w swoim najbliższym otoczeniu. Leżał na bardzo wygodnym łóżku, wokół pikała aparatura, co jakiś czas zaglądała pielęgniarka, by wykonać kolejne fragmenty proceduralnego misterium, które miało go przywrócić do zdrowia. Choć nie sprawności – lekarz prowadzący ucieszył się, że pacjent w końcu się obudził, jednak uchylił się od odpowiedzi na pytanie, czy ranny będzie chodził o własnych siłach. Stwierdził tylko, że biodro jest strzaskane, zostanie wykonanych kilka operacji, a potem pacjenta czeka rehabilitacja i należy być dobrej myśli.

Sam się zdziwił, jak niewiele go to obeszło.

Stopniowo przypominał sobie więcej. Walkę. Satysfakcję z zabijania. Stojącą samotnie haubicę i jej dowódcę ze straceńczą odwagą osłaniającego unieruchomione działo. Atak śmigłowca. Potem ciemność. Świadomość odzyskał w ukraińskiej karetce. Droga dłużyła mu się, ale przynajmniej nie czuł bólu, nafaszerowany chemią. Potem, już w Kijowie, wóz stawał na licznych checkpointach i kierowca tłumaczył się, kogo wiezie i gdzie jedzie. Ruch był ogromny, tysiące samochodów próbowały dostać się do autostrady wiodącej na zachód. Co chwilę wstrzymywały ich korki i nawet syrena nie pomagała. Na jednym z postojów jadący w środku medyk otworzył tylne drzwi, by wpuścić

trochę powietrza. Miał swoje powody, czterech rannych, wliczając Krzeptowskiego, nie pachniało zbyt wykwintnie.

I wtedy zakopiańczyk zobaczył tę kobietę.

Stała twarzą do niego, nie dalej jak dziesięć metrów. Miała na sobie ten sam płaszcz co wcześniej. Policjant trzymał w ręku tę samą ortalionową torbę, którą kobieta zwykle nosiła na ramieniu, i przeszukiwał ją. Kolejny gliniarz trzymał w pogotowiu kałacha.

Szarpnął się, ciało zareagowało falą przebijającego się przez farmakologiczną osłonę bólu. Nie bardzo pamiętał, jak udało mu się namówić medyka, by wysiadł i zapytał gliniarzy, kim jest ta kobieta i za co ją zatrzymali. Musiał być przekonujący, bo facet spojrzał na niego przeciągle, poszedł, pogadał chwilę, po czym wrócił z nader niewyraźną miną, której Krzeptowski już nie widział, bo wcześniej stracił przytomność.

Dotknięcie czyjejś dłoni wyrwało go z zamyślenia. Tolak. Krzeptowski tak się zadumał, że nie zauważył, kiedy facet wchodził.

– Cześć – mruknął przybyły, sadowiac się na krześle. – Dobrze wyglądasz.

Zakopiańczyk skrzywił się.

– Chrzanisz – szepnął. – Ale dzięki.

– Poważnie. Jak na kogoś, kto zderzył się z Aligatorem, wyglądasz kwitnąco.

– Złego diabli nie biorą.

– Na początek świetna wiadomość – powiedział gość, uśmiechając się. – Kika żyje. Przeszła operację, leży w śpiączce farmakologicznej, ale podobno stan jest stabilny.

Do Krzeptowskiego słowa dotarły z opóźnieniem. Żyje? Na przekór wszystkiemu? Ulga stanowiła doznanie niemal fizyczne. Nie potrafił wyrazić radości, ta umiejętność chyba odeszła na dobre wraz ze śmiercią Jadwigi, ale naprawdę się cieszył. To była najlepsza wiadomość od niepamiętnych czasów.

– Zachowałem się jak chuj, że ją zostawiłem.

– Ukraińcy uważają inaczej. – Tolak uśmiechnął się jeszcze szerzej. Był w nieczęsto u niego spotykanym dobrym humorze. – Tak napaarli, że w końcu dowiedzieli się o tobie konkretów. Dzwonili do Zakopanego i jakoś dotarli do mnie. Dowódca Czwartej Brygady Gwardii Narodowej osobiście kazał ci podziękować.

Krzeptowski, gdyby mógł, wzruszyłby ramionami. Nie zabijał dla Ukraińców. Robił to dla Kiki, dla jej uśmiechu, dla jej głosu, inteligencji, osobowości. Gdy pięć lat temu stracił żonę i zaraz potem najlepszego przyjaciela, Kika była jedyną osobą, na którą, choć nie utrzymywał z nią bezpośrednich kontaktów, mógł liczyć i która zrozumiałaby go, nawet gdyby zadzwonił po pijaku w środku nocy tylko po to, by ryczeć w słuchawkę.

– Zwyczajny chuj i tyle... – powtórzył Krzeptowski niczym katarynka.

– Głupi jesteś jak but. – Tolak chyba naprawdę tak myślał, bo zaczął być autentycznie zły. – Kika przeżyła tylko dlatego, że szybko założyłeś jej opatrunek i powstrzymałeś atak ruskich, w związku z czym karetka mogła zawieźć ją do szpitala, więc nie pierdol z łaski swojej, dobrze?

Przez chwilę milczeli. Krzeptowski starał się ułożyć w głowie świat na nowo, ale szło z oporami.

– Co jeszcze mówią lekarze? – zapytał w końcu.

– Wiesz, jak to jest. To zależy do tego, od tamtego, od śmego. Sami nie wiedzą.

– Ona jest silna.

– Najsilniejsza z nas wszystkich.

– Byłem przekonany, że ją zabili, wiesz?

– No to możesz już o tym nie myśleć.

Krzeptowski spojrzał na niego z wdzięcznością. Obiecał sobie, że gdy nabierze nieco sił, każe się zawieźć piętro niżej i posiedzi z nią chwilę. Potrzebował tego. Rada Tolaka była niezła, ale on znał siebie. Jeszcze przez dłuższy czas nachodzić go będą wyrzuty sumienia. Nie powinien jej zostawiać.

– Aha, mam jeszcze coś. Podobno widziałeś w Kijowie jakąś kobietę...

Kobietę? O czym ten człowiek mówi?

– W eleganckim płaszczu i z torbą.

Przypomniało mu się. Faktycznie. Była taka kobieta. Policja ją zgarnęła. Potem film mu się urwał.

– No więc?

– Medyk poszedł potem na policję, wywiadał się wszystkiego i zostawił info dla ciebie w ambasadzie, bo podobno bredziłeś, że musisz wiedzieć, pomóc jej i takie tam. Historia jest smutna, od razu mówię. Kobieta miała troje dzieci i męża

inwalidę. Cierpiała na lekką odmianę schizofrenii, która nie przeszkadzała jej w miarę normalnie żyć, ale uniemożliwiała znalezienie pracy. Więc została złodziejką. Wszystko, co miała na sobie, również pochodziło z kradzieży, bo doszła do wniosku, że markowe ubranie ułatwi jej robotę. Kradła żywność, elektronikę, lekarstwa. Co się dało sprzedać, sprzedawała. Resztę zanosila do domu, gdzie jej mąż, pozbawiony nóg i jednej ręki weteran ATO z piętnastego, leżał przykuty do łóżka, w którym miał pozostać do śmierci. Wtedy ze złodziejki zamieniała się w matkę i pielęgniarkę. Renta inwalidzka przyznana przez państwo swemu obrońcy wynosiła siedemset pięćdziesiąt hrywien miesięcznie, co po dzisiejszym kursie jest jakieś sto dwadzieścia złotych.

Krzeptowski dziwnie się poczuł. O mało nie zastrzelił kobiety, bo nie pasowała do otoczenia. Miał rację – nie pasowała. Teraz zapewne pójdzie siedzieć, zostawiając resztę rodziny bez środków do życia. Cholerna wojna. Gdyby nie ona, policja miałaby gdzieś babkę i jej torbę.

– Co z przeciekiem? – zmienił temat. Momentalnie przypomniał mu się cichy głos Zawadzkiej odpowiadającej na pytania, które zdążył jej zadać, nim umarła. Miała złamany kręgosłup i wielką dziurę w głowie. Krzeptowski starał się nie patrzeć na widoczny przez nią mózg. Nie miał pojęcia, jakim cudem ta kobieta nie tylko żyje, ale jest w stanie myśleć i mówić. Cierpiała straszliwe katusze, jednak spokój zachowała do końca. Jeśli w zaświatach miała ją spotkać kara, mogła poczuć jej przedsmak jeszcze tu, na ziemi.

Tolak spoważniał.

– Nie wiem, od którego końca zacząć – powiedział, zakładając nogę na nogę. – Powiem tak: nasz wspólny przyjaciel Bronn miał dobre nieoficjalne kontakty w SBU. Pół roku temu dowiedział się o jednym facecie z ministerstwa energetyki i ochrony środowiska. Żadnej szyszce, po prostu zastępcy dyrektora departamentu. Ale gość miał dostęp do kluczowych dokumentów i decyzji, nawet tych, które dopiero miały zostać podjęte. Więc posiadał wiedzę, którą postanowił zmonetyzować. Nic szczególnego, nie? Łapownik, jakich na kopy. Dowiedziałem się, ile zarabiał, nawet mu się nie dziwię. Co zainteresowało Bronna, to fakt, że gość jest szwagrem Zawadzkiej, mężem jej siostry. Wywęszył, że babki były bardzo ze sobą związane, całe życie trzymały się razem. Jedna za drugą w ogień by wskoczyła. Więc zaprosił Zawadzką na kawę, pokazał jej materiały, jakie SBU ma na jej szwagra, i zaproponował deal.

– Kamera za spokój.

Tolak wycelował w niego palec.

– Tak jest, drogi Watsonie. Dał Zawadzkiej plasterek z kamerą i zaczął monitorować ruchy Wajmana. Po czym puszczał część informacji ruskim, bo budował jednocześnie kanał informacyjny z frakcją twardegłowych w GRU. Podsunął im Moskalewicza, Zawadzka umieściła w ubraniu Wajmana tracker, więc GRU dokładnie wiedziało, gdzie się towarzystwo spotyka, gdzie uciekło po pierwszym uderzeniu i tak dalej.

– Fajny sojusznik.

– Bardzo fajny. Dzięki tej akcji zyskał zaufanie wierchuszki GRU. Bardzo się przydało, kiedy trzeba było powstrzymać konkurentów z Czarnego Sztormu.

– Przed czym?

W kilku słowach opowiedział mu o operacji mającej sprowokować Polaków do uderzenia. Udało się zapobiec wojnie dzięki refleksowi obu stron: Bronn zadzwonił do O`Malleya, starego znajomego jeszcze z CIA i namówił do wykonania telefonu do polskiego ministra z prośbą o zawrót samolotów. Partnerzy z GRU natomiast swoimi kanałami dali znać Putinowi, który ponoć nie był świadom, co mu gotują turbopatrioci.

– Osobiście wątpię, że nie był, ale mniejsza z tym – ciągnął Tolak. – Poszedł rozkaz, wszystkie przygotowania zostały wstrzymane. Warszawa nadal stoi, Pałac Kultury nadal straszy, wszystko jest okej.

Ostatniego zdania zakopiańczyk już nie słyszał.

Spał.

Dźwięk dzwonka wyrwał Maliszewskiego z zamyślenia. Pułkownik zerknął na wyświetlacz i uśmiechnął się.

– Spokojnie, jeszcze nie minęło dwadzieścia minut – powiedział.

Głos kolegi ze Straży Granicznej pobrzmiwał zarazem poczuciem winy i lekką urazą.

– No, kochany, ty się ciesz, że ja w ogóle jeszcze chcę z tobą gadać. Mój własny szef rozpoznania mało mi łba nie urwał. Mówił, że narażam ludzi.

– Niech nie łamią prawa, to nie będą musieli się narażać.

– Bardzo śmieszne.

– Jest dwa dni po terminie.

– Chcesz się czegoś dowiedzieć czy nie?

– Chcę.

– Wszystko to był pic na wodę – powiedział oficer Straży Granicznej z satysfakcją w głosie. – Teatrzyk dla naszego dzielnego wywiadu, czyli ciebie. Ruscy ustawili stanowiska pozorne. Mieli agregaty, samochody, a makiety wyrzutni takie, że dopiero z bliska rozpoznasz, że to guma dmuchana.

Maliszewski poczuł falę ulgi. Przez ostatnie dwa dni odbył cztery rozmowy z ministrem, który chciał wiedzieć, czy Polsce naprawdę groził atak. Pułkownik miał wrażenie, że usatysfakcjonowałyby go tylko odpowiedź twierdząca.

– Dostanę coś?

– A żebyś wiedział. Posłałem ci zdjęcia, filmiki i podsłuchane fragmenty rozmów. Masz podkładkę, w razie jakby nasi wodzowie zaczęli się zastanawiać, czy ataku nie było, bo miało nie być, czy może jednak Amerykanie mocno pociągnęli za sznurki i Ruscy odpuścili. Gdyby ktoś chciał wchodzić w temat głębiej. Więcej mi dupy nie zawracaj. Cześć.

Maliszewski wrzucił telefon do kieszeni, po czym wszedł do małego pomieszczenia całkowicie pozbawionego mebli. Jego wyposażenie stanowiło wielkie lustro weneckie. Po drugiej stronie znajdował się znacznie większy pokój, tymczasowo zamieniony w salę szpitalną. Na łóżku leżał człowiek. Uważny obserwator dostrzegłby, że mężczyzna ów jest przykuty kajdankami do stalowej poręczy. Aparatura monitorowała wszystkie najważniejsze funkcje życiowe. Obok, na stoliku, stała butelka wody i plastikowy kubek. Łagodne światło sączyło się z dwóch ściennych kinkietów.

Maliszewski dołączył do Leny i Ferenc, przyglądających się w milczeniu więźniowi.

– Biureczko, szefie? – jęknął Ferenc na widok przełożonego. – Ja panu załatwiam takiego kogoś, a pan mi biureczko?

Maliszewski ostrożnie klepnął go po zdrowym ramieniu.

– Za tego faceta Polska będzie ci wdzięczna jeszcze za sto lat – powiedział. – A w Warszawie posiedzisz dla własnego dobra.

– Jasne.

– Poważnie.

Wiedział, że pułkownik ma rację. Odzyska sprawność najwcześniej za sześć miesięcy. Jeśli chciał pozostać w służbie, musiał do tego czasu odwalać papierkową robotę. Nadal jednak nie mógł uwierzyć, że to go spotkało.

Mężczyzna na łóżku poruszył się. Spojrzał wprost w lustro, jakby chciał dostrzec obserwatorów. Miał bladą twarz chorego człowieka. Ale Ferenc widział w niej coś więcej: fanatyzm i inteligencję.

– Nadal nie mogę uwierzyć – mruknęła Lena. Przesłuchania formalnie jeszcze się nie zaczęły. Pacjent więzień był na to zbyt słaby. Nie spieszyło im się. Chcieli być odpowiednio przygotowani. Każde zadane pytanie powinno być dla mężczyzny wielkim wyzwaniem i dylematem.

– Że to on czy że akurat Ludwikowi się udało? – zapytał kpiąco pułkownik.

– Że Zeleński się zgodził nam go dać, a potem że nikt nie przypieprzył się na granicy.

– Dał, bo nie wiedział, kogo daje – odpowiedział Ferenc, jakoś urażony przytykiem Maliszewskiego. Był zmęczony i rozdrażniony. Potrzebował odpoczynku.

Maliszewski spojrzał na niego ciepło.

– Już ci gratulowałem refleksu? – zapytał.

– Oczywiście. W nagrodę posadził mnie pan za biurkiem.

Tym razem roześmieli się wszyscy troje.

– Co dalej? – chciała wiedzieć Lena.

– Czekamy, aż się wykuruje. Potem zaczniemy rozmowy. Tylko my, nikt więcej, jasne?

Przytaknęli.

Ostatnie dni były zwariowane. W czasie gdy Ferenc i Lena podróżowali pociągiem z Kijowa (mimo bombardowań i ataków rakietowych pociągi nadal regularnie kursowały), pielęgnując więźnia i strzegąc jednocześnie przed próbą odbicia, Maliszewski wykonał olbrzymi wysiłek i zorganizował wszystko tak, by zachować ich przyjazd w tajemnicy. W Warszawie wiozący ich wagon odłączono od składu i przetoczono na bocznice. Czekala tam wyposażona w podstawową

aparaturę do podtrzymywania życia furgonetka prowadzona osobiście przez pułkownika. Dwieście kilometrów pokonali w niecałe dwie i pół godziny. Więzień wylądował w jednym z tajnych ośrodków wywiadu, ukrytym w lesie niewielkim kompleksie budynków, ogrodzonym płotem i pilnowanym przez kamery i strażników z psami. Maliszewski zadbał, by w ośrodku nie było nikogo poza strażą i wykwalifikowaną pielęgniarką, której lojalności był pewien, a która i tak nie znała prawdziwej tożsamości więźnia. A właściwie nie tyle tożsamości, co roli, jaką więzień odgrywał w swojej organizacji. To właśnie ona stanowiła tajemnicę, którą Maliszewski chciał ukryć przed światem.

Dzięki fenomenalnej pamięci wzrokowej i refleksowi Ferenca (oraz dzielnemu szczęściu, że ukraiński prezydent, mając na świeżo w pamięci poświęcenie Polaków w jego obronie, zezwolił na przejęcie jeńca, nim SBU zdążyło go zweryfikować) polskiemu wywiadowi udało się przejąć i wywieźć do Polski szefa jednej z głęboko utajnionych komórek GRU. Nikogo nie powinien jednak zmylić stosunkowo niski stopień i niepozorna nazwa organizacyjna, podobnie jak zupełnie nieistotny fakt, że Fomin osobiście dowodził atakiem na Zefeńskiego. Jego właściwa rola miała zupełnie inny wymiar. Major Jewgienij Fomin projektował przyszłość. Był komputerem zarządzającym mechanizmem przebudowy Europy, zwolennikiem głębokiej modernizacji armii, chodzącą kopalnią wiedzy na temat zasobów, procesów i łańcuchów decyzyjnych państwa rosyjskiego. Jego raporty były na Kremlu traktowane niemal jak wytyczne.

Co ciekawe, przejęcie go przez polskie służby miało pozory legalnego działania – Fomin podczas akcji nie był chroniony immunitetem (co zawsze ma miejsce w wypadku zwykłych działań agenturalnych rosyjskiego wywiadu wojskowego), został złapany podczas zbrojnego napadu na terytorium obcego państwa, a jego ludzie (a może i on sam) zabili polskiego funkcjonariusza na służbie. Maliszewski jednak nie miał, przynajmniej na razie, zamiaru nikomu się tłumaczyć, co wyraźnie zapowiedział swoim współpracownikom.

– Jesteśmy w tym tylko my, jasne? – powtarzał. Po czym, widząc wahanie na twarzach obojga, dodał: – Moi drodzy, musimy być przygotowani na różne okoliczności. Wojna dopiero się zaczęła. Nie wiadomo, kto wygra. Nie wiadomo, gdzie będzie Polska za rok czy dwa. Nie wiemy, komu będziemy musieli zapłacić i za co. Więc bierzmy się do roboty.

Ferencowi przeleciało przez głowę brzydkie podejrzenie, że pułkownik zamierza zrobić z Fomina prywatnego więźnia, kogoś w rodzaju Człowieka w Żelaznej Masce i grać wiedzą od niego pozyskaną niekoniecznie dla dobra państwa, ale swojego własnego. Zasoby siedzące w głowie więźnia stanowiły potężną broń. A słowa Maliszewskiego można było interpretować na różne sposoby.

– Dziwne, nie? – zapytała Lena. – Taki mózg, a dowodził osobiście operacją.

– Nie takie dziwne, jak się zna jego zyciorys – odparł Maliszewski. Oprócz podjęcia przygotowań do przyjęcia gościa, starał się również dowiedzieć na jego temat wszystkiego, co możliwe. Trudne zadanie: Fomin bardzo rzadko pokazywał się publicznie, prawie nigdy nie przemawiał, mało się udzielał na różnych konferencjach. Był demiurgiem pozostającym w cieniu. Maliszewski jednak nie na darmo zęby zjadł na swojej pracy. Znał Rosję i Rosjan. Umiał dotrzeć do ludzi posiadających odpowiednią wiedzę. Z reguły byli mu winni przysługę. – Po pierwsze kiedyś służył w Specnazie. Potem dowodził zespołem bojowym. Dał się poznać jako genialny planista. Jego akcje zawsze kończyły się powodzeniem. I na ogół nie tracił ludzi. Miał taką zasadę, że w każdej operacji bierze udział osobiście, bez żadnych wyjątków. Uważał, że nie może od swoich ludzi wymagać poświęcenia życia, jeśli sam nie ma ochoty ryzykować.

– W Rosji musieli uważać go za dziwaka – zauważyła Lena.

– Genialnego dziwaka – przyznał Maliszewski. – Jednak był tak skuteczny, że pozwalano mu na to. W końcu jednak ktoś zorientował się, że facet tak intelektualnie przerasta wszystkich dookoła, że jego możliwości powinny być wykorzystane inaczej. I skierowano go do centrali, awansowano i postawiono na czele zespołu takich samych jak on freaków, którzy mieli zaprojektować nową Rosję.

– Poważnie? – Ferenc nie potrafił ukryć daleko idącego sceptycyzmu. – Ryzykował życie, bo miał zasadę, że nie puszcza ludzi samych na zaplanowaną przez siebie akcję?

– Musiał przekonać górę, żeby dali mu zgodę na osobisty udział. Biorąc pod uwagę jego pozycję, myślę, że decydował osobiście Putin. Likwidacja prezydenta była najważniejszą częścią planu politycznego. Fomin chciał sam dopilnować jego wykonania. Miał pecha, bo nie przewidział, że Zeleński w momencie ataku będzie gościł troje Polaków, którzy nie spękają, a jeden nawet poświęci życie.

Ferenc pomyślał, że to jednak idiotyzm. Komando atakujące pałac prezydencki było w zasadzie skazane na śmierć lub pojmanie do niewoli. Narazić powodzenie tak szeroko zakrojonego planu dla zasady sprzed lat? Motywację majora mógł od biedy zrozumieć – facet lubił osobiście dopilnować tematu, zawsze mu się udawało, może nawet sam chciał wpakować kulkę w Zeleńskiego. Ale że dostał akcept? Nie tak do końca byli genialni ci geniusze strategii i tajnych operacji.

– Przygotujcie listę pytań do naszego gościa – nakazał podwładnym. – Chcę jutro zorganizować pierwszą sesję.

– Co mu obiecamy w zamian? – zapytał Ferenc.

Maliszewski uśmiechnął się. Wyglądał jak wilk ze starych filmów rysunkowych.

– Wszystko – odparł.

– Panie prezydencie, dzwoni kanclerz Niemiec.

Zełeński przeciągnął się. Nie spał od dwudziestu godzin. Rosjanie stali niemal u wrót Kijowa. Na południu armia wycofała się za Dniepr tak szybko, że duża część Chersońszczyzny była już w rękach najeźdźców. Sumy – obleżone. Charków – obleżony. Ruskie lotnictwo lata jak u siebie. Masowo giną cywile.

A on stał na czele tego wszystkiego.

– Daj mi minutę – odparł. Sekretarka zniknęła za drzwiami. Prezydent spojrział w lustro. Nie przypominał samego siebie. Był swoim starszym bratem. Czuł się nie tyle nawet zmęczony, co wyssany z energii. Pierwsze godziny wojny dużo go kosztowały. Jeszcze nie potrafił się regenerować na zawołanie.

Podniósł słuchawkę.

– Dzień dobry – powiedział

– Dzień dobry – zabrzmiał głos kanclerza. Rozmawiali po angielsku, bez udziału tłumacza. – Jak się czujesz?

Co za pytanie.

– Jakoś sobie radzę – zbył go. – Wszyscy pracujemy.

– Domyślałam się. Szczerze współczuję.

Jasne.

– Dzwonię, bo chcę ci powiedzieć ważną rzecz. Między nami. Tylko między nami.

– Zamieniam się w słuch.

– Jutro wystąpię w Bundestagu i ogłoszę nowe otwarcie, Zeitwende. Zapowiem sto miliardów euro na rozbudowę Bundeswehry. Opowiem o odejściu od rosyjskiego gazu i w ogóle źródeł energii z Rosji. Ogłoszę sankcje i tak dalej.

– Wspaniałe wieści – powiedział Zeleni, choć wcale tak nie myślał. Kanclerz opowiadał mu, co chce zrobić dla Niemiec. O Ukrainie nie wspominał. Nic dziwnego. Berlin uważał, że Kijów się nie obroni i państwo upadnie.

– Ale musisz zrozumieć jedną rzecz. – Kanclerz ściszył głos. – Że my naprawdę nie możemy sobie pozwolić na raptowną zmianę kursu. To muszą być zmiany rozłożone na dekadę, może nawet dwie. Mamy zobowiązania wobec naszych obywateli.

Zeleni zamknął oczy. Szczery pokaz Realpolitik. Mówimy jedno, robimy drugie. Wyrażamy moralne oburzenie bandyckim rosyjskim napadem i udajemy, że chcemy pomóc ofierze agresji, ale w rzeczywistości nie możemy pozwolić, by wyborcy coś na tej wojnie stracili, nie możemy dopuścić do choćby chwilowego obniżenia standardu życia naszych obywateli. Więc tani ruski gaz, od którego nasza gospodarka jest uzależniona, musi, po prostu musi płynąć dalej, choćby pod inną flagą.

– Popieramy was, ale wiemy, że wojna kiedyś się skończy i nastanie pokój. Z Rosją, tak czy inaczej, jakoś się trzeba będzie ułożyć – ciągnął szef niemieckiego rządu.

Dlatego będą się działy różne rzeczy, które mogą się wam wydać dziwne, niezrozumiałe czy wręcz nieprzyjemne. Po prostu musimy grać i lawirować, dokończył za niego Zeleni, tyle że w myślach.

– Mogę cię zapewnić, że Niemcy pomogą wam w odbudowie kraju, tak samo jak pomogą wam wejść do Unii Europejskiej – mówił dalej kanclerz. – Tylko proszę cię o cierpliwość i elastyczność. Wygramy i ułożymy rzeczywistość po swojemu. A wy nam w tym pomożecie.

– Dobrze – powiedział prezydent. Miało sens. Nie wiadomo, jak zachowają się Amerykanie, a na Ukrainie zawsze silne były proniemieckie sympatie. Prawdziwa

polityka polega na grze na kilku fortepianach. A on zagra, co będzie trzeba. Zdradzi najbliższych sojuszników, jeśli Ukraina tego zażąda.

Rozłączył się w momencie, kiedy do gabinetu wkroczył premier.

– Amerykanie uważają, że się nie utrzymamy – powiedział, wyraźnie zdenerwowany.

– A więc i oni również...

– Oferują pomoc przy ewakuacji – dokończył premier

– Powiedz im – wypalił prezydent – że nie potrzebuję podwózki, tylko amunicji.

KONIEC

Posłowie

Gdy zaczynałem pracę nad tekstem powieści, musiałem rozwiązać kilka dylematów. Główny polegał na wyborze sposobu pogodzenia faktów z fikcją. W momencie, gdy piszę te słowa, pod koniec września 2023, wojna za naszą wschodnią granicą jeszcze trwa, a jej zakończenie nawet nie majaczy na horyzoncie. Pewnych rzeczy nie wiemy, nawet tych, które wydarzyły się ponad półtora roku temu, ponieważ nikomu nie zależy na ujawnieniu prawdziwej ich natury. Mając pełną świadomość, że nie piszę dzieła pretendującego do kronikarskiej rzetelności, pozwoliłem sobie dostosować wydarzenia ostatnich godzin pokoju i pierwszych godzin wojny do potrzeb fabuły. Czy próby zamachu na ukraińskiego prezydenta miały rzeczywiście miejsce? Nie znamy faktów, słyszymy tylko plotki, przyjąłem więc własną hipotezę, którą przedstawiłem na kartach powieści. Czy Polacy dostarczyli Ukraińcom haubice jeszcze przed wybuchem walk? Może tak, może nie. Czy walki o Hostomel tak właśnie wyglądały? Czy brał w nich udział jakikolwiek Polak? Któż to wie? A co z naszymi myśliwcami wlatującymi w ukraińską przestrzeń powietrzną? Jedna wielka zagadka. Uważny czytelnik zauważy też, że nieco (eufemistycznie mówiąc) naciągnąłem chronologię wydarzeń, ponieważ stanąłem przed koniecznością zsynchronizowania kilku wątków, czego nie dało się zrobić przy zachowaniu historycznej rzetelności. I tak dalej.

Dlaczego o tym mówię?

Ponieważ wydarzenia zawarte w powieści są w ogromnej większości literacką fikcją i tak powinny być traktowane. Występują w niej prawdziwe postacie, ale robią i mówią to, co jest zgodne z fabułą, a nie rzeczywistością. Praca artylerzystów na pewno wygląda nieco inaczej, podobnie jak praktyka dnia codziennego Starszego Dyżurnego Operacyjnego Dyżurnej Zmiany Bojowej Centrum Operacji Powietrznych w Pyrach pod Warszawą.

Napisanie powieści dotyczącej wielu obszarów (gdy zaczynałem, nie miałem najmniejszego pojęcia jak wielu) wymagało ogromnej ilości specjalistycznej

wiedzy. Jako że uważam, że najlepszym źródłem takiej wiedzy jest człowiek, czuję dumę, że udało mi się namówić do współpracy wspaniałych ludzi, którym niniejszym chciałbym bardzo serdecznie podziękować. Dr Dariusz Materniak, specjalista od spraw ukraińskich, jak z rękawa sypał informacjami, zakresem dalece wykraczającymi poza to, na co się umówiliśmy. Aleksander Fiedorek cierpliwie objaśniał kwestie związane z podziemnymi schronami, również pochodzącymi z czasów sowieckich. Pułkownik rezerwy, dr Robert Stachurski, były szef Obrony Powietrznej Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, obrazowo odmalował, na czym polega praca Centrum Operacji Powietrznych, a także dał się namówić na planowanie ryzykownych eskapad lotniczych. Konrad Wilgat sporo mu zawdzięcza. I w końcu, last, but not least, podpułkownik rezerwy Grzegorz Iwanowski, którego wiedza na temat zasad użycia artylerii na współczesnym polu walki przerażała nawet mnie, militarystę-amatora. Dzięki panu pułkownikowi haubica dowodzona przez sierżanta Zachara Matwiejczuka mogła w ogóle ruszyć z miejsca. Panowie, bardzo dziękuję. Wszystkie błędy idą oczywiście na moje konto.

Moja żona Kasia włożyła ogromną pracę w ten tekst, wyrzucała całe fragmenty (co było dla mnie ciosem) i kazała je pisać na nowo (ku mojemu przerażeniu), płakała ze zgrozy nad niektórymi moimi pomysłami, a chwaliła inne. Bez jej nieocenionej pomocy książka z pewnością byłaby znacznie gorsza. Kasiu, serdecznie dziękuję. Jestem także niezmiernie wdzięczny Rafałowi Bielskiemu i Piotrowi Sternalowi za cierpliwą umiejętność mobilizowania mnie do cięższej pracy.

Przypisy

[1] Nazywam się Stan Borowy. Ona Christina Brooks. Jesteśmy konsultantami Departamentu Stanu Stanów Zjednoczonych. Pomagamy ukraińskim służbom bezpieczeństwa. Musimy szybko dostać się na miejsce zdarzenia.

[2] Ma pan broń?

[3] Tak. Mam pozwolenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

[4] Proszę pokazać.

[5] Przed Mistrzostwami Europy w Piłce Nożnej UEFA EURO 2012 pomiędzy Ministrem Obrony Narodowej RP a Ministrem Obrony Ukrainy podpisane zostało porozumienie o wymianie informacji o zagrożeniach z powietrza. W porozumieniu zawarto także punkt umożliwiający Dyżurnemu Dowódcy Obrony Powietrznej w sytuacjach zagrożenia działaniami terrorystycznymi z powietrza i w razie potrzeby udzielenia pomocy w powietrzu w ramach misji AIR POLICING, wyrażenie zgody na przekroczenie parze dyżurnej granic powietrznych Ukrainy oraz na udzielenie zgody na wlot parze dyżurnej Sił Powietrznych Ukrainy w przestrzeń powietrzną Polski. O wszystkich działaniach DDOP miał obowiązek powiadomić Dowódcę Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

[6] W Udem, w Niemczech zachodnich (Nadrenia Północna-Westfalia), znajduje się Centrum Połączonych Operacji Powietrznych NATO (Combined Air Operations Center, CAOC) monitorujące europejską przestrzeń powietrzną.

[7] Naprzód! Szybko!

[8] ATO (AirTasking Order). Rozkaz bojowy określający szczegóły misji. Wyznacza zadanie, skład ugrupowania, dane logistyczne, ilość paliwa i uzbrojenia adekwatnego do wykonania zadania, wskazuje sygnały dowodzenia. W ATO wyznacza się dowodzącego misją (Air Boss), który kieruje zespołem ludzi odpowiedzialnych za współdziałanie, koordynację misji w przestrzeni powietrznej i rozpoznanie. Misją w powietrzu dowodzi Mission Commander. DDOP i StDO DZB nadzorują z ziemi przebieg misji, współpracując w tym celu z Ośrodkami Dowodzenia i Naprowadzania (ODN), kontrolują zbieranie i przepływ informacji o wydarzeniach w przestrzeni powietrznej oraz poprzez nawigatorów

utrzymują łączność z dowódcą misji. Obsługa COP-DKP zabezpiecza także lotniska interwencyjne, które mogą przyjąć statki powietrzne w sytuacjach awaryjnych.